Caryca rosyjskiego kryminału humorystycznego.
Ponad 100 milionów sprzedanych egzemplarzy!

Daria Doncowa

POKER Z REKINEM

SERIA Z KOBRĄ

VIDEOGRAF II

Ali-Baba

Daria Dońcowa

POKER Z REKINEM

Z języka rosyjskiego przełożyła
Danuta Blank

Wprowadzenie

Za oknem grudzień, a mnie ziemia pali się pod stopami! Najpierw, zadzwoniła jakaś kobieta. Pomyliła mój numer telefonu z numerem przyjaciółki. Ktoś wyraźnie jej groził. Błagała o pomoc.

Rzecz jasna, ja, skończona kretynka, popędziłam na złamanie karku pod wskazany adres.

Nie zdążyłam. Kobieta skonała na moich rękach.

Nieco później, prowadząc poszukiwania zaginionej żony „króla nafty", udało mi się zdemaskować mordercę mojej przypadkowej znajomej.

Jednak szczęście mnie opuściło - wszyscy świadkowie zostali zamordowani.

A jak tu zmusić nieboszczyka do złożenia zeznań?

Rozdział 1

Ogromny, niedźwiedziowaty facet biegł po słabo oświetlonej ulicy, wymachując pistoletem.
Takiego typa strach spotkać nawet w środku dnia, przy normalnym słonecznym oświetleniu, wśród tłumu ludzi, składającego się z samych milicjantów.
A co tu dopiero mówić w środku nocy?
Był podobny do rozjuszonego zwierzęcia. Biegł w skupieniu, oddychając równomiernie i z rzadka tylko wykrzykując przekleństwa.
Poczułam, jak ze strachu kurczy mi się żołądek i zaczyna boleć głowa.
W pewnym momencie usłyszałam cichy trzask.
Prześladowca wydał z siebie dziwny dźwięk i runął na ziemię jak kłoda.
Nie ruszał się, a obok jego głowy ujrzałam powiększającą się ciemnobordową kałużę krwi.
Westchnęłam i poczułam, że skurcz żołądka powoli ustępuje.
- Dobra - powiedział Sierioża, wyłączając telewizor - pora spać. Jutro musimy wcześnie wstać.
Magnetowid zaczął przewijać kasetę.
- Jednak wolę, jak wszystko dobrze się kończy - ziewnęła Katia i przeciągnęła się.
- Ja też - poparła ją Julka.
- I ja - pisnął z kąta Kiriusza.
- A ty co tu robisz? - odezwał się Sierioża.
- Oglądałem film - oświadczył chłopiec, wychodząc z ukrycia.
- Zupełnie się rozbestwiłeś - oburzył się starszy brat. - Jutro masz na rano do szkoły! Musisz wstać o siódmej!
- No i co z tego? - odparł młodszy.
- A ty idziesz do pracy i też musisz wstać o tej samej porze!
- Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie! - Sierioża wyraźnie tracił panowanie nad sobą. - Jak ci zapewne wiadomo, od dawna jestem dorosły. Mam dwadzieścia pięć lat i jestem żonaty. Dlatego mam prawo robić, co mi się rzewnie podoba. Ty natomiast nie skończyłeś jeszcze dwunastu i musisz się słuchać. Marsz do łóżka!
- A gdzie jest napisane - zaczął marudzić Kiriusza - że żonatemu wolno oglądać telewizję, a kawalerowi - nie? Mamo, no powiedz!
Katia westchnęła i chciała coś powiedzieć, ale w końcu zamiast tego ruszyła do przedpokoju.
Widocznie stwierdziła, że nie warto wtrącać się w sprzeczkę, ponieważ

- stojąc w drzwiach - rzuciła pojednawczo:
- Nie kłóćcie się. Chodźcie, napijemy się lepiej herbaty.
- Wiecznie mu pobłażasz - nie dawał za wygraną Sierioża.- Jak miałem jedenaście lat, to wyganiano mnie o dziewiątej sprzed telewizora i niebyło zmiłuj się!
- Kiedy byłeś w wieku Kiryła - parsknęła śmiechem Julia, opuszczając salon - wideo mieli jedynie członkowie Biura Politycznego i pewnie niedobra mama nie pozwalała ci oglądać dobranocki.
Sierioża nie znalazł argumentu odpierającego jej atak.
Odprowadził j ą gniewnym spoj rzeniem.
Kirył zachichotał.
- Ale musiałeś mieć okropne dzieciństwo! Przyjmij moje najserdeczniejsze wyrazy współczucia!
Starszy brat zaczerwienił się ze złości i już chciał strzelić młodszego po głowie, ale ten niczym zaskroniec wyśliznął się przez uchylone drzwi.
Zaraz po tym z kuchni dobiegł jego dźwięczny głos:
- Ale czad! Jaki tort! A można tak odkroić, żebym miał i różyczkę, i czekoladkę?
- Zdejmę po prostu czekoladkę z innego kawałka i położę na twoim
- obiecała Katia.
Sierioża westchnął.
- Idź lepiej do kuchni - zachęciłam go - bo inaczej Kirył wrąbie cały tort.
- Niech sobie rąbie - odburknął Sierioża, wstając. - Jeszcze będziecie płakać. Za kilka lat nikt nie da sobie z nim rady. Już teraz nikogo nie słucha, a z czasem będzie coraz gorzej.
Burcząc pod nosem, ruszył w kierunku kuchni.
Z rozkoszą wyciągnęłam nogi na kanapie i ziewnęłam.
Sierioża strasznie kocha Kiryłka i gotowy jest za nim wskoczyć w ogień, ale czasami ma gorszy dzień i wtedy czepia się o byle co.
Dzisiaj akurat jego ofiarą padł Kirył, ale nie zawsze tak jest. Może trafić na każdego.
Nie dalej jak tydzień temu napadł na Katię, żądając, żeby natychmiast oddała swój samochód do naprawy.
Biedna dziewczyna broniła się, jak mogła, ale nie miała żadnych szans z kipiącym ze złości synem, barwnie opisującym okropny stan techniczny żiguli.
I, niestety, miał rację.

Kierownica poza tym, że kręci się dookoła, to jeszcze na dodatek rusza się z góry na dół jak ster w samolocie myśliwskim.
Może dla samolotu to i dobre, ale policjanci z drogówki, nie wiedzieć dlaczego, są innego zdania, gdy widzą taki trik.
Dodajmy do tego odpadający tłumik, wgnieciony lewy bok, łyse opony i stale wypadającą z gniazdka zapalniczkę.
Szkoda gadać.
Napady zrzędzenia Sierioży mają zawsze to samo podłoże.
Chłopak pracuje w agencji reklamowej i, kiedy otrzymuje zlecenie, rozkwita jak kaktus. Jeśli zaś przez dłuższy czas nie ma klientów - w domu zaczynają się kłopoty.
Na kanapie było bardzo wygodnie.
Za oknami hulał lodowaty grudzień.
Na kalendarzu dopiero piąty grudnia, a na termometrze już prawie minus trzydzieści.
W domu jednak jest ciepło, miło i przyjemnie.
Nawet głośna wymiana zdań, dochodząca z kuchni, nie potrafiła zepsuć tak sielankowego nastroju.
Przez moją głowę niespiesznie przewijały się różne myśli: co przygotować jutro na obiad? Makaron czy gulasz z ziemniakami?
- Hej, Lampa - rozległo się tuż nad moją głową. - Idź do łóżka, bo zaraz zaśniesz w opakowaniu na kanapie.
Lampa - to ja.
Mam na imię Eulampia.
Domownicy nazywają mnie przeróżnymi zdrobnieniami: Lampka, Lampencja, Lampusik, Lampik - mają takie pomysły, że aż strach!
Ale nie gniewam się na nich, przeciwnie - jestem absolutnie, niesłychanie szczęśliwa. Chociaż trzeba przyznać, że nie zawsze tak było.
Niedawno, jesienią, prowadziłam żałosne życie chorej, niezdarnej i kompletnie bezużytecznej bogatej paniusi.
Inaczej się też nazywałam - Eufrozyna. Nazwał mnie tak ojciec, profesor matematyki. Imię odziedziczyłam po jego matce, której nawet nie znałam. I nic w tym dziwnego, gdyż byłam późnym i jedynym dzieckiem swoich rodziców.
Mama była solistką operową - robiła wszystko, żeby jej ukochana córka nigdy nie zaznała biedy.
Zostałam nauczona gry na harfie, potem wysłana na studia do konserwatorium muzycznego, aż w końcu załatwiono mi pracę w

filharmonii, gdzie pomyślnie dotrwałam do zamążpójścia.
Kariera artystyczna się nie powiodła. Sławy i pieniędzy nie zdobyłam. Zresztą, materialną stroną życia nigdy się nie przejmowałam.
Matce jakimś cudem zawsze udawało się zdobyć pieniądze. Wszystkie moje problemy rozwiązywała jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.
A w przeddzień swojej śmierci pomyślnie wydała mnie za mąż za Michaiła Gromowa, siostrzeńca swojej przyjaciółki. Co prawda narzeczony okazał się młodszy ode mnie, jednak był piękny, mądry, bogaty, czuły. Lista jego zalet ciągnęła się bez końca.
Rozpoczęła się niczym niezmącona rodzinna sielanka.
Już od samego dzieciństwa wyróżniałam się słabym zdrowiem, a po tym, jak na moją cześć zagrano Marsz Mendelssohna, rozchorowałam się na dobre.
Miałam alergię dosłownie na wszystko, nieustannie byłam przeziębiona, przechodziłam zapalenie oskrzeli, płuc, anginę i grypę. Ciągle bolał mnie żołądek i musiałam przestrzegać surowej diety i zrezygnować zjedzenia rzeczy słodkich, słonych, kwaśnych, gorzkich, smażonych, wędzonych, tłustych.
Na dodatek nasze życie było potwornie nudne i monotonne.
Michaił całe dnie spędzał w pracy.
Wracał do domu po północy i padał zmęczony na swoje łóżko, ściskając w ręce telefon komórkowy. On, w odróżnieniu ode mnie, prowadził aktywny tryb życia.
Doskonale to rozumiałam i nie miałam do niego żadnych pretensji.
Działał w interesach firmy i był zmuszony pojawiać się na przeróżnych prezentacjach i bankietach.
Sprzedaż komputerów to nie taka prosta sprawa.
Mnie natomiast słabe zdrowie nie pozwalało dotrzymywać mu towarzystwa. Dlatego sterczałam całymi dniami przed telewizorem.
Dom prowadziła służąca.
Jedyną moją rozrywką były powieści kryminalne. Skupowałam je workami. Miałam wszystkie nowości, zarówno krajowe, jak i zagraniczne.
Częstokroć marzyłam, żeby stać się taką bohaterką i przeżyć niewiarygodną przygodę, borykać się z trudnościami, rozwikłać skomplikowane przestępstwo.
Ale nie miałam na to żadnych szans. Nie ze swoim wątłym zdrowiem!
Jednak niespodziewanie moje monotonne życie się zmieniło.

Pewnego razu do domu dostarczono mi kasetę wideo, na której sfilmowana została namiętna scena łóżkowa.
Z otwartymi ustami obserwowałam swojego męża i nieznajomą czarnowłosą kobietę. Nagranie kończyło się wystąpieniem tej pani.
Przedstawiła się jako Tania.
Oświadczyła, że jest w ciąży z moim małżonkiem i kategorycznie zażądała, abym dała mu rozwód.
Miotałam się przez jakiś czas po mieszkaniu, szukając wyjścia z zaistniałej sytuacji.
Wreszcie przypięłam mężowi na poduszce kartkę: „Za moją śmierć proszę nikogo nie winić", po czym uciekłam z domu, zostawiając wszystko: dokumenty, pieniądze, klucze.
Błąkałam się bez celu po ulicach, aż w końcu podjęłam decyzję i rzuciłam się pod koła nadjeżdżającego samochodu.
Jednak nie zginęłam.
Najwidoczniej Opatrzność postanowiła dać mi jeszcze jedną szansę.
Za kierownicą siedziała Katia.
W ten oto sposób rozpoczęła się nasza przyjaźń.
Trafiłam do jej licznej, szalonej rodzinki: dwaj synowie - Sierioża i Kiriusza, synowa Julia, mopsy -Ada i Mula, stafford terrier Rachel, koty - Klaus i Semiramida, trzy chomiki i ropucha Gertruda.
Odżywiali się wyłącznie pierogami z paczki i zupkami Knorr. Sprzątali raz do roku. Prali na Wielkanoc. I nie dlatego, że byli brudasami. Po prostu niemieli na nic czasu.
Wychodzili o ósmej i wracali o ósmej, padając ze zmęczenia.
Katia jest doktorem medycyny i świetnym chirurgiem.
Na operację chorzy zapisują się do niej z miesięcznym wyprzedzeniem.
Sierioża pracuje w agencji reklamowej.
Julka studiuje na wydziale dziennikarstwa i dorabia w gazecie.
Kirył również jest bardzo zajęty: chodzi do szkoły, na sekcję gimnastyki sportowej i angielski.
Kiedy matka przyprowadziła ze sobą do domu brudną kobietę, żadne z dzieci nawet nie mrugnęło okiem.
Po pierwsze, nieustannie mieszkali u nich jacyś goście.
Po drugie, Katia była bardzo litościwa i często sprowadzała do domu biednych i nieszczęśliwych.
Raz babcię, której kochani krewni nie chcieli zabrać ze szpitala do domu, innym razem bezdomną koczującą na klatce, jeszcze innym

-dziewczynę z prowincji, która nie dostała się na wyższą uczelnię i postanowiła zająć się najstarszym zawodem świata.
Nie wiadomo, jak potoczyłyby się moje dalsze losy, gdyby następnego ranka po tym, jak trafiłam do tej szalonej rodzinki, nie rozpoczęła się nieprawdopodobna, mrożąca krew w żyłach historia.
Katia została porwana i tym sposobem zostałam sama ze wszystkimi problemami.
Byłam zmuszona samodzielnie prowadzić dom i opiekować się Sieriożą, Kiriuszą Julią, psami, kotami, chomikami i ropuchą Gertrudą.
Długo by opowiadać, jak uczyłam się gotować, prać i sprzątać. Pominę również swoje wizyty w szkole.
Sytuacja była tym bardziej skomplikowana, że w tym czasie musiałam odnaleźć porywaczy i uwolnić Katię.
Po długich i uciążliwych poszukiwaniach moja nowa przyjaciółka odnalazła się na strychu mojej własnej daczy w Alabiewie!
A jednym z głównych przestępców okazał się nie kto inny, jak mój były mąż - Michaił Gromow!
Z zapartym tchem słuchałam opowiadania majora Kostina, który rozwikłał tę zawiłą sprawę.
Słuchałam i nie wierzyłam własnym uszom.
Mój czuły, inteligentny, troskliwy i szczodry mąż w rzeczywistości okazał się bezlitosnym, zimnokrwistym łotrem i mordercą.
Wcale nie sprzedawał komputerów, a jego firma, która rzekomo zajmowała się oprogramowaniem, służyła mu jako przykrywka. Gromow wraz ze swoim wspólnikiem produkowali „amerykańskie witaminy", których głównym składnikiem była zwykła soda spożywcza. Naiwni ludzie wierzyli w ich lecznicze działanie.
Przestępcy nieźle się na tym interesie obłowili.
To nie jedyne świństwo, jakiego dopuścił się mój „luby".
Wobec mnie postąpił równie podle. Okazało się, że byłam bogata, gdyż odziedziczyłam spadek. Moi rodzice zostawili mi kolekcję obrazów najwybitniejszych rosyjskich malarzy.
Ojciec gromadził je przez całe swoje życie, o czym zupełnie nie miałam pojęcia.
Po śmierci taty płótna zostały przekazane na przechowanie najlepszemu przyjacielowi rodziny, staruszkowi Jurowskiemu.
Nasze dostatnie życie opierało się nie na zarobkach męża, lecz właśnie na pieniądzach ze sprzedaży pejzaży i portretów z kolekcji mojego

ojca.
Poza tym w posagu otrzymałam daczę w Alabiewie i mieszkanie rodziców - ogromny pięciopokojowy apartament w samym centrum Moskwy, który mąż również opchnął na aukcji.
Było mu na rękę, że apatycznie siedzę w domu, czy zima czy lato opatulona w orenburską chustę.
„Troszczył się" o mnie, wmawiając, że mam bardzo słabe zdrowie.
Chciał, abym żyła w letargu i nie zajmowała się sprawami finansowymi.
Niczym najbardziej opiekuńczy mąż kładł mnie do łóżka z mnóstwem tabletek, kropli i syropów, a sam najspokojniej w świecie udawał się z kochanką na randkę do restauracji.
Trzeba mu jednak przyznać, że wracając, nigdy nie zapominał przynieść swojej nieszczęsnej chorej żonie bukietu kwiatów albo pudełka ciastek.
- Kupiłem z lekkim kremem - szczebiotał, wnosząc do sypialni tacę z herbatą. - Pomyślałem, że ze śmietankowym będą zbyt ciężkie na twoj ą chorą wątrobę.
Przyjmowałam jego „troskę" za dobrą monetę i byłam mu ogromnie wdzięczna.
Jednak owej jesieni nagle spadła mi zasłona z oczu, a jego zachowanie nabrało nowego znaczenia. Moje życie diametralnie się zmieniło.
Wymyśliłam sobie nawet nowe imię - Eulampia. Tym samym raz na zawsze pogrzebałam Eufrozynę.
Michaił ze wspólnikiem trafili do więzienia Butyrskiego. Proces jeszcze przed nami. Śledztwo w toku.
Litościwa Katia, którą niegodziwcy prawie miesiąc trzymali na strychu, przykutą do wielkiego haka, kazała mi zanieść mężowi paczkę i nawet kupiła całkiem niezłą wyprawkę: herbatę, cukier, kiełbasę i suchary.
Ja jednak stanowczo odmówiłam dźwigania ciężkiej torby na ulicę Nowosłobodską i wniosłam pozew o rozwód.
Michaił i tak otrzymał ode mnie zbyt wiele dóbr materialnych.
Teraz nadeszła pora wyrównać rachunki.
Poza tym nie podobają mi się ludzie, którzy uciekają się do porywania bezbronnych kobiet.
Mieszkanie, w którym prowadziłam swoje ponure życie, zamknęłam na cztery spusty, a sama przeniosłam się do Katii.
Prowadzę dom, gotuję, sprzątam, piorę, biegam do szkoły do

Kiriuszki i opiekuję się zwierzętami.
Pieniędzy, rzecz jasna, nie zarabiam, ale o dziwo, nie czuję się darmozjadem. Przeciwnie, jestem gospodynią w tych ogromnych apartamentach, które Katia zrobiła z dwóch mieszkań: swojego trzypokojowego i dwupokojowego Julki.
Zresztą, jeśli będą mi potrzebne pieniądze, zawsze mogę sprzedać jakiś obraz.
Lato zamierzamy spędzić na daczy w Alabiewie.
Wiele kobiet byłoby niezadowolonych z życia, gdyby musiało od rana do wieczora uwijać się w kuchni, ale ja jestem ogromnie szczęśliwa.
Codziennie wstaję o siódmej rano we wspaniałym nastroju.
I jeszcze jeden dziwny fakt: uciążliwe, pojawiające się w nieskończoność choróbska opuściły mnie raz na zawsze. Nie mam ani alergii, ani bólu głowy, ani zapalenia oskrzeli. Jestem zdrowa jak ryba. Biegam po listopadowym błocie w cienkich, przemakających butach i nawet nie nabawiam się kataru.
- Hej, Lampa - powtórzyła Katia - idź do siebie do łóżka. Chcesz nocować na kanapie?
- Tu mi dobrze - wymamrotałam, powoli pogrążając się we śnie. -Nie chce mi się nigdzie ruszać.
- Dobrze - zgodziła się.
Poczułam, jak troskliwie okrywa mnie kołdrą.
Potem usłyszałam skupione sapanie i na mojej piersi ulokowało się coś gorącego i ciężkiego.
To mopsy: Mula i Ada, nie znalazłszy mnie w sypialni, zjawiły się w poszukiwaniu gospodyni w salonie i natychmiast umościły się na kołdrze.
Ostrożnie odwróciłam się na bok, mopsy spadły w przytulną przestrzeń pomiędzy moimi kolanami a twarzą.
Pokręciły się jeszcze przez chwilę, sprzeczając się, która położy się mordą na poduszce, po czym ucichły i zaczęły delikatnie posapywać.
Delikatne sapanie przeszło w chrapanie.
Rachel ulokowała się na podłodze.
Sześćdziesięciokilogramowa terrierka nie wlazła na kanapę, doskonale zdając sobie sprawę, że nie wystarczy już dla niej miejsca.
Od mopsów biło przyjemne ciepło.
Psie chrapanie powoli mnie usypiało.

Rozdział 2

Drgnęłam na dźwięk dzwonka.
W jednej chwili usiadłam na wpółprzytomna, nierozumiejąc, co się dzieje.
Na stoliku przeraźliwie dzwonił telefon.
Odruchowo podniosłam słuchawkę.
- To ty? - usłyszałam wysoki nerwowy głos. - To ty?
- Ja - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.
- Błagam! - jęczała kobieta, z lekka się dusząc. - Błagam, przyjedź do mnie jak najszybciej. Może przy tobie się nie odważy.
- Ale dokąd mam przyjechać i po co? - osłupiałam.
- Posłuchaj - mamrotała niewidoczna rozmówczyni, połykając z przejęcia niektóre słowa - przecież nie możesz zostawić mnie samej. Pośpiesz się, błagam! Na podwórzu parkuje właśnie jakiś samochód. To na pewno on. Aniu, przyjdź, proszę cię, bo inaczej on mnie zabije.
- To pomyłka - powiedziałam.
W słuchawce przeraźliwie zapiszczało. Odłożyłam ją na widełki i spojrzałam na zegarek: wpół do szóstej. Sen mnie opuścił.
Mopsy siedziały na kanapie z wytrzeszczonymi ze zdziwienia oczami. Ja też byłam zaskoczona.
I w tym momencie telefon zadzwonił ponownie.
- Aneczko kochana - wyszeptał ten sam głos - jak najszybciej.
- Znowu wybrała pani nieprawidłowy numer. - po raz kolejny usłyszałam piski w słuchawce.
Już miałam ją odłożyć, kiedy rozległ się rozpaczliwy krzyk:
- O Boże! Co się dzieje? Dlaczego ciągle mnie z panią łączy? O Chryste, on zaraz tu wejdzie!
- Niech się pani uspokoi - spróbowałam przemówić do rozsądku zdenerwowanej kobiecie.
Jej słowa o nadciągającym niebezpieczeństwie wcale mnie nie zaniepokoiły. Pomyślałam sobie, że babka pewnie przesadza. Że jest zwykłą histeryczką. Gdyby ktoś chciał wtargnąć do jej mieszkania, żeby ją zabić, już dawno zostałaby po niej tylko mokra plama.
Katia ma taką pacjentkę - Ninę Koczetkową. Ledwie zaboli ją głowa, a już panikuje i z krzykiem oznajmia: „Umieram, niech mnie pani ratuje!"
Nie zważa na porę dnia ani nocy. Wydzwania dzień w dzień. Świątek, piątek czy niedziela. Katia musi biec na każde jej zawołanie, bo inaczej nasz telefon byłby rozgrzany do czerwoności.

- O Boże - mamrotała niewidoczna rozmówczyni - co ja mam teraz zrobić?
- Niech mi pani poda numer do tej Ani, spróbuję do niej zadzwonić -zaproponowałam.
- Tak, tak, tak! - wykrzyknęła. - Proszę zapisać. Niech jej pani powie, że on mnie zaraz zabije.
- Jak się pani nazywa?
- A co to za różnica?
- Ciekawa sprawa! - oburzyłam się. - Mam poinformować jakąś Anię, że ktoś kogoś zabije? A skąd będzie wiedziała, że chodzi akurat o panią?
- Lana, mam na imię Lana! - krzyknęła i rzuciła słuchawką.
Zerknęłam na kartkę. Numer był prawie jak nasz, tylko kończył się siódemką zamiast szóstki.
Oczywiście nieznajoma Ania smacznie sobie spała.
Nic dziwnego, o tej porze!
W słuchawce usłyszałam ciągły sygnał. Po dwudziestym się rozłączyłam. Wiele osób wyłączana noc telefon. Nie chcą, żeby wyrywano ich ze snu. Najwyraźniej Ania też się do nich zalicza. Może bym tak wyciągnęła wtyczkę z gniazdka i o wszystkim zapomniała?
Nie zdążyłam jednak wstać, gdyż ponownie rozległ się dźwięk telefonu.
Przeklinając w duchu własną bezduszność, odebrałam i z beznadzieją w głosie zapytałam:
- Lana? Ania nie odbiera. Lepiej będzie, jeśli zadzwoni pani do niej nieco później, gdzieś tak koło ósmej.
W słuchawce usłyszałam chlipanie. Albo to Lana szlochała, albo na linii były zakłócenia.
W końcu do mojego ucha dotarł słaby głos:
- Wyszedł, błagam, proszę.
Rozzłościłam się do reszty.
- No widzi pani, wyszedł. Jest pani cała i zdrowa. Nic pani nie zrobił. Proszę się spokojnie położyć. Mnie też przydałoby się trochę snu. Rano zadzwoni pani do biura obsługi klienta i powie, że...
- Umieram. - usłyszałam - zabił mnie, proszę tu przyjechać, nie chcę leżeć sama, na Boga.
Słowa docierały do mnie jak przez mgłę.
Kobieta mówiła mechanicznie niczym robot.
Po chwili w słuchawce rozległy się jęki i dziwne skomlenie.

Spojrzałam na zegarek - punkt szósta.
Nie, zasnąć to mi się już na pewno nie uda.
- Jaki ma pani numer telefonu?
Ale Lana widocznie nie zrozumiała mojego pytania, ponieważ wybełkotała:
- Ulica Sielezniewska 15, mieszkania 42.
Oho! To przecież sąsiedni blok!
- Zaraz przyjdę - obiecałam, zrzucając kołdrę.
Jeśli ta babka ma po prostu atak histerii, już ja jej pokażę!
Kto to widział, żeby wydzwaniać w środku nocy i nie dawać ludziom spać!
Wściekła wskoczyłam w dżinsy. Nałożyłam sweter, kurtkę puchową i, podkradłszy się na paluszkach do drzwi, zaczęłam ostrożnie przekręcać klucz w zamku.
Domownicy mogą sobie jeszcze pospać dobrą godzinę. Zdążę wrócić, tylko wyleję kubeł zimnej wody na głowę tej bezczelnej histeryczki.
Klucz z brzękiem upadł na podłogę. Drgnęłam. Jeszcze tylko brakowało, żebym obudziła dzieci. Na szczęście w domu panowała cisza.
Nawet psy, które na odgłos otwieranych drzwi zawsze natychmiast przybiegały w nadziei, że zostaną wyprowadzone na spacer, spały sobie spokojnie na kanapie w salonie.
Wyszłam z klatki i aż się wzdrygnęłam.
Jeszcze nie zaczęło świtać. Ciemne niebo upstrzone było jasnymi gwiazdami. Na dworze panował okropny ziąb. Co najmniej trzydzieści stopni poniżej zera, a może nawet więcej.
Truchtem przebiegłam do sąsiedniego bloku.
Pod nogami skrzypiał śnieg. Miałam wrażenie, jakbym szła po kruszących się odłamkach lodu.
Dom był bliźniaczo podobny do naszego.
W środku jednak czekała mnie niespodzianka - okazało się, że obie windy są nieczynne.
Przeklęłam pod nosem.
U nas w ramach oszczędności też wyłączają windę, ale tylko jedną -pasażerską. Co jest w pełni zrozumiałe: jeśli, nie daj Boże, trzeba byłoby znieść chorego na noszach z najwyższego piętra, to bez windy ani rusz. Pewnie tu nikt nie zamierza chorować.
Doszłam do wniosku, że mieszkanie nr 42 powinno się mieścić na szóstym piętrze.

Powlokłam się na górę, posapując przy tym z wściekłości.
Schody wyglądały na czyste, ale być może miało się takie wrażenie dzięki przytłumionemu oświetleniu dwudziestopięciowatowych żarówek.
Wokół mnie panowała grobowa cisza. Nie zakłócał jej nawet najmniejszy dźwięk.
Na drugim piętrze niespodziewanie ogarnął mnie strach. Powoli zaczęłam żałować, że wplątałam się w tę historię. Ruszyłam biegiem po schodkach. Moja kondycja fizyczna pozostawia jednak wiele do życzenia, dlatego już na czwartym piętrze dostałam zadyszki. Zwolniłam i resztę drogi przebyłam powoli, zastanawiając się, co powiedzieć nieznajomej Łanie.
Drzwi jej mieszkania wyróżniały się na tle pozostałych. Były obite piękną zieloną skórą. Wyglądały na drogie. Zamiast zwykłego dzwonka zobaczyłam psią mordę wykonaną z trudnego do określenia materiału. Kicz nad kicze i kiczem pogania!
Ostatnio Kiriusza zobaczył taką samą na targu i długo prosił, żebyśmy zamontowali „pieska" u nas w domu.
Pamiętam, jak sobie wtedy pomyślałam: niemożliwe, żeby znalazł się ktoś, kto kupi taką tandetę!
A jednak! Okazuje się, że na tym świecie wszystko jest możliwe!
Przycisnęłam „nos".
Posłuchałam przez chwilę ochrypłego trelu, mającego chyba naśladować szczekanie.
Łanie jakoś się nie śpieszyło, żeby otworzyć.
„Szczekanie" ucichło.
Ponownie nacisnęłam dzwonek.
Histeryczka najwyraźniej nie miała zamiaru podejść do drzwi. Co za bezczelne babsko! Nie dała mi się wyspać, a sama najspokojniej w świecie ucięła sobie drzemkę! Już ja dobrze znam takie typy!
Pewnie zmęczyła się robieniem scen i wpadła w objęcia Morfeusza. Wcale nie liczyła na to, że ktoś będzie na tyle głupi, żeby pędzić na złamanie karku, aby ją ratować!
Poirytowana szarpnęłam za klamkę. Drzwi niespodziewanie się otworzyły. Doskonale, zaraz dostanie za swoje!
Celowo głośno tupiąc buciskami, wparowałam do ciemnego przedpokoju i zawołałam:
- Pani Lano, gdzie pani jest?
W odpowiedzi rozległ się ledwie słyszalny jęk.

Rzuciłam się w stronę, z której dochodził.
W niewielkim pokoju na łóżku leżała kobieta.
Wystrój pomieszczenia bezsprzecznie świadczył o tym, iż mam do czynienia z samotną zamożną osobą.
Łóżko było zasłane żółtym jedwabnym prześcieradłem. Dookoła same zakładki, kokardki, koronki, sztuczne futro i różowe falbanki.
Lana była ubrana w nieprawdopodobną czerwono-pomarańczowo-czarną piżamę z tych, które za bajońskie sumy sprzedawane są w firmowych sklepach z bielizną.
Odpowiednie wdzianko dla histeryczki.
Kobiety tego pokroju są zazwyczaj „delikatnej i artystycznej natury".
Szybko otworzyłam usta, żeby dać upust swojemu świętemu oburzeniu, jednak równie szybko je zamknęłam.
Nieznajoma może i miała napady histerii, ale teraz wyraźnie było z nią źle.
Jej twarz była trupio blada. Po czole spływały krople potu. Na kołdrze leżał telefon.
Wybrałam „03".
Po dwudziestym sygnale wprost kipiałam ze złości.
To tylko w filmach wszyscy pędzą na złamanie karku w stronę noszy, na których wydaje ostatnie tchnienie umierający. W realnym świecie nikt nie kwapi się przyjść z pomocą.
Wreszcie, po jakichś trzech latach, beznamiętny głos oświadczył:
- Pogotowie ratunkowe, słucham.
- Proszę przysłać lekarza, kobieta zasłabła.
- Wiek? - zapytała obojętnie słuchawka.
Głupszego pytania nie da się już chyba wymyślić. Chociaż w sumie w pełni zrozumiałe, dlaczego zadają je na samym początku. Jeśli, na przykład, zaniemogła osiemdziesięcioletnia staruszka, nikt nie będzie się śpieszył.
Rzuciłam szybkie spojrzenie na Lanę i odpowiedziałam:
- Czterdzieści pięć.
- Co jej jest?
- Nie wiem, jest nieprzytomna.
- Bóle występują?
- Nie wiem, chyba nie.
- Adres.
Szybko podyktowałam nazwę ulicy.
- Kto zgłasza?

- Sąsiadka.
- Proszę czekać - zawiadomiła bezdusznym głosem dyspozytorka i rozłączyła się.
Z niepokojem spojrzałam na chorą.
Wtem jej oczy się otworzyły i wymamrotała:
- Aneczko, przyszłaś!
Stwierdziłam, że nie ma sensu wyprowadzać jej z błędu i potwierdziłam:
- Przyszłam, przyszłam. Zaraz przyjedzie lekarz.
Lana wydała z siebie dziwny chrapliwy dźwięk i niewyraźnie wybełkotała:
- Podróba, podróba, szukał.
- Wszystko będzie dobrze, leż spokojnie - uspokoiłam ją, zerkając na zegarek.
No gdzie się podziewa ta karetka? Ale mają tempo! Zanim dotrą, można umrzeć ze trzy razy.
Lana niespokojnie się poruszyła.
- Leż spokojnie - poleciłam, jednak kobieta powtarzała jak zdarta płyta:
- Podróba, podróba.
- Dobrze już, dobrze, podróba - usiłowałam ją pocieszyć. - Nie martw się, lekarz zaraz tu będzie. Coś cię boli?
Zamilkła, potem wydała kolejny chrapliwy odgłos i niespodziewanie głośno krzyknęła:
- Nie uwierzył mi, przeszukał wszystkie kąty, ale tego nie ma.
- Wszystko już dobrze - wciąż próbowałam ją uspokoić.
- Wierzysz mi?
- Oczywiście.
- To powiedz wszystkim, że mnie zabił! - wykrzyknęła z przejęciem i opadła na poduszkę.
Jej twarz wykrzywiła się w straszliwym grymasie, usta usiłowały zaczerpnąć powietrza, jednak bezskutecznie. Wzrok utkwiła w jednym punkcie, ręce raptownie zadrgały i znieruchomiały.
Przestraszyłam się na dobre.
Czas ciągnął się w nieskończoność.
Dopiero po upływie kwadransa rozległ się dzwonek do drzwi.
Pobrzękując metalowymi skrzynkami, dwóch młodych mężczyzn weszło do pokoju i, spojrzawszy na Lane, jednocześnie westchnęło.
- Masz ci los - mruknął jeden. - Na sam koniec zmiany.

- Jeszcze pół godziny i poszlibyśmy do domu, a teraz... - dodał drugi.
Pierwszy wyciągnął jakieś blankiety. Drugi nachylił się nad Laną i polecił:
- Proszę dać ręcznik, tylko jakiś gorszy, żeby potem nie było żal go wyrzucić.
Zdezorientowana poszłam do łazienki, ściągnęłam z wieszaka różową frotę i zaniosłam ją lekarzowi.
Ten z niewiadomych przyczyn wsunął ręcznik Łanie między nogi.
- A pan co, zamierza przeprowadzić badanie ginekologiczne? -zdziwiłam się.
Westchnął smętnie, nakapał do szklanki jakichś brązowych kropli, poczym wyciągnął j ą w moj ą stronę.
Wydzielała z siebie ostry, nieprzyjemny zapach.
- Pościel się pobrudzi, trzeba będzie ją później wyrzucić - wyjaśnił spokojnie.
- Dlaczego? - spytałam zdziwiona, że nawet nie próbują pomóc chorej.
- Dlatego, że - rozpoczął lekarz, wybierając numer telefonu - po śmierci mięśnie się rozluźniają i cała zawartość pęcherza moczowego i jelit.
Urwał i krzyknął do słuchawki:
- Halo! Pogotowie, piętnasta karetka, proszę przysłać ekipę, mamy zwłoki. Nie, przed naszym przyjazdem.
Słuchałam w osłupieniu, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.
- Nazwisko? - zapytał doktor.
- Moje?
- Nie, zmarłej.
- Nie wiem.
Lekarz chrząknął.
- Dobrze, w takim razie chociaż imię i wiek.
- Lana, a ile ma lat, nie mam pojęcia.
Obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem, po czym zapytał:
- A pani to właściwie kim była dla zmarłej?
Zawahałam się. Jak mam mu wyjaśnić sytuację? Opowiedzieć całą historię o nocnych telefonach nieznajomej kobiety? Nie, to zbyt niedorzeczne i zanadto skomplikowane. Jeszcze w coś się wplączę.
- Sąsiadką.
- Sąsiadeczka! - gwizdnął. - Poszukajmy dokumentów. Pewnie ma gdzieś schowany dowód osobisty. W biurku albo szafie na pościel.
Miał rację.

W sąsiednim pokoju, w barku, na szklanej półce stało niewielkie pudełko. Na samej górze leżała bordowa książeczka.
Otworzyłam ją: „Swietłana Rodionowna Łomakina, ur. 1952 r".
- Nie narzekała na serce? - zainteresował się lekarz, żwawo zabierając się do wypełniania papierów. - Może cierpiała na dusznicę bolesną?
- Nie znałam jej za dobrze - wymamrotałam.
- Nic nie widzę, nic nie słyszę, nie mam nic do powiedzenia mamrotał pod nosem lekarz, związując ręce kobiety bandażem.
Następnie wyciągnął niewielki kawałek pomarańczowej opaski medycznej, szybko napisał na niej drukowanymi literami „Łomakina" i, pogwizdując, przymocował ją do nogi zmarłej.
Zrobiło mi się niedobrze na widok jego obojętnej miny i rutynowo wykonywanych czynności. Chłopak pracował jak automat. Na jego twarzy nie było widać żadnych emocji.
Zachowywał się, jakby leżał przed nim złamany taboret, a nie martwa kobieta. Pewnie rozlatujące się meble byłyby wstanie wywołać w nim więcej gniewu albo złości.
- No dobrze - oświadczył nagle - proszę tu zaczekać. Zaraz przyjedzie milicja.
- Po co?
- Takie są wymogi w przypadku zgonu pod nieobecność lekarza -oznajmił, składając papiery.
Ruszyli w stronę drzwi.
- Hej, proszę poczekać! - krzyknęłam. - A ciało?
- Nie zabieramy zwłok - wyjaśnił. - Przyjedzie patrol, to zrobi porządek. Zawiozą albo do sądowej kostnicy, albo do zwykłej, w zależności od przyczyny zgonu. Niech pani tu zaczeka.
- Sama z trupem? - zdrętwiałam ze strachu.
- A co w tym takiego? - rozzłościł się doktor. -Żywych należy się bać, a nie martwych. Nie mogą wyrządzić nam żadnej krzywdy. Są zupełnie nieszkodliwi.
Brzęknąwszy na pożegnanie metalowymi skrzynkami, zniknęli na klatce schodowej.
Po raz kolejny zapanowała cisza.
Nie była już jednak taka niezmącona, jak jeszcze pół godziny temu.
Ożyła winda.
Usłyszałam, jak porusza się w szybie, a na podwórzu wyje alarm jakiegoś samochodu.
Zrobiło mi się nagle zimno i nieswojo.

Pośpiesznie wyszłam do drugiego pokoju, który służył jako salon. Obok szafki z telewizorem stały dwa piękne, nowe welurowe fotele. W jednym z nich, zwinięty w kłębek, spał ogromny kot. Wyglądał zupełnie jak tygrys. Szyję zwierzęcia okalała piękna, szeroka, jasnobłękitna obroża z medalionem. Odruchowo pogłaskałam kociaka i po raz drugi zajrzałam do dowodu osobistego zmarłej.
Swietłana Rodionowna była samotna. Wydanego w 1997 roku dokumentu nie ozdabiał żaden wpis. Rubryka „dzieci" świeciła pustką.
Dla zabicia czasu poszłam rozejrzeć się po kuchni.
Tak, wygląda na to, że rzeczywiście mieszkała sama.
Dwa malutkie garnuszki, niewielka patelnia i równie mała lodówka.
Kobiety posiadające rodzinę mają zupełnie inny zestaw naczyń i zazwyczaj ogromne szafy do przechowywania jedzenia.
Łazienka w zalotnym różowym kolorze świadczyła o wysiłkach, jakie przedsięwzięła, usiłując zatrzymać szybko mijającą młodość. Szklane półeczki z trudem utrzymywały niezliczoną ilość słoiczków i tubek.
Czego tu nie było!
Kremy przeciwzmarszczkowe i antycellulitowe, emulsje na plamy pigmentowe, odmładzające toniki, maseczki do twarzy, najróżniejsze peelingi, glinki lecznicze, okłady roślinne, toniki na bazie ogórka.
Istny obłęd!
Jak ona mogła się połapać, co, kiedy i w jaki sposób stosować?
Na suszarce wisiał samotny ręcznik, na haczyku - bardzo drogi kobiecy szlafrok. Nigdzie nie było ani śladu po męskiej wodzie kolońskiej, piance do golenia, a w kubeczku umierała z nudów samotna szczoteczka do zębów.
Wszystko jasne.
Albo nigdy nie miała męża, albo się rozwiodła.
Nagle mój wzrok padł na zegarek - za piętnaście siódma.
Jeśli zaraz nie wrócę do domu, dzieci i Katia zaśpią.
Nie nastawiają budzików, gdyż doskonale wiedzą, że równo o siódmej wparuję do pokoju i wydam okrzyk bojowy: Pobudka!
Nogi same poniosły mnie w stronę drzwi wyjściowych.
I tak na nic się nie przydam milicji.
Zmarłej nie znałam, a jak zacznę im opowiadać całą historię, w którą się wplątałam, pomyślą, że coś kręcę i zaprowadzą mnie na komisariat. A tam mnie dokładnie wymaglują. Lepiej będzie, jak po cichutku się stąd ulotnię. Tak czy inaczej nie pomogę już biednej

Łomakinej. Poza tym najprawdopodobniej była niespełna rozumu. Wygadywała jakieś brednie.
Wzięła mnie za swoją znajomą.
- Miau - rozległo się tuż obok mnie żałosne miauknięcie.
Zatrzymałam się przy samych drzwiach. O moje nogi ocierał się kot. Napuszył ogon i delikatnie mruczał. Pewnie jest głodny.
Przez moment mu się przyglądałam, po czym wzięłam go na ręce i wyszłam na klatkę schodową.
Wszystko wskazuje na to, że Swietłana była samotna. Biedny kotek zostanie więc w pustym mieszkaniu bez jedzenia i picia, skazany na śmierć głodową. Milicja nie będzie się przejmowała jakimś zwierzęciem. Wezmę go na razie do nas, a potem się zobaczy. Oddamy to cudeńko w dobre ręce.

Rozdział 3

Równo o siódmej wpadłam zdyszana do domu.
Posadziłam zalęknionego kota na półkę obok lustra i krzyknęłam, zdejmując szybko kurtkę i buty:
- Pobudka! Wstać, koniom wody dać!
- Ojej - zaczął jęczeć Kiriuszka, kiedy zapaliłam górne światło w jego pokoju.
- Ojejciu jak mi się chce spać! Mogę pójść dopiero na drugą lekcję?
- Nie możesz - uciełam krótko, ściągając z niego kołdrę. - Nie mamowy.
- Pierwsze mamy P.O. - marudził. - Nauczycielka jest stara i niedowidzi. Nigdy nie wie, kto był na lekcji i nie sprawdza obecności! Lampeczko, zgódź się, proszę cię! Tylko ten jeden, jedyny raz!
- Wyłaź - rozkazałam i wyrwałam mu poduszkę spod głowy.
Chłopak stęknął.
- Gardło mnie boli i czuję, że kręci mnie w nosie. Pewnie zaczyna się katar.
- Wio, do łazienki! - byłam nieugięta. - Nie, zaczekaj. Teraz Julia pójdzie się pewnie malować i nie da ci się spokojnie umyć.
- Jesteś bez serca - narzekał chłopak, wsuwając kapcie na nogi. - Nie masz litości dla biednego chorego dziecka. Zobaczysz, umrę na matematyce i będziesz płakać, ale wtedy będzie już za późno. Na zawsze stracisz Kiriuszkę. Do końca życia będą cię gryzły wyrzuty sumienia, że posłałaś dziecko na pewną śmierć!
Rzuciłam mu dżinsy i powiedziałam:
- Nie przejmuj się, wyróżniam się rzadko spotykaną bezdusznością i natychmiast wymażę cię z pamięci.
- Dobra już, dobra - mruknął, zdając sobie sprawę, że numer ze śmiertelnie chorym dzieckiem nie przeszedł.
- To chociaż daj mi do szkoły nie dziesięć, a dwadzieścia rubli.
- A to dlaczego? - zainteresowałam się, zatrzymując się w progu.
- W charakterze rekompensaty!
- Za co?
Kiriuszka podrapał się po głowie.
Nie czekając na odpowiedź, pobiegłam do sypialni starszego brata:
- Sierioża, wstawaj!
- Już wstałem. Właśnie się ubieram - zza drzwi dobiegł rześki głos.
Ale mnie nie tak łatwo oszukać. Po cichu uchyliłam drzwi. Na wielkim łóżku zobaczyłam leżącego chłopaka.

Wykorzystując nieobecność Julii, która poszła do łazienki, owinął się w puchową kołdrę i smacznie pochrapywał. Prawą rękę wsunął pod poduszkę, lewą wyciągnął na całą szerokość łóżka.
Sierioża posiada niezwykłą zdolność: potrafi odpowiadać całkowicie trzeźwym głosem, a jednocześnie słodko sobie drzemać. Kilkakrotnie udało mu się mnie w ten sposób przechytrzyć.
Ale nie tym razem.
- Wstawaj, śpiochu! - poleciłam, podchodząc do okna.
- Już, już - odezwał się jak gdyby nigdy nic. - Właśnie wkładam spodnie i zapinam koszulę.
Jego głowa nadal spoczywała na wygodnej poduszce.
Rozsunęłam zasłony.
Do pokoju wpadło szare światło pochmurnego grudniowego poranka. Przy takiej pogodzie wcale nie chce się wstawać i już po siódmej wychodzić do pracy. W ogóle nie chce się opuszczać ciepłego mieszkania. Zamiast tego spędziłoby się cały dzień przed telewizorem. Jednak obawiam się, że szef Sierioży ma nieco inne zdanie na ten temat.
Nacisnęłam guzik.
Ryknęło radio i natychmiast zaczął dzwonić ogromny budzik, kupiony przez Katię. Solidne wykonanie sumiennych mistrzów zakładu „Sława". Dudnił, jakby obwieszczał koniec świata. Nawet waląc chochlą w miedzianą miskę, nie uzyskałoby się takiego efektu.
Sierioża tymczasem najspokojniej w świecie spał z błogim uśmiechem na twarzy.
Do pokoju wpadła Julka i, niewiele myśląc, podsunęła mężowi pod nos otwarty flakonik perfum „Kenzo".
- Zabierz to obrzydlistwo - wymamrotał i usiadł, nieprzytomnie potrząsaj ąc głową.
- No dalej, ubieraj się - poleciła i pobiegła do kuchni.
Potruchtałam za nią.
- Jak się domyśliłaś, że „Kenzo" tak na niego podziała?
Julka zachichotała i zaczęła smarować cieniutki tost ledwie widoczną warstwą masła.
- Twierdzi, że od tego zapachu zbiera mu się na wymioty.
Poranek potoczył się swoim zwykłym trybem.
Najpierw ulotniły się z domu dzieciaki.
Przedtem jednak zdążyły się jeszcze pokłócić w przedpokoju, szukając w pośpiechu czapek, rękawiczek, kluczy od samochodu, worka z

obuwiem na zmianę dla Kiriuszki i torebki Julii.
Kiedy wreszcie zatrzasnęły się za nimi drzwi, wyprowadziłam psy i postanowiłam wynagrodzić sobie ciężkie poranne przeżycia filiżanką mocnej kawy.
W kuchni wesoło gwizdał czajnik.
Katia dolała mi śmietanki i z westchnieniem powiedziała:
- Boże, jak dobrze mieć wolne.
Szkoda tylko, że te dni wypadają w kratkę i nic nie można zaplanować.
Jak cudownie nie musieć myśleć o chorych!
W tym momencie zadzwonił telefon.
Katia odebrała i uśmiech rozkwitł na jej twarzy.
- O, jak miło pana słyszeć! Jak się pan czuje?
Westchnęłam. Nigdy nie uda jej się odpocząć od swoich pacjentów. Nawet w domu nie ma chwili spokoju. Wszędzie ją dorwą. Czy ona kiedykolwiek się zmieni?
Znów beztrosko szczebiocze o podawaniu odpowiedniej dawki hormonów, o tym, kiedy najlepiej przyjmować tyroksynę, o diecie i witaminach.
Naraz Katia zamilkła.
Po kilku minutach powiedziała z przejęciem:
- Panie Olegu Jakowlewiczu, proszę się nie denerwować, to może panu zaszkodzić. A jeśli chodzi o odpowiednią osobę, to przypadkiem taką znam. Kobieta. Zawodowiec. Ile jest pan skłonny zapłacić?
Usłyszałam mamrotanie w słuchawce.
- Proponuję zatem - powiedziała z zadowoleniem - żeby spotkał się pan z panią Eulampią Andriejewną o dwunastej w McDonaldzie obok stacji Twerska. Przedstawi jej pan całą sprawę. Jeśli będzie miała czas i uzna wynagrodzenie za satysfakcjonujące, to się nią zajmie. Tak na marginesie, kiedyś bardzo mi pomogła. Jest naprawdę dobra. Ręczę za nią.
- Z kim mam się spotkać? - zapytałam, kiedy Katia odłożyła słuchawkę obok maselniczki.
- Słuchaj uważnie - była wyraźnie ożywiona. - Znalazłam dla ciebie pracę.
- Dla mnie? - zdumiałam się. - Na głowę upadłaś? Zapomniałaś już, z kim masz do czynienia? Przecież ja nic nie potrafię.
- No, powiedzmy, że świetnie grasz na harfie - zachichotała.
- Tylko mi nie mów, że załatwiłaś mi fuchę w restauracji jako

rozweselacza publiczności. Nie chcę siedzieć przy tabliczce: „Prosimy O wyrozumiałość dla harfistki. Nie strzelać! Stara się jak może. Niestety, wychodzi jak zwykle".
Katia roześmiała się.
- Do baru wyślę cię w ostateczności. Jak będziemy umierać z głodu. Posłuchaj uważnie.
Trzy lata temu Katia operowała Olega Jakowlewicza Pisiemskiego. Mężczyzna trafił do niej w okropnym stanie. Zarówno fizycznym, jaki psychicznym. Jak każdy facet panicznie bał się bólu, a na widok ludzi w białych kitlach dostawał drgawek. Dlatego też, kiedy lekarz, do którego się zgłosił, oznajmił mu, że konieczna będzie operacja, biznesmen wpadł w panikę i zamiast noża wybrał medycynę alternatywną.
Kilku wróżbitów, czarownik, zielarka, specjalista od akupunktury, „chińskiego nakłuwania", hipnotyzer i filipiński uzdrowiciel - wszyscy obiecywali natychmiastowe uzdrowienie, bez zbędnego bólu i ingerencji skalpela. Odprawiano nad nim modły, wymachiwano wachlarzem, kadzono wonnościami, wprowadzano w trans i zdejmowano urok. Wydał na to wszystko sporo pieniędzy, jednak kwestie finansowe go nie obchodziły.
Handlował w Moskwie ropą i obracał nie rublami, a tysiącami rubli. Gorzej, że zdrowie nie poprawiło się ani o jotę. Przeciwnie, Oleg Jakowlewicz przybrał na wadze, a na szyi pojawił się ogromny guz.
Stosunkowo młody mężczyzna stracił cały wigor i osłabł na tyle, że wchodził na pierwsze piętro pół godziny, odpoczywając na każdym schodku. Wreszcie ponownie zwrócił się do lekarza.
Ten wzruszył tylko ramionami i polecił, aby udał się do onkologa.
W poradni starsza pani w nie grzeszącym czystością fartuchu wypisała mu plik skierowań i zawołała do pielęgniarki:
- Lena, zaprowadź tego pana z guzem na krtani na USG!
Pod Olegiem ugięły się nogi. Kolana miał jak z waty i nie mógł zrobić ani kroku.
Ludzie siedzący w poczekalni ze szczerym współczuciem patrzyli na „króla nafty". Wszyscy kiedyś przechodzili przez to samo. Mieli te same obawy, gdy dowiedzieli się, że są chorzy na raka, dlatego teraz szczerze żałowali Pisiemskiego.
Jedna z kobiet w peruce zaproponowała Olegowi tabletki na uspokojenie, inna powiedziała:
- Niech się pan nie boi, nie stawia się pochopnie diagnozy!

- Wie pan co - wtrącił się do rozmowy siedzący obok facet - też miałem takie coś na szyi, i okazało się, że to tylko tarczyca. Ale jak mnie tu nastraszyli! Dobrze, że przyjaciele mi pomogli. Polecili wspaniałego lekarza od tarczycy, Jekaterinę Andriejewnę Romanową. Zoperowała mnie i już nawet nie pamiętam, że kiedyś chorowałem. Od czasu do czasu muszę jedynie pojawić się na kontroli. Ale to tylko dla własnego spokoju. Proszę, niech pan weźmie!
I podał Pisiemskiemu wizytówkę.
Katia wyleczyła nafciarza, a ten stał się jej wiernym i oddanym pacjentem. Stosował się posłusznie do wszystkich jej zaleceń.
Raz w miesiącu przychodził na kontrolę, przyjmował przepisane lekarstwa i radził wszystkim swoim znajomym:
- Koniecznie musicie się przebadać, czynie macie powiększonej tarczycy. To jest najważniejszy organ w całym organizmie. Znam znakomitego lekarza.
Oleg Jakowlewicz bezgranicznie ufa Katii.
I nic w tym dziwnego.
Po dziesięciu dniach leczenia znikły wszystkie objawy choroby: opuchlizna i zadyszka, wrócił zdrowy sen, dobry nastrój, a chory odzyskał nawet potencję.
Pisiemski radzi się Katii we wszystkich sprawach.
Nie tylko co do stosowania leków, ale również odnośnie do zakupu nowych mebli albo specyfiku na katar dla kota.
Katię to bawi, ale zawsze troskliwie udziela mu rad.
Tym razem Oleg miał nie lada problem.
Podejrzewał, że jego młoda, piękna żona, Ksienia, ma kogoś na boku. Nie złapał jej na gorącym uczynku i nie mógł powiedzieć nic konkretnego, jednak odnosił takie wrażenie, zważywszy na sposób jej zachowania. Nie chciał robić szumu wokół sprawy i zwracać się do żadnej agencji detektywistycznej.
Postanowił więc poprosić o pomoc Katię:
- Nie zna pani jakiejś sprytnej kobiety, która mogłaby poobserwować Ksienię?
Ta wspaniałomyślnie poleciła mnie.
- Nigdzie nie pójdę - kategorycznie oznajmiłam. - Dzwoń do tego faceta i odwołaj spotkanie! Natychmiast!
- No coś ty, głupio tak- zaczęła mnie przekonywać. - Przecież już obiecałam.
Też mi harcerka, boi się cofnąć dane słowo.

- Powiedz, że jestem zajęta.
- Dlaczego nie chcesz nawet spróbować? - zapytała, zapalając papierosa.
- O matko jedyna! - machnęłam ręką zniecierpliwiona. - Nigdy nikogo nie śledziłam!
- Też mi wielka filozofia! - prychnęła. - To dla ciebie bułka z masłem. To przecież nie operacja mózgu!
- Nie namówisz mnie!
- Za miesiąc płaci dziesięć tysięcy - wysunęła ostatni argument.
Błyskawicznie dokonałam w głowie niezbędnych obliczeń i powiedziałam przeciągle:
- To prawie czterysta dolarów! Oczywiście chciałabym je otrzymać. Przed Nowym Rokiem przydałby się każdy grosz. Jednak mimo wszystko nie podejmę się tego zadania. To moje ostatnie słowo!
- Dolarów - powiedziała Katia.
- Słucham?
- Dziesięć tysięcy dolarów!
Jak stałam, tak usiadłam.
Dolarów!
- On ma coś z głową?
Wzruszyła ramionami.
- Nie. Znasz ten najnowszy kawał o nowobogackich? Spotyka się dwóch „nowych Ruskich", jeden pyta drugiego: „Wania, za ile kupiłeś ten krawat?"
- „Za trzysta dolarów".
- „Aleś dał się naciągnąć. Za rogiem taki sam sprzedają po pięćset". Rozumiesz? A poza tym dla niego tysiąc dolarów to grosze. Już nie pamiętasz, ile dał mi za operację? Inni pacjenci nie dają więcej niż trzysta, a ten wręczył mi okrągłą sumę i jeszcze zapytał, czy nie za mało. Kiedy zajrzałam do koperty, z wrażenia omal nie dostałam zawału. Myślałam, że to mi się śni. A poza tym dzwonił już do jakiejś agencji detektywistycznej i właśnie taką kwotę zażyczyli sobie za miesiąc pracy.
W milczeniu bawiłam się papierosem „Parlament", wytrząsając z niego tytoń.
- Przestań - powiedziała i zabrała mi marne resztki fajki.
Dziesięć tysięcy dolarów!
Można byłoby kupić nowe auto zamiast kompletnie rozsypującego się żiguli. Przydałaby się też zmywarka do naczyń i pralka „Candy". Albo

machnąć ręką na sprzęt domowy i zabrać Kiriuszkę za granicę do Disneylandu, Julce kupić nowe futro z kanadyjskiego bobra z kołnierzem z rysia, Sierioży - piękny kożuch. Chociaż... może lepiej auto.
Jego ford z 1968 roku jeździ tylko dlatego, że chłopak wszystkie weekendy spędza na grzebaniu w nim. Nie, lepiej kupimy dwa nowe samochody. Dobrej jakości. Krajowej produkcji. Naprawa jest dużo tańsza i drogówka się tak nie czepia, jak do zagranicznych.
Z wrażenia zrobiło mi się gorąco.
- Ej - usłyszałam głos Katii - wróć na ziemię, marzycielko. Jesteś już pewnie w Paryżu?
- Prawie - uśmiechnęłam się. - Zdążyłam w myślach kupić dwa samochody, futro, kożuch i skoczyć do Disneylandu. Szkoda tylko, że nie dostanę tych pieniędzy.
- A to dlaczego?
- Nie uda mi się ich zarobić.
- Posłuchaj mnie - powiedziała z powagą. - Wiesz, jak się ludzie uczą? Z książek. Bierze się podręcznik i czyta. Do tej pory nie wymyślono lepszego sposobu.
- Ale co to ma do rzeczy?
- To, że przeczytałaś miliony kryminałów, więc możesz uważać, że nauczyłaś się zawodu. Poza tym, mi też pomogłaś!
- To była wyjątkowa sytuacja, wtedy trzeba było zmobilizować wszystkie siły.
- Teraz również jest wyjątkowa - zaśmiała się. - Dolary same pchają ci się w ręce. Dość już tego marudzenia, ubieraj się i pędź do McDonalda. Gorzej będzie, jeśli niczego się o tej kobiecie nie dowiesz. Wtedy nie będziemy mogły wziąć pieniędzy. Ale spróbować zawsze warto. Myślę, że będzie z ciebie świetny detektyw: mądry, sprytny, bezlitosny.
Po tych słowach się zaśmiała.
Zostawiłam ją w kuchni, poszłam do sypialni i otworzyłam szafę. Ciekawa jestem, jak mam się ubrać. W czym chodzi prywatny detektyw? Chyba w czymś, co nie rzuca się w oczy, żeby się nie wyróżniać z tłumu.
Naciągnęłam dżinsy i sweter, po czym zaczęłam się zastanawiać nad odpowiednim makijażem, jednak moje rozmyślania przerwał głos Katii:
- Lampa, chodź tu na chwilę!

W kuchni przy lodówce siedział kot w błękitnej obroży.
Nasze psy, przyzwyczajone do kotów, nie zwróciły na niego żadnej uwagi. W przeciwieństwie do Klausa i Semiramidy, którym zjeżyła się sierść na grzbiecie i napuszyły ogony. Zaczęły prychać niezadowolone.
- Skąd się tu wziął? - zdumiała się Katia. - Drzwi są zamknięte, okna też. Może to sprawka Kiriuszki? Przemycił wczoraj po kryjomu.
- Nie, to nie on. To ja.
- Naprawdę? A skąd go wytrzasnęłaś?
Po chwili wahania skłamałam:
- Byłam na spacerze z psami i zobaczyłam go obok śmietnika. Widać, że domowy, zadbany, w obroży.
- Pewnie przecisnął się przez uchylone okno za ptaszkiem -westchnęła, wzięła kota na ręce i dokładnie przejrzała mu sierść, po czym stwierdziła: - Wygląda na to, że nie ma pcheł. Jednak dla pewności go odpchlimy. I trzeba porozwieszać ogłoszenia na osiedlu, bo właściciele już pewnie za nim płaczą. A na razie niech sobie u nas pomieszka. Idziemy, przyjacielu, na dezynsekcję.
Chwyciła kota wpół i poszła do łazienki.
Dolałam sobie kawy.
Pewnie powinnam była powiedzieć prawdę, ale już sobie wyobrażam, jakby na mnie nakrzyczała. Zmusiłaby mnie do pójścia na komisariat i złożenia zeznań. Lepiej na razie zachowam to w tajemnicy.
- Lampka, spójrz tylko! - krzyknęła Katia.
W łazience, w misce z ciepłą wodą z mydłem, najspokojniej w świecie siedział sobie kot. W odróżnieniu od innych kotów, siedzenie w pianie wyraźnie sprawiało mu przyjemność. Mruczał zadowolony, kiedy Katia tarła mu grzbiet i brzuszek. Nawet głowę podstawiał pod strumień i tylko prychał, kiedy woda dostawała mu się do nosa.
- Pierwszy raz widzę coś takiego! - była szczerze zdumiona. - Podaj łapkę.
Kot natychmiast wyciągnął przednią łapę.
- Zobacz! - pisnęła Katia. - Rozumie! Podaj łapę.
Posłusznie wyciągnął drugą.
- Ale numer! - była zachwycona. - Prawdziwy cyrkowiec.
Na zmianę zaczęłyśmy wydawać mu polecenia.
Okazało się, że zna komendy: leżeć, siad i stać.
Najśmieszniej było, gdy poleciłam:
- Daj głos!
Kiciuś otworzył pyszczek, z którego wydobyło się rozpaczliwe

miauczenie.
Na ten odgłos zbiegły się wszystkie zwierzęta i zaczęły obserwować „cyrkowca".
- Świetnie - pochwaliła Katia. - A teraz spokój.
Kot momentalnie ucichł.
- Słuchaj - mamrotała, wycierając naszego nowego futrzaka - a może uciekł z cyrku? Taki okaz jest dużo wart. Chodź, zadzwonimy do teatru do Kukłaczewa. Może to ich popisowy numer?
Zostawiłam ją z kotem, poszłam do przedpokoju, nałożyłam buty i kurtkę, po czym zapytałam:
- A jak rozpoznam tego Pisiemskiego? Opisz mi, jak wygląda.
- Rozpoznasz go bez problemu - uśmiechnęła się. - Takiego giganta w życiu nie widziałaś. Ogromny jak stodoła z ognistorudymi włosami. Na pewno się nie pomylisz.

Rozdział 4

Miała rację.

Oleg Jakowlewicz już z daleka rzucał się w oczy: wielgaśny facet z kręconymi włosami w kolorze wściekłego lisa.

Przed nim na tacy leżały pozostałości po „skromnym" obiadku: kilka opakowań po „Big Macach" i nuggetsach, dwa puste półlitrowe kubki po coca-coli, resztki frytek i nadgryziony strucel jabłkowy. Wygląda na to, że nie przepada za słodyczami.

- Dzień dobry - przywitałam się. - Przysyła mnie Jekaterina Andriejewna Romanowa.

Olbrzym obrzucił spojrzeniem moją „wagę piórkową" i powiedział basem:

- To pani? Pani Eulampia Andriejewna? Naprawdę?

- A co w tym dziwnego?

- Nie -zawahał się - nic. Tak tylko pytam.

Z mojej piersi wyrwało się ciężkie westchnienie.

Rozumiem jego wątpliwości. Zdaję sobie sprawę, jak odbiera mnie otoczenie. Jako kruchą, wątłą, chorowitą kobietę. Pod względem wzrostu zatrzymałam się na metrze sześćdziesiąt. Wagą przypominam wychudzoną owcę. Nie zostałam obdarzona przez Boga jakąś szczególną urodą. Mała twarz, ostry nos, głęboko osadzone, szaroniebieskie oczy, przez co wydają się piwne. Włosy nie chcą się podporządkować ani grzebieniowi, ani szczotce, ani suszarce, dlatego strzygę je dosyć krótko. Ale i tak pojedyncze kosmyki stoją dęba.

Kiriuszka mówi, że jestem podobna do jeżozwierza: tak samo chuda i najeżona. Tylko nogi mam duże, a dokładniej stopy.

Za każdym razem, kiedy kupuję buty, sprzedawcy nie mogą się nadziwić, że takie chucherko nosi dziewiątkę i mimo moich zapewnień przynoszą najpierw rozmiar trzydzieści pięć.

Z tyłu wyglądam na dwunastoletnią dziewczynkę. Jednak na twarzy mam wypisany mój prawdziwy wiek. Niestety, już od dawna nie nastoletni. Jak to się mówi: z tyłu liceum, z przodu muzeum.

Przysiadłam się do stolika i rozkazałam władczym tonem:

- Proszę mi przynieść szklankę wody mineralnej!

Oleg Jakowlewicz posłusznie poszedł do kasy.

- No to słucham - powiedziałam, kiedy wrócił. - Proszę zapoznać mnie z istotą sprawy.

- Tutaj? - zdumiał się.
- A gdzie?
- Może lepiej w samochodzie. Tam jest ciszej i spokojniej.
Wyszliśmy na zewnątrz i wsiedliśmy do wypasionego „okularnika".
W powietrzu czuć było zapach drogiej wody kolońskiej, dobrych papierosów i koniaku z górnej półki. Niegdyś, w poprzednim życiu, też jeździłam takim cackiem. I nawet pachniało podobnie.
Odpędziłam od siebie przykre wspomnienia i zażądałam stanowczo:
- Zamieniam się w słuch. Proszę opowiadać!
- O czym? - zapytał i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.
Nie podobało mi się ani jego zachowanie, ani ton, jakim się do mnie zwracał. Postanowiłam pokazać mu, gdzie jest jego miejsce!
Jeszcze kiedy uczyłam się w konserwatorium, pośród kilkunastu przedmiotów był jeden, który wydawał się całkowicie zbędny. Była to sztuka aktorska. Po co taki przedmiot pianiście, skrzypkowi czy harfistce? Nie wiadomo.
Jednak nasz wykładowca, chudy, z wielkim nosem i niesłychanie wybuchowym temperamentem, Fiodor Jewgieniewicz, był odmiennego zdania.
- Dzieci - mówił na sali wykładowej. - Moje drogie dzieci!
Studenci śmiali się pod nosem, słysząc takie słowa, ale jego to nie peszyło.
Jak gdyby nigdy nic mówił dalej:
- Pomyślcie tylko, dlaczego ten sam muzyk w różny sposób wykonuje swoje utwory? W poniedziałek - wspaniale, a we wtorek -beznadziejnie?
- Natchnienie go opuszcza! - krzyknął ktoś z sali.
- Otóż to - wykładowca podniósł palec do góry. - Trafiłeś w samo sedno. Natchnienie! Albo, jak twierdzą artyści cyrkowi - zapał! Jest zapał i wena - gra się świetnie, nie ma - klapa na całej linii. Ale nie można przecież czekać w nieskończoność na przypływ natchnienia. Grać trzeba codziennie. No i co z tym fantem zrobić?
Milczeliśmy.
- Tu właśnie z pomocą przychodzi nam sztuka aktorska - podrygiwał podniecony. - Stojąc za kulisami, należy się skoncentrować i wyobrazić sobie, że jest się, na przykład, Richterem, i dopiero wtedy wyjść na scenę i zasiąść do fortepianu. Sukces murowany!
Wśród studentów zawrzało.
Po chwili Lonia Kotów, najzdolniejszy na roku, najlepiej

zapowiadający się pianista, krzyknął:
- Ale ja nie chcę naśladować Richtera! Ja chcę być sobą i grać jak Kotów!
- Najpierw naucz się grać jak Richter - rozzłościł się wykładowca - a potem się będziesz popisywać.
Nie było sensu wdawać się w dalsze dyskusje.
Zgodnie z zaleceniami Fiodora podchodziliśmy do fortepianu jak Michaił Pletniew, ujmowaliśmy skrzypce jak Władimir Spiwakow i pojawialiśmy się na scenie jak Maja Plisiecka.
- Mało wiarygodnie! - krzyczał niczym szalony reżyser. - Mało wiarygodnie! Więcej ekspresji! Wyciągnij szyję!
Gorliwie zadzierałam do góry podbródek, kompletnie nie pojmując, jak można wyciągać coś, czego się nie posiada.
Teraz jednak wskazówki Fiodora mogły mi się przydać.
Przybrałam kamienny wyraz twarzy, położyłam swoją małą dłoń na olbrzymiej niczym łopata ręce i ze spokojem powiedziałam:
- Drogi panie Olegu, mój czas jest bardzo cenny. Mam sporo klientów, dlatego, żeby przyjąć pana zlecenie, będę musiała odmówić komuś innemu. Nie będę ukrywać, że nie lubię zajmować się sprawami niewiernych żon. Wolę morderstwa i porwania. Gdyby nie Jekaterina Andriejewna Romanowa, która mnie o to poprosiła, na pewno bym tu nie przyjechała. Proszę więc przedstawić mi swój problem. Z najdrobniejszymi szczegółami, niczego nie pomijając. Nie musi się pan mnie krępować. Proszę mnie traktować jak lekarza albo spowiednika.
Pisiemski milczał.
Ciągle jeszcze się wahał.
- Nie zdołam panu pomóc, jeśli nie dowiem się, o co chodzi.
Westchnął.
- Wie pani, nic konkretnego nie potrafię powiedzieć. Mam jedynie pewne podejrzenia. Dziwne przeczucia. Może sama zada mi pani pytania?
- Ile lat jest pan po ślubie?
- Rok - odparł ze smutkiem.
- A wcześniej był pan już żonaty?
- Tak.
- Co się stało z pierwszą żoną?
- Wyjechała z nowym mężem do Ameryki.
Ciekawa sprawa. To ja mam teraz z niego siłą wyciągać słowo po

słowie? Po co wynajmuje detektywa, jeśli nie chce nic mówić?
- Gdzie poznał pan obecną żonę?
Westchnął ciężko i położył dłonie na kierownicy.
Wreszcie zebrał się w sobie i niespodziewanie oświadczył:
- Dobrze, niech pani posłucha.
Pisiemski do 1988 roku pracował jako wykładowca języka angielskiego w podrzędnym instytucie. Wynagrodzenie miał małe, natomiast obciążenie pracą naukową - ogromne. Doktoratu w końcu i tak nie napisał, co na każdym kroku bezlitośnie wypominała mu żona -Nina Michajłowna.
Ona, w przeciwieństwie do męża, osiągnęła w życiu sukces.
Została doktorem nauk, później profesorem, badała grzyby i w tej dziedzinie uzyskała nieprawdopodobne wyniki.
Charakter miała żelazny. Konsekwentnie dążyła do realizacji postawionych sobie celów.
Codziennie pisała po dziesięć stron i w zawrotnym tempie wydawała książkę za książką: podręczniki, pomoce naukowe i monografie.
Na tle odnoszącej sukcesy i do przesady ambitnej małżonki cichy, flegmatyczny Oleg Jakowlewicz wyglądał bardzo blado.
On, zamiast dbać o swój rozwój, wolał po ciężkim dniu w pracy poleniuchować z gazetą na kanapie.
Żona przez pewien czas usiłowała zmusić go do pisania.
Uroczyście sadzała go przy biurku, zamykała drzwi do gabinetu i syczała na córkę:
- Bądź ciszej, tata pracuje nad pracą doktorską.
Oleg Jakowlewicz ze smutkiem spoglądał na stos dziewiczo czystych kartek, wyjmował zachomikowany kryminał i najspokojniej w świecie pogrążał się w lekturze.
Nie cierpiał samego procesu pisania, ale jeszcze bardziej denerwowała go żona, która jakimś cudem znajdowała sposób, żeby pisać te swoje dzieła dosłownie na rogu kuchennego stołu, w wolnych chwilach, jednocześnie prawą ręką mieszając zupę i lewym okiem sprawdzając zadania domowe dzieci.
Naturalnie Nina Michajłowna zarabiała znacznie więcej od małżonka. Co prawda nie dzieliła pieniędzy na „twoje" i „moje", tylko odkładała wszystkie razem do pudełka po ciastkach, które pełniło w domu funkcję kasy.
Jednak Oleg Jakowlewicz za każdym razem, gdy otwierał „sejf', odczuwał dziwny dyskomfort.

Miał wrażenie, jakby był alfonsem, żigolo, pasożytem utrzymywanym przez żonę.
Na dodatek sama Nina machnęła w końcu ręką na karierę męża i przestała odgrywać przedstawienie pod tytułem „pisanie pracy doktorskiej".
Pieriestrojka zdemokratyzowała naukowy świat Rosji. Wyjazd za granicę nie stanowił już żadnego problemu. Teraz kobieta bez przerwy podróżowała w sprawach służbowych.
A ponieważ była wybitnym mikologiem, nieustannie zapraszano ją na różnego rodzaju sympozja, konferencje i seminaria.
Nie wiadomo, jak potoczyłyby się dalsze losy Olega Jakowlewicza, gdyby jego dosyć bliski znajomy nie zaproponował mu interesu: mieli się zająć sprzedażą samochodów.
Sam wszystko zorganizował: nawiązał kontakt z fabryką, obmyślił sposób transportowania żiguli do Moskwy oraz technicznego przygotowania ich przed sprzedażą.
Do Olega Jakowlewicza należało tylko jedno: zarejestrować firmę na swoje nazwisko i otrzymywać co miesiąc pięć tysięcy. Ogromną, niebagatelną, jak na tamte czasy, sumę.
- Dlaczego nie chcesz wziąć tego na siebie? - zapytał kolegę.
Ten tylko się roześmiał.
- Mam już jedną firmę, a nie można mieć dwóch. Prawo nie pozwala.
Jak wszystkie leniwe osoby Pisiemski marzył o łatwym zarobku, dlatego bez wahania przystał na propozycję. I rzeczywiście, przez trzy miesiące otrzymywał niezłą kasę, jednak już po niedługim czasie przyszło mu słono zapłacić za dziecięcą naiwność.
Znajomy okazał się oszustem. Pobrał od ufnych ludzi zaliczki i zniknął bez śladu. Cała odpowiedzialność spadła na Pisiemskiego. Mężczyzna trafił do więzienia. Umieszczono go w celi z ponad setką innych więźniów. Groził mu poważny wyrok za wyłudzenie pieniędzy.
Jeden ze współwięźniów, słysząc o rodzaju „przestępstwa" popełnionego przez Pisiemskiego, wprost zataczał się ze śmiechu. A strażnik nie mógł nadziwić się jego naiwności.
- Aleś się wpakował! Jak mogłeś tak się dać nabrać? - pytał, częstując go papierosem „Primaja". - Książek nie czytasz, czy co? Wypożycz sobie Ufa i Piętrowa. Pisali o takim właśnie naiwniaku do składania podpisów.
Wezwana na przesłuchanie Nina Michajłowna, odbywająca w tym czasie kolejną podróż służbową za granicą, nie straciła głowy i w mig

załatwiła formalności rozwodowe.
Kochana córeczka również nie chciała mieć nic wspólnego z ojcem-kryminalistą. Nikt z rodziny ani razu nie przyszedł na widzenie i nie przyniósł mu nawet najmniejszej paczki sucharów.
Jednak w apatycznym mężczyźnie nastąpiła nieoczekiwana zmiana. Pan Bóg obdarzył go nieprzeciętną siłą. Wystarczyło kilka złamanych rąk, aby do reszty więźniów dotarło, że lepiej z nim nie zadzierać.
Oleg Jakowlewicz awansował w hierarchii więziennej: otrzymał pryczę bliżej okna i odgrodził się od innych zasłoną.
Którejś nocy obudziły go jakieś dziwne odgłosy, dochodzące z sąsiedniej pryczy.
Wystarczyło jedno szybkie spojrzenie, żeby zrozumieć, co się dzieje: dwaj ze „starej gwardii" postanowili urządzić młodemu „chrzest bojowy".
Pisiemskiemu zrobiło się żal chłopaka. Nastrzelał po łbach prześladowcom i odstąpił mu swoje miejsce. Jak na zasady obowiązujące w więzieniu był to czyn nad wyraz heroiczny.
Przez cały miesiąc, dopóki chłopak nie został zwolniony z aresztu, Oleg go ochraniał.
Następnego dnia po odzyskaniu przez młodego wolności Pisiemski otrzymał wielką paczkę z zagranicznymi papierosami, wędzonym jesiotrem i kawiorem.
Oprócz jedzenia w torbie leżał nowiusieńki dres „Adidasa", markowa bielizna i mydło. Po godzinie przyniesiono telewizor, miskę, wiadro.
A nocą strażnik otworzył celę i cicho oznajmił:
- Pisiemski, idziemy!
Oleg Jakowlewicz był zdezorientowany. Zupełnie nie rozumiał, co się dzieje. Jednak wstał i pokornie poszedł do pokoju przesłuchań.
A tam czekał na niego starszy mężczyzna w garniturze od Hugo Bossa.
Okazało się, iż stała się rzecz niesłychana.
Uratowany przez niego chłopak był synem jednego z najbardziej wpływowych biznesmenów w mieście, który, gdy tylko dowiedział się o całym zaj ściu, uznał Olega za swego i obiecał mu pomoc i wsparcie.
Dalej wszystko potoczyło się jak w bajce.
Więźnia przeniesiono do pięcioosobowej celi.
Nazajutrz pojawił się renomowany adwokat. Rozprawa, wyznaczona na grudzień, odbyła się w sierpniu.
Oleg dostał dwa lata w zawieszeniu.
Na wolności czekało na niego przytulne jednopokojowe mieszkanko

i akt własności stacji benzynowej.
Nieoczekiwanie odkrył w sobie żyłkę do interesów.
Pobyt w więzieniu wyraźnie korzystnie na niego wpłynął. Wynurzył się z odmętów lenistwa i w zawrotnym tempie dorobił się majątku.
Po dwóch latach był właścicielem kilku stacji benzynowych. I wtedy dziwnym trafem ukochana córeczka przypomniała sobie o istnieniu tatusia. Zaczęła go do siebie zapraszać.
Jednak Oleg Jakowlewicz uciął krótko jej zapędy:
- Nie mam dzieci.
Miał wielką ochotę spotkać się z Niną Michajłowną. Podjechać do niej pięknym mercedesem, błysnąć złotym zegarkiem, niedbale zdjąć marynarkę od Lagerfelda.
Niestety, żona zdążyła już ponownie wyjść za mąż za amerykańskiego kolegę i wyjechać do Nowego Jorku.
Przez kilka dobrych lat Pisiemski był kawalerem.
Potem ożenił się z Ksienią Fiediną, studentką Akademii Ekonomicznej imienia Rieznikowa.
Poznali się zupełnie przypadkowo.
Oleg regularnie chodził do tego samego fryzjera - wesołego, gadatliwego Maksima.
Pewnego dnia po kolejnym strzyżeniu wsiadł do samochodu, ruszył
I wtedy zza rogu wyskoczyła szczupła dziewczyna na ogromnych obcasach. Nie rozglądając się na boki, wbiegła na ulicę, przed maskę nadjeżdżającego auta.
Przerażony Oleg gwałtownie zahamował.
Dziewczyna machnęła rękami i runęła przed siebie jak długa, prosto w ogromną kałużę.
Śmiertelnie wystraszony Oleg rzucił się na pomoc.
Dziewczyna wyszła z wypadku bez szwanku.
Dzięki Bogu skończyło się jedynie na lekkim szoku, złamanym obcasie i doszczętnie zniszczonym płaszczu.
Mężczyzna, widząc, że nic się jej niestało, odetchnął z ulgą. Wsadził ją do samochodu i zawiózł do sklepu, gdzie kupili nowe buty i płaszcz. Następnie w ramach przeprosin zabrał ją do restauracji.
Zaczęli się ze sobą spotykać, a po dwóch miesiącach byli już małżeństwem.
Początkowo wszystko układało się znakomicie.
Ksienia jeszcze się uczyła. Całymi dniami przesiadywała w bibliotece.
Olegowi to jednak nie przeszkadzało.

Nie chciał, żeby żona była kurą domową.
Jego zdaniem od gotowania, sprzątania i prania jest służąca. Jeśli kobieta chce się uczyć i zdobyć zawód - proszę bardzo. Tym bardziej że sam w ciągu dnia był bardzo zajęty.
Wieczory natomiast zawsze spędzali razem: chodzili do kina, teatru lub restauracji.
Ksiusza nie należała do rozpieszczonych paniuś. Szczerze cieszyła się z każdego, nawet najmniejszego dowodu uczuć: kwiatów,
cukierków, perfum. Zachwycona wydawała pieniądze na prawo i lewo. Mieszkanie bardzo szybko zamieniło się w wystawę sklepową: dookoła same statuetki, szkatułki, świeczniki i kadzidełka.
Ale jego to nie drażniło, raczej roztkliwiało.
Po raz pierwszy w życiu występował w roli dającego, a nie biorącego. Był z tego powodu niezmiernie szczęśliwy. Czuł się niczym dżin spełniający każde życzenie swojej żony.
Wątpliwości co do szczerej miłości i wierności Ksiuszy zaczęły zakradać się w jego duszę miesiąc temu.
Najpierw rozpoczęły się tajemnicze telefony. Kiedy odbierał Pisiemski, w słuchawce panowała głucha cisza, a jako identyfikacja numeru pojawiały się dziwne znaczki.
Tajemniczy abonent najwyraźniej korzystał z budki telefonicznej.
Ksienia coraz częściej była podenerwowana.
Oleg kilkakrotnie zastał ją z zapuchniętymi oczami.
Żona wykręcała się, jak mogła. Twierdziła, że zmieniła tusz do rzęs
I dostała alergii.
„Król nafty" nie uwierzył i parokrotnie niezapowiedzianie przyjechał do domu w ciągu dnia. Niczego szczególnego nie zaobserwował.
Jedyne, co się zmieniło, to to, że żona, która do tej pory była pilną studentką i nigdy nie opuszczała żadnych zajęć, teraz siedziała w domu.
Zwolniła służącą i sama zabrała się do prowadzenia domu: gotowała zupy, próbowała przyrządzać pierogi, a nawet kupiła mnóstwo książek
O tematyce kulinarnej.
W sumie nie miał nic przeciwko takim zmianom i nie dociekał prawdy. Podejrzewał, że żona boi się obcych, i dlatego pozbyła się pokojówki i kucharki.
Poważnie zaniepokoił się dopiero tydzień temu.
Wieczorem, tuż przed wiadomościami, powiedział:

- Pójdę po kefir.
- Siedź, kochanie - poderwała się z miejsca. - Zaraz ci przyniosę.
Ochoczo pobiegła do kuchni.
Oleg poszedł z nią i zaczął podglądać przez szparę w uchylonych drzwiach.
Wyjęła z lodówki kartonik z kefirem „Bio-Max", następnie wyciągnęła z kieszeni małą buteleczkę, po czym zaczęła w skupieniu wpuszczać do szklanki jakieś kropelki.
Pisiemski zrobił w tył zwrot i pędem rzucił się do salonu, żeby zdążyć przed jej powrotem.
Kiedy otrzymał z rąk uśmiechającej się żony kefir, podziękował i poprosił:
- Kochanie, bardzo cię przepraszam, ale jestem taki wykończony, nie mam siły się już ruszyć, a zapomniałem gazety z samochodu. Mogłabyś skoczyć do garażu i mi ją przynieść?
Ksiusza wzięła klucze i wybiegła z domu.
Pisiemski gwizdnął na psa - rottweilera Karla - i podsunął mu pod nos kubek.
Wszystkożerne zwierzę błyskawicznie wychłeptało kefir i po chwili leżało już na podłodze, wydając z siebie przeraźliwe chrapanie.
Wyglądało na to, że w szklance był silny środek nasenny.
Oleg mógł pokrzyżować żonie plany, jednak postanowił sprawdzić, jakie miała zamiary. Położył się na kanapie i udał, że śpi.
Ta najpierw umyła filiżankę, po czym do kogoś zadzwoniła.
Mówiła tak cicho, że mąż nie zdołał niczego usłyszeć. Następnie się ubrała i wyszła z domu. Wróciła dopiero nad ranem.
Była blada. Miała siniaki pod oczami.
Pisiemski raz jeszcze przeanalizował całą sytuację i dziwne zachowanie żony.
Doszedł do przygnębiającego wniosku: na pewno go zdradza, nie ma innego wytłumaczenia. Chciał mieć pełne rozeznanie w sprawie, najlepiej udokumentowane fotografiami: gdzie, kiedy, z kim, ile razy i w jakiej pozycji.
Jak dla mnie - całkowity bezsens. Czy to nie wszystko jedno, jak się nazywa kochanek? Przecież w końcu rzecz nie w imieniu czy nazwisku!
Następnie przeszliśmy do kwestii finansowych.
Z ogromnym trudem przyszło mi zachowanie kamiennego wyrazu twarzy, kiedy potwierdzał wynagrodzenie w wysokości dziesięciu

tysięcy dolarów.
Zażyczyłam sobie dwóch tysięcy zaliczki i jeszcze jednego na niespodziewane wydatki.
- Oczywiście przedstawię panu rachunki i paragony. Chociaż z pewnością będę zmuszona poruszać się taksówkami, a jak wiadomo, kierowcy nie dają żadnych kwitów, więc może to w znacznym stopniu utrudnić udokumentowanie poniesionych kosztów.
- Ależ droga pani! - machnął ręką. - Nie zajmujmy się takimi drobiazgami!
Wyciągnął elegancki portfel ze skóry węża i w skupieniu zaczął odliczać banknoty. Kiedy wreszcie szeleszczący plik znalazł się w moim ręku, przeżegnałam się w myśli: nie ma już odwrotu, muszę zabrać się do pracy.

Rozdział 5

Następny tydzień minął mi na bezsensownej bieganinie.
Najpierw umówiłam się ze staruszką, z której okien było widać mieszkanie Olega i Ksiuszy.
Za pięćdziesiąt dolarów rencistka pozwoliła mi cały dzień siedzieć przy oknie i nawet poczęstowała mnie herbatą.
Pod wieczór rozbolała mnie głowa.
Oleg Jakowlewicz dostarczył mi fotografię żony, ale przez cały dzień nikt nawet z lekka przypominający szczupłą, ostrzyżoną na krótko brunetkę nie wychodził z klatki.
W starym, stojącym w zacisznej uliczce domu były tylko dwa piętra
I sześć mieszkań. Pod koniec tygodnia znałam już wszystkich mieszkańców: uczennicę, która wychodziła z domu z godną pozazdroszczenia punktualnością - zawsze równo o ósmej i wracała o trzeciej; nianię spacerującą z wózkiem w czasie, gdy mama dziecka odjeżdżała w eleganckim volvo; piękną parę, prowadzącą „artystyczny" tryb życia, no i oczywiście Olega, który pracował od świtu do nocy. Poznałam wszystkich oprócz Ksieni.
Nie wychylała nosa z mieszkania.
Jeden jedyny raz wyszła do najbliższego supermarketu.
Jeśli nawet miała kiedyś kochanka, to przestała się z nim spotykać.
Nocami również nie działo się nic ciekawego.
Trzynastoletni wnuk życzliwej staruszki nie posiadał się z radości, kiedy zaproponowałam mu pięćdziesiąt dolarów za niezmiernie pasjonujące zajęcie: czuwanie przez kilka nocy przy oknie i zapisywanie wszystkich wychodzących z klatki i wchodzących do niej osób. Miał mnie niezwłocznie powiadomić, w razie gdyby na horyzoncie pojawiła się Ksiusza.
Jednak nocne czuwanie nie przyniosło żadnego rezultatu.
Cały blok był pogrążony we śnie. Jedynie młode małżeństwo od czasu do czasu zabawiało się, rozbijając się po mieście wypasionym autem.
Posmutniałam.
Zdawałoby się łatwe zadanie okazało się nie do wykonania.
Na wszelki wypadek zaczęłam skrupulatnie odnotowywać, kto i kiedy opuszcza mieszkanie, żeby w razie, gdyby Oleg Jakowlewicz zażądał sprawozdania, mieć co przedstawić.

„Król nafty” zadzwonił do mnie w czwartek wieczorem i oświadczył, że idzie z żoną do teatru, a potem do restauracji i że planują wrócić do domu około drugiej w nocy.
Poczułam się zwolniona z obowiązku obserwacji domu.
Na wszelki wypadek poleciłam swojemu młodemu pomocnikowi nie spuszczać oczu z klatki, a sama postanowiłam trochę odpocząć.
W mieszkaniu panowała kompletna cisza.
Katia miała dyżur w szpitalu, Sierioża zadzwonił, że będzie nieco później, bo ma jeszcze coś do załatwienia, a Julka pojechała do koleżanki uczyć się do egzaminu.
Tylko biedny Kiriuszka męczył się nad lekcjami.
Co jakiś czas przybiegał do kuchni, robił sobie kanapkę i skarżył się:
- Ta Masza Gałkina to ma szczęście. Jej mama jest nauczycielką matematyki, a ciocia - rosyjskiego. Takiej to dobrze. A w naszej rodzinie same nieprzydatne osoby: lekarze i dziennikarze! Znikąd pomocy! Samemu trzeba się mordować z równaniami.
Około dziesiątej wieczorem zebrał zeszyty i zaczął się przygotowywać do snu. Wsunął się pod kołdrę, sięgnął po książkę Śmierć na strychu i nagle krzyknął:
- Lampka! Katastrofa!
O mało nie dostałam zawału!
Pobiegłam do jego pokoju, myśląc, że stało się coś strasznego.
Zobaczyłam Kiriuszkę gorączkowo przestawiającego książki na półkach.
- Co się stało?
- Makabra- rozpaczał. - Na śmierć zapomniałem. Trzeba przynieść jutro na rusek Na dnie Gorkiego.
- No i w czym problem?
- Zapomniałem skoczyć do biblioteki.
- Myślałby kto, jutro pójdziesz!
Kiriuszka ze zdziwienia wytrzeszczył oczy.
- Ty naprawdę nie rozumiesz? Jutro na pierwszej lekcji książka musi leżeć na ławce. Inaczej zarobię pałę.
- No to - westchnęłam - masz pecha.
Będziesz miał nauczkę na drugi raz.
- Po prostu zapomniałem - jęczał. - Niedługo koniec semestru, a z literatury i bez tego mam koszmarne oceny.
- Jakie?
- Cztery trójе i dwie dwóje.

- Fakt, w takiej sytuacji powinieneś sumienniej wykonywać polecenia nauczyciela.
-Wymyśl coś, Lampeczko! - zaczął błagać. - Jesteś taka mądra, inteligentna, zdolna. Uśmiechnęłam się pod nosem.
A to ci spryciarz!
- No dobrze, niech ci będzie. Zajrzę do sąsiadów, może oni mają.
W naszej klatce jest pięć mieszkań. W dwóch mieszkają młode bezdzietne pary. Natomiast pod „47" mieszka Anna Sieriożajewna z kilkunastoletnim synem. Całkiem miła i dobrze wychowana kobieta. Zawsze grzecznie się kłania, głaszcze nasze psy i nigdy nie ucieka windą, tylko czeka, aż inni wejdą do kabiny. Czasami zagląda do nas wieczorem, żeby zmierzyć ciśnienie.
A kiedy jej syn, trzynastoletni Anton, złamał rękę, Katia odwiozła go na pogotowie.
Dlatego, mimo dość późnej pory, nie miałam żadnych oporów i bez zastanowienia nacisnęłam dzwonek.
Wysunęła się głowa z rozczochranymi włosami.
- Dobry wieczór.
- Witam, witam, pani Eulampio - powiedziała śpiewnym głosem i spojrzała na mnie pytająco.
- Przepraszam, że tak późno, ale mam pilną sprawę - zaczęłam.
- Na gwałt potrzebuję Na dnie.
Po chwili milczenia uśmiechnęła się i odparła:
- Ależ oczywiście. Proszę wejść. Zaraz podam. Niech pani wejdzie do kuchni. Tam jest lodówka.
Nie wiedząc, co tu ma do rzeczy lodówka, posłusznie podreptałam w stronę niewielkiej kuchni i opadłam na taboret.
Anna Sieriożajewna otworzyła pachnącą świeżością „Ariston", wyjęła butelkę wódki i mi ją podała.
- Proszę bardzo.
Całkowicie skołowana wymamrotałam:
- Potrzebuję Na dnie.
- Ale tu więcej nie ma. Akurat na dnie zostało - co najwyżej pięćdziesiąt gram - uśmiechnęła się. - Jeśli nie wystarczy, to otworzę nową. Ale przecież sama pani prosiła - na dnie.
Dobrą chwilę nie mogłam wykrztusić z siebie słowa.
Po jakimś czasie, dławiąc się ze śmiechu, wyjaśniłam:
- Potrzebna mi książka Gorkiego Na dnie. Kiriusza musi wziąć jutro do szkoły! Sąsiadka omal nie spadła ze stołka.

Mój śmiech okazał się zaraźliwy.
Na szczęście miała w domu nie tylko dobrze zaopatrzoną lodówkę, ale i porządną biblioteczkę.
Już po chwili trzymałam upragnioną zdobycz.
Zaniosłam ją Kiriuszce, po czym położyłam się na kanapie przed telewizorem z zamiarem spędzenia, tam reszty wieczoru.
Niestety, nie dane mi było długo odpoczywać.
Nie minęło pięć minut, kiedy zadzwonił telefon.
- Proszę przyjść. Niezwłocznie - usłyszałam w słuchawce głos Olega Jakowlewicza.
- Gdzie?
- Do mnie - rzucił krótko i się rozłączył.
Zdziwiona spojrzałam na zegarek - za piętnaście jedenasta.
Ciekawe, co tam się stało? Podejrzana sprawa. Przecież umawialiśmy się, że póki co nie będę się pokazywać jego żonie na oczy, a teraz woła mnie do domu.
Pisiemski natychmiast otworzył drzwi.
Weszłam do przestronnego przedpokoju.
Od razu rzucało się w oczy, że właściciel dopiero od niedawna jest „przy kasie".
Dlatego na każdym kroku chce zademonstrować swoje bogactwo. A może wystrój wnętrza był robiony pod gust Ksiuszy?
Z sufitu zwisał potworny kryształowy żyrandol z elementami z brązu.
Coś podobnego znajduje się w Sali Kolumnowej i tam wygląda całkiem nieźle. Natomiast w zwykłym mieszkaniu przytłacza swoim rozmiarem.
Na całej podłodze, począwszy od drzwi wejściowych, rozciągnięty był biały włochaty dywan. Z powątpiewaniem zerknęłam na swoje buty.
- Gdzie trzyma pan kapcie?
Gospodarz najwyraźniej miał gdzieś porządek i czyste podłogi, gdyż zamiast odpowiedzieć, dosłownie wyszarpnął mnie z kurtki i polecił:.
- Niech pani wejdzie do gabinetu.
Nie mam pojęcia, jak można funkcjonować w takim pomieszczeniu.
I do tego jeszcze pracować!
Na wszystkich ścianach porozwieszano tandetne obrazy. Nie zauważyłam żadnego naprawdę cennego płótna.
Najprawdopodobniej kupowano je pod wpływem chwili, na zasadzie „kupię, bo mi się podoba".
Wśród nich znajdowały się: pięć ohydnych pejzaży, podobnych do

tych z pocztówek, dwie martwe natury i trzy płótna przedstawiające szczenięta i kociaki.
Na podłodze leżał biały dywan, a do ścian przy twierdzono regały na książki. Wśród licznych tomów zauważyłam zbiory utworów A. Dumasa, W. Pikula, L. Tołstoja i M. Reida.
Widocznie Pisiemski, który dorastał w czasach komunistycznych i wychował się na tych dziełach, miał do nich słabość.
Na gigantycznym, nieprzyzwoicie drogim biurku stał nowy komputer.
Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, porozstawiane były błyskotki i świecidełka: brązowe zapalniczki, popielniczki, globusy, siusiający chłopcy, porcelanowe baletnice i pozłacane figurki psów.
- Proszę - podał mi jakieś dwie zwinięte kartki.
Rozłożyłam pierwszą.
„Kochany, kocham cię z całego serca i nie byłam wstanie wyrządzić ci takiej podłości. Nie szukaj mnie. To nie ma sensu. Załatw
formalności rozwodowe i żyj szczęśliwie. Beze mnie. Chcę cię tylko ostrzec: bądź ostrożny wobec pięknych młodych dziewczyn, z którymi będziesz się spotykał. Są bardzo sprytne i najczęściej po prostu chcą wykorzystać zamożnych facetów.
Wybacz mi.
Żegnaj.
Bardzo cię kocham.
Ksiusza".
Kolejna kartka była pozwem rozwodowym.
- Co to? - zdziwiłam się.
- To, co widać - wzruszył ramionami.
- Gdzie pan to znalazł?
Pisiemski z nerwów zapalił papierosa, po czym odparł:
- W teatrze.
- W jakim teatrze?
- Poszliśmy dzisiaj do MChAT-u* - zaczął tłumaczyć. - Na premierę. Znakomite przedstawienie, tylko bardzo przygnębiające.
Podczas antraktu zeszli do bufetu, zjedli kilka kanapek, wypili szampana. Potem zadźwięczał dzwonek i Ksiusza powiedziała:
- Weź moją torebkę i idź na salę, a ja jeszcze skoczę do toalety.

*MChAT - Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny im. M. Gorkiego, założony w 1898 r. przez Władimira Niemirowicza-Danczenkę i Konstantego Stanisławskiego(przyp.tłum.).

Oleg Jakowlewicz wziął wyszywany koralikami woreczek i poszedł zająć miejsce. Światło zgasło. Rozpoczęła się druga odsłona.
Mijały minuty, a żona się nie pojawiała.
Pomyślał, że spóźniła się na początek i babki stojące przy wejściu już jej nie wpuściły.
Bileterki w tym teatrze są nadgorliwe w wypełnianiu swoich obowiązków.
Stwierdził, że pewnie czeka na niego w bufecie.
Chciał nawet wstać i wyjść, jednak zrezygnował z tego pomysłu. Głupio mu było podnosić z miejsc dziesięć osób na oczach odgrywających tragedię artystów. Jego wyjście nie pozostałoby niezauważone, gdyż zajmował centralne miejsce w drugim rzędzie.
Gdy tylko opadła kurtyna, wyszedł do holu.
Niestety, nie znalazł Ksiuszy ani w bufecie, ani w foyer, ani przy garderobie.
Zniknęła bez śladu.
Zajrzał nawet do damskiej toalety.
Nic.
Jakby wyparowała.
Najdziwniejsze było, że wyszła bez wierzchniego okrycia.
Wspaniałe futerko z norek najspokojniej w świecie wisiało na wieszaku, a żeton leżał w kieszeni Olega.
Mocno zaniepokojony poczekał, aż widzowie opuszczą teatr i w te pędy pobiegł do dyrektora.
Dano ogłoszenie do radia, dokładnie przeszukano budynek, zajrzano wszędzie, nawet na nową scenę.
Ksiusza przepadła jak kamień w wodę.
Wyszła na dwór, na potworny mróz, w grudniową noc, w aksamitnej sukience z gołymi plecami i w eleganckich czółenkach na dziesięciocentymetrowych obcasach. Do tego bez pieniędzy i dokumentów.
Oleg pobiegł czym prędzej do domu.
Cały czas miał nadzieję, że zastanie tam swoją ukochaną.
Może po prostu strzeliła focha: spóźniła się na początek drugiej części, nie wpuszczono jej do sali, wnerwiła się i odjechała taksówką.
O tym, że Zaułek Kamergierski, przy którym mieści się teatr, został zmieniony w deptaki do taksówki trzeba było iść aż na Twerską, Pisiemski starał się nie myśleć.
W spowitym ciemnością mieszkaniu panowała cisza.

Zawoławszy kilka razy: „Ksieniuszko, jesteś?" - rzucił torebkę, która pod wpływem uderzenia o podłogę otworzyła się i wypadł z niej list i pozew.
- Trzeba z tym pójść na milicję - westchnęłam.
Oleg Jakowlewicz zmrużył ze złością oczy i powiedział cicho, ale dobitnie:
- Co to, to nie! Po moim trupie! Nie chcę mieć nic do czynienia z gliniarzami. To są wstrętne, podłe typy. Nawet nie przyjmą zgłoszenia o zaginięciu.
- Dlaczego?
Chrząknął zdenerwowany.
- Te dranie nie zhańbią się pracą. Nie lubią kłopotów. Rzucą okiem na list i stwierdzą, że Ksiusza nie zaginęła, tylko odeszła ode mnie do innego i że nie zajmują się szukaniem niewiernych żon. Sam muszę sobie poradzić.
W duchu przyznałam mu rację.
- Dlaczego pan sądzi, że Ksiusza jest teraz u kochanka?
Nafciarz krzyknął zdumiony:
- A u kogo? Nie ma innej możliwości. Czekał na nią pod teatrem i pojechali do niego. Teraz się pewnie jeszcze ze mnie śmieją.
Ze złości zgrzytnął zębami.
Delikatnie odłożyłam kartki na biurko i z westchnieniem powiedziałam:
- Jutro zwrócę zaliczkę.
- Nie mamowy - zrobił posępną minę. - Podjęła się pani zadania, to proszę je wykonać do końca. Niech pani poszuka Ksieni.
- Po co? - zdumiałam się. - Chciał pan mieć jasny obraz sytuacji i go pan ma. Kochanek istnieje i pańska żona się do niego przeprowadziła. Niech się pan jak najszybciej rozwiedzie i o wszystkim zapomni.
- Nic z tego - Oleg Jakowlewicz zrobił się purpurowy na twarzy. -Proszę zabierać się do pracy. Chcę wiedzieć o tym szczęściarzu wszystko: imię, nazwisko, adres.
- Ale po co to panu? - nadal nie mogłam go zrozumieć.
- A co pani do tego? - zacietrzewił się. - Może chcę się upewnić, że moja ukochana trafiła w dobre ręce.
Westchnęłam zrezygnowana, po czym rzekłam:
- No dobrze. Niech mi pan pokaże jej pokój.
Poprowadził mnie po ciągnącym się bez końca korytarzu i wskazał ręką troje drzwi:

- Tu jest buduar, łazienka i sypialnia.
Przystąpiłam do oglądania pomieszczeń.
Mieszkanie podzielone zostało na dwie części: damską i męską.
Po stronie zajmowanej przez Ksiuszę mieściła się łazienka, cała obstawiona kosmetykami.
Obok ogromnego różowego jacuzzi z mosiężnymi kurkami, na niewielkiej półeczce ujrzałam pękatą butelkę „Armagnaca".
- Ksiusza piła?
- A nie, broń Boże! Dolewała dowody, kiedy spłukiwała głowę. Podobno to bardzo dobrze wpływa na włosy. Po koniaku robią się lśniące. Akurat! Bujać to my, a nie nas!
W szafkach piętrzyły się stosy słoiczków, flakoników i tubek. Dookoła unosił się delikatny aromat.
Wciągnęłam powietrze.
No, no, „Chanel", stara dobra klasyka.
Teraz staruszka „Coco" nie jest już, jak kiedyś, na topie.
Młodzież woli „Kenzo", „Escadę" i inne tego typu zapachy. Niestety, nie zawsze dobrej jakości.
Ale Ksiusza miała dobry gust i nie goniła za modą.
Buduar przypominał pokój nastolatki, która w żaden sposób nie chce rozstać się z dzieciństwem.
Wszędzie - na kanapie, fotelach i komodach - leżały pluszowe zabawki: pieski, kotki i słoniki.
Wystrój wnętrza stwarzał atmosferę domku dla lalek.
Poczułam się, jakbym znalazła się w królestwie Barbie.
Koronkowe różowe firanki, dywan w kolorze prosiaka, meble, obite jaskrawoczerwonym aksamitem i całe mnóstwo pozłacanych posążków, przedstawiających pseudogreckich bogów i boginie.
Ogólnie - tandeta.
Zewsząd sterczały aromatyzowane świeczki. Aż mnie zemdliło od ostrego zapachu, którym przesiąknięte było powietrze.
Oleg Jakowlewicz natomiast wyraźnie upajał się zarówno widokiem, jak i aromatem.
Po chwili milczenia powiedział ze smutkiem:
- Myszka tak lubiła ten pokój. Sama go urządzała, upiększała.
Z buduaru drzwi prowadziły bezpośrednio do skromnie urządzonej sypialni małżonków.
Z mebli stało tu jedynie szerokie łóżko z rzeźbioną dębową ramą i dwie szafki nocne.

Nakrycie w kolorze zachodzącego słońca upstrzone było kokardkami.
U wezgłowia leżały poduszki ubrane w specjalne powłoczki.
Lewą stronę najprawdopodobniej zajmował Oleg, ponieważ na szafce stał flakonik z lekiem nasercowym, leżały okulary i stos kryminałów Nieznańskiego.
Z lewej strony na identycznej szafce zobaczyłam czasopismo „Cosmopolitan" i pilot od telewizora.
Ogromnych rozmiarów philips stał z lewej strony. Obok było wideo, a pod nim pełno kaset. Przede wszystkim komedie, melodramaty i porno.
Żadnej szafy, komody, ani nawet lustra.
- Gdzie trzyma ubrania?
- W szafie.
Wyszliśmy na korytarz i Oleg pchnął małe drzwiczki.
Omal nie padłam z wrażenia.
Niemal dziesięciometrowa szafa pękała w szwach.
Od ściany do ściany ciągnęły się rzędy półek i wieszaków.
Suknie, garsonki, spódnice, spodnie, płaszcze, kożuszki, kożuchy, futra. Butami umieszczonymi na specjalnych stojakach można byłoby handlować!
Obok stała komoda po brzegi wypchana bielizną i raj stopami.
Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu biustonosze i majtki okazały się bardzo skromne, a zarazem eleganckie. Żadnych koronek, wstążeczek czy kokardek. Nie było ani seksownych body, ani podwiązek, ani pończoch.
Jedynie znakomita bielizna niemieckiej firmy „Triumph".
Takie noszą przyzwoite sołtysowe.
Czysta bawełna, całkowicie zakrywająca intymne miejsca, bez zbędnych dodatków.
Dziwny dobór bielizny jak na dziewczynę, która wyszła za mąż za mężczyznę dwa razy od siebie starszego.
Prostota i elegancja pasowały raczej do Pisiemskiego, a nie do jego żony.
- Gdzie przechowuje biżuterię?
Wróciliśmy do gabinetu.
Otworzył niewielki sejf, ukryty za koszmarnym obrazem z jeleniem z wielką mordą.
- Tutaj - westchnął Pisiemski, wyjmując „złote skarby".
Ostrożnie przejrzałam rzeczy.

Znajdowały się tam głównie drogie pierścionki z brylantami i szmaragdami. „Wynalazek” - jak pogardliwie nazywają podobne rzeczy prawdziwi jubilerzy.
Nic nie przyciągnęło mojej uwagi. Drogie, pozbawione smaku cacka. Raczej inwestycja, a nie ozdoba.
- Czy coś ze sobą zabrała?
- Nie - zaprzeczył. - Zostawiła nawet obrączkę.
- Naprawdę? - zdziwiłam się.
- O, tam leży - skinął w kierunku szerokiej złotej obrączki z mnóstwem drobnych diamentów.
- I nie zastanowił pana fakt, że żona, strojąc się do teatru, nie założyła żadnej biżuterii?
- Nie - wymamrotał zdradzony mąż. - Bo niby dlaczego miałby zastanowić? Miała na sobie wieczorową suknię od Judaszkina: z wysokim kołnierzem i prawie gołymi plecami. Nie pasuje do niej żaden łańcuszek, wisiorek ani naszyjnik. Zwłaszcza że z przodu jest ozdobiona haftem ze sztrasami.
Tak, to wszystko tłumaczy.
- A kolczyki, pierścionki albo bransoletki?
- Bransoletek wcale nie nosiła. Kojarzyły jej się z kajdankami. Odnośnie do kolczyków, to nie jestem pewien. Nie zauważyłem. Włosy zasłaniają jej uszy. A co do pierścionków. Jeszcze wczoraj skarżyła się na ból w stawach. Wciąż powtarzała: „Już się chyba starzeję. Łapie mnie jakieś zapalenie”. Dlatego pozdejmowała wszystkie pierścionki. Mówiła, że od razu jej lepiej i nie bolą jej już tak bardzo palce.
Westchnęłam.
Wygląda na to, że narwana dziewczyna faktycznie odeszła goła i wesoła.
- No dobrze, niech mi pan da numery telefonów do jej rodziców i najbliższych przyjaciółek.
- Nie znam - powiedział.
- Słucham? - byłam doszczętnie skołowana. - Ksiusza nie jest rodowitą moskwianką - zaczął się bezsensownie tłumaczyć. - Rodzice nie żyją. Ale chyba ma jakąś ciotkę w okolicach Moskwy. Zaraz się zorientuję.
Poszperał w papierach i oznajmił:
- Zgadza się. Jej ciocia, Raisa Konstantinowna Fiedina, mieszka w Sielichowie, na ulicy Kosmonautów 9. Niestety, nie ma telefonu.

- W takim razie proszę podać numery koleżanek.
- Ksiusza nie miała koleżanek.
Młodziutka dziewczyna nie miała żadnych koleżanek?
Totalna bzdura.
Studentka, mieszkająca przed ślubem w akademiku, nie latała na dyskoteki i wieczorne imprezy? Całe dnie spędzała na wykładach, a wieczorami przesiadywała w bibliotece?
Aż pewnego pięknego dnia wpadła pod koła cudownego mercedesa, wyszła za mąż, po czym znalazła sobie kochanka i uciekła od bogatego męża?
Coś mi tu nie gra.

Rozdział 6

Nazajutrz z samego rana, gdy tylko wyprawiłam wszystkich domowników do szkoły i pracy, pojechałam na Akademię Ekonomiczną.
Swoją drogą nazywanie wszystkich wyższych uczelni akademiami albo uniwersytetami jest dużym nadużyciem. Większość z nich nie zasługuje nawet na miano instytutu.
Katedrami zarządzają zwykli doktorzy, o nauce języka obcego można zapomnieć, a przedmioty opisowe prowadzą leciwe damy, które nieustannie tracą wątek.
Akademia Ekonomiczna, w której uczyła się Ksiusza, należała właśnie do takich podrzędnych uczelni.
Brudne, obdrapane ściany, ciasne sale wykładowe z połamanymi meblami i wiekowi wykładowcy w kusych marynarkach.
Ciekawe, co podkusiło Ksiuszę, żeby składać tu podanie?
Chociaż, jeśli logicznie pomyśleć, to pewnie przyczyna tkwi w jej ocenach w szkole średniej. Mogę się założyć, że na świadectwie maturalnym miała same trójе. Wątpię, żeby w szkole w tym Sielichowie był wysoki poziom. W takim przypadku nie miało sensu pchanie się z kiepską wiedzą na Państwowy Uniwersytet Moskiewski.
Tam trzeba mieć taką średnią, że ho-ho!
Nawet ze świadectwem z czerwonym paskiem nie każdy przejdzie przez sito na konkursie.
A do tej przez Boga zapomnianej „akademii" pewnie przyjmowano wszystkich jak leci.
Pchnęłam zachlapane drzwi z napisem „Sekretariat" i znalazłam się w przestronnym pomieszczeniu, całym zastawionym żółtymi szafami.
Przy oknie za biurkiem siedziała kobieta owinięta w chustkę.
Piła herbatę.
Pewnie w taki sposób usiłowała się rozgrzać.
Nic dziwnego, że siedziała w ciepełku i rozkoszowała się aromatycznym płynem.
Dzisiaj na dworze było okropnie zimno. Przenikliwy północny wiatr nie oszczędzał twarzy. Smagał je niczym batem.
Mimowolnie wciągnęłam ohydny zapach: brzoskwiniowy „Pickwick".

Jak ludziom nie szkoda żołądków?
- Pani do mnie? - życzliwie zapytała, odstawiając parującą filiżankę.
Przytaknęłam skinieniem głowy.
- Uczy się tutaj moja siostrzenica, Ksienia Fiedina. Przyjechałam do niej w odwiedziny. Poszłam do akademika i jej koleżanki przysłały mnie tutaj. Mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie ją mogę znaleźć?
Kobieta zamyśliła się.
- Fiedina, Fiedina. A z jakiego wydziału?
- Nie wiem.
- A na którym roku?
- Chyba na drugim.
Dama niechętnie wstała zza stołu i zaczęła przetrząsać papiery w szafie, od czasu do czasu kichając i kaszląc.
„Pewnie ma alergię na kurz" - pomyślałam.
Co jakiś czas do sekretariatu zaglądali studenci i próbowali coś powiedzieć:
- Proszę pani.
- Nie teraz, później. Nie widzisz, że jestem zajęta? - odpowiadała.
Wreszcie palcami z resztkami lakieru na paznokciach złapała cienką teczkę i z triumfem oznajmiła:
- Znalazłam. Ksienia Fiedina została usunięta z uczelni półtora roku temu.
- Za co? - zdumiałam się.
Rozłożyła bezradnie ręce.
- Jak zwykle. Uległa pokusom wielkiego miasta. To teraz na porządku dziennym. Napije się pani herbaty?
Nie znoszę napojów aromatyzowanych, jednak przy herbatce rozmowa zawsze nabiera bardziej poufałego charakteru.
Wykrzyknęłam więc z entuzjazmem:
- Z przyjemnością. Uwielbiam „Pickwicka"!
Wyciągnęła ze swojej filiżanki mokrą torebkę i wrzuciła ją do dużego kubka z napisem „Nescafe", po czym zalała wrzątkiem.
Straciłam resztki humoru.
Nie dość, że będę musiała przełknąć obrzydliwą herbatę, to na dodatek jeszcze lurowatą.
- U nas uczy się głównie młodzież z prowincji - zaczęła tłumaczyć, zakończywszy „ceremonię parzenia herbaty" - a dokładniej dziewczyny spod Moskwy. Na pierwszym roku są ciche i spokojne jak trusie. Siedzą w ławkach ze skromnie spuszczonymi oczami i

warkoczykami do ramion. Ale nim dojdą do zimowej sesji, przechodzą diametralne przeobrażenie. Kuse spódniczki do połowy tyłka, na twarzy barwy wojenne, zamiast warkoczyków - trwała ondulacja. Im już nie do nauki. Rozrywek się zachciewa. No bo, prawdę mówiąc, co one w swoim życiu widziały? Rodzice alkoholicy, toaleta na podwórzu, na polu ryczy nie wydojona krowa. Straciwszy głowę dla uciech wielkiego miasta, bez opamiętania rzucają się w wir zabawy. Akademia to nie szkoła. Zadań domowych i obecności w dzienniku nikt codziennie nie sprawdza. Wagaruj sobie, ile dusza zapragnie. Większość tak właśnie robi, dniami i nocami włóczą się po dyskotekach i klubach. Kubeł zimnej wody spada, na nie dopiero podczas sesji. Kilka dwój przywołuje je do rozsądku. Zaczynają wkuwać na pamięć formułki z ekonomii i podejmują kolejną próbę zdania egzaminów, a tym samym zaliczenia zaległej sesji. Niektórym udaje się ta sztuka, jednak na roku zawsze znajdzie się kilka dziewczyn, którym powinie się noga. Takim niestraszna ani sesja, ani wyrzucenie z uczelni. Żyją chwilą. Ksiusza Fiedina zaliczała się właśnie do takich.
W sesji zimowej na pierwszym roku nie zdała egzaminu.
Najpierw po prostu pogrożono jej palcem, potem w czasie letniej zawaliła jeszcze dwa i następnej zimy znów miała poprawki. Cierpliwość dziekana się wreszcie skończyła i skreślił ją z listy studentów.
- Proszę powiedzieć swojej siostrzenicy - zasugerowała - że nasz rektor, Siergiej Pietrowicz, jest bardzo ludzki i wręcz nieprzyzwoicie dobry. Najpierw podejmuje decyzję o wyrzuceniu studenta, a potem przeżywa i przyjmuje go z powrotem. I nawet zalicza mu poprzedni rok. Niech Ksienia wróci, nadrobi zaległości i dalej się uczy. Myślę, że już zmądrzała.
Westchnęłam.
- Ksiusza jest narwana. Chadza własnymi ścieżkami. Nikogo z rodziny nie poinformowała, że została wyrzucona. Nawet nie mam pojęcia, gdzie teraz mieszka!
- Niech pani pójdzie do dziewczyn z jej grupy - poradziła kobieta. -Wszystko o sobie wiedzą. Jeśli się pani pośpieszy, zastanie je na drugim piętrze. Grupa 8g. Sala 34.
Podziękowałam za herbatę i miłe przyjęcie, po czym pobiegłam na górę po wyszczerbionych schodkach.
Sala była już zamknięta.

Na korytarzu ani żywej duszy.
Gdzieś w oddali usłyszałam wesołe trajkotanie.
Podążyłam w kierunku dochodzących odgłosów.
Przeszłam cały korytarz i wreszcie na jego końcu zobaczyłam drzwi, prowadzące na inne schody, na których stało kilka dziewczyn.
Paliły papierosy. Na mój widok zapadła cisza.
Usiłowały schować za plecami żarzące się „parlamenty".
Żeby nie wystraszyć ich na dobre, powiedziałam szybko:
- Dzień dobry, szukam Fiedinej.
- Ksiuszy? - zapytała ładniutka brunetka w niemożliwie krótkiej i wąskiej czerwonej miniówce.
- Tak.
Dziewczyna wydęła pogardliwie śliczne usta i odparła:
- Wyleciała.
- Wiem, ale nie wróciła do domu. Nie wiecie przypadkiem, gdzie się może podziewać?
- A po co chce pani to wiedzieć? - zapytała podejrzanie drobna, podobna do schorowanego królika, studentka.
- Wysłała swoją fotografię do telewizji, do „Mosfilmu"*. Do bazy statystów. Spodobała się Nikicie Siergiejewiczowi. Chce ją zaprosić na zdjęcia.
- Wow! Super! - krzyknęły wszystkie na raz.
Brunetka z żalem powiedziała:
- Niezbyt się lubiłyśmy.
- To prawda - potwierdził „królik". - Trzymała się z Wiką Popową. Szeptały sobie po kątach. Miały swoje sekrety. O wszystkich plotkowały. Wika jest bogata i pewnie Ksienia myślała, że coś zyska na tej znajomości.
- A Popowa mieszka w akademiku?
- Nie - uśmiechnęła się brunetka - tatulek wynajmuje jej mieszkanie. Pani całą gębą. Szczęściara.
- Znacie adres?
Pokręciły głowami.
- Bogacze mają swoją klikę - wyjaśnił „królik". - Za wysokie progi na

**Mosfilm - jedna z największych w Europie, a największa w Rosji wytwórnia filmowa. Założona zostaław Moskwie w 1920 r. Zrealizowano w niej większość najgłośniejszych radzieckich filmów (przyp.tłum.)*

nasze nogi.
Zaśmiały się głośno.
- To Ksienia też jest zamożna?
- A gdzie tam. Wiejska biedota - wtrąciła się do rozmowy ruda w okularach. - Jak my wszystkie.
- To jakim cudem przeniknęła w krąg bogatych? - zdziwiłam się.
- Ktoś przecież musi nosić Wice torbę i prać jej majtki -odpowiedziała złośliwie brunetka. - Ksiucha robiła za służącą.
- Okropność - podsumował „królik". - Nie można było na to patrzeć. Wika tylko paluszkiem kiwnie, a Ksiucha pędzi na złamanie karku.
- I co za to miała?
- Jakieś marne bluzeczki - prychnęła pogardliwie ruda.
- Kiedyś Wika wyrzuciła doszczętnie wytarte futerko z koziołka, a ta głupia nazajutrz pojawiła się w nim na zajęciach - „królik" był wyraźnie zniesmaczony zachowaniem koleżanki.
- Mnie by było wstyd.
Przecież wszyscy doskonale wiedzieli, skąd jej się dostał ten nowy łaszek.
Pewnie mogłyby tak długo i namiętnie plotkować, postanowiłam więc przerwać ich zjadliwe wywody:
- Czy jest ktoś, kto może mi dać jakiś namiar na Wikę?
- Chyba Anton - bąknęła niepewnie milcząca do tej pory pryszczata dziewczyna.
- Tak, Anton - ożywiła się brunetka. - Kręcili ze sobą. Niech pani pójdzie na pierwsze piętro do biblioteki i się go zapyta.
- Myślicie, że go tam znajdę?
Dziewczyny roześmiały się, po czym ruda rzuciła z sarkazmem:
- A gdzie jeszcze miałby być, ten nasz geniusz. Może być pani pewna, że go tam znajdzie.
Ruszyłam w stronę schodów, jednak po chwili się zatrzymałam.
- A jak go rozpoznam? Powiedzcie chociaż, jak ma na nazwisko.
Moja prośba ponownie wywołała wśród dziewczyn wybuch śmiechu.
Gdy byłam w ich wieku, też wszystko wydawało mi się zabawne.
- Nikogo poza nim tam nie ma. Siedzi w czytelni - ruda śmiała się całą gębą.
- Co za idiotyzm, żeby ślęczeć w piątek nad pracą dyplomową!
- Marzy mu się wyróżnienie - chrząknął „królik".
- Chłonie wiedzę - zarżała brunetka.

- Jaka szkoda! Przystojniak i mól książkowy!
Odprowadzana głupimi docinkami pod adresem Antona, zeszłam piętro niżej.
Przez chwilę błąkałam się po ciemnym i niezbyt czystym korytarzu, aż wreszcie odnalazłam odpowiednie drzwi i weszłam do biblioteki.
Miały rację.
Przestronne pomieszczenie, zastawione regałami i biurkami, świeciło pustką.
Studenci nie rwali się do pogłębiania wiedzy.
Rozejrzałam się dokładniej po sali i w końcu spostrzegłam ciemnowłosego chłopaka.
Siedział przy oknie obłożony grubymi tomiskami i gorączkowo bazgrał coś w zeszycie.
- Przepraszam bardzo, czy pan Anton? - zapytałam, podchodząc bliżej.
Młodzieniec drgnął, odłożył tani plastikowy długopis, spojrzał na mnie, po czym odpowiedział:
- Tak.
Plotkary miały jednak rację.
Chłopak był piękny niczym grecki Bóg.
Duże, skośne, ciemnopiwne oczy, wystające kości policzkowe, prosty nos, brwi i usta jak malowane.
Taki zarys brwi twórcy epoki Odrodzenia nazywali „łukiem Amora".
Kasztanowe włosy poskręcane w duże loki. Delikatne smukłe dłonie z długimi palcami zdradzały artystyczną naturę.
Mogę się założyć, że w dzieciństwie chodził do szkoły muzycznej.
- Podałby mi pan adres Wiki Popowej?
- A dlaczego miałbym to zrobić? - odpowiedział pytaniem na pytanie, po czym wstał.
Figurę również miał nieziemską: metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, barczysty, muskularny, z wąską talią. Niejedna modelka by mu pozazdrościła.
Ponownie opowiedziałam historię o zdjęciach na planie filmowymi zapytałam:
- Czyżby adres Popowej był owiany tajemnicą państwową?
Chłopak uśmiechnął się.
- Nie, tylko ona nie chce, żeby cały instytut ją nachodził. Tu się taki element uczy. Wszędzie chcą się wkręcić na krzywy ryj. Ale pani oczywiście podam: ulica Samsonowska 18/6.

- Ksiusza Fiedina z nią mieszka?
Przystojniak wzruszył ramionami.
- Nie wiem. Ksiucha mało mnie obchodzi.
Jego lakoniczne odpowiedzi zaczęły mnie już powoli irytować.
- A czy ja pytam o pana zainteresowania? Chcę się tylko dowiedzieć, czy razem mieszkają?
W głosie Antona wyraźnie słychać było niepewność:
- Teraz to nie wiem. Byłem z Wiką, ale szybko zaczęliśmy się sprzeczać. Różnica charakterów. Kiedy jeszcze byliśmy razem, Ksienia pracowała u niej jako gosposia: sprzątała, prała, gotowała.
- Płaciła jej?
- Pieniędzmi nie. Dawała ciuchy, kosmetyki, żywiła, papierosy podsuwała. Parę razy pożyczała jej pieniądze, ale nie mam zielonego pojęcia, czy Ksienia je oddała, czy nie. Zresztą, szczerze mówiąc, jakoś nigdy mnie to nie interesowało. A pani dlaczego o to pyta?
- Pan Michałkow stawia wysokie wymagania odnośnie do charakteru i cech osobowości aktorów - kłamałam jak z nut. - Zanim zaprosi nową osobę na plan, zbiera o niej wszelkie możliwe informacje.
- Aha - powiedział przeciągle Anton. - Rozumiem. A ja, głupi, myślałem, że na planie każdy z każdym, no, wie pani. Niech pani jedzie do Wiki. Wszystkiego się pani od niej dowie. Zna Ksienię na wylot.
Skinęłam głową na pożegnanie i podążyłam w stronę drzwi.
W progu jeszcze się odwróciłam i zobaczyłam, że Anton najspokojniej w świecie wrócił do swoich książek i konspektów.
Nic go nie ruszało. Poza nauką.
Ulica Samsonowska znajdowała się bardzo blisko szkoły. Raptem dwa przystanki trolejbusem.
Blok numer osiemnaście wyglądał dostojnie, wręcz bogato. Przestronna klatka wyścielona była wykładziną. W środku siedziała uśmiechnięta dozorczyni.
W windzie pachniało dobrymi papierosami.
Zastałam Wikę w domu.
Wczorajszy wieczór musiał być mocno zakrapiany.
Leżała na kanapie i wyraźnie cierpiała z powodu bólu głowy i mdłości.
- Pani do mnie? - wycedziła przez zęby, mrużąc oczy.
- Tak - odpowiedziałam krótko.
- Ciekawe po co - z miejsca się zaperzyła. - Jeśli się nie mylę, nie znamy się!

Kątem oka zauważyłam na stole w dużym pokoju stertę brudnych naczyń i rząd prawie całkowicie opróżnionych butelek.
- Rzeczywiście, nie miałyśmy jeszcze przyjemności się poznać -powiedziałam łagodnie. - Tylko pani sąsiedzi z góry poskarżyli się wczoraj do spółdzielni mieszkaniowej, że odbywa się tu jakaś głośna impreza, jest straszny hałas i nie da się spać. A ponieważ pani to mieszkanie wynajmuje przyszłam zorientować się w sytuacji.
Wika spuściła z tonu:
- Ludzie to naprawdę są jacyś dziwni. To było pierwszy raz, gdy było tu trochę głośniej i od razu wielkie pretensje. Miałam wczoraj urodziny, dlatego zabalowaliśmy.
- Wszystkiego najlepszego - powiedziałam, wchodząc do pokoju.
Sądząc po stratach, przegalopował przez niego cały szwadron huzarski.
- I w sumie niezbyt długo siedzieli - wzruszyła ramionami Wika. Zaczęli się rozchodzić około wpół do dwunastej.
- Zgodnie z prawem cisza nocna obowiązuje od jedenastej.
- Żeby robić wielkie halo o głupie pół godziny? - oburzyła się bezczelna dziewczyna. - A poza tym mogli zapukać albo zadzwonić, no nie? Wczoraj nikomu nie przeszkadzało i nikt nie interweniował, dopiero dzisiaj panią przysłali!
- Proszę pani - rozpoczęłam cicho - mają zamiar nałożyć na panią karę, ale spróbuję załatwić to jakoś polubownie, tylko że...
- Ile? - zapytała rzeczowo, biorąc portmonetkę. - Zapłacę pani z góry, tylko niech pani zatuszuje sprawę.
- Nie potrzeba żadnych pieniędzy. Lepiej niech mi pani powie, gdzie mogłabym znaleźć Ksienię Fiediną?
- Ksiuchę? - zdumiała się Wika. - To pani nie jest ze spółdzielni?
W mig zrozumiałam, że podałam się za nieodpowiednią osobę. Postanowiłam wybrnąć z sytuacji:
- No. niezupełnie.
- Aha, więc to tak - powiedziała z triumfem w głosie. - Wiedziałam, że z Ksiuchy jest niezłe ziółko. Pani jest z milicji? Pewnie ta kretynka wpadła za kradzież!
- Dlaczego ma pani o niej takie zdanie? - zapytałam ostrożnie.
Wika była najwyraźniej rozpieszczoną, głupkowatą panienką. W jej dużych żabich oczach zapłonęły niemalże piekielne ogniki, a pulchne usta pogardliwie się wydęły.
Pluła jadem:.

- Niech się pani nie zgrywa. Po co tak kręcić. Mnie pani nie oszuka. Na kilometr wyczuwam milicję.
- Naprawdę? - udałam zaskoczenie.
- No pewnie - prychnęła. - Ze mną może pani rozmawiać otwarcie. Wie pani, kim jest moja matka?
- Kim? - zapytałam zgodnie z jej oczekiwaniem.
- Prokuratorem generalnym okręgu kałabińskiego - uśmiechnęła się i popatrzyła na mnie z wyższością.
- To całkowicie zmienia postać rzeczy - powiedziałam z powagą. -Pozwoli pani, że się przedstawię: major Romanowa z Pietrowki. Gdzie możemy porozmawiać?
- Chodźmy do kuchni - gospodyni wstała i ruszyła w stronę drzwi.
Niewielka kuchnia była czysta i dokładnie wysprzątana.
Wika wyciągnęła z szafki puszkę drogiej „Cap Colombie", włączyła czajnik „Tefala", i dobitnie powiedziała:
- Wiedziałam, że kiedyś coś odwali. Co się stało?
Rozłożyłam ręce.
- Trwają czynności dochodzeniowo-śledcze, więc sama pani rozumie, że obowiązuje mnie tajemnica służbowa.
- Jasne, przecież nie jestem głupia - odparła.
- Ale skoro pani mama jest prokuratorem - powiedziałam przymilnie
- w drodze wyjątku wyjawię pani, o co chodzi. Ksienia Fiedina jest poszukiwana przez milicję. Podejrzewa się ją o dokonanie przestępstwa.
Zadowolona, że dla niej złamano prawo, nie dała mi dokończyć:
- A to złodziejka!
- Organa ochrony prawnej będą niezmiernie wdzięczne, jeśli poda pani adres i w ogólnych zarysach nakreśli jej portret psychologiczny.
- Zaraz pani wszystko o tej łajdaczce opowiem - Wika wyraźnie się ożywiła. - Proszę posłuchać!

Rozdział 7

Wika miała farta od samego urodzenia. Na świat przyszła w zamożnej rodzinie.
Tata był dyrektorem jednej z największych moskiewskich fabryk, mama zaś - prokuratorem rejonowym.
Posiadali ogromny dwupiętrowy dom ze wszystkimi wygodami, dwa samochody i gosposię. Nie mieli żadnych kłopotów finansowych. W takich oto warunkach upływało jej dzieciństwo.
Nieliczni dorośli, mieszkający w tym samym miasteczku co rodzina Popowów, pracowali w fabryce u jej ojca.
Śmiało można stwierdzić, że Jurij Pietrowicz był dla mieszkańców Kałabina niemal Bogiem.
Miał nad nimi wręcz nieograniczoną władzę: nagradzał, karał, przyjmował do pracy lub wyrzucał na bruk.
Mała Wika nie rozumiała, dlaczego wszyscy się do niej uśmiechają -w szkole początkowo miała znakomite wyniki.
Nauczycielki stawiały jej czwórki, podczas gdy innym dzieciom obniżały oceny. Robiły tak ponieważ ich mężowie szli rano do pracy do fabryki Popowa.
Przed ukończeniem piątej klasy Wika zorientowała się, w czym rzecz, i zaczęła to bezwzględnie wykorzystywać.
W klasie nie była lubiana - chodziła na skargę do nauczycieli o każdą bzdurę.
Wszystkie kontrowersyjne spory rozstrzygane były na jej korzyść.
Jednak mimo lojalności grona pedagogicznego, nauka szła jej coraz gorzej. W ostatniej klasie w dzienniczku z góry na dół widniały same trójе.
Jurij Pietrowicz miał nie lada dylemat.
Wypadało, żeby córka dyrektora fabryki otrzymała wyższe wykształcenie, ale w Kałabinie nie było żadnych uczelni.
Pozostawało j edno wyj ście.
Trzeba było poszukać odpowiedniego instytutu w Moskwie i uruchomić swoje znajomości.
Musiała to być jakaś niezbyt prestiżowa uczelnia, gdyż na Państwowy

Uniwersytet Moskiewski ze swoim poziomem wiedzy się nie nadawała.
Oczywiście można było sypnąć kasą, pociągnąć za odpowiednie sznurki i wcisnąć tam latorośl, jednak nie sztuką jest załatwienie wstępu na uczelnię bez egzaminów, trzeba się tam jeszcze przez pięć lat utrzymać.
Dlatego wybór padł na Akademię Ekonomiczną.
Piękna nazwa, a stawiane wymagania tak niskie, że nawet Wika im sprosta. Z egzaminami wstępnymi nie było najmniejszego problemu. Na płatne studia przyjmowano wszystkich bez wyjątku.
Na pierwszym roku Wika ze smutkiem stwierdziła, że nie jest już tak popularna jak kiedyś.
W Kałabinie na wszystkich imprezach, które zaszczycała swoją obecnością, zawsze znajdowała się w centrum uwagi. Chłopcy porzucali swoje dziewczyny i biegli do niej na złamanie karku. Wszyscy ją adorowali.
Dorośli sadzali w centralnej części stołu, żeby miała bliżej do popisowej potrawy gospodyni: pierogów albo chłodnika.
W Moskwie było zupełnie inaczej.
Grupa studentów stopniowo podzieliła się na biednych i bogatych. Tych ostatnich było znacznie mniej.
Wika została przyjęta do kręgu wybrańców, jednak nie grała pierwszych skrzypiec.
Palma pierwszeństwa należała do Róży Głotowej, której ojciec pracował w ONZ.
Tuż za nią dumnie kroczyła Żenia Pierieswietowa z rodzicami -wybitnymi ginekologami, Natalia Riabkina z mamą powieściopisarką, Katia Koczyna - córka piosenkarza.
Słowem, prokurator rejonowy i dyrektor fabryki mieli w tym środowisku dość niskie notowania.
Poza tym inne studentki były o wiele lepiej sytuowane od Wiki.
Róża zamiatała podłogi futrem z norek, Żenia paradowała w brylantach, a Katia i Natalia jeździły własnymi samochodami.
Każda z nich posiadała telefon komórkowy i pager.
Krótko mówiąc, Wika czuła się pośród nich jak Kopciuszek.
Znalazła się w zupełnie nowej sytuacji i odczuwała z tego tytułu ogromny dyskomfort.
Pewnego dnia dziewczyna po prostu nie wytrzymała, pojechała do domu i urządziła rodzicom potworną awanturę.

Tata po chwili zastanowienia przyznał jej rację. Jego ukochana córeczka nie powinna nikomu zazdrościć.
Jeszcze przed końcem roku Wika dostała przepiękne futro, komórkę i nowiutką niwę w kolorze bakłażana.
Jednak mimo wszystko to nie było to.
Futro uszyto z wiewiórek, niwa wyraźnie przegrywała z volkswagenem, a komórka została podłączona do taniej sieci i trzeba było wybierać numery przez „ósemkę".
Nie udało jej się więc ani zadziwić bogatych koleżanek, ani tym bardziej przedrzeć się do pierwszej trójki.
Wprawdzie zawsze zapraszano ją na imprezy, ale musiała udawać zmęczenie, siedząc w fotelu, ponieważ nieliczni miejscowi chłopcy zwracali na nią uwagę tylko wtedy, gdy „podstawowy skład" odmawiał tańca.
Na złość wszystkim nawiązała bliższą znajomość z Ksiuszą Fiediną.
Cichej, nieśmiałej dziewczynie, która nie wyrosła w cieplarnianych warunkach, Wika wydawała się niesłychanie bogata.
Mama Ksiuszy całe życie pracowała na roli. W domu tłoczyła się gromada braci.
O ojcu Ksiusza nieśmiało przebąkiwała, że niby służył jako kapitan na statku wojskowym i zginął podczas wykonywania szczególnie niebezpiecznego zadania.
Jednak nikt w to nie wierzył.
Pozostałe studentki podśmiewały się po kątach.
Kapitan! A jakże! Było o nim głośno!
Od najmłodszych lat wszystko musiała robić sama: rąbać drewno, dźwigać ciężkie wiadra z wodą, mieszać karmę dla świń, kopać ogród i sadzić ziemniaki.
Oprócz zręcznych, pracowitych rąk Pan Bóg obdarzył ją również inteligencją i doskonałą pamięcią.
Dziewczyna świetnie się uczyła. Wszystko chwytała w lot: algebrę, geometrię, angielski. Ze wszystkich przedmiotów miała same piątki.
Po skończeniu ósmej klasy całe grono pedagogiczne przyszło do jej mamy, Raisy Pietrowny, prosić, aby pozwoliła jej kontynuować naukę i zdobyć wyższe wykształcenie.
Zmęczona i sterana życiem Raisa tylko wzruszyła ramionami.
- A guzik mnie to obchodzi. Jak jej się chce zrywać z łóżka o szóstej rano, żeby zdążyć na autobus, to niech się zrywa. Byleby prosiaki były nakarmione!

Ksiusza bardzo chciała wyuczyć się jakiegoś szanowanego zawodu: zostać lekarzem, nauczycielem albo księgowym i siedzieć cały dzień w ciepłym pomieszczeniu. A nie tak jak jej mama, przerzucać łopatą nawóz na zimnie.
Wstawała więc skoro świt i biegła do autobusu. Zajęcia w szkole rozpoczynały się zawsze o ósmej. Ludzie na wsi chcieli mieć dłuższy dzień. A trzeba było jeszcze spory kawał dojechać.
Wszystkie trzy klasy Ksiusza ukończyła z najlepszymi ocenami.
Pięknego czerwcowego dnia w jej kieszeni znalazło się świadectwo i złoty medal jako wyróżnienie za bardzo dobre wyniki w nauce.
Wyposażona w taki bagaż Ksiusza pojechała na podbój Moskwy.
Uciekła późnym wieczorem, kiedy matka położyła się spać. Wcześniej zdążyły się jeszcze pokłócić. Raisa Pietrowna kategorycznie zabroniła córce wyjeżdżać do stolicy.
Gdzie człowiek się urodził, tam powinien umrzeć mama powołała się na znaną mądrość ludową.
- Po kiego czorta ci ta Moskwa? U nas w mieście wojewódzkim też jest dobra szkoła. Weterynaryjna.
Ale Ksienia nie chciała być weterynarzem i biegać upaprana po łokcie przy chorych krowach. Jej się marzyła świetlana przyszłość i praca w czystych warunkach.
Po przyjeździe do stolicy kupiła w kiosku informator dla kandydatów na wyższe uczelnie.
Plechanowkę* i wydział ekonomii na Państwowym Uniwersytecie Moskiewskim odrzuciła z miejsca. Nie wierzyła w swoje siły. Natomiast na drugorzędną uczelnię dostała się bez najmniejszego problemu. Egzamin z matematyki zdała śpiewająco.
Rozpoczęła się nauka. Zdawanie egzaminów przychodziło jej z łatwością. Gorzej było pod względem finansowym. Chodziła głodna.
W domu jadało się niewyszukane, ale syte potrawy: kapuśniak, ziemniaki. Mięsa, mleka i masła było zawsze pod dostatkiem. W ogrodzie rosły warzywa. W sierpniu dojrzewały jabłka. W kurniku gdakały nioski i można było sobie upichcić jajecznicę z cebulką na słoninie. Z pełnym brzuchem dobrze się spało.
A teraz w Moskwie żyło się zupełnie inaczej. Wszystko było przeraźliwie drogie.

**Plechanowka - Rosyjska Akademia Ekonomiczna im. G.W. Plechanowa w Moskwie. (przyp.tłum.).*

Początkowo stypendium wystarczało jej zaledwie na pięć dni. Była załamana.
Mleko, którego do te pory nie uważała nawet za jedzenie, kosztowało majątek. Jajka - jeszcze więcej. Na masło, twaróg i kiełbasę nie było jej stać, a zakup nowych, nawet najtańszych rajstop powodował taką dziurę w budżecie, że trzeba by ją było łatać co najmniej ze dwa lata.
Ksienia zrobiła sobie zapasy kaszy i gotowała ją na samej wodzie.
Z głodu kręciło jej się w głowie. Wycieńczenie spowodowało spadek odporności i dlatego była wiecznie przeziębiona.
Podczas sesji zimowej oblała egzamin.
W styczniu podeszła do niej koleżanka z roku, jedna z bogatych studentek, Wika Popowa, i niby to od niechcenia rzuciła:
- Chcesz zarobić?
Ksiusza popatrzyła na nią z nadzieją w oczach.
- Bardzo.
- To umyj mi samochód.
Przyzwyczajona do pracy fizycznej, w mgnieniu oka wykonała zadanie i tym samym zarobiła dwadzieścia rubli.
W ten oto sposób stała się służącą Wiki: sprzątała jej mieszkanie, prała, przygotowywała posiłki, biegała do sklepów i pisała za nią referaty.
W maju Wika poleciła jej iść za siebie na praktykę.
- Ale ja też mam w tym samym czasie - zaoponowała Ksiusza.
- Coś wymyślisz -ucięła Wika.
- Naprawdę nie mogę - pokręciła głową Fiedina.
- Sto dolarów - rzuciła Popowa.
Ksiusza się zawahała.
Mama już dawno wybaczyła córce ucieczkę i teraz często pisała listy z prośbą o wsparcie materialne, więc, jadąc do domu, dziewczyna zawsze przywoziła prezenty.
Potrzebowała pieniędzy, dlatego po chwili wahania zgodziła się zastąpić koleżankę.
Pomyślnie odbyła praktykę w banku, gdzie otrzymała najlepsze opinie.
Wika zdała sesję na trójki, a Ksiusza zaczęła mieć poważne kłopoty: nie zaliczyła praktyki i przez to nie została dopuszczona do egzaminów.
- „Wciąż śpiewałaś?
Doskonale!

Idźże i potańcuj sobie”* - opiekun roku zacytował bajkę Kryłowa. -Będziesz miała nauczkę na przyszłość.
I Ksiusza została skreślona z listy studentów.
Jakiś miesiąc mieszkała u Wiki. Usługiwała jej na każdym kroku. Podawała kawę do łóżka. Chodziła na zakupy.
W listopadzie Popowa wyjechała do rodziców, korzystając z kilku wolnych dni, i przykazała „gosposi” zrobić generalne porządki. Ta jednak nie wykonała polecenia.
Po powrocie Wika zastała brudne, zapuszczone mieszkanie. Kipiała ze złości, stawiając w przedpokoju torbę podróżną. Wszędzie było pełno kurzu. W całym mieszkaniu panował zaduch. W kuchni na stole stała napoczęta butelka podrabianego francuskiego koniaku, otwarta puszka szprotek i spleśniałe kawałki sera. Wszystko wskazywało na to, że służąca miała gości.
Pieniąc się ze złości, Wika wparowała do sypialni i omal nie zaczęła tupać nogami.
Wszystkie ubrania były wyrzucone z szafy na podłogę.
Na górze leżało otwarte pudełko po wafelkach, w którym trzymała pieniądze. Zniknęły bez śladu, podobnie jak dwa złote łańcuszki,pierścionek z brylantem oraz kolczyki z szafirami. W łazience brakowało kosmetyków i flakoniku francuskich perfum.
Oburzona Wika zadzwoniła do rodziców.
Ci, o dziwo, przyjęli tę wiadomość z całkowitym spokojem.
- Ile pieniędzy zginęło? - zapytał ojciec.
- Pięćset dolarów - odpowiedziała z płaczem. - Zaraz to zgłoszę na milicję.
- Ani mi się waż! - powstrzymał ją. - Z powodu kilku groszy nie warto szarpać sobie nerwów. Zaczną się przesłuchania. Od razu będą się czepiać, że jesteś zameldowana w akademiku, a wynajmujesz mieszkanie. Zapomnij o tym, córeczko. Pieniądze dostaniesz w środę. Będę miał okazję, żeby przyjechać do Moskwy.
- A jednocześnie będziesz miała nauczkę - dodała podsłuchująca w drugiej słuchawce matka. - Nie należy wpuszczać do mieszkania obdartusów i biedaków. Powinnaś się przyjaźnić z ludźmi na odpowiednim poziomie. Pamiętaj, nikomu o tym nie wspominaj, bo wezmą cię za głupią naiwniarę.

**Fragment bajki I. Kryłowa pt. Konik polny i mrówka w przekładzie Stanisława Komara (przyp.tłum.)*

Z bólem serca Wika zgodziła się zachować incydent w tajemnicy i nie zawiadomiła o nim nawet dziekanatu.
- Kiedy to miało miejsce? - zadałam pytanie. - Półtora roku temu -odpowiedziała, poczym również zapytała: - Skoro ją teraz złapaliście na złodziejstwie, to mogę już zgłosić tamtą kradzież?
- Raczej nie - ostudziłam jej mściwe zapędy.
Westchnęła rozdrażniona.
- Czyli nie zna pani aktualnego adresu Fiedinej? - kontynuowałam.
- Nie.
- A dokąd się przeniosła po tym, jak opuściła pani mieszkanie?
- A cholera wie - palnęła bez namysłu. - Pewnie pod most. Albo wróciła do matki do domu.
- A gdzie mieszka jej matka?
- Chwila - Wika zaczęła kartkować pękaty notes - gdzieś tu był. Mam, proszę zapisać: Raisa Pietrowna, osiedle Sielichowo, ulica Matrosowa 12.
Drogę powrotną pokonałam wprawie pustym wagonie, miarowo kołysząc się w takt ruchu pociągu.
Zdążyłam przed godzinami szczytu.
W metrze, póki co, nie było jeszcze rozdrażnionego, zmęczonego pracą tłumu.
W głowie tłoczyło mi się milion różnych myśli. Coś mi się w tym wszystkim nie podobało.
Dziwna dziewczyna z tej Ksiuszy! Gdzie się podziewała przez kilka miesięcy przed spotkaniem z przyszłym mężem? Przecież musiała gdzieś nocować, jeść i pracować. Pięćset dolarów to niezła suma. Poza tym mogła upłynnić łańcuszki i pierścionek. Jednak to nie wystarczy, żeby się utrzymać w Moskwie. Życie w stolicy jest kosztowne. Chyba żeby przerzucić się na sam kefir. Nie, pewnie wróciła do domu. W każdym razie muszę wziąć pod uwagę i taką ewentualność. A poza tym brzmi to nawet dość logicznie. Skoro kiedyś po dokonaniu kradzieży zaszyła się w domu rodzinnym, to teraz pewnie po ucieczce od męża też tam jest.
Tylko po co miałaby odchodzić od bogatego męża, który był na każde jej zawołanie i spełniał każdą jej zachciankę? Może znalazła sobie bogatszego kochanka? Jeśli tak, to z pewnością jest u niego.
Dziwna sprawa.
Pisiemski też mówił o Sielichowie, ale podał inną ulicę -Kosmonautów.

Westchnęłam i spróbowałam zebrać do kupy skłębione myśli.
No dobrze, jutro przypuszczę atak na to Sielichowo. A teraz nie będę sobie zawracać tym wszystkim głowy. Lepiej pomyślmy, co zrobić na kolację. Kurczaka czy wieprzowinę?
Kiriuszka uwielbia drób, natomiast Julia przepada za kotletami z chrupiącą skórką.
Analizując w myślach różne warianty jedzenia, wyszłam na dwór.
Kupiłam u wygadanej Ukrainki mandarynki i niespodziewanie pomyślałam:
Ciekawe, dlaczego dziewczyna z prowincji nie lubi nosić bransoletek?
W głowie od razu wyłoniła się postać Olega Jakowlewicza, a zaraz potem rozległ się jego zmęczony głos: „Bransoletek wcale nie nosiła. Kojarzyły jej się z kajdankami".
Hmm.
Spędziła część swojego życia za kratkami, czy co?

Rozdział 8

Do domu wpadłam jak zwykle obwieszona pakunkami.
Domowy zwierzyniec zamerdał ogonami i zaczął popukiwać nosami w torby.
Obecnie do naszego stadka dołączył jeszcze tresowany kot zmarłej Swietłany Łomakinej.
Nie chciałam opowiadać dzieciom o nocnym wydarzeniu.
Kiriuszka poobklejał całą dzielnicę ogłoszeniami: „Znaleziono niezwykle mądrego tresowanego kota, który uwielbia kąpiel. Na szyi ma obrożę z medalionem".
Trochę minął się z prawdą.
Obrożę jakimś cudem udało nam się zgubić tuż po pojawieniu się kociaka.
Katia zdjęła ją, żeby się nie zamoczyła w wannie i błękitny pasek jakby się zapadł pod ziemię.
- Niezręczna sytuacja - wzdychała. - Co powiemy, jeśli odnajdą się właściciele? Gdzie się podziała obroża? To była droga rzecz. Szeroka, chyba ze skóry, a do tego złoty medalion. Przynajmniej na taki wyglądał.
- Ale wymyśliłaś! Od razu tam złoty - uśmiechnęła się sceptycznie Julka. - Kto by powiesił kotu złoto na szyi?
- Oj, nie byłbym taki pewny - wtrącił Sierioża. - Wiesz, jacy nienormalni potrafią być ludzie na punkcie swoich milusińskich. A może ci też należą do takich? Przyjdą po Morisa i zażądają: oddawać nam tu obrożę z platyną i brylantami! I co wtedy zrobimy?
- Jak go nazwałeś? - zdziwiła się Katia.
- Moris - powtórzył.
- A skąd ci przyszło do głowy, że tak się właśnie wabi?
- Wczoraj wziąłem słownik imion - wyjaśnił - i zacząłem czytać na głos. Po kolei jak leci. Sami zobaczcie.
Usiadł obok kota i z przejęciem zapytał:
- Jak się wabisz? Mruczek? Rydz? Leopold? Teodor? Anton? A może Moris?
Kot gwałtownie przekręcił głowę i wydał z siebie cichutkie miauknięcie:

- Miau.
-Widzieliście?
- Moris! - zawołałam.
Kot wstał, podszedł do moich stóp, usiadł na kapciach i odpowiedział:
- Miau.
- Ja cię kręcę - wymamrotała Julka. - Może on w ogóle wszystko rozumie? Moris, chcesz jeść?
Zachowując pełen wdzięk i gracje, futrzak ruszył w stronę lodówki. Oparł przednie łapki o drzwiczki i wyczekująco spojrzał na Julkę.
- Miau - wydobyło się z jego piersi.
- Aż ciarki przechodzą - wzdrygnęła się dziewczyna, wyjmując drobno pokrojoną wołowinę. - A co, jeśli jest kosmitą? Wysłańcem z innej planety?
- Albo chłopcem zaczarowanym przez złą wiedźmę - zaczął fantazjować Kiriuszka.
- Chłopcy są głupsi - zauważył zgryźliwie Sierioża. - A ten to już podchodzi pod profesora.
- Zaraz ci przyłożę! - wrzasnął młodszy brat.
- Spróbuj tylko - uśmiechnął się starszy.
Kiriuszka z krzykiem przyskoczył do brata.
Ten w jednej chwili wykręcił mu ręce do tyłu i tak skrępowanego pociągnął w stronę łazienki.
- Mamo! - krzyknął Kiriuszka. - Powiedz mu coś!
- Nie mieszaj w to mamy - powiedział Sierioża, puszczając wodę pod prysznicem. - Żadna mama ci nie pomoże. Tylko kubeł zimnej wody będzie w stanie ostudzić gorączkę.
Rozległ się plusk, a zaraz potem dziki wrzask.
Sierioża wyskoczył z łazienki i pomknął do sypialni.
Po chwili, z indiańskim okrzykiem, popędził za nim doszczętnie mokry Kirył, wymachując szczotką na długim kiju i wrzeszcząc jak opętany: Już ja ci pokażę!
Dopadłszy do drzwi, zaczął się do nich dobijać.
Wtem Sierioża otworzył, a Kiriuszka stracił równowagę i wpadł do środka.
- No, zobaczymy, komu się oberwie - rzekł starszy i natychmiast do naszych uszu dobiegł odgłos siarczystych klapsów.
W chwilę później zaskrzypiało łóżko i zaczęły się przesuwać fotele.
- Oni zaraz połamią wszystkie meble - westchnęłam.
- Grunt to się nie wtrącać - powiedziała Katia. - Sami muszą to

rozwiązać.
W kuchni wesoło gwizdał czajnik. Telewizor buczał, podając ostatnie nowiny. Katia i Julia prowadziły głośną rozmowę, planując, jak najlepiej spędzić weekend. W sypialni panował sajgon. Meble fruwały w powietrzu, słychać było, jakby rozbijały się o ściany i sufit. Psy szczekały, biegając w tę i z powrotem po przedpokoju. Koty pochowały się po kątach.
Tylko Moris siedział potulnie na parapecie, okiem filozofa obserwując straszliwy raban.
Pogłaskałam go po dużej głowie.
Natychmiast spojrzał na mnie tymi swoimi tajemniczymi żółtozielonymi oczami i westchnął. Zupełnie jak człowiek.
Czułam, że zaraz padnę ze zmęczenia i zasnę na podłodze.
Zrezygnowałam z jedzenia kolacji, poszłam do siebie i opadłam na kanapę. Momentalnie zjawiły się przy mnie mopsy i zaczęły się ostro kłócić, kto zajmie najwygodniejsze miejsce przy moim podbródku.
W ferworze walki Mula kilkakrotnie siadała mi z impetem grubym tyłkiem na twarzy, a Ada wierciła się na poduszce, bezlitośnie drapiąc wszystko dookoła.
Z wielkim trudem udało mi się zrzucić je na podłogę.
Zamknęłam oczy.
Zasypiając, poczułam w nogach dziwne poruszenie: to mopsy, zobaczywszy, że pani drzemie, znów zaczęły walczyć o terytorium.
Nie ma chyba nic gorszego, niż zrywanie się z łóżka w dzień wolny od pracy o szóstej rano.
Jednak nie było innego wyjścia. Sielichowo mieściło się na końcu świata. Albo jeszcze dalej.
Najpierw trzeba było jechać pociągiem dwie godziny do Kołomny, potem Bóg wie ile tłuc się podmiejskim autobusem do niejakiego Romaszyna, i wreszcie przejść spory kawał na piechotę albo złapać jakąś okazję.
W pociągu panował przeraźliwy ziąb.
Nie zdążyłam jeszcze na dobre rozłożyć dopiero co zakupionego czasopisma „Świat kryminału”, kiedy nad moją głową rozległ się donośny głos:
- Szanowni pasażerowie, proponujemy państwu zakup zapalniczek firmy „Ronson”. Jest to produkt wysokiej jakości. Niesłychanie wygodna w użyciu. Pięknie wykończona. Po przeróbce wentyla może być wielokrotnie napełniana. Oferujemy ją w bardzo korzystnej cenie.

o wiele niższej niż w innych punktach sprzedaży.
Odwróciłam się w stronę, z której dochodził głos.
Szczupły, wysoki chłopak z przepitą twarzą trzymał nad głową tandetną czarną zapalniczkę z białym napisem „Ronson".
Nikt nie zwracał na niego uwagi. Pasażerowie drzemali z nosami utkwionymi w kołnierzach.
Sprzedawcy nie śpieszyło się z odejściem. Z nadzieją obserwował potencjalnych klientów. Jednak nikt nie miał zamiaru nabywać „krzesiwa".
Zrobiło mi się żal biedaka.
Otworzyłam portmonetkę.
Po zniknięciu chłopaka zdążyłam tylko stwierdzić, że po kilkakrotnym pstryknięciu zapalniczka przestała działać, kiedy nad uchem rozległ się kolejny głos.
Tym razem kobiecy.
- Szanowni pasażerowie.
Teraz z kolei proponowano różne różności: zestaw krawiecki, ceraty, grzałki elektryczne i ohydne chińskie flamastry.
Handlowała tym badziewiem kobieta w bliżej nieokreślonym wieku i z bezgranicznym smutkiem w oczach. Obok stał chłopak w dziewczęcych butach. Miał jasnoblond włosy. Był w podobnym wieku, co Kiriuszka.
Jednak, jak widać na załączonym obrazku, zamiast chodzić do szkoły, szwendał się po pociągach.
Jedna z pasażerek, starsza pani w przybrudzonej chińskiej kurtce, podała mu drożdżówkę, którą z pewnością kupiła sobie na drogę.
Chłopak grzecznie podziękował i natychmiast zatopił w niej zęby.
- Panie, niech się dzieje wola Twoja - westchnęła babulka.
Poczułam, jak do gardła podchodzi mi wielka klucha.
Skinęłam na handlarkę.
Tym razem w moim posiadaniu znalazły się tępe nożyczki.
Po upływie pół godziny moja torba wypełniona była niepotrzebnymi przedmiotami.
Handlarze napływali nieprzerwanym potokiem. Wszyty mieli smutek w oczach i wszystkich było mi szkoda.
Mniej więcej po godzinie zmieniły się oferowane towary.
W ruch poszły gazety, swojskie bułki, gotowane ziemniaki.
Kilka razy przez wagon przechodziły kobiety z ogromnymi termosami, wołając:

- Herbata, kawa, kakao!
Później pojawił się jakiś facet i zapytał przenikliwym szeptem:
- Kto chce się rozgrzać? Mamy duży wybór. Zakąska też się znajdzie.
Męska część wagonu wyraźnie się ożywiła.
Dookoła słychać było odgłos otwieranych portmonetek.
Sprzedawca chodził od siedzenia do siedzenia, otwierał torbę-lodówkę i wydobywał z niej butelki z wódką.
Z drugiej torby wyciągał jednorazowe kubeczki i prymitywne kanapki. Trzeba jednak przyznać, że były przynajmniej pieczołowicie owinięte folią.
- A ma pan wodę mineralną? - zapytałam.
- Nie mam - odpowiedział „Barek". - Zaraz będzie Kratow, to Tańka wsiądzie. Ona ma wszystko. Do wyboru, do koloru: sprite, pepsi, pinokio.
Tak też się stało.
Na następnej stacji do wagonu wskoczyła pucołowata dziewczyna z plecakiem wypchanym po brzegi plastikowymi butelkami.
Kupiłam „Święte Źródełko", po czym zaczęłam się bezmyślnie gapić w okno, za którym migały ośnieżone pola i zrujnowane budynki.
Wreszcie po upływie dwóch godzin dotarliśmy do Kołomny. Cudem zdążyłam na odjeżdżający właśnie autobus do Romaszyna. Do niewielkiego żółtego pudełka wcisnęła się chmara ludzi.
W Moskwie już dawno zrezygnowano z tego typu transportu.
Jednak prowincja rządzi się własnymi prawami.
Z górki autobus jeszcze jako tako się toczył, ale pod górę wlókł się niczym żółw, ciężko prychając. Co trzy, cztery kilometry zatrzymywał się na przystanku w kolejnej wiosce. Jedni wysiadali, drudzy wsiadali. Jednak w jakiś niepojęty sposób wygląd zewnętrzny pasażerów nie ulegał zmianie. Przez autobus przewijały się same babcie w moherowych beretach i płaszczach z „norką" oraz faceci w znoszonych kurtkach.
Wraz z ludźmi miarowo kołysały się przeróżne zwierzęta: króliki, psy, kury.
Dopiero kiedy na przystanku o wdzięcznej nazwie „Krysowo" wysuszona staruszka zaczęła wciągać po schodkach zapierającą się kozę, kierowca zaoponował:
- Gdzie się pchasz z tym zwierzakiem? Może mi tu jeszcze krokodyla przyprowadzisz?
- A jaki tam pożytek z krokodyla? - zauważyła rozsądnie, wciągając

kozę do środka. - Ani mleka, ani twarogu. A dzięki Maszce mam co jeść.
- Proszę natychmiast wyjść! - krzyknął kierowca. - Wczoraj taki jeden z kozłem jechał. Wszystko dookoła obrzygał!
- Spokojnie, syneczku - prosiła starowinka. - Moja Mania przyzwyczajona do jazdy samochodem. Przycupnie cichutko w kąciku.
- Wynocha! - kierowca był nieubłagany. - Dopóki nie wyjdziesz, nigdzie nie pojedziemy.
W autobusie rozległ się pomruk niezadowolenia. Niektórzy pasażerowie zaczęli nawet gwizdać.
Babuleńka płaczliwym głosem zapytała:
- Ludzie, co ja mam biedna począć? Z psem można, a z kozą nie?
- Hej ty, słuchaj no - burknął drab z fioletową mordą - weź się przestań pastwić nad ludziami. Ruszajma!
- A jeśli koza tu nabrudzi? Wszystko obsra? To co, ja mam potem po niej sprzątać? - złościł się kierowca.
- W drogę! - zakrzyknął chórem cały autobus. - Jakby co, załatwimy sprawę.
- No, skoro tak - kierowca z lekka się uspokoił i ruszył z kopyta.
Stojący pasażerowie co rusz padali niczym gruszki z drzewa. Tylko jedna jedyna koza zdołała utrzymać równowagę. A jakże, co cztery nogi, to nie dwie.
- Dziękuję państwu - powiedziała z przejęciem szczęśliwa staruszka, lokując się w kącie. - Gdyby nie wy, przyszłoby mi wlec się taki kawał piechotą.
- Dlaczego piechotą? - zapytał tyczkowaty chłopak w podartej czapce z królika. - Wsiadłabyś, babciu, na kozę i wio! Galopem do domu!
Cały autobus wybuchnął śmiechem. Nawet kierowca zaśmiał się pod wąsem. W takiej wesołej atmosferze dotarliśmy do cerkwi. Ludzie ruszyli w kierunku wyjścia.
Końcowa stacja - Romaszyno.
Przepraszam, a gdzie jest Sielichowo? - zapytałam kierowcy, który również wysiadł z autobusu.
- O, tam - odpowiedział, opukując koła. - Przez las. Niedaleko. Z pięć kilometrów.
- A dojechać nie da rady?
- Jedynie stopem - odparł i zapalił papierosa.
Ze smutkiem omiotłam spojrzeniem pustą szosę. Najmniejszego śladu samochodu. Jedynie w oddali było słychać warkot motora.

Po pięciu minutach przekonałam się, że to nie żaden motor, tylko jakiś dziwaczny pojazd, którego nigdy przedtem nie widziałam. Z przodu sterczał silnik kompletnie pozbawiony maski. Stamtąd odchodził długi pałąk łączący silnik z metalową skrzynką na kołach. Przed skrzynką na ławeczce siedziała baba w gumiakach, trzymając się za wystający pręt.
- Co tak drałujesz na piechotę? - krzyknęła do mnie. - Podwieźć?
- Dziękuję - powiedziałam, sadowiąc się obok kierowcy.
- Nie ma za co - uśmiechnęła się, zręcznie kierując brum-brumkiem.
- Przecież nie dźwigam cię na własnym grzbiecie. Koła wiozą. Do Sielichowa?
Skinęłam głową.
- Nowa lekarka?
- Nie, do Fiedinych. Mam do nich sprawę.
- Aha - mruknęła i momentalnie straciła zainteresowanie moją osobą.
Powoli toczyłyśmy się po brukowanej drodze. Do nosa dolatywała okropna woń. Pewnie z tyłu leżał nawóz.
Wreszcie facetka stanęła na pagórku i wskazała brudnym palcem w bok:
- Tam jest Sielichowo.
- Dziękuję - podziękowałam ponownie.
Wytrzęsło mnie na tej bryczce niemiłosiernie. Byłam odurzona ohydnym zapachem.
- No to już idź - westchnęła dobra samarytanka, po czym dodała: -Tylko uważaj tam na tych Fiedinów.
- Dlaczego?
- Bo to chuligany - odparła i ruszyła w dalszą drogę.
Odprowadzana zgrzytem i turkotem, dotarłam do zakrętu i ujrzałam przed sobą kilka poczerniałych chałupek z przechylonymi płotami.
„Ulica Matrosowa 12”- ktoś napaćkał białą farbą na pierwszym domku.
Zdziwiona, gdzie się podziało jedenaście poprzednich budynków, pchnęłam furtkę i znalazłam się na zapuszczonym podwórzu.
Czyli Pisiemski musiał się pomylić.
Ksiusza nie mieszkała na ulicy Kosmonautów. Po lewej stronie, obok rozwalonego fotela, stała ogromna zardzewiała wanna. Po prawej stronie zobaczyłam stos drewna. Przechylone ze starości schodki żałośnie skrzypiały pod moim ciężarem.
Ostrożnie otworzyłam drzwi i przekroczyłam próg obskurnego

pokoju.
Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, stały nieumyte słoiki, wisiały śmierdzące ścierki, wiadra i sita.
- Jest tu kto? - krzyknęłam.
- Czego? - rozległ się przytłumiony głos.
Z boku otworzyły się drzwi. Doleciał z nich zapach spalenizny.
W drzwiach stanęła osoba płci męskiej. Jej wiek był trudny do określenia. Czerwone podpuchnięte oczy, rozczochrane przetłuszczone
włosy, trzydniowy zarost. W podartym waciaku i kaloszach na nogach. Wykapany Alain Delon!
Pewnie, jak francuski aktor, też nie pije wody kolońskiej. O burbonie to on może nie słyszał. Ale bimber to mu na pewno wystarcza.
- Czego? - powtórzyło niebiańskie stworzenie, zawzięcie drapiąc się w brodę czarnymi od brudu paznokciami. - Co ty za jedna? Emeryturę roznosisz?
W jego oczach zabłysła nadzieja.
Sprowadziłam go na ziemię:
- Czy tutaj mieszka Ksienia Fiedina?
Jeśli nawet nieszczęsna dziewczyna uciekła się do kradzieży, to za nic w świecie jej nie potępię! Sama bym coś ukradła, żeby tylko się wyrwać z tego miej sca.
- Ksienia, Ksienia. - mamrotał pod nosem gospodarz, marszcząc czoło - a co to za jedna?
- Twoja siostra, porąbańcu - dobiegło z głębi chaty.
- Ksiucha! - ucieszył się. - Przecież ona umarła!
- Kiedy? - zapytałam, czując potworne zmęczenie.
Facet rozpiął waciak i zaczął drapać się po piersi.
Może ma pchły?
Cofnęłam się na wszelki wypadek, po czym powtórzyłam pytanie:
- Kiedy?
Przestał się drapać i stęknął:
- Lenka, nie pamiętasz?
- Ze dwa lata temu - usłyszałam odpowiedź, po czym do pokoju weszła stosunkowo młoda kobieta w spranym flanelowym szlafroku.
- A dlaczego pani pyta? - zainteresowała się.
Przez chwilę wahałam się, czy udzielić odpowiedzi. Co tym razem wymyślić? Dla takich studio filmowe to zupełnie inny świat. Nic mi nie powiedzą. A przedstawiciela prawa się wystraszą i nabiorą wody w

usta.
- Widzi pani, reprezentuję loterię „Koło Fortuny". Ksienia Fiedina wygrała dużą nagrodę. W formularzu zgłoszeniowym wskazała właśnie ten adres.
- Prosimy do środka - ożywiła się Lena, słysząc o wygranej.
Przeszliśmy do schludnie urządzonego pokoju, który służył zapewne do przyjmowania gości. Było w nim diabelnie zimno.
- Ksienia umarła - powiedziała, po czym zapytała; - To kto otrzyma teraz nagrodę?
Rozłożyłam bezradnie ręce.
- Po pierwsze, musimy się upewnić, że dziewczyna nie żyje. Ma pani akt zgonu?
Lena pokręciła głową.
- To skąd pani w ogóle wie, że zmarła? A gdzie jest Raisa Pietrowna?
- Teściowa też nie żyje - odpowiedziała z całkowitym spokojem. -Przygniotła ją kiszonka.
- Co ją przygniotło?
- Siedziała w dole i widłami przewracała karmę dla krów. Zepsuło się urządzenie do rozkładania karmy i cała tona brei spadła prosto na nią. Udusiła się na miejscu - wyjaśniła obojętnie. - A na Ksiuchę to mam papier.
- Jaki?
Wstała, wysunęła szufladę, chwilę w niej poszperała, po czym podała mi kartkę.
- Taki.
Było to zaświadczenie ze szpitala numer 1754.
„Niniejszym zaświadcza się, rżę Ksienia Fiedina przebywała w szpitalu na leczeniu. Trafiła tu z rozległymi urazami, zagrażającymi jej życiu. Zmarła 28 września. Ponieważ nikt nie zgłosił się po ciało, zostało ono poddane kremacji".
Na dokumencie widniał podpis niejakiego doktora Iwanowa i pieczątka. Bezżadnej daty, ani państwowej pieczęci. Takim czymś można sobie tyłek podetrzeć!
I na dodatek z błędem ortograficznym - „rżę".
Nikt mądry nie przyjmie takiego, że tak się wyrażę, „świstka".
Jednak osoba, która go sporządziła, dobrze znała krewnych Ksiuszy. Dla nich takie zaświadczenie stanowiło oryginalny dokument.
- I oczywiście nie wie pani, gdzie została pochowana?
Lena wzruszyła ramionami.

Co za kretynka!
O jakim zgłoszeniu się po ciało może być mowa, jeśli rodzinie zostało wysłane „zawiadomienie”? Widać, że wszystko jej jedno: zmarła siostra męża, i tyle!
- Miała kogoś bliskiego?
- Tylko nas - odpowiedziała pośpiesznie Lena. - Spadek należy się nam.
- A Witia? zreflektował się mąż. - Przecież Witia.
Żona kopnęła go w kostkę.
Jednak jej interwencja była nieco spóźniona.
Gniewnie zmarszczyłam brwi i oznajmiłam:
- Zatajanie istnienia krewnych podczas sprawy spadkowej podlega karze. Można nawet trafić do więzienia. Kim jest Witia?
- Też mi wielki krewny - prychnęła pogardliwie. - Kopę lat się nie widzieliśmy.
- Kto to taki? - nalegałam.
- Ich starszy brat- wyjaśniła Lena. - Mieszka w Moskwie. Bogacz. Dumny. Z domu nosa nie wyściubi. Żadnego z niego pożytku.
- Poproszę jego adres!
Westchnęła i ponownie zajrzała do szuflady.
Tym razem dłużej w niej szperała, aż w końcu oświadczyła:
- Ulica Prijucka 1.
- Poza nim jest jeszcze ktoś? Jakiś krewny?
- Nie - zaprzeczyła. - Było ich czterech braci, Ksiucha i matka. Sieńka zmarł, Kostek siedzi, Raisę Pietrowną przygniotło. Ksiucha też kopnęła w kalendarz. Pozostali jedynie: mój Waśka i Witia, gamoń. A kiedy Konstantyn wyjdzie na wolność?
- Nigdy. Dostał dożywocie za zabójstwa. Załatwił dziewięć osób! Popapraniec!
Tylko westchnęłam. A co w takich warunkach mogło wyrosnąć z tych ludzi? Sami alkoholicy i mordercy.

Rozdział 9

Do domu wróciłam około dziewiątej wieczorem.
Byłam w paskudnym, zarówno fizycznym, jak i psychicznym stanie. Czułam się skrajnie wyczerpana i zła.
Nie wyszła bym już dzisiaj z domu nawet za milion dolarów.Chociaż. za milion to pewnie pobiegła bym na złamaniekarku. z chciwości.
Ale jak na razie nikt nie zamierza proponować mi takiej sumy.
Wyciągnę się teraz na kanapie, wezmę jakiś kryminał i parę kanapek.
Do pokoju wparowała Julia.
Mogłam zapomnieć o przyjemnym wieczorze.
Dziewczyna z pretensją w głosie powiedziała:
- Chodź prędko!
Czekamy, czekamy i doczekać się nie możemy!
- A co się stało? - zapytałam, wchodząc do kuchni.
Przyjrzałam się uważnie domownikom i zwierzętom.
Na pierwszy rzut oka wszyscy zdrowi. Krwi, ran ani bandaży niewidać.
- Jeszcze nic - odpowiedziała Katia.
- Posłuchajciemnie uważnie.
Sprawa jest poważnai wymaga podjęcia wspólnej decyzji.
Po takim wstępie wszyscy zamarli i zniepokojem zaczęli się w nią wpatrywać. Odrzuciła włosy z czoła,po czym podzieliła się z nami oszałamiającą nowiną. Kilka lat temu operowała Eugenię Nikołajewnę -panią architekt.
Po operacji stosunki między kobietami wyraźnie się zacieśniły Wdzięczna pacjentka zaczęła regularnie odwiedzać krewną w domu. Natomiast Katia jeździła do niej w gości na daczę.
Dzisiaj rano Eugenia Nikołajewna zadzwoniła do Katii.
Była bardzo podekscytowana. Oznajmiła, że przyjeżdża i żeby na nią zaczekać. Katia,zdziwiona i z lekka zaniepokojona tym telefonem, została w domu.
Łamała sobie głowę, co też mogło się przydarzyć jej byłej pacjentce. Około drugiej Eugenia Nikołajewna wleciała do mieszkania jakburza,

roztrącając psy i koty.
Wbiegła do kuchni i pacnęła teczkę na stół.
- Proszę! - oznajmiła.
- Ale co to jest?
- Katia nie miała pojęcia, comoże kryć się w tajemniczej teczce.
Pani architekt z impetem opadła na krzesło i wymachując rękami, zaczęła wyjaśniać sprawę.
W wielkim skrócie przedstawiała się następująco: latem w przyszłym roku w miejscu zacisznej uliczki, przy której znajduje się nasz dom, zbudowana zostanie ogromna ulica - trzecia część obwodnicy.
Tuż pod naszymi oknami będzie przebiegała linia tak zwanego"prostego" metra, która w języku potocznym nazywana jest "nadziemką", czyli miejskim pociągiem, który stanowi alternatywędla trolejbusów i tramwajów.
Zwykłe metro jest ukryte pod ziemią.
To natomiast biegnie na powierzchni z ogłuszającym turkotem.
Łaskawy burmistrz polecił ustawić wzdłuż przyszłej trasy osłony dźwiękoszczelne, jednak w tym przypadku nie zdadzą egzaminu.
Żegnaj spokojne życie i zdrowy śnie!
Projekt utrzymywany jest w tajemnicy, żeby mieszkańcy znajdujący sięw "strefie zagrożenia" nie podnieśli krzyku i nie protestowali wokół urzędu miasta. Właściwie ucierpią na tym jedynie trzy bloki. Nasz i dwa sąsiednie. Pozostałe domy w okolicy przeznaczono do rozbiórki. Lokatorom zostaną przydzielone mieszkania zastępcze w Mitinie,Marinie alboButowie.
W każdym razie nie w centrum miasta.
A nas nikt nie zamierza przesiedlać, więc bardzo szybko życie w tym miejscu zamieni się w koszmar.
-I cotu robić?
-przestraszyła się Katia.
- Nie ma się na co oglądać. Należy sprzedać mieszkanie i kupić w innym miejscu - poradziłaEugenia Nikołajewna.
- I toj ak naj szybciej.
Gdy tylko agencje nieruchomości dowiedzą się o planach budowy metra, cena za wasze pałace spadnie na łeb, na szyję.
Przestraszona Katia, przekonywana przez koleżankę, pobiegła natychmiast do biura nieruchomości, w którym pracowała stara znajoma Eugeni Nikołajewny.
Tam przyjęto ją z otwartymi ramionami i w mig miała przed sobą

długą
listę mieszkań wystawionych na sprzedaż.
Z miejsca znalazła odpowiednie dla nas.
- Dwa mieszkania, połączone ze sobą.
Zupełnie jak nasze - była zachwycona.
- A co najważniejsze, dwa kroki stąd.
Przy ulicy Majowej.
Potężny dom z cegły, mieszkanie wysokie na trzy metry.
- O Jezusie! - powiedziałaz przerażeniem w oczach Julia.
-Znowu trzeba będzie remont robić i się przeprowadzać. Makabra!
- Nie przesadzaj - ucięła Katia.
- Makabra to dopiero będzie, kiedy pod naszymi oknami zaczną śmigać pociągi. Pomyśl tylko: latem upał,a my kisimy się w zaduchu, bo nawet okiennie otworzymy.
- Dlaczego nie otworzymy?
- zdziwił się Kiriuszka.
- Ponieważ będzie straszny hałas.
-A gdzie się podzieje reszta towarzystwa z naszej chałupki?
-zapytał Sierioża.
- A to bardziej skomplikowana sprawa - odpowiedziała z przejęciem Katia.
- Rodzina Nikitinów przenosi się do różnych mieszkań.
Dzieci do dwu-, a rodzice do trzypokojowego.
Z trzypokojowego ludzie przeprowadzają się do dwupokoj owego.
A z tego dwupokojowego rodzina Pietrowów wyprowadza siędo czteropokojowego. A z tego czteropokojowego Michalewowie przenoszą się do naszego, razem z Popowami z trzypokojowego, do którego wprowadzają się Nikitinowie.
Rozumiecie?
Od nadmiaru informacji zakręciło mi się w głowie, ale na wszelkiwypadek przytaknęłam.
- To oni będą razem w komunalnym mieszkaniu?
- Julia była zaskoczona.
- Kto?
- nie zrozumiała Katia.
- No Popowowie z Nikitinami.
-To jest rodzina.
Kuzynki.
I chcą razem zamieszkać.

- Po co?
- teraz ja się zdziwiłam.
- A co nam do tego?
To nie nasza sprawa - Katia zaczęła tracić cierpliwość.
-Jutro wyruszamy obejrzećnowe mieszkanie i, jeśli się nam spodoba, od ręki załatwimy wszystkie formalności związane z podpisaniem umowy. Musimysię pospieszyć, żeby zdążyć przed Nowym Rokiem.
- Dlaczego? - padło kolejne pytanie.
Tym razem z ustKiriuszki.
-. No bo - rozpoczęła niepewnie Katia - w agencji powiedzieli, że po nowym Roku mogą pojawić się trudności.
-Jakie?
- Nie wiem - odpowiedziała gniewnym tonem, poirytowana naszymi nieustannymi pytaniami.
- Nie przejmujcie się.
Jeśli będzie nam odpowiadało to mieszkanie na Majowej, to Sonia raz dwa przygotuje wszystkie niezbędne papiery.
Wystarczy tylkopodpis.
- A kto to jest Sonia? - zaniepokoiła się Julia.
-Agent nieruchomości - znajoma Eugenii Nikołajewny.
- Pewnie chce dostać premię na święta i dlatego tak ponagla - burknął pod nosem Sierioża.
-A zresztą - westchnęła Katia - nie chcecie, to nie.
Nie zmuszam was.
Ale potem będziemy sobie w brodę pluć, jak będzie już za późno.
Po półgodzinnej sprzeczce doszliśmy do kompromisu.
Jutro z samego rana rzucimy okiem na proponowane lokum i podejmiemy ostateczną decyzję.
Nie zdążyłam nawet wstać, żeby wreszcie pójść do łazienki i umyć się przed snem,kiedy zadzwonił telefon. W naszym domu telefony odbieram ja. Jest ku temu kilka powodów.
Najważniejszy z nich stanowią natrętni pacjenci Katii, którzy nieustannie ją niepokoją. Hipochondrycy,chcący się poużalać nad swoim strasznym losem. Rozpoznaję ich wszystkich po głosie i bez najmniejszych skrupułów kłamię: "Katii nie ma w domu".
Poza tym Julka chce uniknąć pilnego wezwania do redakcji, a Sierioża w spokoju spędzić choć jeden wieczór w tygodniu.
Jego szef uwielbia wydzwaniać po siódmej i wydawać sprzeczne, częstokroć wzajemnie wykluczające się polecenia.

Dlatego też odpowiadam krótko: "Właścicieli nie ma w domu".
Po takim telefonie u dzieci zaczynają piszczeć pagery, w końcu to jednostronny wynalazek.
Już od dawna przymierzamy się, żeby kupić automatyczną sekretarkę, ale ciągle mamy jakieś pilniejsze wydatki.
To Kiriuszka zrobi dziurę w butach,to zepsuje się samochód.
-Takim oto sposobem rolę sekretarki objęłam ja.
Pobiegłam do salonu, skąd dochodził dźwięk telefonu. Ktoś zostawił słuchawkę przy telewizorze.
- Halo - powiedziałam, oddychając z trudem.
-Dzień dobry.
Z tej strony centrala telefoniczna - oznajmił uprzejmy męski głos.
-Jeśli państwo w najbliższym czasie nie opłacą rachunku opiewającego na dwa tysiące czterysta rubli, będziemy zmuszeni odłączyć państwu telefon.
-Jaki znów rachunek?
- oburzyłam się.
- Za rozmowęz Mińskiem.
-To jakaś pomyłka - pośpieszyłam z wyjaśnieniem.
- Nie dzwoniliśmy na Białoruś.
- Mam tu wszystko zapisane, czarnona białym - obstawał przy swoim mężczyzna.
- Rachunek na dwa czterysta.
- Ki diabeł? - byłam coraz bardziej wzburzona.
-A może to jakaś pomyłka w numerze?
-Taaak, to możliwe - niespodziewanie łatwo zgodził się rozmówca.
-Niech mi pani poda adres, to sprawdzę.
Już miałam spełnić jego prośbę, kiedy nagle do mojej głowy zakradło się dziwne podejrzenie.
Centrala telefoniczna? O północy?
Poza tym głos należy do mężczyzny, a tam zazwyczaj pracują same kobiety,a ostatnio w ogóle mają podłączony automat.
Raz zapomnieliśmy opłacić abonament i długo nie mogłam zrozumieć, co to za dziwne stworzenie przemawia w słuchawce grobowym głosem.
- Ale jest już noc.
Pracujecie naokrągło?
- Dzwonię z domu - westchnął smętnie.
- Pracujemy na akord.

Płacą nam dodatkowo za ściąganie pieniędzy od zalegających z opłatą. Jeśli zapłaci pani jutro, to dadzą mi dziesięć rubli.
W ciągu dnia usiłowałem się do państwa dodzwonić, ale nikogo nie było. Niby przekonywające argumenty,ale mimo wszystko miałam jakieś złe przeczucia. Decyzję podjęłam momentalnie.
Na naszej ulicy znajdują się trzy jednakowe bloki. Bliźniaczo do siebie podobne.Ostrożności nigdy nie za wiele. Podam numer sąsiedniego budynku.A jutro zadzwonię do centrali i dowiem się w dziale obsługi klienta, czy facet mówi prawdę.
Jeśli rzeczywiście mnie nie okłamał, to przeproszę i podam prawdziwy adres. Nie ma innego wyjścia,w przeciwnym razie się odemnie nie odczepi.
- Niech pan notuje.
-Tak, słucham.
Podałam nie dokońca prawdziwe informacje i rzuciłam słuchawkę. Zadzwoniła niemal natychmiast po zetknięciu z kanapą.
Tym razem to Oleg Jakowlewicz Pisiemski chciał się dowiedzieć, jak idzie śledztwo i czy są jakieś postępy.
-Jak na razie nie mam dobrych wieści.
Czy pan mi mówił, że Ksiusza ma w Sielichowie ciotkę?
- Tak, mówiłem - potwierdził.
- Żona mi tak powiedziała.
Wszyscy krewni odeszli z tego świata.
Pozostała jedynie siostra ojca - Raisa Konstantinowna.
- A nie Raisa Pietrowna?
-Moment, zaraz sprawdzę.
W słuchawce zapanowała cisza.
Przez kilka chwil dochodziły z niej dziwne trzaski, potem Pisiemski odezwał się pewnym głosem:
-Tu jest napisane:ciocia Raisa Konstantinowna,wieś Sielichowo.
- Utrzymywały ze sobą stały kontakt?
-A skąd.
Ksiusza mówiła,że ciotka działa jej na nerwy.
Na tym zakończyliśmy rozmowę.
To conajmniej dziwna sprawa!
Czyżby dziewczyna omyłkowo podała nieprawdziwe imię odojcowskie swojej matki, zmieniła ją na ciotkę, a potem jeszcze podała fałszywą ulicę?
Chociaż, jeśli wziąć pod uwagę warunki, w jakich żyła w

Sielichowie,to wszystko jest możliwe.
Z pewnością obawiała się,że kiedy rodzina dowie się o jej bogatym mężu,natychmiast zażąda pomocy finansowej.
A matkę podała za ciotkę z prostego względu: nie chciała wyglądać w oczach małżonka na złą córkę.
Jednego tylko nie mogę pojąć: po co miałaby zmieniać imię odojcowskie. Wybrałam numer Pisiemskiego i kiedy odebrał, zapytałam:
- Przepraszam, panie Olegu, że niepokoję, ale mam do pana jedno pytanie.
Czy pana żona nie zaprosiła swojej cioci na wasz ślub?
- Proponowałem, żeby to zrobiła -odparł- ale Ksiusza nie chciała. Twierdziła, że ciotka sprawiała jej w życiu wiele przykrości.
Wypominała każdą kromkę chleba.
Próbowałem ją przekonać,że nie powinno się pamiętać bliźnim złego, i chciałem nawet wesprzeć jej ciocię finansowo, ale gdzie tam!
Strasznie się wtedy zdenerwowała i omal nie
Popłakała. Rozłączyłam się i poszłam spać. Może ranek przyniesie jakieś rozwiązanie.
Nazajutrz o dwunastej w południe staliśmy na ulicy Majowej i przyglądaliśmy się nowemu domowi.
Budynek okazał się nie z cegły, jak zaręczali w agencji, tylko z płyt.
Co więcej, był kubek w kubek jak nasz.
Mieszkanie również stanowiło niemal identyczną kopię naszego.
Jedynie na ścianach była inna tapeta i dookoła stały obce meble.
- No i co my na tym zyskamy?
- naskoczyła na Katię Julia.
-Przecież to śmieszne!
Czuj ę się jak w domu!
-Jakiś cygański interes - westchnął Sierioża.
- Dlaczego cygański?
- zdziwił się Kiriuszka.
- Cygan kupował w sklepie jajka po piętnaście rubli, gotował je i sprzedawał na targu za te same piętnaście rubli.
A kiedy ktoś go zapytał,gdzie w tym wszystkim jest zysk, odpowiadał: Po pierwsze, pozostaje rosół,a po drugie, mam przynajmniej co robić.
- Czy po gotowanych jajkach zostaje rosół?- zdumiał się Kirył.
-Woda to woda!
- O to właśnie chodzi - uśmiechnął się Sierioża.

- Będziemy mieli tylko urwanie głowy i niepotrzebne problemy z remontem i przeprowadzką. Nie opłaca się.
- Lepiej pomyśl o perspektywie mieszkania tuż nad torami - rozgniewała sięKatia.
- Moim zdaniem, to całe szczęście, że mieszkanie jest podobne. Wszystko będzie jak dawniej, a na dodatek unikniemy hałasu.
Wszyscy weszli na górę, cały czas się sprzeczając o to, czy warto się przeprowadzać. Ja natomiast w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że nie mamy wdomu ani kawałka chleba.
Skręciłam więc za róg sąsiedniego bloku, gdzie przy klatce stała budka ze świeżym pieczywem.
Niestety,nie udało mi się kupić bułek.
Drzwi wejściowe na klatkę były otwarte na oścież.
Przy schodkach ujrzałam zaparkowaną karetkę pogotowia i radiowóz. Obok zgromadził się tłum gapiów.
- Co się stało? - zapytałam młodą kobietę, która trzymała na rękach pyzate dziecko w granatowym ubranku.
- Tragedia! - odpowiedziała.
-W nocy ktoś zabił Wierkę Zajcewą spod czterdziestki dziewiątki. Koszmar!
Podobno odrąbali jej głowę i dziś rano u Marinych, piętro niżej, na suficie pojawiła się krwawa plama.
Ma pani pojęcie?
Budzą się, a tu na poduszkę krew kap-kap.
Masakra! Poczułam w głowie tłoczące się wściekle myśli.
Nasze mieszkanie miało również numer czterdzieści dziewięć.
Kiedy Katia i Julia wyburzyły
ściany,zmieniając dwa mieszkania w jedno, wejście pozostało od strony czterdziestki dziewiątki.
A wczoraj podałam natrętnemu facetowi z centrali telefonicznej nasz adres, z tym, że zmieniłam numer bloku.
Wygląda na to, że to były namiary na niejaką Wierę Zajcewą.
- Patrzy pani - szturchnęła mnie młoda matka - znoszą!
Z klatki schodowej rzeczywiście wyłoniły siędwie męskie postacie,niosące coś, co bardziej przypominało gigantyczną pomarańczową mydelniczkę niż trumnę.
Ze środka wystawał czarny plastikowy worek.
Wśród tłumu zapanowało poruszenie.
Jeden z gapiów zapuścił żurawia do przodu, usiłując lepiej

przypatrzyć się zwłokom.
Jednak czekało go wielkie rozczarowanie, ponieważ worek był szczelnie zamknięty. Sanitariusze zaczęli wsuwać nosze do karawanu.
W drzwiach ukazała się grupka mężczyzn.
Na jej czele z teczką pod pachą kroczył major Kostin
- Wołodia!
- zawołałam ucieszona.
Major zwolnił, powiódł spojrzeniem po stojących i widząc mnie, zapytał zdziwiony:
- Lampa, a ty skąd się tu wzięłaś?
-Dobre pytanie - uśmiechnęłam się.
- Zapomniałeś już, że mieszkam w sąsiednim domu?
Wyskoczyłam na chwilę, żeby kupić chleb,a tu coś takiego!
Chodź do nas, mam pyszny obiad.
- Dobrze - ucieszył się i polecił ekipie: -Jedźcie beze mnie, zjem obiad i do was dołączę.
Powoli ruszyliśmy się w stronę naszego domu.
Trzeba było jednak kupić jakoś chleb!
Z Wołodią połączyło nas ostatnio śledztwo w sprawie, w którą ja i Katia zostałyśmy wplątane.
Wykazał się wtedy wielkim profesjonalizmem.
Natychmiast połączył ze sobą odpowiednie fakty i wykrył sprawców przestępstwa. Od razu wszystkim się spodobał.
Do tej pory nie potrafię go do końca rozgryźć.
Czy jest świetnym psychologiem, czy też po prostu dobrym człowiekiem. Tak czy inaczej, potrafi rozmawiać na wszystkie tematy.
Z Sieriożą o branży reklamowej.
Z Julią - osprawach dziennikarskich.
Wizyta Kostina zawsze wzbudza ogromne poruszenie wśród naszego domowego zwierzyńca, ponieważ nigdy nie przychodzi z pustymi rękami.
Na ogół ma w zanadrzu jakieś smakołyki, na przykład wołowe kości.
Momentalnie wkupił się w łaski Kiryła,dając mu do potrzymania broń. Mnie natomiast zasypuje kryminałami.
Skąd on mógł się dowiedzieć o mojej małej słabości?
Weszliśmy do sklepu.
Wołodia pośpieszył do stoiska z ciastami.
- Słuchaj, Lampa, jakie lepiej wziąć: "Lot", "Marikę" czy ptasie mleczko?

Uśmiechnęłam się.
- Jeśli chcesz wszystkim dogodzić, to kup paszteciki z mięsem.
Są przepyszne. A słodycze uznaje tylkoKiriuszka. Reszta za nimi nie przepada. Szczodry major nabył cały worek pasztecików.
Dołożył do tego trzy jajka-niespodzianki i ptasie mleczko.
Kupiłam chleb i poszliśmy do domu.
Powitały nas radosne okrzyki.
Wołodia rozdał jedzenie, przez chwilę chytrze się uśmiechał, po czym wyciągnął z teczki kilka kryminałów.
Skąd on je wytrzasnął?
Nosi ze sobą na wszelki wypadek, czy jak?
- Bomba! - krzyknął Kiriuszka, zajadając czekoladowe jajko.
-Mam dinozaura!
- Jak tam w pracy?
Co słychać?
- zapytała Katia, nalewając zupę.
-Jakoś leci.
Zależy, gdzie się ucho przyłoży - odparł major, łapczywie połykając tłusty kapuśniak.
- No, Lampa, zupę gotujesz pierwsza klasa.
A to ci lizus!
Chociaż chyba ma rację.
Kapuśniak robię pierwszorzędny: z dużymi kawałkami mięsa, cebulką, marchewką i świeżymi pomidorami.
- A co się tam wydarzyło u sąsiadów?
- zapytałam,kiedy po zupie zniknęły również kotlety.
- Okropność - stwierdził, wyciągając papierosy.
- Niejaka Wiera Zajcewa miała scysję z kochankiem, po której zadźgał ją nożem kuchennym.
Samo życie.
Usiedli, golnęli po jednym, potem po drugim, pokłócili się,poszło na noże. Takie rzeczy dzieją się non stop.
- A dlaczego jesteś taki pewien, że zabił ją kochanek?
- chciałam wiedzieć.
- Bo tu nie może być żadnych wątpliwości- odpowiedział.
- Przyszedł do niej wczoraj wieczorem.
Był już nieźle na gazie.
Zwymyślała go od ostatnich na samym progu. Sąsiadka świadkiem. Wyzwać wyzwała, ale mimo to wpuściła do środka.

Sama lubiła sobie wypić.Za kołnierz nie wylewała. Najwidoczniej udali się do pokoju, żeby się doprawić, a potem się o coś pogryźli i facet ją zaszlachtował. Jakimś cudem zdołał jej poderżnąć gardło, mimo że był nawalony jak helikopter. Krew chlustała na boki!
A potem kompletnie pijany dowlókł siędo kanapy i zwalił się na nią nieprzytomny.
Zajcewa leżała całą noc na podłodze, aż nad ranem u sąsiadów na dole z sufitu zaczęło kapać.
To oni wezwali milicję.
- Dziwne, że akurat ciebie przydzielili do prowadzenia tej sprawy -stwierdziłam.
- A dlaczego nie kogoś z komendy rejonowej?
- Zajcewa była córką wielkiej szychy - wyjaśnił.
-Jej oj ciec j est zastępcą ministra.
No i dostałem polecenie, żeby przeprowadzić dochodzenie.
- Że też coś takiego ma miejsce na tym świecie - zdziwiła się Julia.
-Ojciec wielka figura, a córka taki gagatek.
- Nie takie rzeczy się dzieją -mówił dalej Kostin.
- Często wysoka pozycja rodziców tylko pogarsza sprawę.
Dziecko jest rozpuszczone jak dziadowski bicz i robi, co mu się żywnie podoba. Przymknie się takiego i zaczyna się piekło na ziemi: telefony, wezwania na dywanik.
Istny koszmar.
Zabójca Zajcewej to nie kto inny, jak synalek Burlewskiego.
- Fiodora Burlewskiego?
- Sierioża był zaskoczony.
-Producenta filmowego ?
-Tego samego- potwierdził Wołodia, popijając kawę.
-Teraz to dopiero się zacznie.
Już to sobie wyobrażam. Ojczulek Zajcewej przeciwko tatusiowi Burlewskiego. Starcie słonia z tygrysem.
Tylko czuję, że to mi się najbardziej oberwie. Dobrze chociaż,że sprawa jest zupełnie jasna. Kiedy weszliśmy do środka, facet spał na kanapie. Wokół pełno odcisków palców.
Obok nóż.
- Przyznał się do winy?- zapytałam.
- Na razie jeszcze nie kontaktuje- odpowiedział Kostin.
-Jest w innym wymiarze.
- To ile on musiał wychlać, żeby przez noc nie wytrzeźwieć?- zdumiał

się Sierioża.
- Nawet nic nie mów - westchnąłWołodia.
- Normalnie szok.
A mieszkanie! Lepiej nie pytajcie. Bałagan nie z tej ziemi. Jakby huragan przeszedł.
Początkowo myśleliśmy, że ktoś przeprowadził tam rewizję: wszystkie rzeczy, brudne ubrania,książki i jedzenie powyrzucane na podłogę. Dopiero sąsiadka wyjaśniła nam, że Zajcewa nie należała do czyścioszków i zawsze tam tak wyglądało.
Niesamowity brudas.
Omal nie zwymiotowałem na widok pędzących karaluchów.
Było ich całe mnóstwo!
- Fuj!
- Katia była wyraźnie zdegustowana.
Zmieńmy temat. Posłuchaj lepiej naszych nowin.
I zaczęła opowiadać o nowym projekcie budowie naziemnej linii metra i czekającej nas przeprowadzce. Zabrałam się do zmywania naczyń.
Dzięki Bogu,Zajcewa straciła życie podczas pijackiej burdy, bo zaczynałam mieć wyrzuty sumienia.
Przyszło mi do głowy, że przez to, iż wczoraj podałam fałszywy adres, jestem winna jej śmierci.
Żeby do końca wyzbyć się poczucia winy, udałam się do sypialni i zadzwoniłam na centralę telefoniczną.
Była niedziela, ale tam codziennie ktoś pełni dyżur.
Już po chwili miły, uprzejmy kobiecy głos cierpliwie odpowiadał na moje dziwaczne pytania.
Tak, pracują u nich mężczyźni, ale tylko jako monterzy albo inni pracownicy techniczni. W dziale obsługi klienta siedzą same kobiety. Poza tym nie dzwonią już w sprawach zaległych opłat.
Od tego są automaty. Krótko mówiąc, nie ma żadnych osobników płci męskiej bezpośrednio obsługujących klientów.
Usiadłam w fotelu, gapiąc się bezmyślniew słuchawkę.
W głowie po raz kolejny zrodziły się dziwne podejrzenia.
Kto wczoraj usiłował wyciągnąć ode mnie nasz adres i co wspólnego ma ta sprawa z zabójstwem nieszczęsnej Wiery Zajcewej?

Rozdział 10

Uznawszy niedzielny wieczór za najlepszą porę do zastania człowieka w domu, pojechałam do Wiktora Fiedina, brata Ksiuszy.
Tego samego, który ostatnimi czasy się dorobił.
Nacisnęłam dzwonek i po chwili zza drzwi dobiegł dźwięczny dziecięcy głos:
- Pani do kogo?
-Zawołaj tatę.
Drzwi otworzyły się i na progu ujrzałam trzydziestoletnią kobietę.
- Pani wybaczy - wymamrotałam.
- Myślałam, że to dziecko pyta.
- Nic się nie stało.
Już się przyzwyczaiłam - roześmiała się gospodyni.
- Zawsze mnie biorą za dziecko.
Przez telefon również. Wiecznie słyszę: "dziecko, zawołaj tatę". Przestałam już zwracać na to uwagę.
Zanim wołam męża, po prostu się upewniam, czy to do niego.
Bo pani do Wiktora, prawda?
-Tak.
- Witia! - zawołała.
-Chodź tu!
Ktoś do ciebie.
- Już idę- dobiegło z przedpokoju i po chwili w drzwiach pojawił się chłopak przy kości,dobiegający trzydziestki.
- W czym mogę pomóc?
Pochwili wahania zapytałam:
- Pan jest bratem Ksieni Fiedinej?
Gospodarz gniewnie zmarszczył brwi i odparł:
- Tak jakby.
Ale jeśli przysłali panią z Sielichowa, to może pani wracać,skąd przyszła. Nie dam pieniędzy na libacje.
- Czy Ksiusza w ostatnim czasie kontaktowała się z panem?
-A coś się stało? -zaniepokoił się.
- Może wejdziemy do środka?
- zaproponowałam.
- No dobrze, proszę wejść - zgodził się łaskawie.

- Tylko niech pani zdejmie buty, bo chlapa na dworze.
Posłusznie nałożyłam podane klapki i podążyłam za Wiktorem. Zaprowadził mnie do gustownie urządzonego salonu,wskazał skórzany fotel, po czym lekceważącym tonem polecił:
- Proszę wyłuszczyć sprawę.
Postanowiłam nie zwracać uwagi na jego chamskie zachowanie i łagodnie powiedziałam:
- Może się najpierw poznamy?
Eulampia Andriejewna Romanowa. Prywatny detektyw. Wynajął mnie mąż Ksieni.
Rzecz w tym, że zaginęła,i małżonek odchodzi od zmysłów, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Kiedy ostatnio widział pan siostrę?
Wiktor chrząknął zaskoczony.
- Ksiucha wyszła za mąż?
Pierwsze słyszę. Pewnie to bogacz, skoro stać go było na wynajęcie detektywa. A to ci nowina! A myślałem, że to po prostu jej facet.
- Zna pan jej męża? - zapytałam ostrożnie.
Westchnął.
- Ciągle jęczała o pieniądze. Zresztą cała rodzina nie lepsza.
Tylko by wiecznie wyciągali z człowieka kasę.
Aż wreszcie moja żona, Taisa,nie wytrzymała i powiedziała im do słuchu.
- I słusznie zrobiła - odezwał się z przedpokoju dziecięcy głos.
- Istny nie nasycony tabor cygański.
Opowiedział byś lepiej wszystko po kolei, jak było.
Wiktor ponownie westchnął i powiedział z ociąganiem:
- Być może źle zrobiłem,że nie dałem jej wtedy paru groszy na odczepne, ale naprawdę sprzykrzyło mi się to ciągłe naciąganie.
-Zacznij od samego początku -rozkazała żona,wchodząc do salonu.
- Od internatu i choroby.
Mąż machnął ręką.
- No dobrze.
Tylko nie wiem, czy się to pani na coś przyda.
Raisa Pietrowna Fiedina rodziła jednego za drugim samych synów .Ojca
nikt nigdy na oczy nie widział,dlatego wszyscy w Sielichowie nazywali ich bękartami. Wiktor był ostatnim z synów.
Po nim nastąpiła pięcioletnia przerwa, po której na świat przyszła Ksiusza. Od tej pory Raisa Pietrowna nie zaszła już więcej w ciążę.

Witia miał z dzieciństwa koszmarne wspomnienia. Zimą marzli w nieogrzewanej chałupce. Nie było pieniędzy na opał.
Ubrania donaszał po starszym rodzeństwie. Tylko dwa razy na dzień pili coś ciepłego. Matka nie pozwalała gotować więcej wody, żeby nie zużywać zbyt dużo gazu.
Odżywiali się jeszcze w miarę, ponieważ mieli swoje warzywa.
Z tym, że ich jadłospis był monotonny: ziemniaki, mleko, jajka, cebula. Na sylwestra zawsze zabijali świniaka, czasem przyrządzali kurczaki,których biegało mnóstwo po podwórku. Nie jedli jednak miejskich smakołyków.Czekoladowych cukierków, marmolady, kiełbasy i pomarańczyWitia spróbował, dopiero gdy się poważnie rozchorował. Początkowo rwały go nogi,potem ból zaczął się nasilać, aż pewnego pięknego dnia po prostu nie był w stanie wstać z łóżka.
Po miesiącu leżenia i zwijania się z bólu ubłagał w końcu matkę, żeby wezwała lekarza.
Przedtem nie chciała tego zrobić, gdyż była przekonana, że udaje,żeby nie chodzić do szkoły.
Nic dziwnego, chłopak istotnie nie przepadał za nauką i wykorzystywał każdą nadarzającą się okazję, żeby uciec z lekcji.
Starsza lekarka długo badała chłopca i jego palące żywym ogniem, nieruchome nogi, aż wreszcie surowo zapytała:
- Dlaczego nie zwróciliście się wcześniej opomoc?
Teraz to już tylko do szpitala.
- Nie ma takiej potrzeby - zamachała rękami Raisa Pietrowna.
- Lepiej niech pani zrobi mu zastrzyk.
- Pani syn ma nieprzyjemne schorzenie - przybrała posępną minę lekarka i powiedziała długie, niezrozumiałe słowo.
-Aha -zmieszała się Raisa.
- To co, umrze?
- Nie, ale zostanie inwalidą.
Będzie mógł chodzić tylko o kulach.W najlepszym wypadku o lasce.
No to - zaczęła kiwać głową Raja - niech leży w domu, skoro tak.
Bo pani pewnie chce go dać do jakiejś kliniki?
- Do Moskwy - odpowiedziała lekarka, sądząc, że podobna wiadomość ucieszy matkę.
Ale ta była wyraźnie niezadowolona.
- To już lepiej niech tu gnije.
W stolicy nikt go nie będzie odwiedzać. Bilet kosztuje majątek.
A i tak żaden z niego pożytek.

Pani doktor początkowo była z lekka zdezorientowana, jednak potem wezwała karetkę i, zagroziwszy milicją, zabrała Witię do szpitala. Chłopak miał, można powiedzieć, szczęście w nieszczęściu.
Razem z nim na sali leżało czterech zamożnych chłopaków, którym rodzice co rusz znosili jakieś smakołyki i ciekawą lekturę do czytania. Poza tym postarali się,żeby na sali był telewizor. Każdego ranka przychodzili sanitariusze i rozwozili dzieci do klas.
Pisało się w pozycji pół siedzącej na specjalnych deseczkach.
Witkowi niespodziewanie spodobała się nauka. Spędził w klinice dwa lata. Matka odwiedziła go jeden jedyny raz, przywożąc jako prezent worek jabłek -spadów.
- Tylko pamiętaj, zjedz szybko, bo inaczej się zepsują - pouczała syna.
Następnego dnia przyszedł do Witii sam ordynator, piękny jak z obrazka, siwowłosy Michaił Nikołajewicz i rozpoczął długą rozmowę o tym, że w życiu należy być dzielnym, o ciężkich próbach, na jakie są wystawiani młodzi ludzie, i prawdziwie męskim charakterze.
Z jego długiej przemowy do Witii dotarło jedynieto, że matka się go wyrzekła i po zakończeniu leczenia zostanie przeniesiony do domu dziecka.
Smutna nowina błyskawicznie rozniosła się po całym szpitalu.
Dotarła również do rodziców młodych pacjentów, leżących z Witią na jednej sali.
Chłopiec został zasypany górą prezentów.
Najcenniejszy jednak zrobił mu sam ordynator, który porozmawiał z pewną wpływową osobą z Ministerstwa Oświaty, i chłopca umieszczono nie w zwykłym sierocińcu, tylko w eksperymentalnym domu dziecka, którego dyrektorką była Olga Pietrowna Kulikowa.
Kiedy opuszczał szpital, odprowadzał go cały personel medyczny.
Michaił Nikołajewicz odwiózł go samochodem.
Co wcale nie oznacza, że nie mógł się poruszać o własnych siłach.
Na szczęście wystarczająco szybko wykryto chorobę i udało się ją zwalczyć na tyle, że chłopiec po roku zaczął już normalnie chodzić, a nawet biegać i skakać. Nie potrzebował ani laski, ani kul.
W domu dziecka wyuczył się na fryzjera, a kiedy skończył szesnaście lat, zarejestrowano go w urzędzie pracy przy Wale Simonowa i zatrudniono w salonie fryzjerskim "Rusałka".
Jak się okazało, Witia miał niezwykły talent do tego zawodu.
Z rzadkich, cienkich włosów potrafił stworzyć prawdziwe arcydzieło. Jego fryzury zaskakiwały pięknem i stylem.

Po pół roku klienci walili drzwiami i oknami.
Został zaproszony do Czarodziejki".
Później zainteresowali się nim aktorzy. Witia zaczął nazywać siebie stylistą. Otworzył własną działalność, kupił mieszkanie, samochód, ożenił się. Szczyt kariery zawodowej osiągnął pięć lat temu,kiedy to na międzynarodowym konkursie fryzjerskim we Francji otrzymał główną nagrodę, tzw. Złote Nożyce.
Od tamtego sukcesu stał się ulubieńcem wszystkich reporterów i pismaków. W szczególności kobiet.
Pod pretekstem przeprowadzenia wywiadu pakowały się na fotel,żeby zrobić się na bóstwo.
A Witia, trzaskając nożycami i zręcznie manipulując grzebieniem i szczotką, tworzył wymyślne fryzury i jednocześnie opowiadał o sobie.
Cztery lata temu zimą odpoczywał w domu po pracowitym dniu.
Oglądał telewizję. Z zadumy wyrwał go natarczywy dzwonek u drzwi.
Klnąc pod nosem, otworzył i stanął jak wryty.
Na progu z uśmiechem na twarzy i utytłaną w błocie reklamówką w ręce stała Raisa Pietrowna.
- Nie poznałeś własnej matki? - zapytała.
-Wielki pan się z ciebie zrobił, odkąd się wzbogaciłeś.
Już zupełnie zapomniałeś o rodzinie.
Witia, który za swoją matkę uważał kierowniczkę domu dziecka,Olgę Pietrowną, skrzywił się, ale zaprosił ją do środka:
-Wejdź.
Raisa prześliznęła się do przedpokoju, zdjęła śniegowce i wyświechtany
płaszcz, po czym zaczęła się użalać: Żyjemy w strasznej nędzy.
A ty jesteś bogaty, że aż strach. Jakie meble i obrazy! Podłoga aż błyszczy! Skargom nie było końca: dach przecieka, krowa zdechła, drewna na opał zabrakło.
- Ile?
- zapytał Witia, zdając sobie sprawę, że inaczej nie uda mu się Pozbyć natręta.
A ile mógłbyś?
- odpowiedziała pytaniem na pytanie.
Była zbyt przebiegła, żeby sama podać kwotę.
Bała się, że da mniej niż ona zaproponuje.
Witia wyciągnął portfel, odliczył kilka banknotów i wsunął Raisie w dłoń. Ta szybko owinęła pieniądze w chustkędo nosa i zaczęła

opowiadać o złym stanie zdrowia.
Chłopak potwornie się umęczył jej wizytą.
Po dziesięciu dniach zjawił się kolejny gość.
Tym razem przyjechał starszy brat, Wasyl, który wystroił się na wyjazd do miasta w elegancki dwurzędowy garnitur z obszarpanymi rękawami.
- Siemka, brat!
- zaczął krzyczeć od progu, usiłując objąć Witię.
-Kopę lat!
Wypijmy za spotkanie!
Po tych słowach wyciągnął z kieszeni butelkę najtańszej wódki.
Nie było wyjścia, musiał zaprosić brata do kuchni i wyłożyć na stół poczęstunek. Sam nie znosił alkoholu,wypił jedynie symboliczny kieliszek obrzydliwie cuchnącej gorzały, całą resztę wyżłoptał Wasyl.
Jak wszyscy alkoholicy z miejsca się upił i przestał zachowywać jak normalny człowiek.
Rano Taisa zawołała męża do łazienki.
Kiedy wszedł, aż jęknął na widok tego, co tam zobaczył.
Kochany brat,widząc po raz pierwszy bidet,użył go jako sedesu.
- Nie mam zamiaru wynosić po nim gówna - rzuciła nerwowo żona,po czym wcisnęła mężowi szmatę.
- Twoja rodzina,ty sprzątasz!
Od brata udało się uwolnić dopiero po poświęceniu kolejnych banknotów.
Jednak nie było się co łudzić, że"wędrówka ludów" dobiegła końca.
Co to, to nie!
Od tego czasu "ukochani" krewni bez przerwy pojawiali się w Moskwie ze skargami i prośbami. Taisa znosiła to w milczeniu. Jednak do czasu. Pewnego razu, wiosną, kiedy Raisa Pietrowna po raz kolejny zjawiła się w mieście, aby wyciągnąć pieniądze, synowa nie wytrzymała.
Miarka się przebrała.
Wyrzuciła na schody reklamówkę ze zgniłymi jabłkami i zaczęła krzyczeć:
- Pani się go oficjalnie wyrzekła, więc nie jest już pani jego matką! Wynocha stąd!
Precz mi z oczu, przeklęta żebraczko!
- Tylko cicho - zamachała rękami teściowa.
- Po co te krzyki?

Daj parę groszy na chleb.
Taisa jednak rozzłościła się nie na żarty.
Złapała babkę za kołnierz i wykopała za drzwi.
Nie bała się reakcji Wiktora, ponieważ wyjechał do Budapesztu na konkurs fryzjerski i nie mógł obronić matki.
Po tym incydencie wizyty ustały, za to w ruch poszły listy.
Taisa wstawała wcześnie rano, żeby wyprowadzić psa, i niejednokrotnie wyjmowała ze skrzynki pocztowej pomięte koperty.
Listy momentalnie trafiały do śmietnika, zanim zdążył je zobaczyć Wiktor. Żona nie chciała go denerwować.
Wkrótce potok korespondencji ustał i Taisa nieco się uspokoiła. Ponownie zdenerwowała się kilka lat temu w listopadzie.
Pewnego razu przyszła z pracy i zastała w kuchni Witię z młodą dziewczyną.
- To jest moja siostra,Ksiusza - wyjaśnił.
- Dostała się na Akademię Ekonomiczną i zajrzała na chwilę.
Obrzuciła krewną badawczym spojrzeniem.
Studentka nie wyglądała na alkoholiczkę. Ubrana była bardzo skromnie. Przeraźliwa chudość bezsprzecznie świadczyła o niedożywieniu. Odczekawszy, aż Wiktor wyjdzie na schody zapalić, Taisa zapytała ostro:
- Pewnie potrzeba ci pieniędzy?
-No, prawdę mówiąc, tak - speszyła się Ksiusza.
Ale chcę tylko pożyczyć.
Zarobię i oddam.
Kobieta dała jej kasę, po czym oświadczyła:
- Weź, ale pamiętaj, więcej się tu nie pokazuj.
Witia nie będzie pomagał jakimś bezwstydnym, obdartym cyganom. Najpierw go porzuciliście w szpitalu, potem oddaliście do domu dziecka, a teraz nagle zwietrzyliście łatwy zarobek, krwiopijcy!
Ksiusza wstała bez słowa i wyszła. Pieniądze zostawiła na stole.
Od tamtej pory Taisa już jej więcej nie widziała.
Wiktor natomiast spotkał się z nią przypadkiem jakieś półtora roku temu, kiedy niemal siłą zaciągnięto go na prezentację nowego albumu Alisy Son.
Była j edną z j ego stałych klientek.
Kapryśną i bardzo rozwydrzoną, ale przy kasie,więc nie wypadało odmawiać. Pierwszą osobą, którą ujrzał po wejściu na salę, był znany producent, Fiodor Burlewski, w towarzystwie młodej damy.

Dziewczyna ubrana była w elegancką wieczorową suknię.
Drogą, ale pozbawioną smaku. Twarz pokrywała gruba warstwa makijażu. Czyjeś wprawne ręce stworzyły nieziemską fryzurę, a na nosie siedziały okulary z przyciemnianymi szkłami.
Wiktor był w najwyższym stopniu zdumiony, kiedy usłyszał, że dziewczyna nazywa się Ksiusza Fiedina.
Zaczął ukradkiem ją obserwować, zastanawiając się, czy to jego siostra, czy to tylko zwykła zbieżność imion i nazwisk.
Wiek się zgadzał.
Pozostawała jedynie kwestia wyglądu: inny kolor włosów,no i ta tapeta na twarzy.
Jako fryzjer doskonale zdawał sobie sprawę, że uczesanie można zmienić w pół godziny. Przez cały wieczór gubił się w domysłach.
Mógł po prostu zapytać, ale się krępował. Nie znał zbyt dobrze Burlewskiego, a poza tym Ksiusza do wszystkich jednakowo się uśmiechała.
Nie było widać żadnej zmiany na jej twarzy, gdy zwracała ją w stronę stylisty.
W końcu, kiedy zdobył się wreszcie, żeby do niej podejść i zagadnąć,usłyszał wołanie Burlewskiego:
- Kochanie, Ksieniu, na nas już czas!
Dziewczyna obdarzyła towarzystwo promiennym uśmiechem.
Wiktor odruchowo odnotował fakt, że przedtem brzydkie, nierówne, żółte zęby siostry teraz cieszą oko cudowną bielą.
W jej hollywoodzki uśmiech została zainwestowana niebagatelna suma.
- To było wasze ostatnie spotkanie?
- zapytałam, kiedy Wiktor skończył swoje opowiadanie.
- Tak - skinął głową.
- Od tamtego czasu nie widzieliśmy się już ani razu.
- I dzięki Bogu - wtrąciła Taisa.
- Tacy krewni są nam niepotrzebni.
Bez różnicy: czy bogaci, czy biedni. Jednakowo podli.
Gdzie byli, pytam się, kiedyWitiusza gnił w szpitalu, a potem w sierocińcu płakał po nocach? Nikt się nie zjawił. Nie dał najmniejszego prezentu. Wykreślili goz życia, i tyle.
- Ale trzeba wziąć pod uwagę, że Ksiusza była jeszcze wtedy zupełnie mała -usiłował stanąć w obronie siostry.
-Ale zaradna- nie dawała za wygraną Taisa.

- Jak były jej potrzebne pieniądze,to wiedziała, do kogo się zwrócić.
Do domu wracałam przygnębiona.
Cała ta wizyta wprawiła mnie w podły nastrój.
Jacy bezlitośni potrafią być krewni. Rodzeństwo jest w stanie pokłócić się na śmierć i życie przy podziale majątku po rodzicach.
Bliskie osoby porzucają się w ciężkich chwilach.
Wystarczy tylko przypomnieć sobie, jak żona i córka postąpiły wobec Olega Pisiemskiego,kiedy ten trafił do więzienia.
Z lekkim sercem i bez najmniejszych skrupułów wyparły się męża i ojca. Nic więc dziwnego,że teraz, kiedy odbił się od dna, nie chce mieć nic wspólnego z taką rodziną.
W pamięci stanął mi obraz mojego własnego eks-małżonka.
Żeby pozbyć się przykrych wspomnień, kupiłam nowy kryminał Daszkowej i bez reszty pogrążyłam się w pasjonującej lekturze.

Rozdział 11

W domu nikogo nie było.
Na lodówce wisiała kartka: „Lampa, pojechaliśmy po prezenty". Na dole ktoś dopisał innym charakterem pisma: „Mama została wezwana do szpitala".
Jasne. Święta za pasem i trzeba wreszcie pomyśleć o prezentach. Dobrze byłoby, gdybym również włączyła się w wir przedświątecznych przygotowań.
Mamy zamiar zebrać się w wąskim rodzinnym gronie. Pewnie odwiedzi nas Wołodia. Poza tym nikogo się nie spodziewamy.
Trzeba tu wreszcie posprzątać.
Pełna entuzjazmu wskoczyłam w stary dres Sierioży i zabrałam się do ścierania kurzu w kuchni. Zaczęłam ostrożnie zdejmować wszystkie figurki i przedmioty, które stały na półkach. Katia zbiera naczynia wykorzystywane podczas ceremonii picia herbaty.
Biało-błękitnymi posążkami, imbryczkami, cukiernicami, miodownicami i filiżankami obstawiła już pół kuchni. Nie pozwala jednak ich używać.
Dlatego pokaźna kolekcja stopniowo pokrywa się grubą warstwą kurzu i tłustego nalotu.
Już od dawna świerzbiły mnie ręce, żeby je oczyścić z brudu, jednak za każdym razem, kiedy się do tego zabierałam, Katia krzyczała jak nienormalna: Nie dotykaj, bo jeszcze zbijesz! Sama umyję.
Ponieważ jednak cierpi na chroniczny brak czasu, do tej pory nie zdążyła tego zrobić.
A dzisiaj mamy taki piękny dzień, że aż chce się zabrać do robienia porządków.
Szybko sprzykrzyło mi się noszenie do łazienki po jednym małych czajniczków i filiżanek.
Wzięłam więc poszewkę i zaczęłam w nią delikatnie wkładać naczynia. Miałam zamiar przenieść je wszystkie za jednym razem.
Nagle za plecami usłyszałam głos:
- Ręce do góry, nędzna kreaturo! Złaź ze stołka, migiem!
Z zaskoczenia wypuściłam trzymany w rękach samowar, który z

głośnym hukiem upadł na podłogę i roztrzaskał się w drobny mak.
W drzwiach stała grupa milicjantów.
Ich ponure facjaty nie wróżyły niczego dobrego.
- Kim jesteście? - wymamrotałam, usiłując nie spaść z koślawego i niebezpiecznie chwiejącego się taboretu. - I co tutaj robicie?
- Jeszcze się stawia. Patrzcie ją - burknął jeden.
- Masz pecha. Wpadłaś - dodał drugi. - Mieszkanie jest pod stałą obserwacją. Jedziemy na komisariat.
- Ojej - westchnęłam - wszystko w porządku, panowie. Mieszkam tu, tylko po powrocie do domu zapomniałam wyłączyć alarm.
- A po co pani wkłada naczynia do worka? - zainteresował się dziobaty rudzielec.
- Chciałam je umyć w łazience.
- No tak, umyć - natrząsał się ciamajdowaty grubas. - Że też jest panina tyle głupia, żeby takie piękne i kosztowne przedmioty przenosić do łazienki w worku.
- Poproszę pani dowód osobisty - zażądał rudzielec.
- Widzicie panowie, chwilowo nie posiadam.
- Tak? A to dlaczego? - zapytał drwiąco tłuścioch. - Trzymamy dokumenty w domu?
- Rozwiodłam się i złożyłam podanie o wymianę dowodu. Przy okazji oddałam też stary.
- Imię, imię ojca, nazwisko - rzekł rudy.
- Eulampia Andriejewna Romanowa.
Gliniarz chwycił komórkę i polecił:
- Sprawdźcie mi szybko niejaką Eulampię.
- Proszę poczekać, momencik! - krzyknęłam. - W dowodzie mam Eufrozyna.
- To jakieś wariactwo! - uniósł się spaślak. - Masz nas za kompletnych kretynów? Stoisz w kuchni z workiem napakowanym drogimi naczyniami, nie posiadasz żadnego dokumentu tożsamości i nie pamiętasz jak masz na imię? Złaź ze stołka, pókim dobry!
Westchnąwszy, zeszłam z taboretu i posłusznie pozwoliłam się zaprowadzić do radiowozu.
Wkrótce zjawi się Katia z dzieciakami i nieporozumienie się wyjaśni. Tak czy inaczej, nikt mi teraz nie uwierzy na słowo. Mimo że mówię szczerą prawdę.
Niedawno Sierioża przyniósł francuską komedię i śmialiśmy się wszyscy do rozpuku, śledząc perypetie głównego bohatera.

Spodziewał się wieczorem gości i chciał przyrządzić jakąś smaczną potrawę. Wstawił do piekarnika kaczkę, nastawił minutnik na wpół do ósmej i pojechał do sklepu po wino. Jak na złość z pobliskiego cyrku uciekł słoń i usiadł na dachu jego samochodu, posiedział przez chwilę, po czym pobiegł dalej. Chłopak natomiast pozostał w uszkodzonym aucie, czekając na pomoc drogową. Po chwili zjawili się ratownicy wyciągnęli pechowca i zapytali:
- Jak pan roztrzaskał samochód?
Kierowca odpowiedział spokojnie:
- Usiadł mi na dachu słoń.
Historia rozgrywała się w centrum Paryża. Ratownicy natychmiast wezwali psychiatrę.
Biedny chłopak bronił się, tłumacząc:
- Puśćcie mnie, zaraz mi się kaczka spali!
Jednak nikt mu nie uwierzył, a przecież mówił świętą prawdę. I słoń usiadł, i kaczka się paliła.
Na komisariacie wepchnięto mnie do pustej celi.
Czas ciągnął się w nieskończoność, aż wreszcie na końcu korytarza rozległ się rozdrażniony głos Katii:
- Natychmiast oddajcie nam naszą Lampę!
- Nie wzięliśmy od pani żadnej lampy - odpowiedział zdezorientowany milicjant.
- Eulampię macie wypuścić. Migiem! - rozkazała Katia.
- Ale ona nie miała dokumentów. Stała pośrodku mieszkania w brudnej koszulce z workiem naczyń w ręce. A na dodatek nie wyłączyła alarmu - usprawiedliwiał się ktoś, pobrzękując kluczami.
- To skandal! - wykrzykiwała Katia. - Pana zdaniem w kuchni powinno się paradować w sukni balowej?
- No ale przecież nie miała dokumentów - głos próbował dowieść swojej racji.
Drzwi się otworzyły i Katia wleciała do pomieszczenia jak burza.
Zobaczywszy mnie siedzącą w kącie na podłodze, zamachała ze złości rękami:
- Co za świnie! Nawet krzesła nie dali! Jak można trzymać ludzi w takich warunkach? Smród, brud i ubóstwo!
Stojący obok milicjant chrząknął zmieszany i już się nie odezwał.
Wstałam z podłogi, ciężko stękając, i spróbowałam załagodzić sytuację:
- Już się tak nie gorączkuj. Wykonywali tylko swój obowiązek. A

gdybym naprawdę była złodziejką?
- Jesteś przesadnie dobra - mruknęła Katia, ciągnąc mnie korytarzem za rękę.
Obok dyżurki zwolniła i zażądała:
- Natychmiast proszę nam podstawić samochód! Ściągnęliście tu Bogu ducha winną osobę w samej cieniutkiej koszuli! Jak ona teraz wróci do domu? Ma wyjść w takim stanie na mróz? Goła?
Dyżurny podniósł głowę i grzecznie odpowiedział:
- Ja nikogo nie przywoziłem, a poza tym w tej chwili nie ma wolnych radiowozów.
- Co za tupet! - Katia kipiała ze złości.
- Lepiej złap taksówkę - zaproponowałam - a ja tutaj zaczekam.
Wyskoczyła na dwór, trzasnąwszy przy tym drzwiami tak mocno, że aż z sufitu posypał się tynk.
Do korytarza wpadł grudniowy wiatr.
Skuliłam się z zimna i poprosiłam dyżurnego:
- Jak koleżanka wróci, proszę jej powiedzieć, że siedzę na tych krzesłach obok tamtego pomieszczenia, bo tu strasznie wieje.
Lejtnant skinął głową.
Przeniosłam się w głąb korytarza i ulokowałam na twardym, okropnie niewygodnym siedzeniu.
Też już powoli robiłam się zła. Nie cierpię tak bezczynnie sterczeć w jednym miejscu.
Nagle korytarzem ze strasznym tupotem przebiegła grupa milicjantów.
Wpadli do pomieszczenia, przed którym siedziałam.
Po chwili rozległy się krzyki i odgłosy szarpaniny.
Nie zdążyłam się nawet na dobre przestraszyć, kiedy drzwi otworzyły się z wielkim hukiem i gliniarze wywlekli na korytarz chłopaka.
Na twarzy miał krwawe otarcia. Z rozciętej wargi sączyła się krew. Zapierał się nogami ze wszystkich sił i wołał:
- Puśćcie, łajzy! Dranie! Mendy! Cholerne gliny! Nikogo nie zabiłem!
Eskorta, ciężko dysząc, próbowała poradzić sobie z zatrzymanym, jednak ten mimo niepozornego wyglądu okazał się nadzwyczaj silny i zwinny. Niczym wąż wywijał się z ich rąk i bez ustanku wrzeszczał:
- Nie zabiłem! Nie zabiłem!
Skierował wzrok na mnie i jego krzyk przemienił się w pisk:
- Proszę jak najszybciej zawiadomić mojego ojca, Teodora Burlewskiego! Pastwią się nade mną! Znęcają! Niech pani spojrzy, co

mi zrobili! Numer do ojca...
Zaczął wykrzykiwać cyfry.
Jeden z milicjantów kopnął go boleśnie.
- Jak pan śmie go bić? - oburzyłam się.
Jednak gliniarze nie zwrócili na mnie uwagi - Na pomoc podbiegło do nich kilku cywili, obezwładnili szlochającego chłopaka i pociągnęli w głąb komisariatu.
W oddali rozległ się zgrzyt zamka.
Spojrzałam na krwistoczerwone krople odznaczające się na jasnym linoleum.
- Nieprzyjemna scena - usłyszałam głos.
Obok gabinetu stał mężczyzna w wieku lat czterdziestu.
Ten sam, który wypuszczał mnie z celi.
- Mało powiedziane - westchnęłam ze smutkiem. - Ale tu u was porządki panują, nie ma co. Aresztujecie niewinną kobietę. Poturbowaliście zatrzymanego.
Mężczyzna usiadł obok mnie i wyciągnął papierosy.
- Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli zapalę?
A niech mnie, jaki dżentelmen!
Skinęłam przyzwalająco.
- Jestem Ilja Nikołajewicz - przedstawił się.
- Bardzo mi miło, Eulampia Andriejewna.
- Tak więc, szanowna pani Eulampio Andriejewna, nikt pani nie aresztował.
- Jak to nie?
- Została pani jedynie zatrzymana do czasu ustalenia tożsamości. Niech pani przyjmie moje szczere przeprosiny. Proszę mi jednak wierzyć, funkcjonariusze działali w dobrej wierze.
Dobrze przynajmniej, że mnie nie pobili, Jak tego „biedaka".
- Po pierwsze, on nie jest zwykłym podejrzanym, tylko oskarżonym
O dokonanie zabójstwa - wyjaśnił Ilja Nikołajewicz. - Pozbawił życia młodą kobietę. To było morderstwo ze szczególnym okrucieństwem. Poderżnął gardło jak kurczakowi. A po drugie, nikt go nie bił. Sam się uderzył gębą o stół. Pijany był. Nic nie pamięta!
Uśmiechnęłam się.
Historia o „żonie oficera, która sama się wychłostała", była mi dobrze znana z dzieciństwa.
- On naprawdę jest synem Burlewskiego?
- Niestety, tak - westchnął Ilja Nikołajewicz.

- Lampa. - zawołała Katia. - Taryfa już czeka!
Pobiegłam do niej, w kółko powtarzając w myślach numer telefonu, który podał mi chłopak.
W domu szybko zdjęłam zalatującą jakimś kwasem koszulkę i nałożyłam szlafrok, po czym udałam się do kuchni.
Siedziała tam tęgawa dziewczyna z pięknymi jasnymi włosami. Piła herbatę.
- Poznaj, proszę - powiedziała Katia - to jest Walentyna. W skrócie Tina. Pomieszka u nas tydzień lub dwa.
Tina podniosła na mnie duże piwne oczy i uśmiechnęła się przyjaźnie.
Zazwyczaj uśmiechnięty człowiek staje się ładniejszy. Dziewczynie jednak z uśmiechem było wyraźnie nie do twarzy. Wyglądała jak wykrzywiona hiena.
Pucołowate policzki, cienkie wargi i dość duże uszy.
Od razu mi się nie spodobała.
Ciekawe, co to za jedna?
W celu poznania szczegółów poszłam do dzieci do sypialni i zapytałam Julkę:
- Kogo to znów przywiało do naszego brzegu?
Odparła z westchnieniem:
- Pojęcia nie mam! Katia ją przyprowadziła.
Bliższe informacje uzyskaliśmy dopiero koło północy, kiedy dziewczyna poszła wreszcie spać.
- Tina przyjechała do Moskwy z Kaszyńska, żeby zarobić - zaczęła wyjaśniać sytuację Katia. - Miała pomagać przy remontach, ale niespodziewanie źle się poczuła.
- Ona jest z branży budowlanej? - zainteresowała się Julia.
- Nie, jest nauczycielką w klasach młodszych, tylko że w Kaszyńsku jest przeraźliwe bezrobocie, dlatego koleżanki załatwiły jej tapetowanie.
- Dziwne - wtrącił Sierioża - skoro chora, to po co przyjechała?
- Wcześniej nie wiedziała o chorobie. Pierwszy atak nastąpił dopiero w Moskwie. Pomogliśmy jej, ale teraz nie ma gdzie się podziać. Koleżanki też wyjechały, a żadnych krewnych ani znajomych tu nie ma.
- To niech wraca do domu. Zasponsorujemy jej bilet - odezwał się Kiriuszka.
- Idź lepiej spać - zdenerwowała się Julia.
- Oczywiście, że kupimy - potwierdziła Katia. - Tylko na razie jest

jeszcze za słaba, żeby wyruszyć w drogę. Niech pomieszka u nas z tydzień.
- Cała Katia - prychnęła Julia. - Mam nadzieję, że biedaczka nie zatrzyma się u nas dłużej niż na rok, jak babcia Mania, którą też przygarnęłaś z litości na parę dni.
- A pamiętacie Zinę, która przy śniadaniu głośno bekała i nie spuszczała wody w toalecie? - przypomniał Sierioża.
- A Natalię! - zachichotał Kiriuszka. - Pamiętacie Natalię?
- Jak byśmy mogli ją zapomnieć? - mruknęła Julka. - Biegała po przedpokoju w samej podomce, która sięgała jej do pupy i świeciła przed Sieriożą gołym tyłkiem!
Siedziałam w milczeniu.
Nawiasem mówiąc, mnie Katia również zgarnęła z ulicy, kiedy rzuciłam się pod jej wóz, usiłując popełnić samobójstwo.
Nie mam więc żadnego prawa osądzać innych.
Chociaż, szczerze mówiąc, otyła, a nawet powiedziałabym gruba, Walentyna z doklejonym przymilnym uśmiechem wcale a wcale mi się nie podoba.
W poniedziałek, kiedy już wszyscy opuścili dom, zajrzałam do jej pokoju.
Spała sobie w najlepsze, wysunąwszy spod kołdry niegrzeszącą czystością stopę.
W kuchni było ciepło. Psy i koty przepychały się przy kuchence w oczekiwaniu na śniadanie.
Szybko je nakarmiłam, po czym spojrzałam na zegarek.
Dochodziła dziewiąta.
Rozchwytywany producent pewnie najspokojniej w świecie przewraca się w łóżku na drugi bok.
No ale cóż robić, będę zmuszona wyrwać go ze snu.
W słuchawce niespodziewanie usłyszałam rześki głos:
- Halo.
- Pan Burlewski?
- Tak, to ja.
- Mam dla pana wiadomość.
- Od syna.
- Słucham.
- Wolałabym przekazać osobiście, a nie przez telefon.
- Proszę wiec przyjechać. Zaułek Orlika. Zdąży pani przed jedenastą?
- Tak, na pewno zdążę.

Burlewski rozłączył się bez słowa pożegnania, a ja pobiegłam się ubrać. Następnie weszłam do kuchni, omiotłam spojrzeniem stertę brudnych naczyń, po czym zostawiłam na stole kartkę: „Walentyno, bądź tak miła i tu posprzątaj!"
Zaułek Orlika znajdowała się niedaleko stacji metra. Za dawnych czasów nosiła nazwę - Lermontowska.
Nie wiedzieć dlaczego nasz wielki poeta podpadł nowym władzom, które przemianowały stację na Krasnyje Worota.
Błąkałam się trochę po krętych moskiewskich uliczkach i niespodziewanie znalazłam odpowiedni budynek.
Był to ogromny dom, wybudowany na początku XX wieku. Klatka schodowa była niesłychanie piękna. Od samych drzwi wejściowych przez cały korytarz aż do szerokich marmurowych schodów ciągnęła się czerwona wykładzina. U ich podnóża stała wysoka palma.
Z boku ujrzałam stół, przy którym siedział nienagannie ubrany chłopak. Szary garnitur, jasna koszula z odpowiednio zawiązanym krawatem. Na klapie marynarki widniał znaczek firmowy „FB".
Wygląda na to, że podał mi adres swojego biura, a nie mieszkania.
- Pani do kogo? - głos stróża był grzeczny, jednak dało się w nim słyszeć nutkę podejrzliwego zainteresowania.
- Umówiłam się z panem Burlewskim.
- Ach, tak - pokiwał głową. - Pierwsze piętro, pokój 24.
Podreptałam na górę, zostawiając po sobie brudne ślady.
Na pierwszym piętrze również leżała wykładzina. Na szczęście całe błoto zostawiłam już na schodach, więc jasnozielony kolor pozostał czysty.
Pokój numer dwadzieścia cztery okazał się ogromnym pomieszczeniem. Całą jedną ścianę zajmowały zdjęcia artystów estradowych z autografami i zapewnieniami o wiecznej przyjaźni.
Odruchowo zaczęłam je czytać.
- Proszę nie wierzyć ani jednemu słowu - rozległ się nagle głęboki bas.
- Obiecują miłość aż po grób, a wystarczy, że powinie się noga, natychmiast przyduszą do ziemi, żeby szybciej człowieka wykończyć.
- Widzę, że darzy ich pan ogromną sympatią.
- Lepiej nie mówić - prychnął. - Dla pani pewnie takie kwiatki to rzadkość. Przysłali panią z komisariatu?
- Nie - zaprzeczyłam.
- To gdzie spotkała pani mojego syna?
- Bardzo prosił pana o pomoc!

- Mógł wcześniej pomyśleć - zdenerwowany Fiodor zaczął bębnić palcami po blacie stołu.
- Twierdzi, że nie zabił Zajcewej.
- Jak zwykle był pijany - uciął. - Chlał wódę wiadrami. A kiedy go prosiłem, żeby się opamiętał i zwrócił o pomoc do jakiegoś specjalisty, tylko się głupkowato uśmiechał i mówił: „Nie wtrącaj się do moich spraw, tatusiu. Nie jestem już dzieckiem. Sam sobie poradzę". To niech teraz kombinuje, jak chce.
- Okropnie go tam traktują. Strasznie go pobili - powiedziałam cicho.
- Miał całą twarz posiniaczoną, rozciętą wargę.
Burlewski zaczerwienił się i ostro zapytał:
- Skąd pani zna takie szczegóły? Gdzie pani widziała mojego syna?
Przez chwilę wahałam się z odpowiedzią.
Nie mogłam przecież powiedzieć, że zostałam aresztowana, a później mnie wypuścili!
- Pracuję jako prywatny detektyw i przyszłam akurat na komisariat w związku ze sprawą jednego z moich klientów. I widziałam, jak wlekli Antona po korytarzu. Był cały zakrwawiony. Zdążył wykrzyknąć j edynie pański numer telefonu.
- Rozumiem - Fiodor jeszcze bardziej sposępniał i zaczął gapić się w okno.
Dyskretnie mu się przyjrzałam. Nie mogłam uwierzyć, że ma już dorosłego syna. W życiu nie dałabym mu więcej niż trzydzieści lat. Jednak doskonale wiedziałam, że to nieprawda, bo nie tak dawno wszystkie brukowce rozpisywały się na ten temat. Głośno było o tym, z jaką pompą obchodził swoje pięćdziesiąte urodziny.
- Ile jestem pani winien? - ocknął się z zamyślenia.
- Nic.
- Jak to nic? - zrobił wielkie oczy.
- Zwyczajnie. Dla mnie to żaden problem. Przecież tylko przekazałam informację. Niech pan wynajmie adwokata i nie porzuca chłopaka w nieszczęściu. Nawet jeśli jest winny, to przecież pański syn.
- Podobno. W każdym razie jego matka tak twierdziła - westchnął. -Ale jak mógłbym się pani odwdzięczyć? Nie lubię być dłużnikiem.
- Jeśli chce się pan odwdzięczyć, to proszę odpowiedzieć na kilka pytań.
- Tylko nie na temat dochodów - uśmiechnął się ironicznie.
- Co pan może powiedzieć o Ksieni Fiedinej?
- Fiedina, Fiedina. - powtórzył pod nosem. - A co ona robi? Śpiewa?

Tańczy?
- Nie. Studiuje na Akademii Ekonomicznej. Parę lat temu bawił się pan w jej towarzystwie na prezentacji u Alisy Son. Ksienia zjawiła się na bankiecie w charakterze pana partnerki. Proszę spojrzeć.
To mówiąc, podsunęłam mu pod nos zdjęcia, w które wyposażył mnie Pisiemski.
- Niezła laska - pochwalił. - Ale jakoś nie pamiętam.
- Może jednak pan sobie przypomni? Zajrzy do notesu z adresami?
- Nie ma takiej potrzeby - oświadczył spokojnie. - Nie znam jej.
- Ale przecież ta pani była z panem na imprezie. W nocy.
- O Matko Najświętsza - westchnął. - Takiego podlotka nazywać panią? Śmiech bierze. A w ogóle, dlaczego się nią pani interesuje?
- Jest żoną bogatego, szanowanego biznesmena. Niedawno zaginęła. Prowadzę jej poszukiwania. Dotarła do mnie informacja, że był pan z nią w bliskich stosunkach.
- Nie - pokręcił głową - nie byłem. No dobrze, opowiem pani o całej sytuacji.
Fiodor kilka lat temu rozwiódł się z żoną, Swietłaną. Już od dłuższego czasu ich relacje były oziębłe i żona nie towarzyszyła mu podczas bankietów, na które był zapraszany. Jeszcze do niedawna pracował jako akordeonista w restauracji. Bawił podpitych klientów.
Wielkiego zarobku z tego nie było, więc małżonkowie z trudem wiązali koniec z końcem. Potem zaczęła się pieriestrojka i Burlewski odbił się od dna. W ciągu roku z ubogiego muzyka zamienił się we wpływowego showmana.
Teraz kobiety: piosenkarki, tancerki, dziennikarki - po prostu padały mu do stóp.
Jednak on doskonale zdawał sobie sprawę, że lecą nie na niego, tylko na jego kasę.
Kilkakrotnie spławił najbardziej natrętne baby.
W muzycznym światku momentalnie rozniosła się plotka, że Burlewski jest gejem. Baby się od niego odczepiły, za to zaczęli go nachodzić faceci z grupy baletowej w niemożliwie obcisłych skórzanych spodniach.
Musiał więc niezwłocznie nawiązać romans z jakąś młodą dziewczyną. Trafiło na mało komu jeszcze wtedy znaną Alisę Son.
Na samo wspomnienie o tych kilku miesiącach związku z piosenkarką Fiodorowi przechodzą ciarki po całym ciele.
Bez przerwy robiła mu awantury i rzucała talerzami. Musiał znosić jej

nieustanne kaprysy i bezczelną pewność siebie.
Ta przeciętna piosenkareczka była święcie przekonana o swoim talencie i uważała, że Burlewski ma po prostu obowiązek zrobić z niej gwiazdę.
Producent w końcu nie wytrzymał i zaczął się spotykać z modelką -Natalią. Ale trafił z deszczu pod rynnę.
Pozbawiona głosu Natalia natychmiast zapragnęła znaleźć się na estradzie i zażądała od niego nagrania płyty i zorganizowania trasy koncertowej po Rosji.
Kolejna była Ola, potem Nastia i Masza.
Zmieniały się tylko imiona. Charakter i żądania kobiet pozostawały niezmienne. Każda kolejna stanowiła dokładną kopię poprzedniczki.
W końcu Burlewskiego zmęczył taki styl życia i wszystkie te zabiegi o względy rozpieszczonych, żądnych kariery kobiet. Stwierdził, że woli już być uważany za pedała albo kierownicę, jak kto woli.
Wszystko jedno.
Widocznie w sferach, w których się obracał, nie ma normalnych kobiet. I nie miał zielonego pojęcia, gdzie mógłby taką znaleźć.
Przecież nie zniży się do zatrzymywania samochodów, prowadzonych przez kobiety, ani nie będzie zaczepiał ich na ulicy.
Zaczęła się fala plotek.
Codziennie mógł poczytać o sobie w gazetach przeróżne podłe opinie. Byłe kochanki nie przebierały w słowach. Nazywały go jednocześnie gejem, impotentem i obrzydliwym babiarzem. Po jakimś czasie plotkowano, że złapał od kogoś AIDS i dlatego unika kobiet.
Zupełnie niespodziewanie z pomocą przyszedł mu stary przyjaciel, bankier Suchow.
- Dlaczego znów bez laski? - zapytał Burlewskiego na którejś z wieczornych imprez.
- Nie wszyscy mogą tak jak ty za każdym razem prowadzać się z inną panną - odgryzł się Fiodor. - Swieta z zasady nigdzie nie wychodzi.
Suchow zaczął się śmiać.
- Wiesz co, Fiedek, powiem ci coś jak przyjaciel przyjacielowi. Mam gdzieś wszystkie baby. Nawet wiagra mi nie pomaga. Orgazm mam na samą myśl o zyskach w swoich interesach. I tylko wtedy. A kobiety - niech się gonią! Jednak, żeby opędzić się od tych polujących na bogatych facetów i nie stracić renomy, załatwiłem sobie Anię. I tobie radzę zrobić podobnie!
- Nie rozumiem - mruknął Fiodor. - Ta Ania to tak bezinteresownie

się z tobą spotyka? Nie chce nic w zamian?
- Nie - roześmiał się Suchow. - Jedynie wynagrodzenie za pracę. Bierze sto dolarów. No i coś do zjedzenia. Czasami daję jej też jakiś drobny upominek. Ale poza tym jest bezproblemowa. Zawsze w dobrym nastroju, szczebiocze i wie, gdzie jest jej miejsce. Można ją tłuc i nie piśnie ani słówka. Chcę ją - dzwonię, nie chcę - spadówa. Tam jest spory wybór! Dla każdego według gustu. Blondynki, brunetki, przy kości, szkielety...
- Gdzie „tam"? - zapytał.
- W agencji „Laura" - wyjaśnił Suchow. - Jeśli chcesz, dam ci numer telefonu.
Producent skorzystał z rady przyjaciela i od tamtej pory był niezmiernie zadowolony. Teraz pojawiał się co rusz z nową dziewczyną. Plotki o AIDS i odmiennej orientacji seksualnej ustały jak ręką odjął. Ksiusze poznał więc pewnie w agencji, ale nie może za to ręczyć. Nie pamiętam ich wszystkich. Z usług jednej dziewczyny korzystał najwyżej trzy tygodnie. Potem się jej pozbywał i brał kolejną. Uważał, że nie należy spotykać się dłużej niż miesiąc, żeby się nie przyzwyczajać.

Rozdział 12

Niewiele myśląc, udałam się do „Laury". Agencja mieściła się w bardzo prestiżowym miejscu. Na Nowym Arbacie, w jednym z wieżowców. Obok wejścia wszystkimi kolorami tęczy mienił się ogromny szyld. Hol zadziwiał swym pięknem. Czego tam nie było! Akwaria z rybkami, fontanny, rozłożyste palmy, lśniący laminat i wprost niespotykana liczba lamp i aromatycznych świec.

I pośrodku tego wszystkiego za fikuśnym biurkiem, nadającym się jako rekwizyt do chippendale show, siedziała tęga dziewczyna w różowym żakiecie i błękitnym golfie. Kasztanowe loki spływały na policzki, wargi błyszczały. Obrzuciła krytycznym spojrzeniem mój zwykły płaszcz z kaszmiru, podarowany mi przez Sieriożę, po czym westchnęła ze smutkiem. Najwidoczniej stwierdziła, że nie jestem klientką rokującą zbyt wielkich nadziei. Jednak profesjonalizm najwyraźniej wziął górę, ponieważ z wymuszonym uśmiechem, powiedziała przymilnie:

- Agencja „Laura" do pani usług.

Zajęłam wskazany fotel. Minęły już czasy, kiedy nieodpowiednio ubranej osoby nie wpuszczano do ekskluzywnego butiku czy restauracji. Teraz ludzie wychodzą z założenia, że pod niezbyt porządnym ubraniem może kryć się milioner dziwak. Sama byłam świadkiem, jak przy wejściu do „Versace" ochroniarz zatrzymał obdartego chłopaka w znoszonych butach, który bez słowa wsunął rękę za pazuchę i wręczył gorylowi plik dolarów, rozmiarem przypominający grubą encyklopedię. Dlatego moje skromne wdzianko, zakupione na targu, jeszcze o niczym nie świadczy.

- W czym mogę pomóc? - zapytała śpiewnym głosem. - Szuka pani gosposi albo guwernantki? Zapewniamy najlepszy personel. Dziewczyny są z wyższym wykształceniem. Posiadają najlepsze rekomendacje i zaświadczenia od lekarza. Jeśli chodzi o korepetycje, to pierwsza lekcja jest bezpłatna. Nasze usługi są tanie nie dlatego, że.

- Nie, nie - przerwałam wyuczoną kwestię - polecił mi państwa pan Burlewski.

- Fiodor Pietrowicz? - kobieta wyraźnie się ożywiła.

Momentalnie rozkwitła niczym pelargonia w duszny lipcowy poranek.
- Napije się pani kawy?
Odnotowawszy w myślach fakt, iż imię producenta zrobiło na niej takie dobre wrażenie i z miejsca zyskałam w jej oczach, miło zaszczebiotałam:
- Z przyjemnością się napiję, ale herbaty. Poprosiłabym cejlońską, gruboliściastą, bez cukru, z cytryną. I żeby się zaparzała tak ze dwie minuty. Kobieta wcisnęła jakiś guzik i po chwili pojawił się chłopak, ubrany w mundur, przypominający te, które nosili oficerowie napoleońskiej gwardii.
Z satysfakcją słuchałam, jak udziela mu wskazówek odnośnie do przygotowania herbaty i zaśmiałam się w duchu.
No cóż, tak to już jest.
Jeszcze do niedawna sama byłam leniwą żoną bogatego faceta. Odpowiednie użycie napuszonego tonu rozkapryszonej pindzi miałam opracowane w najdrobniejszych szczegółach.
Urzędniczka w lot zrozumiała, z kim ma do czynienia, i teraz rozpływała się w uśmiechu niczym masło na gorącym toście.
- A więc w czym mogę pani pomóc? - wyszczerzyła zęby.
Westchnęłam.
- Tak w dwóch słowach to nie da się streścić. Postaram się wyjaśnić, w czym problem, tylko mam nadzieję, że potrafi pani trzymać język za zębami.
- Ależ oczywiście - wywróciła oczami. - Proszę się nie obawiać. Wiele osób może poświadczyć, że umiem dochować tajemnicy. Będę milczeć jak zmurszały grób!
Obrzuciłam Nadię krytycznym spojrzeniem, zawahałam się dla pozoru przez chwilkę, po czym sprzedałam jej wymyśloną po drodze sensacyjną historię:
- Mój mąż jest osobą niezwykle zamożną i szalenie towarzyską. Po ciężkim dniu w pracy lata po klubach i restauracjach. W najgorszym wypadku idzie do teatru. Krótko mówiąc, prowadzi światowy tryb życia. W psychologii taki typ człowieka określany jest mianem ekstrawertyka. Ja natomiast jestem spokojna i wyciszona. Najbardziej na świecie lubię posiedzieć sobie przed telewizorem z robótką w rękach. Od głośnej muzyki boli mnie od razu głowa, a jedzenie w restauracji wywołuje problemy żołądkowe. Jednak mój mąż nie cierpi sam pokazywać się w miejscach publicznych, dlatego, zaciskając zęby, zmuszona jestem tłuc się razem z nim. Tak mi to już zbrzydło, że

szkoda słów. No i ostatnio Fiodor polecił mi właśnie „Laurę". Pomyślałam sobie, czemu nie? Wynajmę jakąś dziewczynę, żeby dotrzymywała towarzystwa hiperaktywnemu mężowi.
- A co on na to? Zgodzi się? - zapytała Nadia.
Przybrałam podstępny wyraz twarzy.
- Poproszę dziewczynę, żeby przedstawiła się jako moja daleka krewna, która przyjechała do nas z prowincji.
- Proszę sobie zatem wybrać - przystąpiła do prezentacji grubych albumów ze zdjęciami. - Jakie ma pani wymagania?
Zakłopotałam się.
- O ciekawym, przyciągającym uwagę wyglądzie.
Nadia uśmiechnęła się.
- Najpierw proszę określić wiek.
- Do dwudziestu pięciu.
- W takim razie proszę to obejrzeć - rzekła, po czym podała mi wielką ciemnoczerwoną księgę. Zaczęłam przewracać kartki.
Na każdej z nich umieszczone zostały cztery fotografie tej samej dziewczyny, zrobione w różnych ujęciach. Najpierw sama twarz, następnie w stroju kąpielowym, sukni wieczorowej i na końcu w gustownej garsonce. U dołu widniał niezbyt obszerny tekst:
„Nr 9.
Marina.
Naturalna brunetka.
170 cm zrostu, 92-62-92.
Rozmiar stopy - 36.
Włada angielskim, posiada prawo jazdy, wyższe filologiczne wykształcenie Państwowego Uniwersytetu Moskiewskiego, nie pali, dobrze tańczy, może towarzyszyć podczas delegacji służbowych. 60 dolarów za godzinę".
Na kolejnej stronie przeczytałam:
Nr 13.
Lena.
88-62-80,168 cm wzrostu.
Rozmiar stopy -37, niepełne wyższe wykształcenie MWTU*.
Tańczy, ma mocną głowę. 40 dolarów za godzinę".
- Dlaczego są takie różnice w cenie?

** MWTU - Moskiewski Uniwersytet Techniczny im. N.E. Baumana (przyp.tłum.).*

Zaczęła wyjaśniać:
- Im więcej dziewczyna potrafi, tym jest droższa. I tak, na przykład, Sonia biegle mówi po angielsku, jeździ samochodem i ma za sobą już pięć lat pracy w agencji dla modelek. Dlatego trzeba za nią zapłacić dużo więcej niż za Żenię, która nie zna żadnego języka obcego i nie ma prawa jazdy. Porządna, ale prosta dziewczyna, bez większej gracji i elegancji. Jej górna stawka wynosi pięćdziesiąt dolarów.
Przejrzałam album do samego końca, po czym zamknęłam go z głośnym trzaskiem i zapytałam:
- To już wszystkie?
- Żadna się pani nie podoba? - Nadia była zaskoczona.
- A w tych jakie są? - wskazałam palcem inne albumy, zignorowawszy jej pytanie.
- Te się w ogóle nie nadadzą. Nie pasują pod względem wieku.
- Niech mi je pani jednak mimo wszystko pokaże.
W ruch poszła kolejna porcja zdjęć.
Piękne zadbane damy w wieku trzydziestu, czterdziestu i pięćdziesięciu lat.
Album kończył się na dobrotliwych, inteligentnych z wyglądu staruszkach ze staromodnymi fryzurami i broszkami z kameami.
- Czyżby starsze panie też miały wzięcie?
Nadia uśmiechnęła się.
- Jeszcze jakie.
- Ale w jakim celu można je wynająć?
- Najczęściej na ślub.
- Na ślub?
- No tak. Młodemu chłopakowi udaje się przeniknąć do lepszego świata do stolicy. Zaczyna dobrze zarabiać, powodzi mu się w interesach i szybko się bogaci. Potem znajduje sobie narzeczoną z dobrej rodziny. Wreszcie nadchodzi czas, żeby poznać przyszłą małżonkę ze swoją matką. I tu pojawia się problem, bo matka naszego panicza przewala gnój w jakimś zapyziałym Muchosrańsku. Nie będzie jej przecież ciągnął do Moskwy. Narobiłaby mu tylko wstydu, gdyż nie potrafi zachować się w towarzystwie. Zwraca się więc do nas i bierze dystyngowaną Emmę markowną, wdowę po malarzu. Jeden taki dorobkiewicz zamówił sobie u nas całą rodzinę: tatę, mamę, brata i siostrę. Był bardzo zadowolony.
- O matko! - nie byłam w stanie ukryć zdumienia. - A jak później tłumaczą żonom, gdzie się podziali ci krewni?

- To już zależy od ich inwencji twórczej. Jedni mówią, że matka wyemigrowała do Ameryki, drudzy, że zmarła. Taką Emmę Marknowną, na przykład, już dziewięć razy pochowali. A jej się to nawet podoba. Kosztowne trumny, nabożeństwa żałobne, morze kwiatów.
- Kładzie się do trumny? - byłam zdruzgotana.
- Nie, oczywiście, że nie. Bierzemy bezdomną, do której nikt się nie przyznaje, odpowiednio ubieramy, charakteryzujemy i płaczcie sobie dowoli, kochane dzieci. Mówiłam już pani, że „Laura" świadczy usługi na wysokim poziomie. Nie ma dla nas rzeczy niemożliwych. Ktokolwiek raz do nas trafi, wraca tu i podsyła nam swoich znajomych.
Pokiwałam z dezaprobatą głową.
Rodzice do wynajęcia! Czego to w dzisiejszych czasach nie wymyślą!
- Fiodor dał mi zdjęcie Ksieni Fiedinej. Dlaczego nie ma jej w albumu?
Nadia zaczęła obracać w palcach fotografię.
Po chwili wymamrotała:
- Nie przypominam sobie takiej! Ale niech pani zaczeka.
Po tych słowach wzięła do ręki słuchawkę telefonu:
- Nora, chodź tu na moment.
Po chwili zjawiła się otyła brunetka z krwistoczerwonymi ustami.
- Słuchaj - rozpoczęła Nadia - pamiętasz może Ksienię Fiediną. Podobno u nas pracowała.
Nora pobieżnie obejrzała fotografię, po czym oświadczyła bez wahania:
- Dobrze znałam Fiediną, ale już od dawna tu nie pracuje. I zupełnie inaczej wygląda. To nie ona.
- Jak to, nie ona? - zdziwiłam się.
- Chociaż. - w głosie Nory dało się słyszeć lekkie zwątpienie - niby podobna, ale nie ten kolor włosów i nie ta fryzura. Poza tym zupełnie inny makijaż. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to nie ona, ale jeśli się tylko uważniej przypatrzyć.
- Gdzie ją mogę znaleźć?
Wzruszyła ramionami.
- A skąd mam wiedzieć? Przestała przychodzić i tyle.
- A dlaczego odeszła? Została zwolniona?
- Nie, sama tak zadecydowała. Może zamierzała wyjść za mąż. Nie zwierzała mi się.

- Chcę Fiediną, i kropka - oznajmiłam stanowczo i zwróciłam się do Nadii: - Mówiła pani, że dla „Laury" nie ma rzeczy niemożliwych. Proszę mi to udowodnić i załatwić Ksienię.
Nadia z zakłopotaniem zerknęła na Norę.
Ta w zamyśleniu bąknęła:
- Klient nasz pan. Proszę porozmawiać z Ritą. O ile się nie mylę, były dobrymi koleżankami.
- Proszę zatem przyprowadzić Ritę - poleciłam.
- Na jak długo? - Nadia była prawdziwą kobietą interesów.
- Na godzinę.
- Sto dolarów.
Zapłaciłam należną kwotę i poprosiłam o rachunek. Nie jestem taka głupia! Dołączę do spisu wydatków i wręczę Olegowi.
Nadia w mig wypełniła kwit, po czym nacisnęła przycisk interkomu i powiedziała do mikrofonu.
- Zwiagincewa, do mnie.
Po upływie kilku chwil do pomieszczenia weszła zgrabna dziewczyna w elegancko skrojonym ciemnoszarym kostiumie.
- Słucham panią.
- Klientka do ciebie.
Rita odwróciła się w moją stronę, posłała mi życzliwy uśmiech i zapytała:
- Restauracja czy teatr? Mam włożyć suknię wieczorową?
- Nie - pośpieszyłam z odpowiedzią. - Kostium jak najbardziej się nadaje. Chciałabym poprosić panią o godzinę rozmowy w kawiarni.
- Bardzo mi miło panią poznać - na jej twarzy pojawiła się kolejna dawka wyuczonego uśmiechu. - Jestem do pani usług.
Zdjęła z wieszaka wytworne futro z norek i już po chwili znalazłyśmy się na ulicy.
Panował siarczysty mróz. Lodowaty wiatr sypał śniegiem w oczy.
Rita momentalnie posiniała na twarzy, ale nadal wytrwale robiła dobrą minę do złej gry i udawała szaloną radość ze spotkania.
- Jest tu gdzieś w pobliżu restauracja? - zapytałam.
- Jest kawiarnia tuż obok - odparła, szczękając zębami.
Pobiegłyśmy po oblodzonym asfalcie.
- Dobrze znała pani Ksienię? - rozpoczęłam śledztwo, kiedy dziewczyna rozgrzała się już filiżanką gorącej kawy.
- Ksiuszę? - zdziwiła się Rita. -A dlaczego pani o nią pyta?
Znudziła mi się już rola słodkiej idiotki, ryknęłam więc:

- Zapłaciłam za godzinę rozmowy, a nie za pani ciekawość!
- Przepraszam bardzo - wymamrotała z lękiem i zaczęła bawić się łyżeczką, rozgniatając fusy na dnie filiżanki.
Popatrzyłam na jej delikatne palce ze starannie wykonanym manikiurem i niespodziewanie zrobiło mi się głupio, że tak na nią napadłam.
- To ja panią przepraszam. Niepotrzebnie się uniosłam. Wyładowałam na pani swoją złość.
Dziewczyna obdarzyła mnie wymuszonym uśmiechem.
- No co też pani, ma pani rację. Zapłaciła pani za godzinę.
- Pani Ritko - rozpoczęłam przymilnie - Ksieni Fiedinej się powiodło. Wyszła bogato za mąż za mężczyznę nie pierwszej młodości. Prowadziła beztroskie, szczęśliwe życie. A potem pewnego pięknego dnia ni stąd, ni zowąd uciekła od męża, który szaleje teraz z rozpaczy. Strasznie się o nią martwi i dlatego mnie wynajął, żebym ją odnalazła. Mówię to po to, żeby pani zrozumiała, że siedząc tu, wykonuję jedynie swoje obowiązki,
- Może ktoś ją porwał? - wyraziła przypuszczenie. - Ostatnio w telewizji takie rzeczy pokazują, że się człowiekowi włos na głowie jeży. Jakiś Czeczeniec łapie ludzi i gdzieś wywozi.
- To raczej mało prawdopodobne - pokręciłam głową. - do tej pory nikt nie zażądał okupu. A poza tym Ksiusza zostawiła list. Nawiasem mówiąc, jej mąż jest bardzo wyrozumiały i przyzwoity. Wcale nie ma zamiaru odgrywać się na niewiernej żonie, ani burzyć jej szczęścia z innym mężczyzną. Chce się jedynie upewnić, że nic jej nie jest. Jeśli wie pani, gdzie teraz przebywa, to proszę mi powiedzieć. Oczywiście, odpowiednio to pani wynagrodzę.
Rita stwierdziła stanowczo:
- Naprawdę nie mam pojęcia. Lubiłyśmy się, ale to wszystko. Dzieliłyśmy jeden pokój w agencji, pożyczałyśmy sobie czasem malowidła albo rajstopy, ale się sobie nie zwierzałyśmy. Zupełnie jej nie znam i nic o niej nie wiem. Miałyśmy różnych klientów. Mnie interesują głównie przedsiębiorcy. Ukończyłam wydział matematyki stosowanej, więc spokojnie mogę prowadzić z nimi rozmowy na tematy finansowe. A Ksiuszę kręcił świat show-biznesu. Świetnie śpiewała, tańczyła i potrafiła grać na fortepianie.
- Na fortepianie? - zdumiałam się, z miejsca przypomniawszy sobie brudną chałupę w Sielichowie.
Chociaż, dlaczego nie? Przecież w szkole mogło być kółko muzyczne.

A poza tym, jeśli potrafiła grać, to wcale jeszcze nie oznacza, że była wielką pianistką. Pewnie pukała jednym palcem w klawisze albo wystukiwała Wlazł kotek na płotek.
- Starsi klienci bardzo ją szanowali - mówiła dalej Rita. - Byli pod wrażeniem, kiedy wykonywała Pierwszy koncert Czajkowskiego.
O mało nie spadłam z krzesła.
Czajkowski? Pierwszy koncert. Musiała ukończyć co najmniej Główną Szkołę Muzyczną? Totalna bzdura! To niemożliwe!
- Ksiusza mówiła, że rodzice zmuszali ją w dzieciństwie do gry, a ona płakała, patrząc, jak inne dzieci biegają po podwórku.
Wyciągnęłam zdjęcie i raz jeszcze pokazałem je Ricie.
- Czy to ona?
Przez dłuższy czas siedziała w milczeniu, uważnie studiując fotografię. Po czym oznajmiła:
- Figura podobna, ale twarz. Ksiusza nosiła wielkie okulary w cienkiej oprawie z przyciemnianymi szkłami. Miała kiepski wzrok. Kilka razy zdejmowała je przy mnie i jej twarz stawała się zupełnie inna. A tu jest dziewczyna bez okularów. Chyba że poszła za moją radą i nosiła soczewki.
- Czyli to ona, czy nie?
Rita wzruszyła ramionami.
- W sumie podobna, ale głowy nie dam sobie uciąć. Ksiusza malowała się bardzo wyzywająco: puder w kolorze ciemnej opalenizny, purpurowa pomadka, jaskrawy róż na policzkach, fioletowe cienie. Inna w takim makijażu wyglądałaby jak tania dziwka, ale Ksiuszy to pasowało. Robiła na facetach duże wrażenie. Hm. a tu dziewczyna prawie bez makijażu. No, niestety, nie mogę stwierdzić z całą pewnością, czy to ona. Mimo że da się zauważyć pewne podobieństwo.
Milczałam przygnębiona. Śledztwo coraz trudniej mi szło.
- Ksienia nie wspominała o swoich rodzicach?
- Nie. Ani słowem. Pewnie umarli.
- A o rodzeństwie?
Zaprzeczyła ruchem głowy.
- Gdzie mieszkała?
- Wynajmowała mieszkanie wspólnie z naszą koleżanką z Niną Sorokiną. Ja byłam dla niej jedynie sąsiadką z garderoby, z nią natomiast naprawdę się przyjaźniła. Były jak papużki nierozłączki.
- Gdzie mogę znaleźć tę Sorokinę?

Zwiagincewa podpaliła papierosa, zaciągnęła się i dopiero po chwili odpowiedziała:
- Trudna sprawa, żeby nie powiedzieć - niemożliwa.
- Dlaczego?
- Nina wyszła za mąż za znanego pisarza - Sieli wanowa - i nienawidzi, gdy się jej przypomina, czym się niegdyś trudniła. Bez wątpienia zataiła przed mężem fakt, że pracowała jako dama do towarzystwa
- Sieliwanow - powtórzyłam - nigdy o takim nie słyszałam.
- Pisze pod pseudonimem. Nikołaj Sieryj.
- To ten, który bez przerwy wydaje kolejne części książek o zwyrodnialcu? Zwyrodnialec w mamrze, Zwyrodnialec na wolności, Zwyrodnialec pośród swoich.
- Ten sam - roześmiała się. - Nie mogę tego czytać. Pornole, pełno krwi i przemocy. Ale facetom się podoba.
W zamyśleniu bawiłam się popielniczką.
Nikołaj Sieryj! Znów pod górkę! Jak ja mam do niego dotrzeć, żeby się czegoś dowiedzieć od jego żony?

Rozdział 13

Wizyta u rozpieszczonej żony znanego pisarza wymaga odpowiedniego przygotowania. Nie można sobie pozwolić na pójście na żywioł.

Pojechałam więc do domu, żeby na spokojnie przemyśleć dalszy plan działania.

Weszłam do mieszkania. Cisza, aż w uszach dzwoni. Psy z niewiadomych przyczyn nie wyszły mi na spotkanie.

Po chwili do moich uszu dobiegł odgłos drapania w drzwi i skomlenia. Zwierzaki usiłowały wydostać się z kuchni. Najwyraźniej ktoś musiał je tam zamknąć.

Otworzyłam drzwi.

Moim oczom ukazał się przerażający widok.

Kuchnia wyglądała, jakby przeszedł przez nią tajfun.

Mula wskoczyła na stół i dobrała się do miski z czekoladowymi cukierkami. Poodwijała nosem papierki i teraz na ceracie poniewierała się ich pokaźna sterta. „Wiewiórka", „Misia", „Grylaż" - pies miał dzisiaj niezłą ucztę. Ada nie odważyła się pójść za przykładem siostry.

Zajmuje nieco niższe miejsce w hierarchii naszego domowego zwierzyńca. Nie rozrabia tak bezczelnie jak siostra. Mula potrafi na naszych oczach wleźć do kosza z brudną bielizną i wyciągnąć sobie coś do pogryzienia. Ada zrobi to samo, tylko po kryjomu, nocą.

Szczeka ciszej, nie pędzi jak szalona do miski, a na dworze przybiega na pierwsze zawołanie.

Trochę to dziwne: niby dwa pieski od jednej matki, jeden starszy od drugiego o niecałe dziesięć minut, a tak się od siebie różnią pod względem charakterów.

A komunistom zachciało się wychować nowy typ człowieka!

Nie da rady! Geny zawsze wezmą górę.

Mula popatrzyła na mnie z miną niewiniątka.

- Możesz sobie udawać anioła, ile tylko chcesz - powiedziałam gniewnym tonem. - Jednak wydała cię twoja mała wstrętna morda

usmarowana czekoladą. Zapomnij dziś o pysznym obiedzie. O kolacji też. I ciesz się, że nie ma w domu Katii, boby ci zrobiła lewatywę giganta!
Psy, gdy tylko usłyszały o okropnym zabiegu, momentalnie ulotniły się z kuchni.
Nadal nurtowało mnie pytanie: kto był na tyle nieodpowiedzialny, żeby je tu zamknąć? Wydaje mi się, że wychodziłam ja jako ostatnia.
A gdzie jest Walentyna? Jeszcze śpi?
Spojrzałam w stronę zlewu, gdzie nadal piętrzyła się sterta brudnych naczyń.
Wyszłam do przedpokoju i pchnęłam drzwi od pokoju.
Walentyna najspokojniej w świecie leżała w łóżku z moją książką w rękach.
Koszmar w bramie. Dopiero co ją kupiłam i nawet jeszcze nie zdążyłam zabrać się do czytania. Musiała więc zaglądać do mojej sypialni.
Nie mam nic do ukrycia, jednak mimo wszystko nie świadczy to o niej najlepiej. Albo jest taka bezpośrednia, albo po prostu ciekawska.
- Wstałaś? Dlaczego nie zjadłaś śniadania?
Walentyna pośliniła palec i zagięła róg kartki.
Zagotowało się we mnie!
Każdy ma swoje małe dziwactwa i przyzwyczajenia.
Sierioża nie znosi przetłuszczonych włosów, Kiriuszka nie tknie czyjejś łyżeczki od herbaty, Katia nieustannie myje ręce, a Julia dostaje ataku nerwowego, jeśli ma brudne buty. Bez przerwy je tylko pucuje i pucuje.
Ja natomiast uwielbiam książki i gazety, przy czym nienawidzę pozaginanych i biednych kartek.
- Jakoś niezręcznie grzebać w cudzym domu w lodówce -odpowiedziała.
- To ty zamknęłaś psy w kuchni?
Kiwnęła głową.
- Cały czas wdrapywały się na łóżko i chciały mnie lizać, a potem ta gruba usiadła mi na twarzy.
Cała Mula!
- Następnym razem po prostu je wygoń z sypialni i zamknij drzwi.
- Początkowo tak właśnie zrobiłam - powiedziała z urazą - ale im drzwi niestraszne.
- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć! - oświadczyłam kategorycznie.

- To niech sama pani sprawdzi!
Wyrzuciłam psy do przedpokoju. Niech sobie mówi co chce. Żaden z naszych psów nie potrafi dosięgnąć klamki.
Przez chwilę panowała cisza. Potem rozległo się sapanie, drapanie i warczenie.
Nie wierzyłam własnym oczom!
Piękna brązowa klamka powoli opadła i zgraja psów wparowała do pokoju.
Byłam w totalnym szoku. Jakim cudem udało im się tego dokonać? Przecież są za małe.
- Posłuchaj - odezwałam się po chwili - pójdę teraz do kuchni i zabiorę je ze sobą. Odczekaj moment, a potem zawołaj. Chcę się przekonać, w jaki sposób naciskają klamkę.
Już po chwili stałam z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami, obserwując przebieg wydarzeń.
Najpierw mopsy nadziały się mordami na zamknięte drzwi. Następnie próbę przedostania się do środka ponowiła Rachel. Bezskutecznie. Psy siadły i zaczęły cichutko skomleć. W tym momencie z pokoju dziecięcego majestatycznym krokiem wyszedł Moris. Stąpał z podniesioną głową niczym dostojny tygrys. Na jego widok psy zaczęły radośnie powarkiwać. Moris podszedł do drzwi, poczym obrzucił pobłażliwym spojrzeniem całą trójkę.
Całym sobą mówił:
„Znów mam pomagać tym idiotom!" Przez chwilę siedział bez ruchu, a potem z cichym mruknięciem podskoczył i całym swoim ciężarem zawisł na klamce.
Języczek prztyknął. Droga była wolna.
Psy, nie czekając na zaproszenie, rzuciły się do środka.
Moris zgrabnie zeskoczył na podłogę i spojrzał na mnie z triumfem. W jego oczach dostrzegłam diabelskie ogniki.
Oniemiała ze zdziwienia odprowadzałam go wzrokiem, kiedy niespiesznie udał się z powrotem do pokoju Kiriuszki.
Na progu odwrócił się w moją stronę i wydał z siebie krótkie „miau".
Zabrzmiało jak „cha-cha".
Oszołomiona poczłapałam do kuchni umyć naczynia.
To nie kot, a istna kopalnia talentów. Ciekawe, co jeszcze potrafi?
Najbardziej drapieżne myśli przychodzą mi do głowy podczas szorowania patelni.
Usiłując pozbyć się wstrętnego, zaschniętego tłuszczu, analizowałam

w myślach sposoby zakradnięcia się do Niny Sorokinej.
Nie wymyśliłam jednak niczego mądrego, dlatego ponownie zadzwoniłam do Burlewskiego:
- No i jak, nie przypomniał pan sobie, gdzie mieszka Fiedina?
- Może pani przyj echać do mnie do biura?
- Tak, ale dopiero za jakąś godzinę - ucieszyłam się.
- No to czekam - odparł i się rozłączył.
Poleciałam się ubrać, wołając w biegu:
- Tina, zmyj naczynia i weź sobie jedzenie z lodówki!
- Dobrze - dobiegło z pokoju.
Tym razem Burlewski poczęstował mnie kawą. Spojrzałam na filiżankę z obrzydzeniem.
Herbatę mogę pić wiadrami, ale tylko cejlońską. Natomiast na sam widok rozpuszczalnej kawy dostaję drgawek i zbiera mi się na wymioty.
Niewiarygodne, jak można nazywać „kawą" mieszankę konserwantów. Dla dobra sprawy będę jednak zmuszona zatknąć sobie nos i udać, że mi smakuje.
- Dla kogo pani pracuje? - zapytał bez zbędnych wstępów.
Odparłam z ironią w głosie:
- A czy to ma jakieś znaczenie? Chyba nie oczekuje pan, że wyjawię nazwisko swojego klienta.
- Z jakiego biura śledczego pani jest? - naciskał producent.
- Jestem prywatnym detektywem.
- Posiada pani licencję?
Proste pytanie wprawiło mnie w zakłopotanie.
- Nie.
- A więc to tak - skomentował Fiodor - chce pani uniknąć płacenia podatków. Nieładnie, bardzo nieładnie!
- Niech mnie pan posłucha - straciłam cierpliwość do wysłuchiwania jego głupich uwag. - A co to pana obchodzi? Przypomniał pan sobie adres Fiedinej, to niech mi pan go poda, a jak nie, to żegnam. Szkoda mojego cennego czasu.
- Niech się tak pani od razu nie złości - zaczął pojednawczo. - Nie mam żadnych informacji na temat Fiedinej.
- To po jaką cholerę.
- Tylko spokojnie. Chciałem zaproponować pani pracę.
Spojrzałam na niego nieufnie i chrząknęłam.
- Jestem kompletnym beztalenciem. Nie potrafię ani śpiewać, ani

tańczyć.
Burlewski się uśmiechnął.
- Nie mam zamiaru proponować pani występów na scenie. Chciałbym, żeby pomogła pani mojemu synowi.
- W żadnym wypadku - ucięłam.
- Dlaczego?
- Mam innego klienta i multum pracy.
-To niech go pani zostawi.
- Jak to, zostawi? - byłam oburzona. - Przecież on mi płaci!
- A ile bierze pani za jeden dzień? - zapytał.
- Pięćset dolarów plus wszelkie wydatki - chlapnęłam bez namysłu w nadziei, że słysząc tak astronomiczną kwotę, wycofa się z propozycji.
Jednak wbrew moim oczekiwaniom Burlewski wysunął szufladę biurka i zaczął odliczać pieniądze. W miarę pojawiania się na stole kolejnych banknotów moje oczy powoli wychodziły z orbit.
- Tu ma pani pięć tysięcy za dziesięć dni i jeszcze jeden na nieprzewidziane wydatki - powiedział.
- Ale wie pan, ja nie jestem zawodowcem. Niech się pan lepiej zwróci do agencji detektywistycznej - miałam opory przed przyjęciem pieniędzy.
- Nie chcę - odparł.
- Dlaczego?
- Dlatego bo ponieważ. Mam taki kaprys. Proszę wziąć pieniądze i zabierać się do pracy.
- A co, jeśli niczego się nie dowiem albo wręcz przeciwnie, okaże się, że pański syn jest winny?
Fiodor potarł dłonią kark.
- Ryzyk-fizyk. Tak czy inaczej, pieniądze są pani.
Człowiek to jednak słaba istota. Moje ręce bezwiednie zagarnęły wynagrodzenie. Teraz będę mogła kupić Sierioży nowy samochód!
Podobno zwykli pracownicy agencji detektywistycznych prowadzą po pięć, sześć spraw równocześnie. Może ja też jakoś dam sobie radę. Jedno jest pewne, jeśli nie spróbuję, to się nie przekonam.
W poniedziałki, środy i piątki będę kontynuować poszukiwania Ksieni, a we wtorki, czwartki oraz soboty poświęcę uwagę juniorowi Burlewskiemu.
Żeby nie odczuwać wyrzutów sumienia, że wzięłam pieniądze od dwóch klientów naraz, dołożę wszelkich starań, będę pracować bez wytchnienia od dziewiątej do północy. Ograniczę sen, jedzenie oraz

zrezygnuję z czytania.
- A więc dobrze - zgodziłam się. - Proszę zapoznać mnie z całą sprawą.
- Dopiero co wróciłem z komisariatu - rozpoczął. - Anton wreszcie na tyle wytrzeźwiał, że był w stanie odpowiedzieć na pytania. Przysięga, że nie zrobił tej kobiecie nic złego. Przyszedł do niej około dziewiątej wieczorem. Miał za sobą kilka piw i był już lekko wstawiony. Wiera potraktowała go bardzo nieuprzejmie i chciała wypchnąć za drzwi, ale chłopak pokazał jej pieniądze, które niedawno ode mnie otrzymał. Oczy od razu jej się zaświeciły i wpuściła go do środka.
- Od dawna się znali? - zapytałam.
- Od dzieciństwa - westchnął. - Uczyli się w jednej klasie. Zawsze byłem przeciwny ich znajomości.
- Z jakiego powodu?
- Była wstrętną dziewuchą. Wiem, że o zmarłych nie powinno się źle mówić, ale to święta prawda. Była fałszywa, zakłamana i bez zahamowań. Już w wieku dwunastu lat szlajała się po piwnicach z chłopakami, wąchała klej, łykała tabletki, paliła i piła. Miała na Antona zły wpływ. To ona sprowadziła go na złą drogę. Raz nawet spuściłem mu lanie, żeby się opamiętał, jednak to nie pomogło. Chłopak staczał się na samo dno. Bez tej zdziry nie mógł wytrzymać ani dnia. Wiem, że po części to również moja wina. Całymi dniami byłem w pracy i nie miałem czasu się nim zająć, a matka miała wszystko gdzieś. Krótko
mówiąc, kiedy się wreszcie spostrzegłem, jedynym wyjściem było oddanie go na leczenie.
- Dużo pił?
- Jeszcze ile - machnął ręką Fiodor. - Próbowaliśmy już chyba wszystkiego: odtrucia, wszywki nie wszywki, terapie antyalkoholowe, psycholog, hipnoza. Zamówiliśmy nawet nabożeństwo w cerkwi w intencji jego wyzdrowienia. Bez szans! Wytrzymywał najwyżej tydzień i znowu to samo od początku - wraca do domu na czworakach.
- Mieszkał z panem?
- Wcześniej tak, ale parę lat temu kupiłem mu mieszkanie. Szczerze mówiąc, postawiłem na nim krzyżyk. W końcu nie jest już dzieckiem. Skończył dwadzieścia pięć lat. Najwyższa pora samemu odpowiadać za swoje czyny. Ja w jego wieku musiałem się nieźle natyrać, żeby zarobić na życie. Biegałem od restauracji do restauracji i grałem na akordeonie. Nie miałem kochanego tatusia, który by mi opłacał rachunki. Byłem zdany na samego siebie. Radziłem sobie jak mogłem.

Pokonywałem trudności. Wychodziłem z tarapatów. A on? Wdał się w matkę. Leniwy, bez planów na przyszłość, pozbawiony silnej woli. Życiowa niedorajda.
- Z jakiej racji miałby podnieść rękę na koleżankę z dzieciństwa?
- Też się nad tym zastanawiałem - wzruszył ramionami. - Tym bardziej że kiedy za mocno da sobie w palnik, nie wszczyna awantury, tylko spokojnie kładzie się na kanapie i zasypia. Nie krzyczy. Nie wyzywa. Wie pani, bywają osoby, które pod wpływem alkoholu zaczynają wariować. Szukają zaczepki. Rzucają się z łapami. Anton do nich nie należy. Upija się na smutno. Zaczyna płakać. Wszystkich mu szkoda. Rozdaje pieniądze obcym na ulicy. Co tam pieniądze! Płaszcz potrafi z siebie zdjąć. Albo zegarek. Chwytanie za nóż nie leży w jego naturze. Poza tym chorobliwie boi się krwi. W dzieciństwie, kiedy rozbijał kolana, natychmiast mdlał. Co tu dużo mówić. Wystarczy, żeby w restauracji podali mu krwisty sznycel wołowy z rożna. Robiło mu się niedobrze na sam widok. No więc jak, proszę mi powiedzieć, mógł poderżnąć komuś gardło i położyć się spać, ściskając zakrwawiony nóż w dłoni? Mógłby - być może - udusić albo otruć, uderzyć czymś ciężkim w przypływie złości. Ale nie dźgnąć nożem! Podobno krew chlustała fontanną.
W milczeniu skubałam paczkę „Voque".
Co ten alkohol robi z człowieka!
- Anton twierdzi - kontynuował Burlewski - że tego dnia nie wypił za wiele. Najpierw dwie butelki piwa, potem Wierka postawiła małpkę. Wlała sobie 150 gramów, a resztę dała jemu. Zaczął protestować, dlaczego dostał mniej, ale szybko go uciszyła. Nie zdążył wychylić całego kieliszka, bo alkohol błyskawicznie uderzył mu do głowy. Z trudem doczołgał się do kanapy i zwalił się na nią bez czucia. Spał kamiennym snem, z którego nie mógł się obudzić nawet nad ranem, kiedy skuwano go w kajdanki. Nadal nie kontaktował. Procenty wyparowały dopiero teraz, po tylu godzinach. Coś mi tu śmierdzi.
- Może kłamie. Wyżłoptał wiadro wódki, a panu sprzedał historyjkę o dwóch piwkach i stu gramach.
- Nie - westchnął smętnie Fiodor - nie kłamie. Analiza krwi wykazała śladowe ilości alkoholu. Poza tym wykryto obecność środka nasennego - klofelinu. Wszystko wskazuje na to, że ktoś chciał go odurzyć. Pytanie tylko, kto i z jakiego powodu? Coś mi się zdaje, że ta tajemnicza osoba upiła go specjalnie, żeby wrobić w morderstwo.
- Nie tak szybko. Wszystko po kolei - rozpoczęłam. - Wódkę z tej

małpki pił tylko syn i Zajcewa?
- Raczej tak. Chyba że ktoś się ukrywał w kuchni. Anton po przyjściu wszedł od razu do pokoju, więc niewykluczone, że nie byli sami.
- Co za nonsens! - prychnęłam. - Czyli co, wychodzi na to, że Zajcewa sama zatroszczyła się o alibi dla przestępcy? Spiła pańskiego syna, a potem dała się zabić?
- Anton twierdzi, że głęboki sen nadszedł nieco później. Najpierw wpadł w jakiś dziwny stan pomiędzy jawą a snem. Leżał półprzytomny
1 słyszał, jak Wiera do kogoś zadzwoniła i powiedziała: „Wszystko zgodnie z planem, Pączek. Czekaj". Pączkiem nazywali swojego kolegę z klasy, Nikitę, syna znanego pisarza Nikołaja Sierego. Z pewnością słyszała pani o nim i o jego serii o zwyrodnialcu. Niech pani do niego pojedzie i potrząśnie za te tłuste wałki!
W pierwszej chwili nie wierzyłam własnym uszom. Aż taki zbieg okoliczności? Niewiarygodne!
Ze wszystkich sił usiłując ukryć zadowolenie, poprosiłam:
- Niech mi pan poda jego adres i numer telefonu.
- Moment - odparł, przebierając palcami po przyciskach w komórce.
- Sieremu na stare lata odbiło. Rozszedł się z żoną i ożenił z podfruwajką młodszą od siebie dwa razy. Żeby było jeszcze śmieszniej, jest młodsza nawet od Nikity. Ma na imię Nina. I ta właśnie Nina odsunęła się od wszystkich dawnych znajomych męża. Jemu też nie pozwala się z nimi kontaktować. Może jednak uda mi się jakoś ją namówić, żeby panią wpuściła.
Przez pięć minut szczebiotał do słuchawki jak panienka, a następnie zapytał:
- A Nikita w domu? Chcę do niego wysłać pewną panią. Nie, nie, Ninulka, to mi jest potrzebne, więc, bardzo cię proszę, daj im porozmawiać.
W słuchawce słychać było podniecony głos.
- Skąd wiesz? - osłupiał Fiodor. - No dobrze, poddaję się, masz rację. Jest z milicji. Ale pomyśl sama, czy to nie lepsze rozwiązanie porozmawiać na spokojnie w domu, a nie tłuc się po komisariatach?
W słuchawce rozległ się szloch, po czym usłyszałam przerywany sygnał.
- A to klępa! - powiedział w uniesieniu Fiodor. - Dobrze, że marzy jej się kariera piosenkarki, to chociaż się ze mną do końca nie pokłóci. Inaczej poszłoby na noże! Coś takiego! O Antonie wie już cała stolica!

O jego sprawie doniósł „Moskiewski Komsomołec”. No dobrze, szkoda czasu na zbędne gadanie. Niech pani tam jedzie, zanim się nie rozmyśli. Wszyscy na miejscu. Ulica Usijewicza. Aha, i jeszcze jedno.
- zatrzymał mnie w progu.
- Słucham?
- Niech pani to weźmie ze sobą - podał mi pager.
- Po co?
- Każdy, kto dla mnie pracuje, ma coś takiego. Jeśli będzie mi pani potrzebna, dam znać.
Idąc w stronę metra, byłam z siebie bardzo zadowolona. Dopiero co łamałam sobie głowę, jak tu dotrzeć do Sorokinej, a już jadę do niej do domu.

Rozdział 14

Nic dziwnego, że Nina wpadła pisarzowi w oko. Natura obdarzyła ją nieprzeciętną i egzotyczną urodą. Subtelna, pełna wdzięku figura, śniada cera, kruczoczarne proste włosy, wystające kości policzkowe, owalny zarys twarzy i lekko skośne kocie oczy, świadczące o wschodnich przodkach.

- To pani jest z tej milicji? - zaszczebiotała delikatnym, dźwięcznym głosem.

Przytaknęłam.

- Proszę wejść - wpuściła mnie do środka, po czym zawołała: -Nikita, ktoś do ciebie!

Usłyszałam odgłos kroków i po chwili w przedpokoju pojawił się wysoki, barczysty chłopak w pogniecionej koszuli i wytartych dżinsach. Na policzku miał czerwoną plamę. Pewnie odgniótł sobie podczas snu.

- Gdzie będziemy rozmawiać? - mój głos zabrzmiał aż nadto oschle. W końcu jestem z milicji, więc nie będę się przymilać. Gliniarzy nie cechuje uprzejmość.

Przynajmniej ci z mojego ulubionego serialu pt. Ulice rozbitych latarni nie cackają się ze świadkami.

- Możemy u mnie - odparł grzecznie.

Weszliśmy do dużego pokoju z dwoma oknami.

Dzieci światowej sławy pisarzy to dopiero mają dobrze! Życie jak w Madrycie! Gustowne nowe meble, komputer, wypasiony sprzęt muzyczny, drogi turkmeński dywan, płaski philips.

Komfortowo się urządził.

Naprzeciw okna, przy samej ścianie, stał fortepian.

Nie jakieś tam zwykłe pianino, jakich pełno w domach, w których dzieci chodzą do szkoły muzycznej, i zazwyczaj stoi w kącie, i tylko się kurzy. Nie. To był najprawdziwszy w świecie fortepian z uniesioną klapą. Obok niego zobaczyłam pulpit do nut. Na kanapie zaś leżały skrzypce. Kiedyś co prawda uczyłam się w konserwatorium, ale w klasie harfy, więc nie umiem zbyt dobrze grać ani na fortepianie, ani na skrzypcach.

Nie byłam w stanie ukryć ciekawości. Obrzuciłam spojrzeniem instrument, a następnie zapytałam:
- Mogłabym przyjrzeć się im z bliska?
- Tylko ostrożnie - odpowiedział po chwili wahania. - Nie lubią obcych rąk.
Delikatnie ujęłam skrzypce w obie dłonie. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak dzieło samego Amatiego. Dlatego właśnie nie mogłam się powstrzymać i ponad wszystko zapragnęłam ich dotknąć. Teraz jednak zrozumiałam, że mam przed sobą jedynie wierną kopię altówki wielkiego mistrza. Kopię, wykonaną najprawdopodobniej przez wykwalifikowanych niemieckich rzemieślników. Zbyt małe wycięcie jak na Amatiego. Mniejsza o to. Tak czy owak, takie cacko jest warte kilkadziesiąt tysięcy dolarów. A gdybym trzymała w rękach oryginalne Amati, suma wyniosłaby kilkaset.
Szarpnęłam delikatnie strunę. Ze skrzypiec wydobył się czysty, wibrujący dźwięk. Coś cudownego...
- Umie pani grać? - zdumiał się Nikita.
Pośpiesznie odłożyłam instrument na miejsce, po czym odpowiedziałam:
- W dzieciństwie chodziłam do szkoły muzycznej.
- Kto by przypuszczał! - zachwycił się. - A teraz pracuje pani w milicji? Czy to nie jest trochę dziwne?
- Nie widzę w tym nic dziwnego. Różnie się w życiu układa. Tak, na przykład, pański kolega z klasy, Anton, chłopak z porządnej rodziny, też się pewnie uczył w muzycznej, a teraz jest alkoholikiem i mordercą.
Mężczyzna westchnął.
- Wszystkiemu winna Wiera. Po takiej można się wszystkiego spodziewać.
- Podobno się przyjaźniliście.
Nikita zawahał się.
- Jaka tam od razu przyjaźń. Po prostu mieszkamy w jednym bloku, I raczej mieszkaliśmy, zanim tata się nie rozwiódł. Teraz została tam tylko mama...
- Jeśli mogę zapytać, dlaczego przeprowadził się pan do ojca?
Chłopak zaczerwienił się zmieszany.
- Mama jest bardzo trudna. Ciągle robi awantury. Obraża się bez powodu. Bez przerwy ma o coś pretensje. Nie ma się czemu dziwić, klimakterium w pełni, a na dodatek mąż odszedł do młodszej. Jasna

sprawa, że zrzędzi.
- Dlatego właśnie znaleźliśmy się w jednej klasie - mówił dalej. - Do czternastego roku życia chodziliśmy razem do szkoły, a potem... -machnął ręką.
- Co potem? - zapytałam ostrożnie. - Niech pan nie przerywa.
Chłopak przez chwilę się wahał, po czym w końcu zdecydował się powiedzieć całą historię od początku do końca:
- I tak się pani od kogoś o tym dowie, więc nie ma sensu niczego ukrywać.
Rodzice Wiery Zajcewej zajmowali (jak na sowieckie czasy) dość wysokie stanowiska. Ojciec był kierownikiem jednego z wydziałów w Ministerstwie Oświaty, matka - instruktorem miejskiego komitetu KPZR. Dobre wynagrodzenie, przydział jedzenia, służbowa dacza i samochód z kierowcą. Jedyne, czego im brakowało, to czasu dla własnej córki. Wierą zajmowała się babcia. Staruszka nie przejmowała się tym, że wnuczka kiepsko się uczy i z góry na dół ma same dwóje. Martwił ją za to jej ciągły brak apetytu.
- Przestań się już uczyć, dziecko - mamrotała, wchodząc wieczorem do pokoju Wiery. - Oczy sobie popsujesz. Zjedz lepiej bułeczkę.
Babcia całe życie szczęśliwie spędziła u boku męża, profesora. Teraz w swoje ręce wzięła prowadzenie domu córki. Była święcie przekonana, że wykształcenie na nic się kobiecie nie zda. Najważniejsze to znaleźć dobrą partię na męża, urodzić dzieci, doczekać się wnuków i je wychować.
Kiedy Wiera skończyła dwanaście lat, babcia zmarła. Na jej miejsce natychmiast wynajęto guwernantkę - Helenę. Pomagała Wierze odrabiać lekcje. Była wręcz przerażona. Ładna dziewczynka wyglądała nie na dwanaście, ale na szesnaście lat. Pisała ze strasznymi błędami. Matematyka kulała. Po angielsku z trudem potrafiła wydukać dwa zdania. Helena powiedziała rodzicom, jak się mają sprawy.
Z miejsca nakazali: nauczyć za wszelką cenę.
Jednak łatwiej powiedzieć niż zrobić.
Przyzwyczajona do lenistwa Wiera rozpaczliwie próbowała wykręcić się od nauki.
Guwernantki i korepetytorzy zmieniali się jak rękawiczki.
Nikt z nią nie wytrzymywał.
Nie miała serca do nauki.
Trafiła na dyskotekowe towarzystwo chłopaków ze starszych klas. Dali jej łyknąć wódki. Potem wrzucili tabletkę extasy. Po roku stała

się prawdziwą alkoholiczką.
Rodzice początkowo nie mogli zrozumieć, jak to jest możliwe.
Sami byli abstynentami, ale od czasu do czasu znajomi przynosili im alkohol jako dowód wdzięczności.
Pewnego razu ojciec otworzył dla gości napoleona i doznał szoku -w środku była herbata.
Po sprawdzeniu kolejnych butelek okazało się, że w prawie wszystkich zamiast alkoholu była herbata albo woda.
Wierę natychmiast umieszczono w szpitalu.
Po kilkumiesięcznej kuracji zaczęła pić od nowa.
Przez kilka kolejnych lat rodzice usiłowali wyrwać córkę ze szponów nałogu.
Jednak po wyczerpaniu wszystkich możliwości i środków, w końcu do nich dotarło, że głupie dziewuszysko jest niereformowalne.
Kupili mieszkanie i pozbyli się pociechy z domu. Wiera naturalnie nie miała żadnej stałej pracy. Utrzymywała się z dorywczych zajęć. Raz sprzedawała w kiosku, innym razem robiła za windziarkę, jeszcze innym - zamiatała podwórze. Nigdzie nie zagrzała dłużej miejsca i stopniowo staczała się na samo dno.
Ten sam los spotkał Antona Burlewskiego.
Przez pewien czas nawet ze sobą mieszkali. Potem zaczęli się kłócić, na przemian schodzić i rozchodzić. Wystarczyło, że Anton zdobył gdzieś pieniądze, natychmiast do niej biegł i razem je przepijali.
Rodzice już od dawna przestali dawać im gotówkę. Doskonale zdawali sobie sprawę, w jaki sposób zostanie spożytkowana.
Matka Wiery opłacała mieszkanie i raz w tygodniu przynosiła całą lodówkę jedzenia. Dostarczała córce wszystkiego, włącznie z papierosami.
Sprytna Wiera potrafiła sobie poradzić.
Przyniesione jedzenie sprzedawała za śmieszne pieniądze i leciała po gorzałę.
Z biegiem czasu robiło się coraz gorzej.
Do alkoholu dołączyły narkotyki.
Najpierw były tylko miękkie typu extasy i marihuana, potem poszły w ruch ciężkie prochy, aż w końcu Wiera przerzuciła się na heroinę.
Bardzo szybko się uzależniła i teraz jej głowę zaprzątała jedna myśl: skąd wziąć pieniądze na kolejną działkę.
I wtedy właśnie przypomniała sobie o Nikicie.
W przeciwieństwie do kolegów z klasy nie sprawiał problemów

wychowawczych.
Chodził regularnie do liceum i szkoły muzycznej.
W dziewiątej klasie nie było już żadnych wątpliwości, że jego powołaniem jest grana skrzypcach. Dostał się do konserwatorium, szczęśliwie je ukończył i obecnie pracuje w orkiestrze Anatola Dobrowskiego. Wiedzie mu się dobrze. Powoli staje się popularny.
Wiery i Antona ma już po dziurki w nosie.
Burlewski zwracał się do niego o pożyczkę w ostateczności, za to Zajcewa pojawiała się z zastraszającą regularnością.
- Nikita - jęczała - błagam cię, to już naprawdę ostatni raz. Tylko do jutra. Na pewno ci oddam.
Nikita zawsze targały sprzeczne uczucia. Z jednej strony było mu jej żal, z drugiej - budziła w nim obrzydzenie.
Upodlona, już wcale niepodobna do człowieka, dziewczyna trzęsła się w drzwiach. Śmierdziało od niej na kilometr, jak od jakiejś bezdomnej, śpiącej pod mostem.
Z trudem powstrzymując odruch wymiotny, wręczał jej pieniądze. O żadnym zwrocie długu nie było, rzecz jasna, nawet mowy. W końcu skrzypkowi znudził się ten wyzysk i stanowczo oświadczył:
- Wynoś się i żebym cię tu już więcej nie widział!
Wiera pobiadoliła jeszcze przez chwilę. Myślała, że Nikita zmięknie, kiedy zobaczy jej łzy, jednak ten był nieugięty:
- Koniec tego dobrego! Złotodajne źródełko wyschło!
Chcąc nie chcąc, narkomanka musiała się zabierać.
Był nawet zdziwiony, że tak łatwo udało mu się uwolnić od namolnej baby.
Po południu Nina chciała się wybrać do sklepu i wtedy spostrzegła, że nie ma portmonetki. Pięknej portmonetki ze skóry krokodyla. Pieniędzy nie było tam zbyt wiele - raptem sto dolarów.
Sorokina była szczerze zdziwiona.
- Gdzie ja mogłam ją posiać? Pamiętam, że kładłam ją przy lustrze razem z rękawiczkami! Nikita, odsuń szafkę, pewnie za nią wpadła.
Posłusznie przesunął mebel, chociaż doskonale wiedział, gdzie tak naprawdę podział się portfel.
Po wyjściu Niny wściekły jak diabli natychmiast rzucił się do telefonu.
- Słuchaj, łajzo! - zaczął krzyczeć do słuchawki. - W tej chwili oddaj portmonetkę!
- Jaką portmonetkę? - udawała głupią.
- Sraką! - wypalił skrzypek. -Dzisiaj wieczorem ma się znaleźć z całą

zawartością na swoim miejscu. Ostrzegam, jeśli nie zwrócisz stu dolarów, zgłoszę kradzież na milicję!
Sam nie wiedział, dlaczego aż tak się wściekł. Na dobrą sprawę była to zbyt mała kwota, żeby nadszarpnąć jego budżet. Nawet nie poczułby tej straty.
Nina też nie była jakoś bardzo przywiązana emocjonalnie do portmonetki.
Miał po prostu serdecznie dosyć bezczelnego babska i chciał ją trochę nastraszyć. Nie liczył na zwrot pieniędzy.
Około godziny dziesiątej wieczorem rozległ się dźwięk telefonu.
- Pączek - szczebiotała Zajcewa - wszystko w porządku. Zaraz przywiozę zgubę.
Zjawiła się o wpół do jedenastej i, wyciągając elegancki portfel, powiedziała przymilnie:
- Ale głupio wyszło. Brałam rękawiczki i przypadkowo zagarnęłam portmonetkę. Sprawdź tylko, czy wszystko się zgadza?
Nikita zerknął do środka.
Był bezgranicznie zdziwiony: sto dolarów leżało nietknięte.
- Słuchaj, Pączek - poprosiła Wiera - nalej mi kieliszeczek, słabo mi.
Zlustrował dziewczynę od stóp do głów.
Wychudzonym ciałem wstrząsały dreszcze, wargi miała sine, oczy zapadnięte w głąb czaszki.
Rzeczywiście musiała źle się czuć.
Zrezygnowany poszedł do gabinetu i przyniósł stamtąd szklankę wódki.
Zajcewa wychyliła ją jednym haustem, odmówiła zjedzenia kanapki z kiełbasą, opadła na krzesło i zaczęła się uskarżać na swój los.
Nikita z trudem wychwytywał sens w chaotycznym potoku informacji.
Przeklinając w duchu swoje miękkie serce, skrzypek usiłował wystawić namolną kobietę za drzwi, jednak ta szlochała, lamentując:
- Nie mam siły. Nie dojdę do domu. Pozwól mi tu przenocować. Będę leżeć na podłodze w kątku cichutko jak myszka!
Chłopak był przerażony.
Wyobraził sobie, co powie Nina, kiedy wróci do domu. Poszedł więc po pieniądze.
- Bierz, tylko się już stąd zabieraj.
Wiera spojrzała na banknot i powiedziała ze złością:
- Ale z ciebie cham, Pączek! Sam śpi na kasie, a mi kazał oddać sto dolarów!

- Złodziejka! - skrzypka poniosło. - Wynoś się stąd i nie waż się tu więcej przychodzić!
- Ech, ty - jęczała - pieniędzy mi pożałował. Nędznych papierków. A ja byłam zmuszona okraść człowieka, żeby je oddać.
Wszystko się jej pomieszało. To przez ten alkohol była święcie przekonana, że zdobyła się na heroiczny czyn, przynosząc pieniądze.
- Okraść? - wystraszył się Nikita, wycofując się. - Jak to? Kogo?
Idiotyczne pytanie.
Zadał je retorycznie i nie spodziewał się odpowiedzi, ale Wiera z uśmiechem na twarzy odparła:
- Antona!
- Antona?
- No - kiwnęła głową. - Przyszedł do mnie wieczorem w świetnym humorze. Był akurat przy kasie. Pokazał mi dolary, które dostał od ojczulka. No a ja miałam właśnie dylemat, jak by tu oddać tę portmonetkę? No to mu zabrałam!
- Jak to „zabrałam"? - czuł totalny zamęt w głowie.
- Normalnie - wzruszyła ramionami - wrzuciłam mu do kieliszka środki nasenne. Stracił orientację w czasie i przestrzeni, a ja wyjęłam pieniążki z kieszeni i przybiegłam do ciebie. Mam nadzieję, że docenisz moje poświęcenie. Zawsze do usług. A ty, proszę, nawet nie chcesz mnie przenocować. Padam z nóg.
- Dość już tego! - Nikita wyszedł z siebie i wyrzucił ją za drzwi. -Miarka się przebrała. Pamiętaj, jeszcze raz cię tu zobaczę, to nie będę się szczypać, od razu wezwę milicję.
Wiera zaskomlała jak zbity pies, ale nie było zmiłuj się.
Chłopak zatrzasnął drzwi i z ciężkim sercem poszedł ćwiczyć wprawki. No i teraz męczy go sumienie. Może, gdyby pozwolił jej wtedy zostać, byłaby jeszcze wśród żywych.
- Przyszła o wpół do jedenastej?
Skinął głową.
- Pijana?
- Jak zwykle. Chociaż nie potrafię określić, czy pod wpływem alkoholu czy narkotyków. Jedno jest pewne, nie wyglądała za dobrze.
W milczeniu skubałam rąbek koca leżącego na kanapie, historia zaczyna rysować się coraz ciekawiej. Wiera dosypuje do butelki środek nasenny i jedzie do Nikity. Zapewne zachowała jeszcze resztki przyzwoitości albo faktycznie wystraszyła się milicji. Za posiadanie heroiny można dostać niezły wyrok. Oddała pieniądze i wróciła do

domu. A Anton najspokojniej w świecie przez cały ten czas spał na kanapie. Ktoś musiał z zimną krwią zabić dziewczynę, a potem włożyć mu nóż do ręki. To by wyjaśniało, dlaczego Anton nie mógł dojść do siebie i dlaczego uparcie twierdzi, że nikogo nie tknął.
Ale kto, a co najważniejsze, z jakiego powodu sprzątnął Zajcewą? Czyżby tajemniczy facet, podający się za pracownika centrali telefonicznej, naprawdę okazał się mordercą? Jeśli tak, to oznacza to, że w rzeczywistości jego ofiarą miałam paść ja, Katia albo Julia. Tylko dlaczego? Jesteśmy absolutnie nieszkodliwe.
Może jakiś krewny pacjenta Katii postanowił się na niej zemścić za nieudaną operację? Ale w takim razie po co miałby przedtem dzwonić? Wystarczyłoby zasięgnąć języka w szpitalu. Dane Kati nie są zastrzeżone.
Czułam potworny mętlik w głowie. Poirytowana, gwałtownie zmieniłam temat:
- Mówi coś panu imię Ksienia Fiedina?
Nikita chrząknął znacząco.
- Też pytanie! Niech pani lepiej Niny zapyta, jaką tu nam burdę urządziła. Ja obiecałem, że będę milczeć! Dałem słowo honoru!
Zdziwiona jego reakcją, zawołałam:
- Pani Nino, proszę tu na chwilę przyjść!
Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i do pokoju w obłoku odurzającego zapachu perfum „Rondo" weszła Nina.
Kobieta wzięła się pod boki i z gniewną miną zapytała:
- O co chodzi? Tylko szybko, bo się śpieszę!
Ciekawe, dokąd się wybiera? Pewnie na masaż albo do solarium. Niestety, arogancka latawica będzie musiała zmienić swoje plany.
- Interesuje mnie pani przyjaciółka - Ksienia Fiedina.
- Nie znam takiej - prychnęła z niezadowoleniem.
- Naprawdę? Pani pasierb twierdził coś innego. Mówił, że owa osoba przychodziła tu i nawet urządziła awanturę.
Nina rzuciła Nikicie wściekłe spojrzenie.
Chłopak skulił się i wymamrotał:
- To ja już pójdę. Porozmawiajcie sobie w cztery oczy.
- Nikita się pomylił - rozpoczęła jak gdyby nigdy nic. - Pewnie się przesłyszał.
Niezbyt wyszukane kłamstwo. U skrzypków z uszami jest zazwyczaj wszystko w porządku. Chociaż z drugiej strony, zwykły słuch muzycznemu nierówny.

- Być może - zgodziłam się. - Jednak w agencji „Laura" utrzymują, że przyjaźniła się pani z Fiediną.
W jednej chwili jej twarz straciła kolory i pokryła się trupią bladością.
- Kim pani jest? - wyszeptała, momentalnie zmieniając się - w małą, słabą dziewczynkę.
- Funkcjonariuszem milicji. Major Eulampia Andriejewna Romanowa.
- Niech pani nic nie mówi mojemu mężowi ani Nikicie -wymamrotała.
- Błagam panią! Ile pani chce? Tysiąc?
Pokręciłam głową.
- Za mało? Dwa?
- Nie przyszłam tu po pieniądze.
- W takim razie po co? - Nina wyraźnie się załamała. - Chce pani zniszczyć mi życie? Powiadomić mojego męża?
- Nie - uspokoiłam ją. - Szukam jedynie Ksieni Fiedinej. Jak tylko się dowiem, gdzie jest, od razu sobie pójdę.
Nina wzięła ze stołu paczkę „Sobranija".
Nie poczęstowała mnie, tylko sama wzięła papierosa i zaczęła nerwowo pstrykać zapałką.
- Już od dawna nie mam z nią nic wspólnego!
- Postawmy pytanie inaczej. Gdzie mieszkała wcześniej?
Nina zaczęła wypuszczać kłęby dymu.
- W bloku przy ulicy Kołodieznej.
- Mieszkały panie razem?
-Tak.
- Poznały się panie w „Laurze"?
- Może.
- Co pani o niej wie?
- Nic.
Wstałam gwałtownie, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.
- W takim razie, dowidzenia.
- Krzyż na drogę - Nina pozwoliła sobie na stanowczo za dużo.
- Jutro - oświadczyłam lodowatym tonem - proszę się zjawić z mężem na komisariacie na Pietrowce. Zaraz wypiszę wezwanie. Poproszę pani dowód osobisty.
- Po co od razu z mężem? - momentalnie spuściła z tonu.
- Nie chce pani po dobroci, na osobności, to zmuszeni będziemy wezwać państwa do nas.

- Dobrze, już dobrze - zaczęła mięknąć. - Co tu ma do rzeczy mój mąż? Tym bardziej że nigdy nie widział Ksieni. Naprawdę nie wiem o niej nic konkretnego. Przestałyśmy utrzymywać ze sobą kontakt już dawno temu.
- Dlaczego tu przyszła i zrobiła pani awanturę?
Nina dokładnie zgasiła niedopałek.
- Niech pani przysięgnie, że to zostanie między nami!
Z czystym sumieniem obiecałam:
- Słowo milicjanta.
Westchnęła ze smutkiem.
- Nie wszyscy mają tak dobrze jak Nikita. W domu miał wszystkiego pod dostatkiem. Ojciec i matka chuchali na niego i dmuchali. Kiedy pojawiła się macocha, czyli ja, również się nie pogorszyło. Jestem młodsza od Nikity i ze wszystkich sił staram się, żeby uważał mnie za przyjaciela. Ale czasami to już mnie bierze jasna cholera. Dlaczego jedni mają wszystko, a drudzy nic? W czym jestem gorsza? W tym, że urodziłam się w rodzinie przygłupów?

Rozdział 15

Nina rzeczywiście miała niesamowitego pecha w życiu. Nie żeby pochodziła z patologicznej rodziny pijaków. Wręcz przeciwnie. Zarówno ojciec, jak i matka byli aż zanadto porządni. Koszmarni nudziarze.

Od małego Nina wychowywana była w systemie głupich, częstokroć bezsensownych, zakazów i reguł.

Spać chodziła o ósmej trzydzieści, nie wolno jej było jeść na noc mięsa, a telewizję oglądała jedynie pół godziny w ciągu dnia. Rodzice tłumaczyli te ograniczenia troską o stan jej zdrowia.

Można było jeszcze zrozumieć hasła typu: „spódnica u przyzwoitej dziewczynki powinna sięgać za kolana" i „porządnie wychowana dziewczyna nie może się szwendać po nocach z chłopakami".

Ale dlaczego nie wolno było siedzieć w fotelu z nogą założoną na nogę, używać dezodorantu, czytać Mayne Reida, chodzić na basen i sypać herbatę bezpośrednio do kubka?

Tego w żaden logiczny sposób nie dało się wytłumaczyć.

Nie wolno, i już!

- Trzeba żyć porządnie - zrzędził tata, wymyślając kolejny zakaz.

- Bierz przykład z nas - pouczała mama, kupując szesnastoletniej dziewczynce filcowe kozaczki.

Powstrzymuj ąc łzy, Ninka wkładała buty typu „żegnaj, młodości" i przygnębiona wlokła się do szkoły.

Przez te stroje z innej epoki stała się obiektem kpin.

Jednak bała się otwarcie buntować. Wystarczyło, że wykazała najmniejszy sprzeciw, ojciec natychmiast wyciągał ze spodni szeroki wojskowy pasek. Nie było co marzyć, że matka się za nią wstawi, gdyż całkowicie podzielała pedagogiczne poglądy męża.

- Bez porządnego lania dziecka na ludzi się nie wyprowadzi -powtarzał swoją życiową mądrość ojciec.

- Co racja, to racja. Musi się nauczyć od małego - dodawała mama.

Nina ukończyła szkołę i poszła do instytutu pedagogicznego.

W ogóle to chciała zostać lekarzem, ale tata twierdził, że to nie jest odpowiedni zawód dla kobiety. Lekarze muszą przecież patrzeć na

gołych mężczyzn.
I tak sobie żyła, chodząc spać z kurami.
Nie wiadomo, ile jeszcze trwałby taki stan rzeczy, gdyby pewnego razu po powrocie do domu dziewczyna nie była świadkiem nieprawdopodobnej sceny.
- Cham! Świnia! Bydlak! Gnój! - krzyczała spokojna, wręcz apatyczna z natury matka, rzucając w ojca wszystkim, co popadło: filiżankami, talerzami, maselniczką i cukiernicą.
- Ciszej, uspokój się - mamrotał ojciec, zręcznie uchylając się przed „pociskami" - porozmawiajmy jak ludzie.
Przestał się trzymać w ryzach w momencie, gdy mamie udało się trafić w niego ciężkim naczyniem.
- Ty szmato! - wrzasnął i chwycił ją za włosy.
Na widok bójki Nina omal nie zemdlała. W ich nudnym domu zawsze panowała cisza i spokój. W kuchni nie grało nawet radio. Jeśli rodzice się kiedykolwiek kłócili, musieli to robić po kryjomu.
Dziewczyna po raz pierwszy w życiu była świadkiem takiej awantury.
- Twój ojciec to dziwkarz - oświadczyła mama, kiedy mąż wybiegł z domu, trzasnąwszy przy tym drzwiami.
- Co się stało? - zapytała z lękiem Nina, na wszelki wypadek odchodząc kawałek od plującej jadem matki.
Przeżyty stres musiał być naprawdę wielki, gdyż na co dzień opanowana matka, która nigdy wcześniej nie zwierzała się swojej córce, zaniosła się szlochem i wyjawiła jej nieprawdopodobną, szokującą prawdę.
Jak się okazało, cichy i porządny ojciec miał kochankę. Młodą dziewczynę, nieco starszą od własnej córki.
Nina słuchała z otwartymi ustami. Po chwili szok zastąpiła fala złości. Czuła się oszukana. Nie mogła chodzić ani do kina, ani na dyskoteki, nosić modnych ciuchów ani się malować. Ojciec zabraniał jej wszystkiego, a sam w tym czasie się zabawiał. Zrzędził i serwował jej coraz to nowe rady życiowe. Ograniczał jej wolność, kazał żyć według jego zasad, a sam...
Z oburzenia dziewczyna dostała wypieków na twarzy.
- Już ja mu dam! - odgrażała się matka - Znajdę na niego haka! Napiszę do gazety! Nie zostawią na nim suchej nitki! Pójdę do niego do pracy, niech zrobią z nim porządek!
Matka wyraźnie straciła kontakt z rzeczywistością. W dzisiejszych czasach nikogo już nie obchodziła moralność pracowników. Zniknęły

komitety partyjne, stojące na straży zdradzonych żon. Gazety miały głęboko gdzieś skoki w bok jakiegoś tam Sorokina. Gdyby był piosenkarzem, posłem albo chociaż znanym piłkarzem, to co innego.
Przez calutki tydzień matka rozpaczała, a potem otarła łzy i z podwójnym zapałem zabrała się do wychowywania Niny.
Od tej pory mogła jedynie oddychać, wszystkie pozostałe czynności życiowe były surowo zabronione.
Jednak w dziewczynie coś pękło. Niegdyś posłuszna, a nawet uległa, raptem postanowiła się zbuntować.
I pewnego pięknego dnia, zamiast jak zwykle wrócić do domu od razu po wykładach, udała się w wesołej kompanii do kawiarni.
Nie robili tam nic złego. Zamówili tylko po kieliszku wytrawnego wina i pucharku lodów. Potem trochę potańczyli. Krótko mówiąc, Nina zjawiła się w domu około jedenastej. Odprowadził ją Andriuszka Danilin.
Drzwi otworzyła matka.
Nina nie zdążyła nawet otworzyć ust, kiedy na jej głowę spadł ciężki kij od miotły.
- Ladacznica! Puszczalska! - krzyczała matka, waląc dziewczynę raz za razem po głowie. - Dziwka spod latarni! Jutro pójdziesz do ginekologa! Pewnie złapałaś jakiego syfa!
Nie wiedząc, co się dzieje, Nina usiłowała zasłonić twarz rękami, ale bolesne razy sypały się ze wszystkich stron.
Rozwścieczona kobieta usiłowała trafić ją miotłą w twarz.
Andriej, który zamierzał już odejść, zawrócił na odgłos awantury.
Błyskawicznie odebrał rozjuszonej babie kij i zaczął krzyczeć:
- Pani co, szaleju się najadła?
Zbulwersowana matka wrzasnęła:
- Ach, to tak! Wzięłaś sobie kochasia do obrony! Zabieraj się stąd precz! Pod latarnię! Tam jest twoje miejsce!
Drzwi zatrzasnęły się z głośnym hukiem.
Zszokowana Nina stała na schodach, wycierając drżącymi rękami krew z twarzy.
- Często tak masz? - zapytał ze współczuciem Andriej.
Roztrzęsiona dziewczyna nie była w stanie odpowiedzieć.
Danilin zabrał ją ze sobą do domu.
Jego ojciec pracował w ich instytucie jako prodziekan, dlatego zrobili dla niej wyjątek, przymknęli oko na stałe miejsce zameldowania w Moskwie i przydzielili akademik.

W pokoju oprócz Sorokinej mieszkała jeszcze jedna dziewczyna -Ksiusza Fiedina.
- Kto? - zdziwiłam się.
- Ksienia - powtórzyła spokojnie Nina.
Opadła mi szczęka. Ale numer! To co, uczyła się równocześnie w dwóch szkołach?
W przeciwieństwie do nieśmiałej, zahukanej Niny, Ksiusza była przebojowa.
Jedyna córka zamożnych rodziców. Mama pracowała jako główna księgowa w fabryce drobiu, tata posiadał warsztat samochodowy przy trasie z Moskwy do Kaługi. Przysyłali jej co miesiąc sporą sumę, ale nie była nauczona oszczędności i momentalnie wszystko roztrwaniała. Często pomagała również Ninie.
To właśnie Ksiusza pierwsza wpadła na pomysł, żeby sobie dorobić w „Laurze".
Początkowo dziewczynom udawało się pogodzić pracę z nauką, jednak po pewnym czasie rzuciły studia i bez reszty oddały się biznesowi.
Wynajęły mieszkanie i zaczęły imprezować.
Ale „dobrze wychowanej" Ninie szybko sprzykrzył się hulaszczy tryb życia.
Ksiusza co wieczór urządzała imprezy, na których wino i wódka lały się strumieniami. Zmieniała chłopaków jak rękawiczki i nakłoniła Ninę na pójście do łóżka z przystojnym Griszą. Potem Lonią, Miszą, Pawłem, Piotrem.
Pewnego ranka dziewczyna obudziła się z jakimś obcym, chrapiącym jej nad uchem chłopakiem.
Usilnie starała się przypomnieć sobie jego imię - Losza? Sasza? Kostek? Niespodziewanie ogarnęło ją obrzydzenie do samej siebie.
Naprawdę w ciągu zaledwie dwóch miesięcy pracy w „Laurze" zdążyła się zmienić w prostytutkę?
Postanowiła się ustatkować.
Wróciła do instytutu i zaczęła uczęszczać na zajęcia.
Wykłady z literatury radzieckiej prowadził w tym czasie Nikołaj Sieryj.
Pisarz ujrzał na sali skromnie siedzącą Ninę i stracił dla niej głowę. Ugodziła go strzała Amora. Zaczęli się spotykać.
Dziewczyna zwietrzyła swoją wielką szansę. Odpowiednio się zachowywała. Grała niewinną pannę, której cnotę można zdobyć

jedynie po ślubie.
Ksiusza była zorientowana w całej sytuacji. Uśmiechała się tylko, patrząc, jak koleżanka po kryjomu zmywa z twarzy makijaż i wiąże włosy.
Kiedy doszło do rozmowy o ślubie i wyznaczono datę, Nina nagle się przeraziła. Dopiero teraz dotarło do niej, że przecież już pierwszej małżeńskiej nocy jej kłamstwo wyjdzie na jaw. Mąż odkryje, że nie jest dziewicą.
- Też mi wielki problem - Ksiusza podała koleżance gazetę. -Zobacz, tu masz ogłoszenie.
„Odzyskać dziewictwo"- głosił wielki napis.
Nina, ogromnie wdzięczna za radę, skorzystała z oferty i po niedługim czasie była już żoną pisarza.
W przeddzień ślubu zdobyła się na odwagę i oświadczyła przyjaciółce:
- Wybacz, ale nie możemy dalej utrzymywać ze sobą kontaktu.
- Rozumiem - chrząknęła Ksiusza - chcesz odsunąć od siebie niewygodnych świadków.
- Wybacz - powtórzyła Nina - ale chcę prowadzić spokojne rodzinne życie. Zrozumiałam, że wszystkie te zabawy nie są dla mnie.
- Dobrze - mruknęła Ksienia. - Nie ma o czym mówić.
Cały miesiąc nie dawała znaku życia, aż pewnego dnia Nina otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą przyjaciółkę.
- Czego chcesz? - zapytała zaskoczona.
- Ale mnie miło witasz - zaczęła Ksiusza i wcisnęła się do przedpokoju. - Przyszłam porozmawiać.
Dzięki Bogu, mąż był na daczy. Jednak w sąsiednim pokoju siedział pasierb. Nina, umierając ze strachu, zaprowadziła niespodziewanego gościa do siebie.
Ksiusza opadła na fotel, wyciągnęła przed siebie nogi i rozpoczęła rozmowę o niczym. W końcu przeszła do sedna sprawy: jeśli Nina nie chce, żeby ktoś dowiedział się o jej przeszłości, to musi jej płacić za milczenie - dwieście dolarów miesięcznie. Niezbyt wygórowana cena jak dla dobrze sytuowanej damy.
Dziewczyna wiedziała jednak, że jeśli na to pójdzie - umarł w butach! Ksiusza nie odczepi się od niej do końca życia. Przyssie się jak pijawka. A wiadomo, że apetyt rośnie w miarę jedzenia.
- Nie ma mowy - sprzeciwiła się.
- Mam obecnie pewne problemy finansowe - Ksiusza zaczęła tłumaczyć swój szantaż. - Krucho u mnie z kasą. Możesz to uznać za

pożyczkę.
Ale Nina uporczywie kręciła głową.
- Skoro tak - mruczała Ksiusza - to posiedzę i poczekam na twojego męża.
Nina trochę się przestraszyła, jednak nie dała tego po sobie poznać.
Z udawaną pewnością w głosie oznajmiła:
- Możesz sobie czekać, ile ci się rzewnie podoba, z tym, że nie w moim mieszkaniu.
- A spróbuj mnie stąd wyrzucić - zachichotała Fiedina.
Sorokina chwyciła przyjaciółkę za nadgarstek.
Ta zaczęła się bronić. Wywiązała się bójka.
W ferworze walki dziewczyny zahaczyły o lampę, która z przeraźliwym hukiem runęła na podłogę, roztrzaskując się w drobny szklany mak.
Hałas zaniepokoił Nikitę. Wszedł do pokoju.
Zobaczył walczące kobiety i postanowił je rozdzielić.
- Poczekaj no! - krzyczał gość. - Jeszcze mnie popamiętasz! Wyjawię całą prawdę! Niech się chłopak dowie, kim naprawdę jesteś!
Nikita z głupią miną mrugał oczami.
- To ja powiem, kim ty naprawdę jesteś! - zapiszczała niespodziewanie cienkim ze złości głosem Nina. - Nie myśl, że udało ci się mnie oszukać. Wszystko o tobie wiem!
Ksiusza momentalnie się uspokoiła. W jej oczach pojawił się szczery strach. Puściła Ninę i zapytała oschle:
- Co masz na myśli?
- Zgadnij! Wspomnij pamiętny wieczór, kiedy się napiłaś i wszystko mi wyznałaś!
Ksienia z miejsca straciła cały zapał do walki i popychana przez Nikitę, bez słowa opuściła mieszkanie.
Nina była zaskoczona efektem, jaki wywołały jej słowa.
Chłopak zebrał odłamki szkła i przyniósł szlochającej macosze walerianę.
- Błagam cię - prosiła, szczękając zębami o szklankę. - Błagam, nikomu nie opowiadaj o tej wizycie. Nikomu.
- A co mi do tego - wzruszył ramionami. - Już zapomniałem. Czy tu ktoś w ogóle był?
Nina w pełni odpowiadała mu jako macocha, dlatego obiecał dochować tajemnicy.
Sorokina roześmiała się histerycznie, po czym pobiegła do łazienki

doprowadzić się do porządku.
Jak się potem okazało, niepotrzebnie się zadręczała. Paskudna szantażystka zniknęła z jej życia i nigdy więcej się nie pojawiła.
- A co pani takiego o niej wie? - zapytałam, kiedy skończyła swą opowieść.
- Nic - odparła z absolutnym spokojem. - Oprócz tego, że jest skończoną łajzą i świnią!
- Nie bardzo rozumiem - powiedziałam skołowana.
- Śmiertelnie się wtedy wystraszyłam - westchnęła Nina. - Bałam się, że Ksienia zdradzi tajemnicę o „Laurze". Straciłam głowę. No i palnęłam pierwsze, co mi przyszło na myśl. Tak, jak się krzyczy - „sama jesteś głupia". Groziła mi: „Wszystko opowiem", to ja jej: „Nie, to ja wszystko o tobie opowiem". Przecież najlepszą obroną jest atak. Tylko do teraz nie rozumiem, czego się wystraszyła?
- A co to za historia z tym jej piciem?
Nina się roześmiała.
- Dziwne, ale Ksienia w ogóle nie piła. Ani wina, ani wódki, ani piwa. Twierdziła, że błyskawicznie się upija i traci rozum. Nawet w „Laurze", wychodząc z klientem, zawsze specjalnie uprzedzała: pije jedynie wodę mineralną.
Tego wieczoru sprowadzili do mieszkania hałaśliwe towarzystwo. Któryś z chłopaków, chcąc zażartować sobie z Ksiuszy, zamienił jej kieliszek z napojem na szampana. Kolor był jednakowy- jasnożółty.
Nie podejrzewając więc nic złego, jednym haustem wychyliła prawie sto pięćdziesiąt gramów szampana.
Przez chwilę posiedziała z głupią miną, po czym zapytała:
- Kto mi podłożył taką świnię?
Nina nigdy nie widziała, żeby ludzie w tak zawrotnym tempie upijali się odrobiną alkoholu.
Po paru minutach Ksiusza już nie kontaktowała, jakby obaliła co najmniej całą butelkę wódki.
Impreza odbywała się w jej pokoju, więc Nina zaprowadziła koleżankę do swojej sypialni i chciała położyć do łóżka, ale tę zupełnie rozebrało. Zaczęła szlochać, chwyciła Ninę za ręce i jęczała:
- Nie odchodź.
Musiała siąść obok kanapy i poczekać, aż Ksiuszę zmorzy sen, ale ta nie miała zamiaru zasypiać. Z błyszczącymi oczami trzymała Ninę za rękę i nadawała.
Biedna dziewczyna nie wiedziała, jak ma się od niej uwolnić.

- Idź już spać - namawiała.
- Nie, nie, posłuchaj mnie - bełkotała Ksienia. - Jestem okropnym człowiekiem. Mam na swoim sumieniu straszne rzeczy. A tak w ogóle, to nie jestem Ksiusza.
- Ty pijusko - zaśmiała się Nina - idź spać.
- Jestem Tania Mitiepasz - mamrotała Fiedina. - Biedna, głupia Tania. A myślałam, że będzie lepiej!
Nina nie uwierzyła ani jednemu słowu. Nadal usiłowała przekonać ją, że sen jej dobrze zrobi.
- Dobrze, może być Tania, Mania, Ania, nawet bania, tylko już śpij. Jak się prześpisz, od razu poczujesz się lepiej.
Fiedina jeszcze przez kilka minut wygadywała jakieś brednie o sądzie, złym kliencie i babci. W końcu opadła na poduszkę i głośno zachrapała.
Rano było jej niedobrze, bolał ją żołądek i kręciło się w głowie.
Kiedy litościwa Nina podała jej filiżankę kawy, wypiła ją szybko i zapytała:
- Kto mi wlał szampana?
Nina wzruszyła ramionami.
- Nie mam pojęcia.
- Pewnie Igor - mamrotała - żarcik w jego stylu. A przecież mówiłam, nie mogę pić!
- E tam - prychnęła Nina - wczoraj byłaś łagodna jak baranek. Tylko nie chciałaś pójść spać! Jakieś bzdury wygadywałaś.
- A co mówiłam? - zapytała niepewnym głosem.
- Oj, nie pamiętam - opędziła się Nina. - Wcale nie słuchałam. Jakieś głupoty totalne o babci i Tani z okropnym nazwiskiem - Srepasz, czy Mitiepasz.
- Wyobrażasz sobie, że raz komuś wcisnęłam, że siedziałam w więzieniu, a innym razem zapewniałam, że urodziłam się w Ameryce. Skąd mi takie coś przychodzi do głowy? Niepojęte! A potem jest mi głupio.
- Nie ma sprawy - roześmiała się Nina. - Czego to ludzie po pijaku nie gadają.
- No właśnie - westchnęła Ksiusza i poprosiła: - Dasz mi aspiryny?
Nina poszła do kuchni, przyniosła tabletki i zapomniała o rozmowie.
- Mogłaby pani przypomnieć sobie dokładną datę, kiedy poznała pani Ksiuszę?
Zastanowiła się.

- W dziewięćdziesiątym siódmym zaczęłyśmy pracować w „Laurze". Dokładnie drugiego listopada złożyłyśmy podanie o pracę i zostałyśmy przyjęte. Pod koniec tego samego roku wyszłam za mąż. Braliśmy ślub 29 grudnia, przed sylwestrem. Pamiętam, bo jeszcze wszyscy nam radzili, żeby odłożyć o miesiąc.
W milczeniu bębniłam palcami po stole.
Jesienią tego samego roku Ksienia Fiedina okradła Wikę Popową i ślad po niej zaginął.
Wygląda na to, że po dokonaniu kradzieży wyprowadziła się do akademika. Ale jak się jej to udało? Przecież egzaminy wstępne zdaje się latem!
W głowie miałam istny kocioł i pewnie dlatego trochę zbyt ostro zapytałam:
- Grała na fortepianie?
- Tak, cudownie - potwierdziła Nina. - Jak zawodowiec. Dzięki temu miała w „Laurze" ogromne powodzenie. W ogóle była prawdziwą aktorką, mistrzem kreacji. Jeśli chciała zrobić na kimś wrażenie, wkładała czarną-sukienkę, skromnie spuszczała oczy i mamrotała: „Ach, proszę mi wybaczyć, pozwoli pan, że zapytam, czy byłby pan tak uprzejmy". Ale gdy tylko klient znikał za drzwiami, nasza spokojna myszka zamieniała się w bestię: „Ej ty, do jasnej cholery!". Klęła jak szewc. Rzucała mięchem co drugie słowo. Początkowo było mi nawet nieswojo, że co zdanie to „dupa" albo jeszcze gorzej.
- To ona? - podsunęłam jej zdjęcie pod nos.
Przyjrzała się osobie na fotografii i niepewnie odparła:
- Podobna, ale inna fryzura, ubiór.
- Ubiór - chrząknęłam - a co, chodziła w jednej koszuli, czy jak? To normalne, że ubranie się zmienia!
- Nie do końca - zaprzeczyła. - Stroje się oczywiście zmieniają, ale nie styl. Ksiusza zwykle nosiła wszystko obcisłe w jaskrawych, krzyczących kolorach. Balansowała na granicy przyzwoitości. Częstokroć jej ubrania były całkowicie pozbawione smaku. A do tego paskudnie się malowała. A tutaj widać elegancko ubraną kobietę, z nienaganną fryzurą i makijażem. To w końcu ona czy nie? Mówię, że podobna, ale głowy nie dam sobie uciąć!
Poczułam ogarniające mnie zmęczenie i machnęłam ręką.
- Wystarczy. Pamięta pani chociaż adres instytutu, gdzie się uczyłyście?
- Ulica Sokolska, ale nie pamiętam numeru budynku. Tuż obok

fabryki wyrobów cukierniczych. Przy bramie wystaje ogromna rura. Jeszcze sobie żartowaliśmy, że tam poddają kremacji studentów, którzy nie zdali egzaminu z logiki za dziesiątym podejściem.
- Ale na pewno dobrze pani zapamiętała nazwisko - Mitiepasz? Mówię o tym, które powtarzała w kółko po pijanemu.
- Nie wiem dlaczego, ale jakoś utkwiło mi w pamięci. Być może dlatego, że nigdy przedtem takiego nie słyszałam. A imię - Tania. Ale nie ma co sobie zawracać tym głowy. Była pijana i gadała od rzeczy.
W milczeniu spoglądałam na uspokojoną Ninę.
I tu się mylisz, moja droga! Słowa pijanego to myśli trzeźwego!

Rozdział 16

Do domu wparowałam, dźwigając ciężką siatę z zakupami. Wkrótce wszyscy wrócą i od progu będą wołać, że są głodni. Udałam się więc bezpośrednio do kuchni, żeby coś szybko przyrządzić.

W zlewie nadal piętrzyła się góra naczyń.

- Tina! - wrzasnęłam, wściekła do granic możliwości. - Chodź tu natychmiast!

Skrzypnęły drzwi, pojawiła się w nich zaspana dziewczyna.

- Dlaczego nie umyłaś naczyń?

- A miałam?

Ze złości z taką siłą rzuciłam szczotkę do zlewu, że ulubiony granatowy kubek Sierioży z żałosnym brzękiem roztrzaskał się na drobne kawałki.

O nie! Cały wieczór do kitu. Jak się o tym dowie, to będzie się do jutra złościć.

- Przecież byłaś w domu cały dzień. Tak trudno opłukać kilka talerzy?

- Nie dobrze mi - mamrotała po cichu, lokując się na krześle. -Bardzo źle się czuję. Boli mnie żołądek i mam mroczki przed oczami. Niech mi pani przyniesie tabletki z szafki nocnej, takie różowe, leżą w pudełeczku.

Niezła aktorka! Chce się wykpić chorobą. Ale niech jej będzie. Pójdę po to lekarstwo.

Kiedy znalazłam się w pokoju, na stoliku ujrzałam nie tylko przepisane przez Katię ziółka na uspokojenie, ale również stertę papierków po czekoladowych cukierkach, które były porozrzucane po całym pokoju. Na kołdrze leżała potłuszczona książka Koszmar w bramie.

- Spokojnie, tylko spokojnie - burczałam pod nosem. - Raz, dwa, trzy, cztery. Tylko spokój może nas uratować.

Jednak podając leki ciężko wzdychającej Walentynie, nie wytrzymałam i wybuchnęłam:

- Jak można zjeść tyle słodyczy na raz! Tym bardziej że podobno źle się czujesz! Po wciągnięciu kilograma cukierków nawet zdrowy

człowiek wylądowałby w szpitalu.
- Tak - powiedziała ugodowo - ma pani absolutną rację. Sama nie wiem, jak to możliwe. Musiałam się zaczytać.
Odwróciłam się na pięcie i zaczęłam zawzięcie myć talerze.
Po kolacji, około godziny dziesiątej, Katia oznajmiła:
- Załatwione. Jutro o dziewiątej podpisujemy dokumenty.
- Jakie? - zapytała Julia. - Umowę kupna-sprzedaży.
- Już? - wykrzyknęliśmy zgodnym chórem.
- A po co to odkładać? - wzruszyła ramionami. - Wszystko jest już dograne. Papiery skompletowane.
- To wszystko dzieje się tak jakoś na gwałtu rety - mruknął Sierioża.
- Pośpiech nie jest wskazany przy załatwianiu tak poważnych spraw.
- Trzeba zdążyć przed Nowym Rokiem - przypomniała Katia.
- Dlaczego? - zapytała Julia.
- Tak twierdzą w agencji - nie chciało jej się powtarzać wszystkiego od początku. - A poza tym Eugenia Nikołajewna obawia się, że na początku stycznia do prasy przecieknie informacja o budowie drogi i zostaniemy na lodzie, bo nikt przy zdrowych zmysłach się tu nie wprowadzi!
- Czyli oszukujemy tych, którzy kupią to mieszkanie zauważył rozsądnie Kiriuszka.
Zapanowała niezręczna cisza.
W końcu Julia wymyśliła odpowiedź:
- Ale przecież nie zamieniamy się bezpośrednio z tymi, którzy mają się tu przenieść. Tylko z kimś innym, a tamci jeszcze z kimś i jeszcze.
- Chyba rzeczywiście to nie fair - bąknęła Katia.
- Słuchaj, mamuś - zareagował szybko Sierioża. - A jak to wszystko ma jutro wyglądać? Skoro kupujemy mieszkanie, to powinniśmy mieć jakąś gotówkę. Gdzie ona jest?
- Nie ma. Jednocześnie kupujemy i sprzedajemy - wyjaśniła Katia. -Nikt nie będzie miał pieniędzy.
- Jak to? - zdumiałam się.
Westchnęła i zaczęła przedstawiać sytuację:
- Michalewowie i Popowowie kupują nasze mieszkanie i przynoszą sto tysięcy. Ale równocześnie Michalewowie sprzedają swoje czteropokojowe i otrzymują za nie od nas siedemdziesiąt pięć tysięcy, a Popowowie biorą dwadzieścia pięć od Pietrowów.
- Czekaj, czekaj - Julia nic już nie rozumiała - ale skąd weźmiemy siedemdziesiąt pięć tysięcy?

- Od Michalewów.
- Przecież to my im mamy dać!
- Nie!
- Przed chwilą sama tak powiedziałaś!
Katia zamilkła. Potem rzekła:
- Wszystko mi się pomieszało. Słuchajcie, dajemy sto tysięcy Nikitinom. Jednocześnie dostajemy od Michalewów siedemdziesiąt pięć i dwadzieścia pięć od Popowów, a ci otrzymują swoją działkę od Pietrowów i...
- Chryste! - od obfitości nazwisk doszczętnie ogłupiałam. - A na samym początku łańcuszka? Kto ma te sto tysięcy?
- Pietrowowie dwadzieścia pięć i Michalewowie siedemdziesiąt pięć
- wyjaśniała cierpliwie. - Jako jedyni mają wkład pieniężny. Pozostali po prostu przekazują mieszkania z rączki do rączki.
- Ale dopiero co powiedziałaś, że Pietrowowie dadzą dwadzieścia pięć tysięcy Popowom? - zakręciłam się już na dobre.
- Nie! - krzyknęła Katia. - Przestańcie drążyć ten temat. Kwestią pieniędzy zajmuje się agencja! Naszym zadaniem jest stawić się jutro o dziewiątej w biurze z dowodami osobistymi.
- Hura! - wrzasnął Kiriuszka. - Nie pójdę na trening!
- Nie jesteś nam potrzebny do szczęścia - oświadczyła Katia.
- To jest ograniczanie praw dziecka - zaczął marudzić.
- Nie jęcz już - skarcił go starszy brat. - W co się zapakujemy?
- W kartony - odpowiedziała Julka.
- Koszmar - westchnęła Katia.
- To twój pomysł - odparował Sierioża.
- Chcesz mieszkać w takim hałasie? - rozgniewała się.
Nie chcąc brać udziału w kolejnej rodzinnej sprzeczce, poszłam do siebie i wykonałam kilka telefonów.
Najpierw połączyłam się z Pisiemskim, od którego dowiedziałam się, że nie ma żadnych nowych wiadomości o Ksiuszy. Na pytanie, czy żona grała na pianinie, zakłopotany Oleg odpowiedział:
- Nie wiem, nigdy nie słyszałem. Nie mamy w domu tego instrumentu.
- Wobec tego - westchnęłam - proszę mi dać inną fotografię żony, bo na tej, którą mam, nie można rozpoznać jej twarzy.
- Nie mam.
- Jak to pannie ma? - byłam szczerze zdziwiona. - A ze ślubu chociażby?

- Na ślubie mieliśmy pecha - odparł. - Wynajęliśmy fotografa. Zrobił masę zdjęć, jednak okazało się, że z jakiegoś powodu klisza się prześwietliła. Zwrócił nam oczywiście pieniądze i bardzo przepraszał, ale zdjęć nie mamy.
- A na urlop nie jeździliście?
- Jeździliśmy, tylko Ksiusza albo zapomniała kliszy z hotelu, albo przypadkowo wpadł jej cały album do wanny.
- A negatywy?
- Gdzieś się zapodziały.
Bardzo się tym faktem zmartwiła.
Na tym nasza rozmowa się zakończyła. Słuchawka poleciała na kanapę. Wyciągnęłam papierosy. Palę od niedawna i jestem w tym bardzo kiepska. Normalnie powinno się dym wdychać, a ja go łykam. Wszystkie próby nauczenia się palenia według ogólnie przyjętych zasad zakończyły się niepowodzeniem.
Mimo to machnęłam ręką na wszystkie zasady i palę na swój sposób, gdyż widok tlącego się papierosa działa na mnie kojąco. Wprawia mnie w świetny nastrój, a gorący dym rozchodzący się w żołądku mnie rozluźnia.
Hm... to ciekawe.
Młoda żona Pisiemskiego nie bez powodu niszczyła zdjęcia. Tylko czego się bała?
Następnie zadzwoniłam do Burlewskiego.
Fiodor mnie wysłuchał, poczym stwierdził:
- Świetnie. Teraz pozostało jedynie znaleźć zabójcę Wiery i po sprawie.
Łatwo mówić, gorzej zrobić.
- Może jednak lepiej powiadomić milicję? - zaproponowałam ostrożnie.
- W życiu! - odparł stanowczo. - Oni już wyrobili sobie zdanie w tej sprawie i tak szybko go nie zmienią. Dla nich wszystko jest jasne - mój syn to zabójca. Trzeba działać bez ich pomocy.
- Boję się, że sobie nie poradzę - bąknęłam.
- Świetnie pani idzie - odrzekł. - Tak trzymać! Wierzę w panią.
Następnego ranka weszliśmy całą gromadą do biura agencji „Konako".
Powitał nas mężczyzna w źle wyprasowanych spodniach.
- Bardzo się cieszę - mówił podekscytowany, podrygując w miejscu.
- Poznajmy się. Jestem Zinowij Pawłowicz. Proszę sobie usiąść.

Trzeba będzie troszkę zaczekać.
- Długo? - zapytał Sierioża.
- Nie. Tylko Popowów jeszcze nie ma. Pozostali dotarli już na miejsce.
Ulokowaliśmy się na miękkiej kanapie i zaczęliśmy wpatrywać się w ogromne akwarium, w którym pływały niesłychanie duże ryby.
- One są żywe? - nie wytrzymała Julia.
- Nie, nakręcane, na kluczyk - odparł Sierioża.
Julka postukała palcem po szkle. Ryby natychmiast odwróciły pyszczki w stronę dochodzącego dźwięku.
- Kłamczuch! - oburzyła się. - Po co mnie nabierasz?
- A ty po co zadajesz głupie pytania?
Atmosfera wyraźnie się zagęszczała. Mimo że wszyscy spokojnie siedzieli, w powietrzu czuć było nadciągającą burzę.
Po upływie dwóch godzin Katia nie wytrzymała:
- No gdzie ich wcięło?
- Troszkę cierpliwości - zaczął nas uspokajać Zinowij Pawłowicz. -Oni są spoza Moskwy. Może pociąg się spóźnił. Mogą sobie państwo tym czasie poczytać gazetki.
Sierioża wstał z westchnieniem.
- Pić mi się chce.
- Mamy specjalne urządzenie - „Czysta woda". Proszę, tu są szklaneczki i herbatka. Czerwony kranik jest z wrzątkiem, a niebieski.
- Znam się na tym - przerwał mu Sierioża, wziął plastikowy kubeczek, włożył do niego „Liptona", podsunął pod kranik i przekręcił dźwignię.
Szklanka napełniła się po same brzegi.
Chłopak głośno beknął.
- Sierioża! - Julia spojrzała na niego z wyrzutem.
- Co takiego? - odwrócił się w jej stronę.
- Zachowuj się przyzwoicie!
- O co ci chodzi? Co ja takiego zrobiłem?
- Już ty dobrze wiesz - okazała swoje niezadowolenie. - Takie zachowanie przekracza wszelkie przyjęte normy.
- Masz coś z głową - westchnął mąż i zabrał się do picia herbaty.
- Mnie też mógłbyś nalać - Julia rozzłościła się już na dobre.
Wstała gwałtownie i chwyciła kubek.
Z kranika popłynęła cienka strużka wody. Po chwili rozległ się nieprzyzwoity odgłos.
- Ale bąka puściłaś, Julka - zaśmiał się Sierioża.
- Że niby ja? - dziewczyna nie zamierzała się przyznawać. - Ja?

- Nie, ja - nabijał się dalej chłopak. - Fuj, jak ci nie wstyd zanieczyszczać powietrze.
- Głupek! - odparowała Julia.
W tym momencie do urządzenia z wodą podszedł Zinowij Pawłowicz i podstawił filiżankę. Dało się słyszeć potworne beknięcie.
Przyjrzałam się uważniej podgrzewaczowi.
Nad nim do góry nogami wisiała ogromna dwudziestolitrowa plastikowa butla, z której woda trafiała do kotła, gdzie była podgrzewana.
Za każdym razem, kiedy ktoś odkręcał kranik, w butli pojawiał się wielki pęcherz, a zaraz potem rozlegało się obrzydliwe bulgotanie, jakby się komuś flaki przewracały.
- Oj, w towarzystwie porządnej kobiecie nie przystoi wypuszczać na głos gazów - Sierioża w dalszym ciągu miał ubaw.
- Oszołom! - rzuciła Julia i kopnęła męża w kostkę.
Jednak to nic nie dało. Sierioża rozkręcił się na dobre.
- Jak te pozory mylą. Wydaje się, że tak dobrze wychowana, a w rzeczywistości.
- Kretyn! - syknęła przez zęby.
Zdając sobie sprawę, że zaraz może dojść do rękoczynów, postanowiłam temu zapobiec:
- Przestańcie. Nie jesteście u siebie w domu. Nikt nie bekał, ani nie prutał. To butelka.
- No nie wiem, nie wiem. - przekomarzał się jeszcze Sierioża.
Nie zdążył jednak nic już więcej dodać, gdyż nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i na progu stanęło przeogromne babsko, wykapany car-reformator Piotr I. No, może kobieta była nieco niższa.
Nie miała dwóch metrów, tylko raptem metr dziewięćdziesiąt, ale za to miała identyczne wąsy i okrągłe, wściekle błyszczące oczy. Pod pachą niosła kurduplowatego mężczyznę w ogromnych brudnych buciorach. Tak, nie prowadziła, tylko niosła. Nogi majtały mu się w powietrzu.
Najwyraźniej podobny sposób przemieszczania się musiał być mu doskonale znany, ponieważ nie stawiał żadnego oporu.
Spokojnie zwisał sobie spod silnego uchwytu, apatycznie wpatrując się w dal. Taki sam spokój zachowuje nasza mopsica Ada, kiedy niesie się ją do kąpieli. Z początku ucieka, chowa się pod łóżko, ale kiedy się ją stamtąd wyciągnie i weźmie na ręce, przestaje protestować i całkowicie się poddaje.

Coś mi się zdaje, że tego faceta też długo ganiali po kątach.
Herszt-baba zrzuciła balast na kanapę, po czym się odezwała. Głos zupełnie nie pasował do jej postury. Był strasznie piskliwy.
- Dobry wszystkim. Przepraszamy za małe spóźnienie, ale droga jest paskudna. Asfalt zamarzł i zrobiła się potworna ślizgawica. Samochód rzuca na boki. Ledwie się doturlaliśmy.
Pociągnęłam nosem i poczułam intensywny zapach alkoholu. Pan Popow był kompletnie pijany.
- Pani jest prawdziwą desperatką! Żeby w taką gołoledź jechać samochodem. Wyobrażam sobie, jak panią wykończyło siedzenie za kółkiem.
- Nie mam prawa jazdy - rzekła madame Popowa. - Mąż prowadził.
Zrobiłam wielkie oczy. W zdumieniu przeniosłam wzrok na zasypiającego kurdupla. Mąż? Nawalony jak bela? Za kółkiem, kiedy na drodze taka szklanka?
Popowa chyba wyczuła moją konsternację, ponieważ zaczęła się tłumaczyć:
- Nic mu nie jest. Jak tylko wsiada do auta, momentalnie trzeźwieje.
Odgłos rozmowy przyciągnął uwagę Zinowija Pawłowicza, który zdążył się tymczasem gdzieś ulotnić. Wszedł do pomieszczenia, chwycił niekontaktującego faceta i pociągnął go za sobą w głąb kancelarii.
- Teraz już rozumiem, dlaczego wszędzie mają poustawiane gigantyczne akwaria - rozpoczął Sierioża.
- Dlaczego? - zaniepokoiła się Katia.
- Wpychają w nie mordą w dół takich klientów - odpowiedział.
Mijały kolejne minuty. Po godzinie dotarło do nas wreszcie, że dalsze czekanie nie ma sensu.
Pomimo litra mocnej kawy, dwóch tabletek alkaseltzer i amoniaku, monsieur Popow nie był w stanie podpisać żadnego dokumentu.
Notariusz, który miał zatwierdzić umowę, tylko burknął:
- Znasz mnie, Zinowij, i wiesz, że zawsze staram się iść klientowi na rękę. Nie czepiam się o byle co. Potrafię przymknąć oko nawet na nieważny dowód osobisty. Ale ten tu nie da rady utrzymać długopisu, a co tu dopiero mówić o złożeniu podpisu.
- A może zawrzemy umowę w samochodzie? - rzucił propozycję Sierioża.
- A co ma do tego samochód? - zapytał notariusz, co chwilę poprawiając zjeżdżające mu z nosa okulary.

- Żona twierdzi, że kiedy wsiada za kierownicę, z miejsca dochodzi do siebie - wyjaśnił.
Notariusz gniewnie prychnął, po czym powiedział stanowczo:
- Podpisanie umowy przekładamy na jutro. Spotykamy się o tej samej porze.
- Ale ja idę do pracy - zaoponowała cicho Katia.
- My też - dodali Michalewowie.
- Trudno. Nic na to nie poradzę - uciął i wyszedł.
Rozczarowani opuściliśmy kancelarię i rozeszliśmy się w różne strony:
Katia pobiegła do szpitala, Sierioża załatwiać swoje interesy, Julia na kolokwium, a ja udałam się na poszukiwania instytutu, w którym uczyły się Sorokina i Fiedina.
Nina podała dobrą wskazówkę.
Wysoki komin z czerwonej cegły zauważyłam niemal natychmiast po wyjściu z metra. Instytut rzeczywiście usytuowany był drzwi w drzwi z fabryką słodyczy. Wokół unosił się zapach wanilii, cynamonu i świeżych drożdżówek. Niestety, było to jedyne pozytywne uczucie, jakiego doznałam w tym miejscu.
Alma Mater przyszłych pedagogów wyglądała odrażająco.
Z brudnego, zapuszczonego budynku odłaziła płatami jasnobrązowa farba. Na parterze śmierdziało z toalety, a schody po raz ostatni widziały mopa pewnie z okazji 850-lecia Moskwy.
Po długich, wąskich korytarzach błąkały się niechlujnie ubrane dziewczyny: w ciężkich butach na „traktorze" i rozciągniętych swetrach, wiszących prawie do kolan.
Dwie nauczycielki spotkane po drodze nie wyglądały wcale lepiej -bezpłciowe babki z otumanionymi twarzami.
Siedząca w sekretariacie dziewczyna na mój widok przyjaźnie się uśmiechnęła i zapytała:
- Szuka pani kogoś?
- Tak. Ksieni Fiedinej.
Zamyśliła się na moment, po czym zadała kolejne pytanie:
- A z którego roku?
Rozłożyłam bezradnie ręce.
- No właśnie nie wiem.
- Niech się pani nie przejmuje. Jakoś sobie poradzimy.
Uczelni nie było stać na komputer, ponieważ dane osobowe studentów przechowywano jak za starych czasów: w ogromnych

segregatorach.
Przez klika dobrych minut uprzejma sekretarka szperała w żółtej szafie. Przeszukała wszystkie półki i wreszcie zadowolona rzekła:
- Mam. W usuniętych z uczelni.
- Mogę zobaczyć?
Ochoczo wyciągnęła teczkę w moją stronę, jednak w ostatniej chwili się zawahała i zapytała podejrzliwie:
- A do czego to pani potrzebne? I właściwie kim pani jest?
Spojrzałam w jej naiwną, nie zaprzątniętą żadnymi myślami twarz i odpowiedziałam, podnosząc głos:
- Major Romanowa z wydziału kryminalnego.
- Ojej! - pisnęła, oddając mi grzecznie teczkę.
Zaczęłam przeglądać jej zawartość.
Na samym wierzchu leżał kwestionariusz przyjęcia na studia.
Ksienia Iwanowna Fiedina. Rodzice: Iwan Nikołajewicz Fiedin, zmarł w 1990 roku, matka Raisa Konstantinowna Fiedina, dyrektorka fabryki. Miejsce zamieszkania - Sielichowo.
Hm. dziwne - wyrwało mi się niechcący.
- Coś nie tak? - zapytała z niepokojem.
- Jaki macie termin egzaminów wstępnych?
- Od piętnastego do dwudziestego piątego sierpnia.
- Właśnie. A Fiedina została przyjęta pod koniec września. Jak to możliwe?
Sekretarka odpowiedziała z ociąganiem:
- Nie ona jedna.
- Ooo, a to dlaczego?
Dziewczyna nachyliła się w moją stronę nad sąsiednim pustym biurkiem i ściszonym głosem oświadczyła:
- Bo to nie instytut, a istny przytułek.
- Nie rozumiem. Proszę jaśniej.
- Ale tu nie ma czego wyjaśniać. Można zdawać egzaminy, kiedy we wszystkich porządnych uczelniach skończył się już nabór. Wiele osób tak robi. Najpierw próbują swoich sił w renomowanych szkołach, a kiedy im się nie udaje, przybiegają do nas. Przyjmujemy wszystkich jak leci. Grunt, żeby dwói nie dostać. Ale to prawie niemożliwe. Egzaminatorzy, tak między nami, na wiele przymykają oko. Na egzamin wstępny składają się trzy przedmioty: literatura, historia i język rosyjski. Zdaje się je w formie ustnego testu. Delikwent losuje kartkę z pytaniami i trzema wariantami odpowiedzi. Na przykład, kto

napisał Eugeniusza Oniegina - Puszkin, Giordano Bruno czy Jurij Gagarin? Ale nawet przy takim systemie naboru zdarza się, że grupy są niepełne. I dlatego rektorat często przyjmuje na pierwszy rok studentów we wrześniu, październiku, a zdarza się nawet, że przenoszą się do nas po oblaniu pierwszego egzaminu na innej uczelni. Właśnie do takich należała Ksiusza. Przyniosła papiery jesienią i została przyjęta. A potem po trzech miesiącach zniknęła bez śladu. Przestała chodzić na zajęcia i została skreślona z listy studentów.
To było wszystko, czego udało mi się dowiedzieć.
W tym, jeśli można w ogóle określić go tym mianem, instytucie nauka trwała raptem dwa lata.
Wszystkie koleżanki Ksiuszy rozproszyły się po różnych szkołach zaraz po otrzymaniu dyplomów.
Nie dziwota, że mamy taką okropną kadrę pedagogiczną, skoro przyszli nauczyciele zdobywają wiedzę na tego typu uczelniach.
Pożegnałam się z sekretarką i pośpieszyłam w stronę metra.
Siarczysty mróz szczypał w policzki.
W podziemnym przejściu pomiędzy stacją Borowicką a Biblioteką im. Lenina zjadłam naleśniki i wypiłam gorącą herbatę. Od razu zrobiło mi się cieplej i byłam w stanie rozsądnie myśleć.
Czego się dziś dowiedziałam?
Na pierwszy rzut oka niczego nowego, poza tym, że Ksienia zrobiła z matki dyrektorkę fabryki i podała fałszywe imię jej ojca.
W kwestionariuszu mogła sobie kłamać ile wlezie bez żadnych konsekwencji, ponieważ nikomu nie przyszło do głowy w jakikolwiek sposób weryfikować podane informacje.
Nie wymagano nawet dołączenia żadnych zaświadczeń. Całkiem normalne, że chciała podwyższyć swój status społeczny.
Zastanawiało mnie jednak coś innego.
Już raz miałam przed sobą teczkę z jej danymi. Wtedy, w Akademii Ekonomicznej. I wcale nie obchodziły mnie zawarte tam informacje.
Mój wzrok przykuło coś zupełnie innego, a mianowicie charakter pisma.
Był inny.
Fiedina, która startowała na ekonomię, pisała drobnymi literami. Stawiała je w równym rządku. O ile pamiętam, nie popełniła żadnego błędu, ani niczego nie skreśliła. Co było w pełni zrozumiałe, zważywszy na fakt, iż dziewczyna miała w szkole same piątki, o czym

świadczyła kopia świadectwa, dołączona do podania.
Natomiast dokumenty tej, która została przyjęta na pedagogikę, stanowiły całkowite przeciwieństwo. Wypełniono je kobylastymi, nierównymi, ostro zakończonymi literami. Co więcej, w oczy rzucił mi się okropny błąd.
Dziewczyna najpierw napisała „rzyciorys", a potem poprawiła „rz" na „ż". Błąd niedopuszczalny u prymuski.
Pochłaniając naleśniki o zagadkowej nazwie burito, usilnie próbowałam przypomnieć sobie, gdzie należy się udać w celu identyfikacji adresu mieszkańców stolicy.
No tak, do Centralnego Biura Adresowego.
No to w drogę!
Nie znam wprawdzie dokładnych danych, ale myślę, że wyjątkowo mogą poszukać na podstawie tych, które posiadam.
Gdybym chciała znaleźć Lenę Piętrową bez podania imienia ojca i daty urodzenia, to rozumiem.
Ciężka sprawa.
Ale mi jest potrzebna pani o rzadko spotykanym nazwisku -Mitiepasz.
Pewnie jedno jedyne na całą stolicę.
Wyrzuciłam kubeczek do pobliskiego śmietnika i pobiegłam do metra.

Rozdział 17

W urzędzie przyjęto mnie ze zrozumieniem i współczuciem.
Ale jakże można było nie pożałować głupiej prowincjuszki, która przyjechała do stolicy z zabitej dechami dziury.
- Proszę pani - zaczęłam biadolić, mocno pociągając nosem - w pani cała moja nadzieja! Posiałam gdzieś kartkę z adresem. Zgubiłam się w tym wielkim mieście! Dookoła pełno samochodów. Ludzie pędzą. Biada mi, biada! Jak ja teraz znajdę przyjaciółkę?
- Niech się pani nie przejmuje - zaczęły uspokajać mnie miłe urzędniczki. - Jeśli jest tu zameldowana, to bez problemu ją znaj dziemy.
I rzeczywiście, już po dziesięciu minutach trzymałam w ręce upragniony adres.
- Rzadko spotykane nazwisko - westchnęła jedna z kobiet. - Raptem cztery osoby w ogromnej metropolii.
Z radością wręczyłam im za pomoc sto rubli, wyszłam na zewnątrz i zaczęłam studiować swoją zdobycz.
Kogo my tu mamy? Tak.
Edward Christoforowicz Mitiepasz, ur. w 1907 r., Olga Wasiliewna Mitiepasz, ur. w 1917 r., Ewa Edwardowna Mitiepasz, ur. w 1947 r. i Tatiana Fiodorowna Mitiepasz, ur. w 1972 r.
Cóż za zbieg okoliczności!
Wszyscy są zameldowani pod jednym adresem, na ulicy Safonowskiej. Dosłownie o dwa kroki stąd.
Państwo Mitiepasz mieszkali w ogromnym bloku, całym poobwieszanym pamiątkowymi tablicami.
Widok szarego, ponurego budynku z nieestetycznymi płótnami na dachu wywołał u mnie mgliste wspomnienia.
Jeśli mnie pamięć nie myli, mieszkał tu niegdyś Wasia Leonow, mój kolega z konserwatorium, którego rodzice pracowali w teatrze muzycznym.
Na tabliczkach przeczytałam: „wybitny dyrygent", „kompozytor", „baletnica".

Lokatorami w większości byli bez wątpienia słudzy Melpomeny.
Tym bardziej mnie zdziwiło, że nie było ani domofonu, ani windziarki, a sama winda okazała się brudna i śmierdziała moczem.
Na drzwiach numer dwadzieścia osiem wisiała metalowa tabliczka z napisem „Mitiepasz".
Nacisnęłam dzwonek.
- Już idę - dobiegło gdzieś z oddali. - Lecę! Pędzę!
Głos należał do młodej dziewczyny. Przynajmniej tak mi się początkowo wydawało.
Kiedy jednak drzwi się otworzyły, stanęłam jak wryta. Na progu ujrzałam kobietę w podeszłym wieku. Wysoką, postawną pięćdziesięcioletnią damę.
Zazwyczaj kobiety z wiekiem się zdeptują, a ta nie dość, że zachowała wzrost, to jeszcze idealnie prostą sylwetkę. Całkowicie siwe włosy były ułożone w staromodną fryzurę z wysoko podniesioną grzywką. W uszach miała brylantowe kolczyki, na szyi osłoniętej kołnierzykiem wisiały korale, a powykręcane artretyzmem palce ozdabiała masa pierścionków. Kobieta wyraźnie o siebie dbała. Miała zrobiony manikiur. Długie, owalne paznokcie pokrywał krwistoczerwony lakier, idealnie pasujący do koloru szminki.
Nie była ubrana w typowo domowy strój - w szlafrok, tylko w luźne czarne spodnie i ciemnoszary sweter.
Jedynie twarz z siatką głębokich zmarszczek i odbarwień zdradzała wiek, z którym usiłowała walczyć.
- Pani do mnie? - zapytała wyćwiczonym, dźwięcznym sopranem.
Ale dziwne. Z zamkniętymi oczami, słysząc taki głos, człowiek
byłby przekonany, że rozmawia z dwudziestolatką.
- Czy mieszkają tu państwo Mitiepasz?
Dama cofnęła się w głąb korytarza i powiedziała:
- A w jakiej sprawie? Przysłał panią Leonid Arkadiewicz?
- Nie, szukam Tatiany Mitiepasz.
Kobieta zmieniła się na twarzy i z lekka przygarbiła.
- Kim pani j est?
- A co, nie ma Tani?
- Kim pani j est?
Nie mając pojęcia, dlaczego tak dziwnie reaguje na moje pytania, stwierdziłam, że starsza osoba będzie miała najwięcej zaufania do przedstawicieli prawa, więc grzecznie odpowiedziałam:
- Major Eulampia Andriejewna Romanowa, z milicji.

- Wszystko jasne - wymamrotała, po czym ciężko westchnąwszy, dodała: - Proszę wejść.
Poszłyśmy długim, ciemnym korytarzem i weszłyśmy do pokoju, którego większą część zajmował fortepian.
Wystrój wnętrza pochodził jeszcze z początku XX wieku.
Ciężki dębowy stół, masywna kanapa, obita ciemnogranatowym aksamitem i fotel z czasów Woltera. Z sufitu zwisał brązowy żyrandol, a na ścianach wisiała nieprawdopodobna liczba fotografii i obrazów.
- Słucham panią - powiedziała królewskim tonem, powoli osuwając się na fotel.
- Pani Ewa Edwardowna?
Gospodyni się roześmiała.
Jej śmiech zabrzmiał, jakby rozsypała się garść wesoło dzwoniących dzwonków.
- Dziękuję za komplement, ale jestem Olga Wasiliewna, matka nieszczęsnej Ewy.
Czyli musi mieć osiemdziesiąt dwa lata!
- W życiu bym nie powiedziała - w dalszym ciągu jej schlebiałam. -Z początku wydawało mi się, że mówi dziewczyna.
Olga Wasiliewna znów się roześmiała.
- Droga pani, niegdyś byłam piosenkarką i głos jest wszystkim, co mi pozostało ze starych dobrych czasów. Kiedyś wielu mężczyzn padało mi do stóp z bukietami kwiatów. Ale sława mija i gwiazdy odchodzą w zapomnienie. Pewnie pani o mnie nawet nie słyszała. Już od dawna jestem na emeryturze. Obecnie pracuję jako pedagog-korepetytor. Uczę młodych ludzi prawidłowego posługiwania się głosem. A propos, trenowałam głos we Włoszech na początku lat trzydziestych. Mołotow zebrał najlepszych piosenkarzy.
Oddała się wspomnieniom, zarzucając mnie potokiem niepotrzebnych informacji.
Wreszcie udało mi się wtrącić:
- Ma pani takie rzadko spotykane nazwisko.
- Mój mąż jest potomkiem dekabrystów w linii prostej - oświadczyła z dumą. - Jego przodkiem był francuski oficer, de Mitiepa, który ożenił się z jedna z sióstr Wołkońskich. Potem cząsteczka „de" odpadła i ktoś dopisał literę „sz" na końcu nazwiska. Edward Christoforowicz był wielkim dyrygentem, jego droga artystyczna.
Zalała mnie kolejny potok informacji.
Na moje nieszczęście kobieta miała fenomenalną pamięć.

W najdrobniejszych szczegółach opisała swoją suknię ślubną, przejażdżkę z mężem do Francji i przez pięć minut wymieniała sławy, które bywały u niej w domu.
Oszołomiona taką ilością wiadomości, poczułam, że zaczynam się dusić.
W pokoju było pełno kurzu.
Od Olgi Wasiliewny rozchodził się silny aromat staromodnych perfum „Madame Rochas".
Zaczęło mnie drapać w gardle.
Z trudem powstrzymując atak kaszlu, postanowiłam skierować lawinę wspomnień na odpowiednie tory i zapytałam:
- Pani córka też jest piosenkarką?
- Ewka była skrzypaczką - odparła.
- Była?
- Zmarła - rzuciła krótko.
- W takim młodym wieku? Na serce?
- Nie - ucięła.
Wyraźnie nie zamierzała rozwodzić się na ten temat. Jej niespodziewana powściągliwość wzbudziła we mnie jeszcze większą ciekawość.
Pytałam więc dalej:
- Wobec tego co się stało? Nowotwór?
- Nie.
- Nieszczęśliwy wypadek?
- Łaskawa pani - Olga Wasiliewna dumnie podniosła głowę - moja córka popełniła samobójstwo. Była chora i słaba duchowo. Potrafił ją zranić byle drobiazg. W końcu niewytrzymała psychicznie.
- Przepraszam, nie wiedziałam - bąknęłam. - Dawno to się stało?
- W dziewięćdziesiątym siódmym - odpowiedziała spokojnie. - Od tamtej pory jestem absolutnie sama.
- A Tania, pani wnuczka?
Gospodyni złożyła ręce na piersi i oświadczyła:
- Nie mam nic wspólnego z tą osobą.
Patrzcie ją!
Dopiero co pełną parą szczebiotała o swoich kochankach, a teraz nie chce ani słowa powiedzieć o wnuczce. Dziwne.
- Potrzebna mi Tatiana. Gdzie mogę ją znaleźć?
Olga Wasiliewna gniewnie zatrzepotała pomalowanymi rzęsami.
- Nie wiem. W każdym razie, ten dom jest ostatnim miejscem, gdzie

mogłaby się pojawić.
- Dlaczego?
Po chwili milczenia piosenkarka odpowiedziała pytaniem na pytanie:
- O co chodzi? Co ona znowu nawyprawiała?
Niespodziewanie w jej sztucznie rześkim, wytrenowanym głosie pojawiła się lekka chrypka.
Może właśnie dlatego odparłam zgodnie z prawdą:
- Nic takiego. Po prostu wydaje nam się, że Tania może naświetlić pewną historię.
- Ale co się stało? - nie dawała za wygraną.
- Jakiś czas temu w Moskwie zaginęła dziewczyna, Ksienia Fiedina. Śledztwo wykazało, że Tatiana Mitiepasz może wiedzieć, gdzie obecnie przebywa.
- Bardzo wam zależy na jej odnalezieniu?
Potwierdziłam:
- Bardzo. Mąż głęboko przeżywa stratę żony.
- Coś o tym wiem - westchnęła. - Utrata bliskiej osoby jest bolesna. Skoro pani twierdzi, że Tania może orientować się w sytuacji, to postaram się pomóc. Tylko z góry uprzedzam, że nie usłyszy pani ode mnie o niej nic dobrego. Tania jest zakałą rodziny. Tyle wysiłku zainwestowałam w jej wychowanie, że wystarczyłoby na dziesiątkę dzieci. I wszystko na nic.
Ewa Mitiepasz nie wyszła za mąż. Rodzice wychowywali ją w cieplarnianych warunkach. Czekała na swoją wielką miłość, ale rzeczywistość okazała się okrutna. Spotkany przez nią książę z bajki początkowo obiecywał złote góry i obsypywał komplementami. Tym sposobem zaciągnął ją do łóżka. Jednak wcale mu się nie śpieszyło na ślubny kobierzec. A kiedy Ewa z radością przekazała mu nowinę o dziecku, momentalnie zniknął z horyzontu. Nie na długo jednak, gdyż Olga Wasiliewna znalazła Romea i zmusiła do uznania nowo narodzonej córeczki. Dziewczynka otrzymała imię odojcowskie, ale nazwisko zostawiono po matce.
Nieudany tatuś dwa razy przysłał alimenty i zapomniało dziecku.
Olga Wasiliewna chciała wnieść sprawę do sądu, jednak Ewa ubłagała matkę, żeby tego nie robiła.
Taniuszę wychowywały dwie kochające ją bez pamięci kobiety.
Edward Christofbrowicz zmarł w 1970 roku i nie zdążył poznać wnuczki.
Żyło im się nie najgorzej.

Ewa dawała gościnne występy zagranicą, i Olga Wasiliewna była doskonałym pedagogiem i miała mnóstwo uczniów.
Na Tanie chuchano i dmuchano. Miała swoją nianię, guwernantkę, potem nauczyciela muzyki. Do fortepianu posadzono ją w wieku pięciu lat i od tamtej pory zmuszano do codziennych ćwiczeń.
Co wieczór prowadzono do teatru i konserwatorium, a co niedziela do Galerii Tretiakowskiej i Muzeum Puszkina. Tym sposobem przygotowywano ją do przyszłej kariery.
Wydawałoby się, że w takich warunkach powinna wyrosnąć z niej egzaltowana, wrażliwa panna. Ale wyszło inaczej.
Tania była jak kukułcze jajo podrzucone rodzinie Mitiepasz.
Od wczesnego dzieciństwa nie można było wierzyć w ani jedno jej słowo. Nawet jeśli mówiła, że pada śnieg, trzeba było wyjrzeć przez okno i sprawdzić, jaka tak naprawdę jest pogoda.
Dziewczynka miała bujną wyobraźnię.
Na spacerze z nianią ośmioletni brzdąc opowiadał o strasznym wypadku, który się przed chwilą wydarzył.
Dziecko z najdrobniejszymi szczegółami opisywało rozbite samochody, krew na asfalcie.
Niania była zaszokowana, słysząc podobne historie.
Żadnego wypadku nie było. Wszystko zrodziło się w głowie dziecka.
- Powinnaś pisać książki - wzdychała Ewa i pytała Olgę Wasiliewnę:
- A może bez sensu uczymy jej muzyki?
- Przestań - beształa ją piosenkarka. - Tatiana to wrażliwa natura. Jest bardzo utalentowana. A fantazje przejdą jej z wiekiem.
Jak się jednak okazało, nie miała racji.
W piątej klasie dziewczynka przestała zmyślać straszne historie. Nauczyła się za to czerpać ze swoich kłamstw korzyść.
Początkowo były to błahe sprawy.
Na przykład nie oddawała reszty z zakupów. Chleb, który przynosiła z piekarni, zawsze okazywał się droższy niż powinien. Ale ponieważ w grę wchodziły grosze, nikt nie zwracał na to większej uwagi.
Potem zaczęły ginąć jej rzeczy.
Raz piękny, przywieziony przez matkę piórnik, innym razem śliczne rękawiczki z królika.
- Nie możesz być tak roztrzepana - wzdychała Ewa, kupując nowe rzeczy.
Tania z poważnym wyrazem twarzy zgodnie kiwała głową.
Nie dostawała kieszonkowego.

Obie kobiety uważały, że nie potrzebuje własnych pieniędzy.
A jej tak się chciało zakazanej drożdżówki z dżemem, lodów albo ołówka z gumką. Dlatego sprzedawała w szkole swoje rzeczy.
Głowy do nauki nie miała.
Matkę szczerze martwiły jej złe oceny z języka rosyjskiego, historii i literatury. Z niepowodzeniami z matematyką się już jakoś pogodziła. W muzyce sprawy miały się podobnie.
Nauczyciele zaczęli napomykać o lenistwie.
Żeby zostać dobrą pianistką, trzeba wytrwale i regularnie ćwiczyć. Bez końca powtarzać wprawki. Po kilka godzin dziennie ślęczeć nad instrumentem, aby gra osiągnęła stadium automatyzmu.
Najtrudniej jest przeżyć wiosnę, kiedy za oknem słychać wesołe krzyki innych dzieci, bawiących się na dworze w chowanego. A samemu trzeba siedzieć za znienawidzonym pianinem i wykonywać kolejne utwory w takt miarowo kołyszącego się metronomu.
W dziewiątej klasie Tania kategorycznie oświadczyła:
- Rozpraszacie mnie, kiedy wchodzicie do pokoju, jak ćwiczę.
Matka i babka zgodnie pokiwały głowami.
Jako profesjonalistki rozumiały, że artyście może przeszkodzić byle drobiazg.
Od tamtej pory drzwi były szczelnie zamknięte i kobiety ze zdumieniem słuchały dźwięków dochodzących spoza nich.
Niegdyś leniwa Tania spędzała tam teraz prawie całe dnie.
- A nie mówiłam - cieszyła się Olga Wasiliewna. - Dorośnie i będą z niej ludzie.
Jednak w szkole jak dawniej twierdzono, że dziewczyna nie przygotowuje się do zajęć.
- Córka powinna się bardziej przyłożyć do ćwiczeń - twierdziła Esfir Moisiejewna, nauczycielka w klasie fortepianu.
- Ale przecież gra całymi dniami - broniła córki Ewa.
Esfir Moisiejewna tylko wzdychała.
- Nie martw się, mamusiu - uspokajała ją Tania. - Ona się mnie po prostu czepia, bo podobają jej się brunetki, a ja jestem blondynką!
Ewa w milczeniu słuchała córki.
Doskonale znała słabości środowiska muzycznego.
Nie na próżno wielu pianistów ze śmiechem opowiadało dowcip: „W ormiańskim radio zapytano, czy wśród wykładowców w szkole muzycznej jest chociaż jeden, który śpi z kobietą?". Odpowiedź brzmiała: „Tak. Anna Wiszniakowa Łazariewna".

Tak samo mogło być z Esfir Moisiejewną.
Ewa postanowiła przenieść córkę do innego nauczyciela, jednak zanim to nastąpiło, wybuchła afera.
Pewnego, bynajmniej nie pięknego, dnia Ewa otrzymała telefon z prośbą, aby jak najszybciej zjawiła się u dyrektora szkoły.
Tam zaskoczona dowiedziała się, że Tatiana ze wszystkich przedmiotów ma same dwójki, nawet z historii muzyki i chóru.
- Pani córka nie nadaje się na muzyka. Nie ma talentu - oświadczył dyrektor. - Poza tym jest zbyt leniwa.
- To niemożliwe - jęknęła. - Tania jest bardzo pilna. Ćwiczy godzinami!
Dyrektor z powątpiewaniem popatrzył na matkę i dodał:
- No to tym bardziej. Jeśli tak wytrwała praca nie przynosi żadnych efektów, powinna uczyć się czegoś innego, a poza tym.
Zawahał się na krótką chwilę.
- Co? - zapytała. - Co poza tym?
- Niech mnie pani dobrze zrozumie - rozpoczął starając się nie patrzeć matce w oczy - darzymy panią ogromnym szacunkiem. Jak dotychczas.
Ewa w milczeniu wysłuchała pochwał pod adresem swoich rodziców, nie bardzo rozumiejąc, co mogą mieć wspólnego z nauką Tani.
Wreszcie rozmówca dotarł do sedna sprawy.
Nauczycielom niejednokrotnie ginęły pieniądze. Ktoś grzebał w ich rzeczach, przy czym robili to zawsze w dzień wypłaty.
Wczoraj Esfir Moisiejewna nakryła Tanie obok swojej torebki, trzymającą w ręce kopertę z pieniędzmi.
Przestraszona Tania zaczęła odwracać kota ogonem:
- Zobaczyłam pani torebkę, a w pokoju nikogo nie było. Bałam się, że ktoś może panią okraść, więc postanowiłam odnieść pieniądze do sekretariatu.
Nauczycielka poinformowała dyrektora o całym zajściu i kategorycznie odmówiła dalszego prowadzenia zajęć z Tanią.
- Nie wezwaliśmy milicji tylko i wyłącznie przez wzgląd na państwa
- wyjaśnił dyrektor. - Ale Tatiana nie może tu dłużej zostać.
Czerwona jak burak Ewa krzyknęła oburzona:
- A my ani sekundy dłużej nie zostaniemy w tej spelunie! Nie dość, że niczego tu nie nauczą, to jeszcze obrażają! Dziecko chciało jak najlepiej, żeby tej krowie nie zginęły pieniądze. A tak a propos, ta lesbijka nienawidzi mojej córki!

I wściekła do granic możliwości pobiegła do domu.
Po drodze wstąpiła do cukierni, gdzie kupiła wielki tort, żeby pocieszyć dziewczynkę.
„Biedne dziecko - myślała, wchodząc do klatki - pewnie bardzo to przeżywa".
W mieszkaniu jak zwykle rozbrzmiewała muzyka. Ewa postanowiła złamać niepisaną umowę i weszła do gabinetu. Na widok tego, co zobaczyła, oniemiała.
Tania w najlepsze leżała na kanapie z książką w ręce, a czyste dźwięki dochodziły z magnetofonu, stojącego na fortepianie.
- O Boże - matka nie była w stanie więcej z siebie wykrztusić.
Córka odłożyła książkę i bezczelnie oświadczyła:
- No i co takiego? Sprzykrzyło mi się grzmocić w klawisze. A w ogóle nie zamierzam zostawać muzykiem. I nie pójdę już więcej do Esfir Moisiejewny!
Ewa poszła do siebie do pokoju i przepłakała całą noc.
Olga Wasiliewna bez ustanku zażywała środki na uspokojenie.
Około godziny szóstej rano piosenkarka zapukała do córki i rzekła:
- Same jesteśmy sobie winne. Niepotrzebnie ją zmuszałyśmy. Niech sama wybiera zawód.
Ewa milczała. Nie była w stanie opowiedzieć matce o kopercie i wypłacie. Przed córką również nie wydała się ani słowem.
W następnym roku Tania uczyła się w szkole wieczorowej. A dokładniej rzecz biorąc, spędzała przyjemnie czas, leniuchując z książką na kanapie. Wszelkie próby nakłonienia jej chociażby do minimalnego wysiłku natrafiały na kamienną ścianę lenistwa.
Po ukończeniu szkoły nie podjęła żadnej pracy. Pewnego razu nie przyszła na noc do domu.
Przerażone kobiety czym prędzej pobiegły na milicję. Tam jednak nie przyjęto zgłoszenia z uwagi na młody wiek zaginionej i wysokie prawdopodobieństwo ucieczki z domu. Kazano przyjść ponownie za trzy dni.
Po upływie wyznaczonego terminu, w czwartek wieczorem, kiedy Olga Wasiliewna i Ewa całe w nerwach nie mogły już sobie znaleźć miejsca, rozległ się dzwonek telefonu.
Matka drżącą ręką podniosła słuchawkę.
- Ewa? - usłyszała nieznajomy męski głos. - Tania jest u mnie.
- Czy to porwanie? - zaczęła z lękiem skrzypaczka. - Ile chcecie okupu?

- Nie pleć bzdur - uciął nieznajomy. - Nie poznałaś mnie, czy co?
- Nie - mamrotała oszołomiona Ewa. - My się znamy? Gdzie się spotkaliśmy?
- W łóżku - prychnął facet. - Jestem ojcem Tani, twoim byłym kochankiem.
- O Matko! - jęknęła. -Jak do ciebie trafiła?
- Przyszła i powiedziała, że nie może już z wami wytrzymać. Chce zostać piosenkarką, a wy jej na to nie pozwalacie. Zmuszacie całymi dniami do sprzątania. Kazałyście rzucić szkołę muzyczną.
- Daj mi ją do telefonu! - zażądała.
Przez chwilę w słuchawce słychać było jakieś szepty, po czym były kochanek oświadczył:
- Nie chce z tobą rozmawiać. Nigdy nie zapomni ci, że ją uderzyłaś.
Ewa, która nawet w myślach nie tknęła nigdy córki palcem, nie wierzyła własnym uszom.
- Nie biłam jej.
- Daruj sobie. Po co kłamiesz? Ma posiniaczone całe nogi. Podobno używasz kija.
Ze złości Ewie aż pociemniało w oczach.
- Gdzie mieszkasz? Zaraz do was przyjadę.
- Przestań - uciął. - Obejdziemy się bez awantur. Zadzwoniłem tylko po to, żeby ci powiedzieć, że Tania będzie teraz mieszkać ze mną. Ze łzami w oczach opowiadała, jak wypędziłyście ją z domu. Wyzwałyście od przybłęd i podrzutków. Nie sądzę, żebyście się o nią martwiły, ale mimo wszystko postanowiłem was powiadomić, że nic jej nie jest. Żyje i ma się dobrze.
I rzucił słuchawkę.
Ewa nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Otępiałym wzrokiem patrzyła na Olgę Wasiliewnę.
Ta, zmieszana, zapytała:
- Co się stało?
Zamiast odpowiedzieć, kobieta wybuchnęła płaczem.
Przez kolejne dwa lata nie miały o dziewczynie żadnych wieści.
Ewa przeszła załamanie nerwowe i kilka dobrych miesięcy spędziła w specjalistycznej klinice.
Olga Wasiliewna z bólem serca patrzyła na córkę, która nieustannie faszerowała się prochami, przez co mocno przytyła. Sama miała ciągłe skoki ciśnienia i ataki płaczu, nad którymi nie potrafiła zapanować.
Potem nastąpił straszny dzień.

W styczniu do domu zapukała milicja. Zaczęli wypytywać o Tatianę.
Wystraszone kobiety nie miały pojęcia, o co chodzi.
I tu jak grom z jasnego nieba spadła na nie okropna prawda.
Tatiana została zatrzymana. Znajduje się w areszcie. A jako że jest zameldowana u matki, to właśnie u niej w pierwszej kolejności postanowiono zaciągnąć informacji.
- Nie widziałyśmy jej od blisko dwóch lat - mamrotały kobiety.
Funkcjonariusz kiwał głową, jednocześnie uważnie omiatając spojrzeniem pokój.
Wkrótce został wyznaczony termin rozprawy na 18 maja.
W sali nie było nikogo poza Olgą Wasiliewną i jakimś wielkim facetem w skórzanym płaszczu.
Ewa nie mogła zjawić się na rozprawie, gdyż ponownie trafiła do szpitala.
Nareszcie Olga Wasiliewna poznała charakter wykroczenia. Siedziała ledwie żywa, słuchając mowy oskarżyciela i zeznań świadka.
Tania utrzymywała się z prostytucji. Obrzydliwy sposób zarabiania pieniędzy, jednak sam z siebie praktycznie niemożliwy do ukarania, gdyby nie to, że dziewczyna posunęła się do kradzieży.
Usiłowała zakosić klientowi, facetowi w skórzanym płaszczu, portfel, złoty zegarek i sygnet. Wrzuciła mu do kieliszka środki nasenne, jednak ten odgadł jej intencje, wylał wódkę do doniczki, a złodziejkę oddał w ręce milicji.
Już tych wiadomości wystarczyłoby, żeby oszaleć, ale dalej zaczął się prawdziwy szał ciał i uprzęży.
Blada, zmizerniała Tania zaczęła zeznawać.
- Od samego dzieciństwa otoczona byłam w domu nienawiścią -nadawała, patrząc sędziemu prosto w oczy. - Byłam bita i głodzona. Nie pozwalano mi się uczyć, a wszystko dlatego, że jestem panieńskim dzieckiem. Babka kipiała ze złości, kiedy prosiłam o jedzenie. Nigdy nie kupowano mi nic do ubrania. W końcu byłam zmuszona odejść z domu. Trafiłam na ulicę. Musiałam sobie jakoś radzić, żeby wynająć mieszkanie. Matka zupełnie o mnie zapomniała. Tak, przyznaję, chciałam okraść poszkodowanego, ale popchnęła mnie do tego jedynie chęć skończenia z prostytucją i podjęcia nauki. Zamierzałam sprzedać zegarek i sygnet, a zdobyte w ten sposób pieniądze przeznaczyć na studia.
- To kłamstwo! - krzyknęła Olga Wasiliewna i poderwała się z miejsca.
Z jej ust popłynęło chaotyczne opowiadanie o oszustwach, dwójkach

w szkole i lenistwie. Jednak wszystko obróciło się przeciwko niej. Ton i sposób opowiadania stwarzał wrażenie, jakby chciała oczernić wnuczkę.
Sędzia, który przywykł do tego, że rodzina robi z oskarżonych niemal aniołów, był z lekka skonsternowany.
Tania, wykorzystując sytuację ciężko westchnęła, po czym zapytała:
- Jeśli mnie tak kochają, jak twierdzą, to dlaczego nie przysłały mi przez te kilka miesięcy żadnej paczki? Obcy ludzie, współwięźniowie, dokarmiają mnie z litości.
- A właśnie, dlaczego nie przysłała pani żadnej paczki? - padło pytanie z ławy przysięgłych.
Olga Wasiliewna zaczęła się jąkać:
- Nie wiedziałyśmy, że można. Nikt nam nie powiedział.
Sędzia chrząknął z wyrzutem.
- O czym, jak o czym, ale o możliwości przekazywania paczek krewni dowiadują się w pierwszej kolejności!
W świetle przytoczonych argumentów nawet prokurator nie był w stanie przekonać przysięgłych do wydania surowego wyroku. Zwłaszcza że pod koniec rozprawy poszkodowany wstał i oświadczył:
- Wycofuję wszystkie oskarżenia. Sam podarowałem jej zegarek i sygnet. Skleroza nie boli. Pomyliło mi się!
Sędzia po krótkiej naradzie ogłosił wyrok: rok w kolonii karnej, a że wykroczenie z danego artykułu trafia pod amnestię, zatrzymana zostaje zwolniona w trybie natychmiastowym.
Kiedy Tania z triumfalnym uśmiechem na twarzy zaczęła opuszczać salę sądową, Olga Wasiliewna poczuła, jak krew uderza jej do głowy.
W przypływie gniewu przyskoczyła do wnuczki i wymierzyła jej siarczysty policzek.
Nie zdążyła już zamachnąć się po raz drugi, kiedy podbiegła do niej ochrona. Została obezwładniona i wtrącona do aresztu.
Po około dwóch godzinach siedzenia na pryczy Olga usłyszała zgrzyt przekręcanego klucza w zamku.
Zaprowadzono ją do gabinetu sędziego, który popatrzył na nią z politowaniem, poczym powiedział:
- Zwolnimy panią tylko z uwagi na podeszły wiek. Moja szczera rada. Niech pani da sobie szansę i postara się pogodzić z dziewczyną. Nie można jej tak traktować.
- Ona kłamie - zaszlochała piosenkarka. - Kłamie w żywe oczy. W jej słowach nie ma ani krzty prawdy.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć - sędzia pokręcił głową. -Rzeczywiście nie otrzymała od pani żadnej paczki, a teraz jeszcze rzuciła się pani na nią z pięściami. Nie mogę, rzecz jasna, zmusić pani do kochania wnuczki, ale niech pani przynajmniej zachowuje się jak człowiek!
Olga Wasiliewna na drżących nogach wyszła z gmachu sądu i wróciła do domu. Zażyła kolejną porcję proszków na uspokojenie.
Zdała relację Ewie, która zdążyła wrócić z kliniki.
Córka milczała, co jakiś czas przyciskając dłonie do skroni. Bo co tu można było powiedzieć?
Olga Wasiliewna wzięła kolejne dwie tabletki i przespała całą noc, aż do obiadu następnego dnia.
Kiedy się obudziła, zegarek pokazywał wpół do trzeciej. Ciepły, majowy wiatr poruszał firankami w otwartym oknie. Delikatne promienie słońca zaglądały do pokoju. Na podwórku słychać było dziecięce okrzyki. Niespodziewanie Olga poczuła się lepiej. Życie toczyło się dalej.
Miała córkę, ukochanych uczniów, teatr, nowe przedstawienie. Trzeba było tylko wymazać z pamięci Tanie, tak jak zapomina się o strasznym śnie.
Wstała, poszła do kuchni i nie zastawszy tam córki, zawołała:
- Ewa!
W odpowiedzi - cisza.
Sądząc, że córka wyszła do sklepu, postanowiła wykorzystać jej nieobecność i skorzystać z łazienki. Otworzyła drzwi i zamarła.
Zobaczyła Ewę stojącą w dziwnej pozie ze zwieszoną na bok głową i zwisającymi bezwładnie wzdłuż ciała rękami.
Zaskoczona zapytała:
- Ewka, co ty wyprawiasz?
Ale odpowiedzi się nie doczekała.
Dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że nogi córki nie dotykają podłogi, a głowa wisi na grubym sznurze do suszenia bielizny.
Na nim zawieszona była kartka: „Wybacz, mamo. Nie mogę tak dłużej. Odchodzę na zawsze. Ewa".
W sprawie samobójstwa obywatelki Mitiepasz milicja nie prowadziła dochodzenia.
Wszystko było jasne jak słońce. Chora na umyśle kobieta postanowiła ze sobą skończyć.
Olga Wasiliewna przeszła zawał serca. Odtąd nie widziała już nigdy

Tatiany.
- Jak się nazywa jej ojciec? - zapytałam, kiedy zapadła cisza.
- Jest znaną osobistością w świecie muzyki - odparła ze smutkiem. To Fiodor Burlewski.
Omal nie spadłam z krzesła. A niech mnie! Niepojęte są zamiary Twoje, Panie.

Rozdział 18

Nowe informacje na tyle mnie zaskoczyły, że w drodze powrotnej wsiadłam nie do tej kolejki metra, co trzeba i uświadomiłam to sobie dopiero, kiedy usłyszałam z głośnika: „Stacja końcowa. Prosimy o opuszczenie wagonów".

Pośpiesznie przeszłam na drugą stronę, zastanawiając się usilnie, dlaczego producent ani słowem nie wspomniał o nieślubnej córce.

Dopiero w pobliżu domu nieco się uspokoiłam.

A dlaczego miałby w ogóle mnie o tym informować? Mało to ludzi ma dzieci na boku?

Rozmawialiśmy o Antonie i pewnie Fiodor nie uznał za konieczne mówić o Tatianie.

W domu pierwszy powitał mnie Moris.

Mruknął i zaczął uważnie przyglądać się procesowi zdejmowania płaszcza.

Po chwili przybiegły psy, zamerdały ogonami i rzuciły się do siatek stojących na podłodze. Podniecone zaczęły wtykać mordy w reklamówki z mięsem. Mula z pożądaniem patrzyła to na mnie, to na jedzenie, Ada ciągle machała ogonem, a Rachel się oblizywała.

- Ale jesteście żarłoczne - mruknęłam, zdejmując buty. - Myślicie tylko o swoich brzuchach. Spójrzcie na Morisa - to prawdziwy inteligent!

Na dźwięk swojego imienia kot ponownie miauknął.

Kiriuszka kupił mu nową obrożę.

Też błękitną i z medalionem, tyle że tańszą od tej starej, bo ze sztucznej skóry. Ale i tak było mu w niej do twarzy, to znaczy do mordki. Wyglądał jak prawdziwy sułtan: bogaty, spokojny i opanowany. Niczym z rodu carów, a nie kotów.

Następnego ranka znów równo o dziewiątej zasiedliśmy w kancelarii. Tym razem wszyscy punktualnie przybyli w pełnym składzie. Nawet Popowowie.

Żona ponownie przydźwigała męża pod pachą i znów jechało od niego

wódką. Jednak był w stanie odpowiadać na pytania.
Ulokowano nas w wielkim pokoju przy stole.
Zinowij Pawłowicz piskliwym tenorem zaczął wyjaśniać całą procedurę:
- Teraz pójdziemy do banku i włożymy pieniądze do sejfu.
- Ale po co? - zaniepokoiła się Popowa.
- Wkładamy pieniądze do sejfu i kluczyki otrzymują Fiedotowowie i Nikołajewowie.
- Dlaczego? - zapytała ponownie Popowa. - Dlaczego dostają klucze od sejfu?
- Już tłumaczę - westchnął Zinowij Pawłowicz. - Fiedotowowie przynoszą dwadzieścia pięć tysięcy, żeby kupić M-3, z którego wyprowadzają się Nikołajewowie.
- Przepraszam - wtrąciła nieśmiało chudziutka kobiecina - ale pośród nas nie ma ani Fiedotowów, ani Nikołaj ewów.
Mężczyzna w zamyśleniu obrzucił wszystkich spojrzeniem, po czym zadał pytanie:
- To kto w takim razie?
- Romanowowie, Pietrowowie, Popowowie, Nikitinowie i Michalewowie - odpowiedzieliśmy chórem.
Zinowij Pawłowicz podrapał się po głowie.
- Przepraszam, widocznie pomyliłem teczki. - Przez chwilę szperał w dokumentach, po czym oświadczył: - Czyli tak, teraz pójdziemy do banku i włożymy pieniądze do sejfu.
- Ale po co? - zadała swoje ulubione pytanie Popowa.
- Wszelkie kwestie finansowe ze względów bezpieczeństwa załatwiane są za pośrednictwem banku. A nuż zabiorę wasze pieniądze i ucieknę? - roześmiał się Zinowij.
- Bank nie jest żadnym gwarantem - westchnął pan Nikitin. -Przestanie wypłacać - i tyle.
- Nie zakładamy konta, tylko wkładamy całą kwotę do sejfu -tłumaczył dalej urzędnik.
- Nieważne. I tak mi się to nie podoba - zrzędził Nikitin. - Zostawić swoją krwawicę nie wiadomo gdzie!
- Dlaczego nie wiadomo gdzie? - wtrąciła Julia. - W banku.
- A ty się nie wtrącaj - skarcił ją Nikitin. - Wszyscy by się tu rządzili moimi pieniędzmi, a tylko ja przyniosłem gotówkę. Niech mi firma zagwarantuje, że, jeśli coś pójdzie nie tak, wysadzą bank, na przykład to mieszkanie i tak będzie moje.

Zinowij Pawłowicz odparł z zupełnym spokojem:
- Nie ma powodu do obaw. Pieniążki poleżą w sejfie zaledwie kilka godzin, a klucz przez cały czas będzie u pana. Odda go pan państwu Popowom w momencie otrzymania umowy kupna-sprzedaży. Wszystko zgodnie z prawem. Bez żadnych krętactw.
- Chwileczkę - zdenerwowała się Popowa - to znaczy, że mam podpisać dokument i dopiero po tym otrzymam klucz od sejfu?
- Zgadza się - przytaknął Zinowij Pawłowicz.
- Co to, tonie!
- Ale co się pani w tym nie podoba?
- Patrzcie ich, jacy spryciarze! Papiery podpisała, więc mieszkanko sprzedała, tak?
- Tak - potwierdził agent.
- A gdzie pieniądze?
- W sejfie!
- Aha! - krzyknęła i wskazała palcem pana Nikitina. - A on potem je mu zabierze i szukaj wiatru w polu?
- Ale co też pani wygaduje? - zaperzył się Nikitin. - Przecież przez cały czas będzie mnie pani miała na oku.
- A co, jeśli ma pan wspólnika? - nie dawała za wygraną. - jak tylko załatwię formalności, da mu pan cynk przez telefon, a on - wyciągnie kasę.
- Słowo daję - oburzyła się żona Nikitina - co pani za bzdury opowiada? Przecież klucz będzie leżał przed panią na stole.
- No pewnie! - podniosła głos Popowa. - Jakiś inny. Podrobiony. Za nic w świecie. Włożycie pieniądze do sejfu i kluczyk od razu - do mnie, a dopiero potem podpiszemy umowę!
- Myśli, że znalazła sobie naiwniaków - prychnął Nikitin. - Damy klucz, a ta nie podpisze papierów i się ulotni z pieniędzmi.
- Jak pan śmie? Jestem uczciwym człowiekiem! - uniosła się Popowa.
- A dlaczego to my mamy wierzyć pani na słowo? - zainteresowała się żona Nikitina.
Rozmowa znalazła się w ślepym zaułku.
- Przepraszam, a nie można postąpić prościej? - odezwał się Sierioża.
- Wyłożyć teraz pieniądze na stół i dobić targu.
- Nie, nie - wtrącił szybko Nikitin - lepiej już w banku. Przecież najpierw trzeba podpisać papiery, a potem dopełnić formalności związanych z zameldowaniem. A to wszystko zajmie około 2-3 godzin i przez cały ten czas pieniądze będą w kancelarii. Nie, nie, lepiej w

banku.
- Ja chcę klucz od razu - nie uspokajała się Popowa.
- Znalazłem kompromis - powiedział cicho milczący dotąd Michalew.
Wszyscy spojrzeli na niego z nadzieją.
- Postąpimy bardzo prosto. O ile dobrze zrozumiałem, pani Popowa sprzedaje mieszkanie Nikitinowi, a potem kupuje od nas, tak?
Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.
- Czyli nie otrzyma wszystkich pieniędzy. Ile jej się wobec tego należy?
- Dwa tysiące - podpowiedziała Popowa - a dwadzieścia trzy mam zapłacić za pańskie mieszkanie.
- No właśnie - przytaknął Michalew. - Trzeba więc wziąć dwa sejfy. Do jednego włożyć dwadzieścia trzy tysiące, a do drugiego resztę. Kluczyk od tego drugiego wręczyć od razu Popowom.
Wszyscy odetchnęli z ulgą.
- Genialne - podsumował Zinowij. - Tak samo postąpimy z pieniędzmi Pietrowów. Świetnie, w takim razie idziemy do banku.
Przystąpiliśmy do kolejnego etapu.
Najpierw dotarliśmy do banku, który dzięki Bogu znajdował się tuż obok.
Tam sprawdzono pieniądze za pomocą specjalnego urządzenia i umieszczono je w sejfach.
Wreszcie wróciliśmy do kancelarii.
Na miejscu czekał już na nas notariusz i wyzywająco ubrana dziewczyna. Miała na sobie obcisłe skórzane spodnie.
Po czterdziestu minutach umowy były gotowe.
Dokładnie je przeczytaliśmy i w końcu nastąpił moment kulminacyjny. Wszyscy złapali długopisy i zaczęli podpisywać dokumenty.
Wtem odezwała się starsza pani, mama Michalewów. Dotychczas bez słowa siedziała w kącie. Stwarzała wrażenie dobrotliwej staruszki, która nie ma pojęcia, co się wokół niej dzieje. Jednak, jak się okazało, to były tylko pozory.
Babcia wszystko doskonale rozumiała i ostrym, nieprzyjemnym głosem warknęła:
- Czegoś tu nie rozumiem. Przecież ja też jestem prawowitym właścicielem mieszkania, a gdzie jest moje nazwisko w umowie?
- O, tutaj - wskazał palcem Zinowij Pawłowicz. - Proszę spojrzeć, Walerian Siergiejewicz Michalew, Helena Pietrowna Michalewa i pani, Anna Nikołajewna Michalewa.

- Nadal nie rozumiem - wycedziła przez zęby, odkładając długopis.
- Ale czego? - nerwowo zapytał notariusz. - Pani nie nazywa się Anna Nikołajewna? Czy może nie zgadza się pani na podpisanie umowy?
- Nie zgadzam się - oświadczyła kategorycznie.
- Mamo! - zawołali chórem państwo Michalewowie.
- Żądam - odparła władczym tonem cesarzowej - żeby moje dane były na pierwszym miejscu!
- Nie ma sprawy - odpowiedział Zinowij Pawłowicz i poszedł przedrukować umowę.
- Ale ma cierpliwość - szepnęła Katia. - Człowiek o żelaznych nerwach. Myślałam, że nie ma nikogo bardziej spokojnego ode mnie. Ale jak widać, się myliłam. Do pacjentów mam cierpliwość, ale tę babkę udusiłabym gołymi rękami.
- Pewnie się już przyzwyczaił. Musi się z takimi użerać codziennie -westchnęła Julia. - W życiu nie mogłabym pracować w takim miej scu. Aż mnie trzęsie w środku ze złości.
Wreszcie formalnościom stało się zadość i papiery zostały podpisane.
Zinowij Pawłowicz, wkładając kurtkę, oznajmił:
- To wszystko. O siódmej wieczorem otrzymają państwo dokumenty.
- Nie, spryciarzu! - pisnęła Popowa. - Nie ma mowy! Jedziemy z tobą, żebyś nam nie uciekł!
Zinowij grzecznie odpowiedział:
- Proszę bardzo. Jak państwo sobie życzą.
Popowa szturchnęła śpiącego męża w bok.
- Zbieraj się, idioto.
Ten z trudem rozkleił powieki, spojrzał na świat mętnym wzrokiem i oświadczył:
- Spier-papieri.
- Bomba! - zachwycił się Nikitin. - Z taką babą inaczej się nie da.
- Zamknij się, palancie - Popowa nie dała się zbić z tropu.
- Jak śmiesz tak się zwracać do mojego męża? - zapiszczała Nikitina.
- A co, mam mu może dupę lizać? - zaperzyła się Popowa, szturchając ponownie chrapiącego w najlepsze męża. - Też mi się wielki książę znalazł.
Nikitina poczerwieniała, zaczerpnęła do szklanki wody z akwarium i chlusnęła nią w twarz chamce.
- Ty świnio! - wrzasnęła mokra baba. - Łajzo przebrzydła! Zaraz oberwiesz!
Nikitina z piskiem czmychnęła pod stół. Popowa, wrzeszcząc jak

opętana, rzuciła się za nią.
Obserwujący całe zajście agenci nieruchomości zaczęli odciągać od siebie walczące kobiety. Krzyki, przekleństwa, piski zlały się w jedną symfonię.
Zinowij Pawłowicz, korzystając z zamieszania, zdążył się ulotnić.
Cała reszta towarzystwa ukradkiem zaczęła wycofywać się w kierunku wyjścia.
Tylko mąż Popowej spał sobie słodko na kanapie, najwyraźniej przyzwyczajony do podobnych scen.
Na dworze Katia spojrzała na zegarek:
- O Boże, już trzecia! Koniec dnia.
- Dla mnie jeszcze nie. Ja muszę do pracy! - zawołał Sierioża, biegnąc w kierunku metra.
Umówiliśmy się o siódmej obok kancelarii i rozeszliśmy się do swoich spraw.
W drodze do metra kupiłam gorącą parówkę z musztardą i połknęłam ją w biegu, nawet dobrze nie gryząc. Nie miałam czasu na spokojne zjedzenie obiadu.
Znalazłam telefon i zadzwoniłam do Burlewskiego.
W kancelarii odpowiedział uprzejmy głos:
- Fiodora Michajłowicza nie ma dziś w pracy.
Zła jak osa zadzwoniłam na komórkę.
Po chwili usłyszałam jakieś trzaski, piski, a dopiero potem ledwie słyszalne:
- Halo.
- Musimy się natychmiast spotkać! - wrzasnęłam tak głośno, że stojąca obok sprzedawczyni wypuściła z rąk paczkę papierosów.
- Czekam na panią o wpół do czwartej w klubie „On i Ona” - odparł, po czym się rozłączył.
Rozzłościłam się jeszcze bardziej. Po pierwsze, nie wiem, gdzie znajduje się ten klub, a po drugie, będę musiała wziąć taksówkę.
Nie każdy jest takim burżujem z mercedesem z własnym kierowcą jak Burlewski! A jego to oczywiście guzik obchodzi.
Wściekła wybiegłam na drogę i zatrzymałam stare, poobijane żiguli.
- Dokąd? - zapytał równie wiekowy kierowca.
- Do klubu „On i Ona”. Wie pan, gdzie to jest?
- Wanina - odburknął.
- Co Wanina? - nie zrozumiałam.
- „On i Ona” znajduje się na ulicy Wanina. Jedziemy tam, czy w inne

miejsce?
- A co, w Moskwie są dwa kluby o takiej nazwie?
- A skąd mam wiedzieć? - wzruszył ramionami. Ja znam tylko jeden.
- Wobec tego na Wanina - poleciłam.
Co za dzień! Najpierw męczarnie w kancelarii, a teraz jeszcze zrzędliwy szofer.
Facet przez całą drogę gadał o polityce, cenach, stanie dróg i pogodzie.
- Istny koszmar - zrzędził za kierownicą. - Dookoła same świńskie ryje. Też sobie władzę wybraliśmy. Wszystko pod siebie, nic dla narodu!
Zauważyłam na jego prawej dłoni obrączkę i poczułam szczere współczucie dla jego żony. Musi mieć koszmarny żywot z takim dziadem.
Dzisiaj był chyba mój przeklęty dzień.
Nawet do klubu nie chciano mnie wpuścić.
- Nie ma miejsc - grzecznie, lecz stanowczo powiedział ochroniarz.
- Jestem umówiona.
- Z kim?
- Z panem Burlewskim.
- Proszę zaczekać - rozkazał, zatrzaskując drzwi.
Poczułam się upokorzona. Czyżbym była na tyle źle ubrana, że wzięto mnie za żebraczkę?
Czas dłużył się w nieskończoność. Wreszcie drzwi się otworzyły i usłyszałam przepraszający głos producenta:
- Wybaczy pani, ale przychodzą tu różne typy i ochrona musi być czujna.
Przez jego tłumaczenie zrobiło mi się jeszcze bardziej przykro. Jednak weszłam do środka z uśmiechem.
- Rozumiem - odparłam.
Prześliczna dziewczyna w niebieskiej sukience powiesiła moją starą jak świat kurtkę obok wykwintnych futer i powiedziała do Fiodora:
- Może kupi pan swojej damie bukiet kwiatów?
Producent nie zareagował na to pytanie.
Skręciliśmy za kolumnę i znaleźliśmy się w ogromnej, znakomicie oświetlonej sali. Eleganckie lampy w jasnoróżowych abażurach dawały takie światło, że starsze osoby od razu młodniały.
- Proszę - burknął Burlewski, wskazując mały stolik w rogu. - Co dla pani?

- Herbata cejlońska, gruboliściasta, bez cukru, parzona dwie minuty i do tego tost z żytniego chleba z ogórkiem - poleciłam królewskim tonem. Znam się na takich klubach.
W poprzednim życiu czasem zdarzało mi się bywać w „Ali-Babie" albo „Kongo".
Podobno ludzie chodzą tam po prostu coś przekąsić, jednak mój mąż wraz ze swoimi kolegami wybierał podobne miejsca dla popisu.
Zamawiali wymyślne potrawy: kraby z winogronami i orzechami, czarny kawior w pomidorach albo szklankę zwykłego kefiru, a wszystko po to, żeby zagiąć czymś kelnerów.
- Tak - rozpoczął Burlewski, poczekawszy, aż kelner przyjmie zamówienie i zniknie na zapleczu. - Proszę referować. Czego się pani dowiedziała?
Odchyliłam się na oparcie wygodnego krzesła. Nie dam sobą pomiatać, mój drogi. Może i mi płacisz, ale nie jestem jakąś tam podrzędną śpiewaczką albo marną tancerką.
- Gdzie mogę znaleźć Tatianę Mitiepasz? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie.
- Nie mam pojęcia - odparł błyskawicznie, jednak po chwili się zreflektował: - A jaki ona ma związek z naszą sprawą?
- Duży! - ryknęłam. - Czyżby nie wiedział pan, gdzie mieszka pańska córka?
- Nie wiem i nie chcę wiedzieć - rozzłościł się. - Puszczalska! Lafirynda spod latarni!
Wtem diametralnie zmienił wyraz twarzy, usiłując się uśmiechnąć.
Obejrzałam się za siebie.
W naszym kierunku z rozpostartymi ramionami podążał jakiś mężczyzna, przypominający zawodnika sumo. Otyłe ciało opinał wspaniale skrojony smoking. Na nogach lśniły buty z małpiej skóry, a palce ozdabiały ogromne pierścienie. W mankietach mieniły się dobrane pod kolor spinki.
Całe wrażenie psuła twarz i głowa: kruczoczarne włosy, spuchnięte policzki, nabrzmiałe purpurowoczerwone wargi i fioletowy nos jak kartofel.
Pijaczek spod płota, który dla kawału włożył ubranie od Valentino.
- Fiodor! - zawołał, podbiegając do stolika. - No daj mi „Honduras"!
- O Boż - skrzywił się Burlewski. - A ten znowu, swoje. Powiedziałem ci przecież - nigdy w życiu.
- No to chociaż „Dyliżans"!

- Odczep się, Lonia - powiedział Fiodor. - Nie potrzebuję pieniędzy.
- Zamienię na „Błękitny Mauritius”!
- Nie.
- Dodam jeszcze „Czerwony”!
- Lońka - rozległ się głos z głębi sali. - Chodź tu, przynieśli drugie danie.
Pijaczek zrobił dwa kroki w tył, po czym zatrzymał się i ponowił prośbę:
- No proszę cię, daj mi „Honduras”!
- Idź stąd, Lonia - machnął ręką producent. - Kotlet ci wystygnie.
- Ale z ciebie dupek, Fiodor! Chciwus!
Burlewski przeniósł spojrzenie na moją zdziwioną twarz i wyjaśnił:
- Zbieram znaczki. Śmiało mogę stwierdzić, że mam najlepszą kolekcję w całej Rosji. Lonia Szmygajło też jest filatelistą, ale nie chcę mu niczego sprzedać.
- A to dlaczego?
- Nie podoba mi się. Po prostu mi się nie podoba. Porządni ludzie nie podają mu ręki.
- A co takiego zrobił?
Burlewski upił łyk kawy.
- Najpierw był zwyczajnym bandytą. Latał po ulicach z automatem. Potem zajął się biznesem. Otworzył sklep z żywnością. Teraz jest monopolistą. Trzyma w garści cały handel wódki w stolicy. Kilka razy próbowano się z nim rozprawić, ale facet ma łeb nie od parady. Wszystkich pozabijał. Wstrętny typ. Nie ma co się z nim zadawać. A znaczki są dla mnie jak dzieci. Naturalnie posiadam niektóre w dwóch egzemplarzach i mógłbym się wymienić, ale oddam je tylko i wyłącznie w dobre ręce, prawdziwemu znawcy. Może mi pani wierzyć albo nie, ale oddaję nawet za darmo, jeśli widzę, że ktoś kocha je tak jak ja. A ten tu myśli, że za pieniądze wszystko można kupić. Zbiera tylko z zazdrości. Nie dam mu za żadne skarby świata! Znaczki są jak ludzie: każdy ma swój charakter, historię, przyszłość.
Ze zdziwieniem spojrzałam na jego rozpromienioną twarz. Kto by pomyślał! Burlewski naprawdę był namiętnym filatelistą.

Rozdział 19

Fiodor spokojnie dopił kawę i odezwał się:
- Po co pytała pani o Tanie?
Obejrzałam podany tost i skinęłam na kelnera.
Ten natychmiast do nas podszedł i zapytał usłużnie:
- Czego pani sobie życzy?
- Ogórek nie jest obrany ze skórki. Proszę przynieść mi drugą kanapkę.
Kelner posłusznie pobiegł do kuchni.
- Po co szuka pani Tatiany? - dociekał zniecierpliwiony Fiodor.
Niespiesznie zaczęłam przypalać papierosa. Pomęcz się jeszcze troszkę. Na dobre ci to wyjdzie.
- Cholera jasna! - wściekł się producent, przyzwyczajony, że każdy rzuca się na złamanie karku, żeby wypełnić jego polecenie. - Proszę natychmiast odpowiedzieć!
- Nie ma potrzeby się tak unosić. Nie kupił mnie pan!
- A właśnie, że kupiłem - roześmiał się nerwowo, ukazując śnieżnobiałe zęby.
- Nie podam żadnych bliższych informacji. Wydaje mi się po prostu, że Tatiana Mitiepasz jest zamieszana w całą tę historię. Niech mi pan lepiej powie, gdzie ona jest?
Westchnął ciężko.
- Nie miałem szczęścia do dzieci. Czy Tatiana, czy Anton - jeden diabeł. Za to mam żyłkę do interesów.
- Jest pan pewien, że to pańska córka?
- Bez wątpienia. Żeby znała pani Ewę. Nieziemska istota. Święcie przekonana, że powinno się ją przez całe życie nosić na rękach jako chodzącą niewinność. Egzaltowana ponad normę. Nadmiernie wrażliwa. Całkowicie nieprzystosowana do życia. A zarazem skrajnie przyzwoita, absolutnie święta, pracowita i utalentowana. Nie przeczę,

niezły materiał na wspaniałą żonę.
- To dlaczego ją pan porzucił?
Fiodor zaczął obracać w rękach pustą filiżankę.
- Oświadczyłem się jej, ale sam w tych czasach byłem niewolnikiem staromodnych zasad i głupiego dobrego wychowania. Dlatego też poprosiłem o jej rękę matkę. A ta kategorycznie odmówiła. A że Olga Wasiliewna jest damą władczą i nie uznaje najmniejszego sprzeciwu, córka całkowicie się jej podporządkowała. Jakoby dla dobra córki zakazała mi się do niej zbliżać. Chociaż z drugiej strony można ją zrozumieć. Córka była utalentowana. Miała przed sobą świetlaną przyszłość i wielką karierę. Pochodziła z dobrej i bogatej rodziny. A ja co? Byłem jedynie zwykłym chłopakiem z akordeonem, restauracyjnym grajkiem. Nie stanowiłem dla niej odpowiedniej partii. Jednego tylko nie mogę pojąć. Jakim cudem pozwoliła jej urodzić dziecko?
Fakt faktem, kiedy Tatiana przyszła na świat, niedoszła teściowa zadzwoniła do niego, powiadomiła o narodzinach dziecka i zażądała, żeby je uznał za swoje.
Burlewski udał się do odpowiedniego urzędu.
Ewa pozostawiła dziewczynce swoje nazwisko, tylko nadała jej imię odojcowskie.
Fiodor kilkakrotnie chciał przekazać córce prezenty i pieniądze, ale dano mu wyraźnie do zrozumienia, że jego udział w wychowaniu Tani jest skończony. Nie nalegał więc, a wkrótce potem się ożenił i urodził mu się syn - Anton.
Nie spotykał się ze swoją córką, dlatego tym bardziej był zdumiony, kiedy pewnego razu zobaczył na progu dziewczynkę uderzająco podobną do Ewy z czasów młodości.
Cicho chlipiąc, opowiedziała mu o trudnym dzieciństwie. Pokazała ręce i nogi całe w siniakach.
- Biły mnie, nie dawały jeść, ubierały w stare łachy - skarżyła się. -Marzę, żeby zostać piosenkarką, a one powiedziały, że jedynie po ich trupie. Każą mi iść na pedagogikę.
Burlewski był szczerze oburzony.
Postanowił zostawić dziewczynkę u siebie. Jego żona, Swietłana, okazała się dobrą kobietą i, mimo że w ich małżeństwie źle się układało i w końcu się rozstali, Tatianę przyjęła z czułością, a nawet się z nią zaprzyjaźniła.
Fiodor zamierzał pomóc córce w zrobieniu kariery, jednak gdy tylko

ją usłyszał, zrozumiał, że nic z tego nie będzie. Dziewczyna była całkowicie pozbawiona talentu.
Pamiętał jeszcze, jak Borys Zosim starał się wciągnąć do zespołu swoją córkę - Lenę. Nieważne, ile inwestował w nią pieniędzy, wszystko na marne.
Żeby zrobić karierę na scenie, potrzeba nie tylko bogatego ojca, ale także przynajmniej odrobiny talentu.
Ale Tania nie zbyt się tym przejęła.
Bardzo jej się podobało mieszkanie w głośnym, tętniącym życiem domu. Prowadzono tu zupełnie inny tryb życia niż u pań Mitiepasz. Wstawali koło pierwszej, spać kładli się nad ranem, kolację jedli w restauracjach, obiad - w klubach.
Telefon był rozgrzany do czerwoności, a fala gości nie miała końca. Wielkie gwiazdy śpiewały z ekranu wiecznie włączonego telewizora i w tym samym czasie najspokojniej w świecie piły sobie kawę w ich salonie. Jednym słowem, Tatianę otaczało niekończące się święto.
Po roku Fiodorowi zaczęła przeszkadzać pałętająca się pod nogami próżna dziewczyna. Snuła się po mieszkaniu jak cień. Wtedy również rozpoczęła się sprawa rozwodowa.
Anton upijał się do utraty przytomności.
Burlewski postanowił pozbyć się córki.
Najpierw wysłał ją do chórku do grupy „Taran", jednak szybko ją stamtąd wyrzucono, gdyż była bardzo leniwa.
Potem załatwił jej pracę w zespole „Blask", następnie w „Kropli".
Jednak nigdzie nie zagrzała dłużej miejsca.
Rezultat zawsze był jednakowy: po miesiącu, maksymalnie dwóch, lądowała na wygodnej domowej kanapie z książką w rękach. Była po prostu śmierdzącym leniem.
W pewnym momencie Fiodor zauważył, że dziewczyna wydaje więcej pieniędzy, niż otrzymuje. Jeździ taksówkami, pali drogie papierosy, kupuje kosmetyki z najwyższej półki i używa wyłącznie perfum Diora.
Burlewski rozejrzał się wokół i odnotował zniknięcie niektórych cennych przedmiotów.
Zrobił córce awanturę, ale ta na wszystkie świętości przysięgała, że niczego nie dotykała. Ani srebrnej cukiernicy, ani porcelanowych figurek, pochodzących z początku wieku. Jednak producent nie uwierzył w jej zapewnienia i uprzedził:
- Jeśli zginie jeszcze choćby najmniejszy drobiazg, to cię stąd wygnam!

Następnie ni stąd ni zowąd popsuły się stosunki między nim a Swietą. Do tego czasu zdążyli już załatwić wszystkie formalności rozwodowe, ale nadal razem mieszkali. Chcieli rozstać się jak ludzie. Bez kłótni, zbędnych awantur i tłuczenia naczyń. Nie zamierzali prać brudów ani spierać się o podział majątku.
Fiodor na samym początku oznajmił, że zostawi mieszkanie Swietłanie, a sam kupi sobie nowe. Wciąż jednak brakowało mu czasu, żeby doprowadzić sprawę do końca. A była małżonka nie nalegała na jego wyprowadzkę.
Aż tu nagle pewnego razu przyszła wieczorem do jego sypialni i powiedziała:
- Masz się stąd jutro wyprowadzić!
- Zwariowałaś? Co z tobą? - zdziwił się.
- Nie, to ty oszalałeś - odparowała opanowana dotąd kobieta i zaczęła krzyczeć: - Świnia! Drań!
- Sama jesteś szmata! - nie pozostał jej dłużny.
Rozpętało się piekło. Takiej awantury nigdy przedtem nie było. Państwo Burlewscy wypomnieli sobie wszystkie grzechy i urazy, aż wreszcie opadli z sił i Fiodor zapytał niemal po przyjacielsku:
- Swietka, jakie licho dziś w ciebie wstąpiło?
Spojrzała na niego i z oburzeniem odpowiedziała:
- Myślisz, że nie wiedziałam o twoich kochankach? Mogę je wszystkie wyliczyć. Co do jednej! Począwszy od tego beztalencia -Aliski! Było mi szkoda psuć sobie nerwy na kłótnie z tobą. Zresztą teraz też mam to wszystko w nosie, ale, jakkolwiek na to patrzeć, Tatiana jest twoją córką. Nie wstyd ci?
Fiodor zamarł, kiedy wreszcie dotarło do niego, o co jest oskarżany.
A potem zaczął krzyczeć:
- Tania, paskudo! Chodź tu!
Dziewczyna przyszła do pokoju.
- Ty, łajzo! - napadł na nią ojciec. - Coś ty Świecie nagadała?
Córka spojrzała na niego wyzywająco, po czym spokojnie oświadczyła:
- Samą prawdę. Nie będziesz mnie już dłużej molestował!
Fiodor stracił mowę. Dotychczas nigdy nie zetknął się z taką bezczelnością.
- Wynoś się - powiedziała cicho Swieta. - Brzydzę się tobą.
- I ty jej wierzysz? - to wszystko, co był wstanie z siebie wydusić.
- Zbyt dobrze cię znam. Ciebie i twój wieczny popęd seksualny

-odparła.
Producent wybiegł z domu, odpalił mercedesa i zaczął pędzić ulicami miasta. Czuł, że ogarniająca złość zaraz go rozerwie.
Do rana emocje opadły na tyle, że pojechał do biura i wydał pomocnikowi polecenie natychmiastowego nabycia mieszkania, po czym zadzwonił do Swietłany:
- Spakuj moje rzeczy. Wieczorem ktoś je odbierze.
- Dobrze - odpowiedziała krótko i rzuciła słuchawkę.
Po „Wiadomościach" kierowca dostarczył do kancelarii kilka walizek.
Burlewski od tamtej pory nigdy więcej nie dzwonił, a już tym bardziej nie spotykał się ani z byłą żoną, ani z Tatianą.
- Córka została z pańską byłą żoną? - zapytałam.
- Pewnie tak - wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, nie interesowało mnie to.
- Gdzie mieszka Swietłana?
- W naszym starym mieszkaniu.
Zapisałam adres i numer telefonu.
Producent zastanowił się przez chwilę i powiedział:
- Teraz proszę mnie uważnie posłuchać. Wiadomo, że Zajcewa, którą rzekomo zabił mój syn, miała kochanka. Przebrzydły typ. Już raz siedział za morderstwo. Andriej Monachow. Ciągle się kłócili. Często dochodziło do rękoczynów. Andriej był o nią chorobliwie zazdrosny. Mieszka na placu Morgunowskim 3/18. Niech pani do niego pojedzie. Może dowie się pani czegoś ciekawego.
- Skąd ma pan takie informacje? - zdumiałam się.
- To nie ma większego znaczenia - uśmiechnął się. - Najważniejsze, że są wiarygodne.
Spojrzałam na zegarek. Już piąta! Przed siódmą trzeba zdążyć do kancelarii. Będę musiała odłożyć rozmowę z Andriejem do jutra.
- No dobrze - powiedział producent. - Czas zabrać się do pracy.
Wyszliśmy do garderoby.
Fiodor podał mi kurtkę z taką kurtuazją, jakby to było futro z szynszyli.
Włożyłam ją i zapytałam:
- Jakie imię odojcowskie ma pańska żona?
- Rodionowna. Swietłana Rodionowna Burlewska - usłyszałam w odpowiedzi.
Rano Katia oznajmiła:
- Musimy zacząć się pakować. Nikitinowie chcą się tu jak najszybciej

wprowadzić.
- A zameldowanie? - zapytał Sierioża.
- Wszystko biorę na siebie - odparła Katia. - Urząd znajduje się na sąsiedniej ulicy, a żona kierownika leczy się u mnie na tarczycę.
- No to świetnie - ucieszyła się Julia, przełykając w pośpiechu kawę.
- Tylko jest mały problem. Nie mam się kiedy spakować. Pracy od groma!
- Tak w ogóle, to ze mnie też będzie kiepski pomocnik - poparł ją Sierioża. - Niedługo wystawa. Multum spraw do załatwienia.
- My jesteśmy bardziej zawaleni pracą - chrząknęła Katia. - Jeśli chcecie wiedzieć, cały dzień stoję przy stole operacyjnym, a pakować rzeczy zamierzam w nocy.
- Wielkie mi pakowanie - odezwała się Julia. - Jedna szafa. Uwiniemy się w pół godziny!
- Oprócz tego - zaczęła Katia - są jeszcze naczynia, garnki, książki, dywany, obrazy, urządzenia AGD i RTV oraz meble.
- E tam, łóżka i kanapy zaniosą tragarze - machnęła ręką Julia. - A kuchnią zajmie się Lampa.
- Nie mogę - powiedziałam szybko. - Mam zajęć od diabła i trochę.
- Ciekawe jakich? - zapytał Sierioża. - Przecież zajmujesz się domem i nie chodzisz do pracy. A tak przy okazji, kochane Lampiątko, już od dawna chciałem cię zapytać, dlaczego ostatnio jadamy ciągle same parówki i makaron? Gdzie nasze smaczne mięsko i mój ulubiony barszczyk? Co ty robisz całymi dniami?
- Kuchnią zajmie się Tina - Katia szybciutko sprowadziła rozmowę na inny temat.
- Ja?! - Tina była zdumiona. - Obawiam się, że nie dam rady. Jestem zbyt osłabiona. Kręci mi się w głowie.
- Nic ci nie będzie - przerwała jej narzekania Julia. - Powolutku. Pomalutku. Zaczniesz, a jak przyjdziemy z pracy, to ci pomożemy.
- Mogę ułożyć talerze - podjął się Kiriuszka.
- O nie! - uciął starszy brat, stojąc w drzwiach. - Musielibyśmy od razu kupować nowe, zostałyby same skorupy.
- Jak sobie chcecie - obraził się chłopak. - To spakuję tylko swoje rzeczy i cześć.
- Najważniejsze, żebyś nie zapomniał ropuchy Gertrudy -zachichotała Julia, wybiegając na schody.
- Mamuś, znów się mnie czepiają! - zaczął się skarżyć.
- Nie teraz - opędziła się Katia. - Już jestem spóźniona. Tina, skocz po

kartony do sklepu „Karma dla zwierząt". Dają tam bezpłatnie puste opakowania.
- O jej - zaczęła się wymigiwać - ale ja nie wiem, gdzie to jest.
- Kiriuszka ci wytłumaczy - odparła Katia i wybiegła z domu.
- No i jak trafić do tej „Karmy"? - zapytała z beznadzieją w głosie Tina.
Zostawiłam ich, a sama poszłam do siebie.
Najpierw zadzwoniłam do Monachowa, ale nikt nie odebrał, mimo że czekałam bardzo długo. Facet jest pewnie w pracy albo lata po sklepach w poszukiwaniu przedświątecznych prezentów. Nie szkodzi. Poczekamy do wieczora. Następnie zadzwoniłam do Swietłany Burlewskiej.
I tu uśmiechnęło się do mnie szczęście.
- Halo - głos należał do kobiety.
- Swieta?
- Nie, nie Swieta. Tania.
Niezmiernie się ucieszyłam. Miałam wprost niesłychanego farta.
- Witam! Długo pani szukałam. Muszę z panią koniecznie porozmawiać.
- Kim pani jest?
- Nie da się tak w dwóch słowach, ale proszę mi wierzyć, muszę się z panią niezwłocznie zobaczyć.
- W takim razie niech pani do mnie przyjedzie - zaproponowała.
Pobiegłam w stronę metra w podskokach, nucąc sobie pod nosem. Rozwiązanie jest coraz bliżej. Przynajmniej tak myślałam.
Jakież było moje rozczarowanie, kiedy w drzwiach mieszkania ujrzałam okropnie grubą dziewczynę z niemowlęciem na rękach.
„A może tonie Tania?" - rozpaczliwie uchwyciłam się tej myśli. Jednak dziewczyna natychmiast rozwiała wszystkie moje nadzieje:
- To pani się tak spieszyło, żeby ze mną porozmawiać?
- Ma pani na imię Tania?
- W rzeczy samej.
- Tatiana Fiodorowna Mitiepasz?
- Nie. Tatiana Iliniczna Bodrowa.
Oparłam się o futrynę i usiłowałam nie pokazać po sobie rozczarowania. Tania jest często spotykanym imieniem. To po prostu nieporozumienie.
- Kiedy wróci Swietłana Rodionowna?
- Nigdy. Taka tu nie mieszka - odpowiedziała spokojnie góra mięcha.
- Ja kto? - zdumiałam się.

- Przecież powiedziała pani przez telefon: Nie, nie Swieta. Tania.
- No i co z tego? - odpowiedziała, wycierając niemowlęciu ślinę.
- Pani zapytała: „Święta?", a ja odpowiedziałam: „Nie, nie Swieta. Tania". A potem wprosiła się pani na rozmowę.
- Czyli Swietłana Burlewska tu nie mieszka?
Pokręciła głową.
- Kilka lat temu odkupiliśmy od niej to mieszkanie.
- A gdzie są poprzedni lokatorzy?
- Nie mam pojęcia, wszystkim zajmowała się agencja nieruchomości. Niech tam pani zapyta.
- Adres poproszę.
- Czyj? - zapytała z nutką melancholii w głosie.
Teraz już rozumiem, dlaczego jest taka gruba. Pewnie ma równie szybką przemianę materii, jak myślenie.
- Biura nieruchomości!
- Nie pamiętam.
- A nazwa?
- Jaka nazwa?
Postanowiłam mimo wszystko wykazać się cierpliwością i spokojnie wyjaśniłam:
- Biura nieruchomości.
Natężyła wszystkie siły i powiedziała:
- „MMM".
- Na pewno?
- No, może „ŁMM", jakoś tak.
Klnąc, na czym świat stoi, wyszłam na dwór i w kiosku kupiłam gazetę „Mieszkania i domy letniskowe". Na ostatniej stronie, tak jak można się tego było spodziewać, wymieniona została lista agencji nieruchomości.
Zeszłam do podziemnego przejścia, usiadłam na ławeczce i zaczęłam studiować nazwy.
Nie było ani „MMM", ani „ŁMM", znalazłam natomiast „NMP", w znaczeniu „Nowa Moskiewska Pewna" .Biuro znajdowało się na placu Morgunowskim 7.
Kolejny zbieg okoliczności!
Pod trójką mieszkał przecież kochanek Zajcewej - Andriej Monachow.
Uznawszy taką zbieżność za dobrą wróżbę, pojechałam na drugi koniec Moskwy.
Jak mawiał stary kogut, usiłując dogonić kurę: „Jeśli nawet jej nie

złapię, to przynajmniej się rozgrzeję".
Pojadę do biura, a może w tym czasie wróci z pracy Monachow.
W „Nowej Moskiewskiej Pewnej" praca wrzała.
Biuro wyglądało na solidne. Wszędzie porozstawiane były skórzane meble i wytworne lampy, a po korytarzach snuli się pracownicy o służbowym wyglądzie.
Na mój widok sekretarka przyjmująca interesantów rozpłynęła się w uśmiechu i zapytała:
- W czym mogę pani pomóc? Spełnimy każdą pani zachciankę.
- Jest pani tego pewna? - uśmiechnęłam się. - A zatem chcę otrzymać za pokój w baraku z klepiskiem zamiast podłogi dwupiętrową willę w okolicach Moskwy.
Ale dziewczynę nie tak łatwo było zbić z tropu.
Była ubrana w służbowy kostium z prostą spódnicą za kolana. Proste, niewymyślnie uczesane włosy. Delikatny, naturalny makijaż. Wszystko to dobrane w jasnobrązowych odcieniach. Cały jej wygląd świadczył o staromodnym stylu i całkowitej pewności.
- Nasza agencja działa na rynku nieruchomości już od dziesięciu lat
- rozpoczęła wyuczony na pamięć tekst.
- Żadnej z naszych umów nikt nigdy nie zakwestionował w sądzie. Pewność, uczciwość, precyzja w załatwianiu formalności - to fundament, na którym opiera się „NMP".
Po chwili milczenia zwróciła się do mnie z pytaniem:
- Naprawdę ma pani klepisko zamiast podłogi?
Roześmiałam się.
- Nie. Moja przyjaciółka, Swietłana Burlewska, sprzedawała przez waszą agencję mieszkanie i była bardzo zadowolona z państwa usług. Chciałabym tego samego agenta, który ją obsługiwał.
- Nie ma sprawy - powiedziała z przejęciem i włączyła komputer.
Już po chwili wszystko było jasne. Żadna Burlewska nie korzystała z usług „NMP".
- Może znajdziemy po adresie? - zaproponowała dziewczyna.
Trafiła w dziesiątkę.
Na monitorze natychmiast wyświetliła się informacja o sprzedawcy. Tylko nazwisko okazało się inne - Łomakina. Ale imiona się zgadzały -Swietłana Rodionowna.
Dziewczyna i na to znalazła szybko odpowiedź.
- Ona była Burlewska po mężu - wyjaśniła. - Dlatego wpisana jest pod tym nazwiskiem. A po rozwodzie wróciła do swojego - Łomakina. I na

to nazwisko została zawarta umowa.
Połączenie „Swietłana Rodionowna Łomakina” wydało mi się dziwnie znajome. Usiłowałam przypomnieć sobie prędko, gdzie wcześniej mogłam o niej słyszeć. Jednak na próżno.
Wyjęłam długopis, żeby zapisać adres, pod którym mogę ją znaleźć. I tu otrzymałam oszałamiającą informację!
Łomakina mieszkała obecnie obok nas, w sąsiednim bloku. Tam, gdzie mieści się budka z pieczywem.
I w tym momencie przypomniałam sobie nareszcie, skąd znam tę kobietę! To przecież ona, Swietłana Rodionowna, wydzwaniała do mnie nad ranem, omyłkowo wybierając mój numer telefonu.
To ona skonała na moich oczach. To do niej pobiegłam, kipiąc ze złości.

Rozdział 20

Opuściłam agencję.
W głowie miałam pomieszanie z poplątaniem.
Udałam się do pana Monachowa. Mieszkał w obskurnym bloku podobnym do baraku. Z okien sterczały odłamki szkła. Na parapetach stały puste puszki po tanim piwie, wypełnione po brzegi petami. Najwyraźniej mężowie palili tu w tajemnicy przed żonami.
Weszłam na pierwsze piętro i znalazłam się na bardzo długim korytarzu. Po jego obu stronach zobaczyłam obdrapane drzwi. Wszystkie miały identyczny jasnobrązowy kolor i były pozbawione numerów.
Ciekawe, w jaki sposób goście trafiają do odpowiednich pokoi? Tak, właśnie pokoi, a nie mieszkań. Za drzwiami kryły się bowiem pojedyncze pomieszczenia.
Dotarło to do mnie, kiedy, minąwszy dwie cuchnące toalety, natknęłam się na kuchnię.
Nigdy dotąd nie widziałam czegoś podobnego.
Ogromna, prawie trzydziestometrowa przestrzeń zastawiona była stolikami i kuchenkami. Pod sufitem rozciągnięto linkę, z której zwisały dziecięce śpioszki, męskie slipy i odrażające biustonosze, uszyte z różowego atłasu. Aromat kapuśniaku i smażonych kotletów mieszał się z zapachem wilgotnej bielizny.
Poczułam, że zaczyna kręcić mnie w nosie.
Pośrodku stała młoda czarnowłosa dziewczyna o ciemnych oczach. Mieszała coś w powgniatanym aluminiowym garnku.
Odwróciła się w moją stronę i zapytała z silnym akcentem:
- Szukasz kogoś?
- Gdzie mieszka Andriej Monachow?
- A kto to? Uchodźca? Czeczeniec?
- Raczej nie - poczułam się skołowana tym pytaniem. - To chyba Rosjanin. Z Moskwy.
- No to nie wiem - dziewczyna straciła całe zainteresowanie moją

osobą i zabrała się ponownie do pracy.
Wyszłam na korytarz i zapukałam do najbliższych drzwi. Ustąpiły pod naporem ręki.
Przed moimi oczyma ukazał się następujący widok: czterech mężczyzn narodowości kaukaskiej zawzięcie grało w karty.
Żaden z nich nie słyszał o Monachowie.
W następnym pokoju roiło się od niezliczonej liczby dzieci, usiłujących nałożyć kotu szalik i czapkę.
W kolejnym dwie kobiety szyły na maszynach do szycia.
Wszędzie drzwi były pootwierane na oścież. Nikt się nikogo nie krępował ani nie obawiał. Wszystko wskazywało na to, że jest to internat dla uchodźców z Czeczenii.
Dopiero na samym końcu korytarza spotkałam starszego mężczyznę, który był w stanie udzielić mi informacji.
- Niech pani idzie na drugie piętro. Tam została para starych lokatorów, którzy się jeszcze nie wyprowadzili. Wszystkim waszym już dawno przydzielili nowe mieszkania, a nas wepchnęli do tego internatu. Stwierdzili, że Czeczeńcy przeżyją w każdych warunkach. Nawet bez ciepłej wody. Jacy wy jesteście niegościnni w tej Moskwie!
Poszłam po wyszczerbionych schodach na drugie piętro.
Po raz pierwszy w życiu czułam się jak szowinistka. Co za ludzie! Zapewnić im dach nad głową i jeszcze im źle! Pewnie sobie wyobrażał, że z miejsca otrzyma pięciopokojowe salony. W Moskwie! Setki rodowitych moskwian do tej pory mieszkają w identycznych internatach bez nadziei na poprawę warunków.
Mieszkańcom tego baraku się po prostu poszczęściło.
Z trudem stłumiłam w sobie atak rasizmu.
Dotarłam na drugie piętro.
Sufit był tu niższy, korytarz węższy, a pokoje, maciupeńkie jak pudełka od zapałek, świeciły pustką.
O tętniącym tu niegdyś życiu przypominały jedynie brudne tapety na ścianach.
Tracąc nadzieję na odnalezienie Monachowa, zaglądałam po kolei do „pudełek".
W końcu dotarłam do ostatnich drzwi. Pchnęłam je. Wbrew oczekiwaniom pokój okazał się zamieszkany. W rogu cicho warczała lodówka. Na stole stała puszka rozpuszczalnej kawy, cukiernica i kubek z napisem „Boss" i, co dziwne, aparat telefoniczny.
Obok na ceracie spostrzegłam dowód osobisty. Zajrzałam do niego:

Andriej Siergiejewicz Monachow.
Po chwili mój wzrok padł na kanapę, na której, owinięty się w granatowy koc, spał właściciel dowodu.
Nie chcąc go przestraszyć, powiedziałam szeptem:
- Panie Andrieju, proszę się obudzić.
Śpiący nawet nie drgnął.
Podniosłam trochę głos:
- Panie Monachow, niech się pan ocknie.
Zero reakcji.
Pewnie wczoraj przeholował i dlatego teraz śpi jak zabity. Jednak pokój nie wyglądał na mieszkanie nałogowego alkoholika. Było tu biednie, ale schludnie i czysto.
Jedyną cenną rzecz stanowił ogromny panasonic z magnetowidem i gromada kaset wideo, głównie filmów akcji.
Najwidoczniej samotny Monachow lubił przed snem obejrzeć coś, co nie wymagało myślenia.
A może wcale nie jest pijany, tylko pracował na nocną zmianę i teraz odsypia. Szkodami go budzić, ale przecież nie będę tu sterczeć do rana.
Zdecydowanym krokiem podeszłam do kanapy i potrząsnęłam mężczyznę, za ramię.
- Przepraszam bardzo.
Jego ciało niespodziewanie lekko się poruszyło i przewróciło na plecy.
Spoglądały na mnie teraz szeroko otwarte, jakieś dziwnie mętne oczy.
- Przepraszam bardzo, że zakłócam pański sen - rozpoczęłam ponownie i w tej samej chwili zamarłam.
Mężczyzna patrzył na mnie niewidzącymi błękitnymi oczami. Źrenice pozostawały nieruchome. Powieki były lekko opuszczone. Usta zastygły w dziwnym półuśmiechu-półgrymasie.
- Ej - bąknęłam, cofając się, aż poczułam za sobą zimny blat stołu. -Ej, niech pan wstanie. No co pan, umarł czy co?
Ale Monachow nie raczył odpowiedzieć.
Rozejrzałam się dookoła.
Tuż przy kanapie spostrzegłam zapisaną drukowanymi literami kartkę. Odruchowo ją podniosłam, po czym przerażona wybiegłam na korytarz.
Przeraźliwie boję się nieboszczyków, chociaż doskonale zdaję sobie sprawę, że to głupota. Martwi nie mogą nam zrobić nic złego. Tak naprawdę powinno się bać żywych. Oni są w stanie wyrządzić nam

wiele świństw. Jednak nic na to nie poradzę, że na widok trupa kamienieję ze strachu.
Wreszcie odzyskałam władzę w nogach i powoli zaczęłam iść wzdłuż korytarza.
Na samym końcu wisiał telefon. Mogłam zadzwonić od Monachowa, ale za żadne pieniądze świata nie wróciłabym do jego pokoju.
Zdjęłam słuchawkę z widełek.
Dzięki Bogu, działa!
„Ale jak mam zadzwonić bez żetonu" - pomyślałam, wykręcając numer Burlewskiego na przedpotopowej tarczy.
Najpierw usłyszałam trzaski i zgrzyty, a dopiero potem jego głos:
- Słucham.
- Panie Fiodorze - wyszeptałam. - Panie Fiodorze.
- To pani, pani Eulampio?
- Tak, znalazłam Monachowa.
- Świetna robota! - pochwalił. - Niech pani wydusi z niego całą prawdę.
- Nie mogę!
- Dlaczego?
- On nie żyje.
W słuchawce zapanowała cisza. Po chwili Burlewski powiedział:
- Proszę zapisać numer telefonu do majora Kostina. Prowadzi sprawę Antona. Niech pani niezwłocznie powiadomi go o tym, co się stało, i wszystko mu opowie. Koniecznie należy zawiadomić milicję.
Nie miałam pod ręką nic do pisania, ale w sumie nie było mi to potrzebne.
Zarówno domowy, jak i służbowy numer majora znałam na pamięć.
- Jest tam pani jeszcze? - zapytał Burlewski.
- Yhm - wymamrotałam.
- Proszę poczekać na grupę dochodzeniową i wszystko im opowiedzieć.
- Ale ja nie mam licencji.
- To już pani problem - uciął. - Sporo pani zapłaciłem. Dorzucę drugie tyle za milczenie. W żadnym wypadku nie może pani się zdradzić przed Kostinem, skąd wiedziała pani o Monachowie. Jestem osobą publiczną. Nie chcę dostać się w łapy paparazzich! Proszę pamiętać, jeśli wspomni pani o mnie choćby słowem, wszystkiemu zaprzeczę.
- A jeśli zaczną pytać, skąd się dowiedziałam o Monachowie?
- Chryste Panie! - westchnął producent. - To ja mam panią uczyć? Ma

pani swoich informatorów, i tyle. Jeśli zachowa pani milczenie, dołożę pięć. Nie, nie pięć, siedem patyków. Umowa stoi?
- Stoi - zdążyłam jeszcze odpowiedzieć, po czym usłyszałam przerywany sygnał.
Czekając na przyjazd specjalnej brygady, siedziałam na schodkach na klatce schodowej i paliłam jednego papierosa za drugim. Dopiero po dziesięciu minutach dotarło do mnie, że kurczowo ściskam w dłoni jakąś kartkę.
Aha, to ta, którą podniosłam z podłogi.
Rozłożyłam zgnieciony kawałek papieru i przeczytałam: „Dobrzy ludzie, wybaczcie mi. Jakie życie, taka śmierć. Myślałem, że udało mi się skończyć z przeszłością, ale diabeł mnie podkusił. Nie mogę dłużej żyć, gliniarzu, ze świadomością, że zabiłem Wierkę Zajcewą. A wszystko przez głupią zazdrość. Zastałem u niej faceta i nie mogłem tego przeżyć. Potem, kiedy dotarło do mnie, co najlepszego narobiłem, wystraszyłem się, włożyłem pijanemu chłopakowi nóż do ręki i uciekłem. A teraz męczą mnie wyrzuty sumienia. Nie mogę spać po nocach. Nie chcę dłużej żyć. Dlatego wybaczcie. Sam sobie wymierzam karę. Andriej Monachow".
Zgniotłam kartkę i westchnęłam. Jedna sprawa wyjaśniona. Jej rozwiązanie dostałam na tacy.
Najpierw Wiera Zajcewa, chcąc ukraść Antonowi dolary, spoiła go wódką ze środkiem nasennym, potem w najmniej odpowiednim momencie zjawił się zazdrosny kochanek i zabił dziewczynę, a następnie postanowił wrobić w morderstwo spokojnie śpiącego Antona.
Upozorował morderstwo tak, aby wyglądało, że dokonał go Anton i żeby milicja nie miała co do tego żadnych wątpliwości.
Na schodach rozległy się czyjeś kroki i po chwili ujrzałam przed sobą kilku rosłych mężczyzn.
Na ich czele z pochmurną miną kroczył Wołodia.
Zobaczywszy mnie, zapytał krótko:
- Gdzie?
Wskazałam odpowiednie drzwi.
- Tam!
Mężczyźni weszli do środka.
Po piętnastu minutach major wyszedł i zaczął w skupieniu nabijać fajkę, którą otrzymał w prezencie od Katii. Zapewniała go, że jest mniej szkodliwa dla zdrowia niż papierosy. Przez ten wygięty kawałek

wiśniowego drewna koledzy zaczęli go nazywać Sherlockiem Holmesem, ale major nic sobie nie robił z ich docinków.
- Pojedziemy teraz do mnie i tam mi wszystko po kolei opowiesz -odezwał się w końcu, wypuszczając kłęby dymu.
Z rozkoszą wciągnęłam aromatyczny dym. Prawdę mówiąc, zapach tytoniu z fajki podoba mi się znacznie bardziej niż śmierdzący dym z papierosów. Z przyjemnością sama przerzuciłabym się na fajkę, ale boję się reakcji domowników.
- Właściwie niewiele wiem. Tylko jak się nazywał.
- Jak się nazywał, to my też wiemy - westchnął Kostin. - Nikołaj Kornił, niejednokrotnie karany.
- Nie, nie - przerwałam mu szybko - to Andriej Monachow.
- Gdybyś mi nie przerwała w pół słowa - zdenerwował się - to usłyszałabyś dalszą część. Nikołaj Kornił, vel Aleksiej Pletniew, vel Siergiej Bartnik, vel Andriej Monachow, recydywista, wielokrotnie karany. Czekaj, czekaj, co tu masz?
Wyrwał mi kartkę z ręki.
- Ciekawe - mruczał pod nosem, czytając list pożegnalny. -Dlaczego chciałaś to przede mną ukryć?
- No coś ty! - przestraszyłam się.- Po prostu na śmierć o niej zapomniałam.
- Gdzie znalazłaś?
- Koło łóżka.
- Taką pomiętą?
- Nie, to ja niechcący zgniotłam.
- Aha, jasne. Ale i tak to wszystko strasznie dziwne.
- Nie widzę w tym nic dziwnego - powiedziałam. - Sumienie go gryzło.
- Tego gagatka już od dawna nic nie gryzie - westchnął Kostin. - A sumienie go opuściło w momencie, kiedy po raz pierwszy wsadzono go za morderstwo. Ale nasz sprawiedliwy, humanitarny sąd go pożałował i po czterech latach pan killer wyszedł na wolność. Od tamtej pory jego życie to pasmo odsiadek. Fakt faktem, ostatnio zrobił się bardziej ostrożny i nie mogliśmy go namierzyć. Idź do samochodu.
Posłusznie wyszłam na dwór i wsiadłam do radiowozu. Jednak ruszyliśmy dopiero po godzinie. Musieliśmy zaczekać, aż ekipa zabezpieczy wszystkie ślady.
Kiedy jechaliśmy prospektem, jeden z funkcjonariuszy, kontynuując przerwaną rozmowę, powiedział:
- I teraz ciągle jęczy, że chce mopsa. Nic innego, tylko tę paskudę. No

powiedzcie sami, czy normalny pies może mieć trzydzieści centymetrów wzrostu. Rottweiler albo pitbul to rozumiem.
- Rottweiler waży sześćdziesiąt kilo - westchnął drugi. - Twoja żona nie utrzyma go na smyczy A poza tym pomyśl, ile takie psisko będzie żarło. Nie zapracujesz na jego miskę. Kup jej już lepiej tego mopsa. Babski pies.
- Dzwoniłem już po ogłoszeniach. To koszmar! Za szczeniaka, taką małą kulkę, życzą sobie 600 dolarów!
- Nieźle - pokiwał głową przyjaciel. - No to nie kupuj!
- Kiedy z żoną nie da się już wytrzymać. Robi obrażoną minę i popłakuje po kątach.
- Przepraszam bardzo - postanowiłam się wtrącić. - Na początku stycznia będziemy dopuszczać naszego mopsa samca do suki. Jeśli pan chce, to wiosną możemy dać panu szczenię w prezencie. Będzie jak znalazł na Dzień Kobiet. Żona przyjedzie i wybierze sobie pieska, a do domu weźmie, jak trochę podrośnie. Szczeniak powinien co najmniej dwa miesiące być przy matce.
- Pani tak na serio? - zapytał i natychmiast dodał: - Poznajmy się. Nazywam się Jarosław Pietrowicz Samonienko. Dla przyjaciół po prostu Sława.
- Bardzo mi miło. Eulampia Andriejewna, dla przyjaciół.
- Lampa - wtrącił Wołodia - dla przyjaciół Lampa.
- Bardzo oryginalne imię - zauważył grzecznie Sława. - Da mi pani swój numer telefonu?
- Z największą przyjemnością - wypaliłam, po czym się zreflektowałam. - Tylko jest jeden mały szkopuł.
- Jaki? - zdumiał się Kostin. - W najbliższym czasie zamierzamy się przeprowadzić!
- Czekaj! Stop! - krzyknął major.
W jednej sekundzie radiowóz stanął w miejscu, a my omal nie spadliśmy na podłogę.
- Co się stało? - zapytał kierowca.
- Po co się zatrzymałeś? - chciał wiedzieć Kostin. - Jedź!
- Przecież powiedziałeś „stop".
- Nie do ciebie, do Lampy. Ruszaj.
- Zobaczycie - mamrotał kierowca, skręcając na drugi pas - zwolnię się. Już od dawna chcą mnie wziąć do straży pożarnej. Tam będzie cicho i spokojnie. Sama radość, a tu - istny cyrk: to stój, to jedź. Wczoraj wrzuciliście mi tu worek z poćwiartowanymi zwłokami.

Śmierdziało makabrycznie. Ale oczywiście nie można było zaczekać na karawan!
- Trzeba by było ze dwie godziny sterczeć na mrozie - tłumaczył spokojnie Sława - zanim by trupiarka podjechała zamarzlibyśmy na kość. Poza tym nie śmierdziało tak tragicznie. Nikt z nas nic nie czuł.
- Śmierdziało nie tragicznie, a masakrycznie - nieuspokajał się kierowca. - Pewnie, że nic nie czuliście. Wam to dobrze. Łyknęliście sobie z flaszki i cześć, a mnie nikt nie dał.
- Bo tobie nie wolno - zauważył łagodnie Sława. - Prowadzisz.
- A wam wolno w godzinach pracy?
- W ramach profilaktyki - jako przeciwdziałanie chorobom zakaźnym - bronił się Samonienko.
- Przestańcie już gadać głupoty - odezwał się Kostin, po czym zwrócił się do mnie z wyrzutem: - Dlaczego nie powiedzieliście, że już się przeprowadzacie? Myślałem, że to odległe plany.
- Jakoś nie było okazji.
- Kurde - Kostin był na nas wyraźnie zły. Gniewnie szturchnął kierowcę w plecy i polecił: - Zjedź tu, pójdziemy coś przekąsić.
- Nie trzeba tak od razu z łapami - obruszył się kierowca. -Wystarczy powiedzieć.
- Przestań już, Wadim - rozkazał Sława.
Do domu wróciłam późnym wieczorem. Byłam skrajnie wykończona. Wołodia wziął mnie w krzyżowy ogień pytań. Starał się wyciągnąć ze mnie jak najwięcej informacji. W kółko zadawał te same pytania. Byłam jednak twarda jak skała i odpowiadałam monosylabami. Nie zrobiłam niczego niezgodnego z prawem.
Siedziałam na komisariacie, gdzie przywieziono mnie jako podejrzaną o obrabowanie własnego mieszkania. Kiedy nieporozumienie się wyjaśniło, Katia poszła po taksówkę, a ja byłam świadkiem, jak gliniarze wlekli Antona Burlewskiego, który im się wyrywał. Postanowiłam mu pomóc.
Następnie opowiedziałam o Wierze Zajcewej i dosypanych środkach nasennych.
- Czyli zachciało ci się być prywatnym detektywem - chrząknął Wołodia.
- Z nudów, że się tak wyrażę.
- Absolutnie bezpłatnie - dodałam szybko. - Chciałam pomóc Antonowi.
- Jesteście z Katią siebie warte. Obie żałujecie biednych i

nieszczęśliwych! - westchnął. - A jak ci się udało namierzyć Monachowa?
W pogotowiu miałam już przygotowaną odpowiedź na to podstępne pytanie:
- Sąsiadka opowiedziała.
- Jaka? Imię, nazwisko?
- Nie wiem. Spotkałam ją na podwórku przed domem. No i zaczęła plotkować, że dobrze znała Zajcewą. I że ta skarżyła się jej na Monachowa, że jest bardzo zazdrosny.
- A skąd wzięłaś jego adres?
- Z Centralnego Biura Adresowego.
- No tak - powiedział przeciągle, po czym polecił, abym opisała sąsiadkę.
- Taka niewysoka szatynka, piwne oczy, między trzydziestką a czterdziestką.
- Jakieś znaki szczególne?
- Nie zauważyłam.
- No tak - powtórzył i zaczął bębnić palcami po blacie stołu.
Po chwili stwierdził:
- No cóż, wobec tego sprawa zamknięta.
- Anton zostanie zwolniony?
- Bez dwóch zdań.
- W takim razie ja już sobie pójdę, dobrze?
- Oczywiście, jak najbardziej - niespodziewanie pieszczotliwie odparł major, wypisując przepustkę.
- Kiedy przeprowadzka?
- Lada dzień. Damy ci znać.
- Tylko o tydzień wcześniej, żebym mógł wam pomóc, jeśli oczywiście nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.
Pożegnaliśmy się.
Opuściłam restaurację pełna entuzjazmu. Sprawa załatwiona. Anton na wolności. O Fiodorze się nie wygadałam.
Siedem tysięcy w kieszeni!

Rozdział 21

Do domu wróciłam padnięta jak pies Pluto.
Dzień był naprawdę pracowity i pełen wrażeń.
W przedpokoju zobaczyłam na wpół otwarte skrzynki z napisem „Pedigree Pal". Wokół roznosił się zapach świeżej karmy.
Zajrzałam do środka - nie grzeszące czystością adidasy Kiriuszki leżały w sąsiedztwie książek, skarpetek i kaset. Rzeczy wrzucone były byle jak. Pewnie brał wszystko, co mu wpadło pod rękę.
- Kiriuszka! - zawołałam.
- Co? - wysunął głowę do przedpokoju.
- Jak można pakować masło z żelastwem?
W milczeniu podszedł do skrzynki, nachylił się i odparł:
- Ale tu nie ma żadnego żelastwa. Co ty wygadujesz?
- To było w przenośni.
- Żejak?
Straciwszy cierpliwość, ryknęłam:
- Nie układa się butów z książkami!
- Dlaczego?
Zagiął mnie tym prostym pytaniem. Rzeczywiście, właściwie dlaczego? Wychowywała mnie władcza, nie znosząca sprzeciwu matka. Bardzo ją kochałam i zawsze byłam jej posłuszna. W naszym domu istniał cały system zakazów i nakazów. Na przykład nie pozwalano mi jeść ziaren słonecznika. Powód był bardzo prosty - takie jedzenie nie wpływa korzystnie na organizm dziecka, jedynie zapycha żołądek.
Wszystkie ograniczenia były tłumaczone w ten sam sposób: troską o moje zdrowie. Nie mogłam oglądać telewizji po dziewiątej wieczorem, bo miałabym nocne koszmary. Nie wolno mi było kupować jedzenia na ulicy, bo można się otruć. Konserwa rybna w sosie pomidorowym to trucizna. Kryminały - strata czasu. Czytać mogłam tylko i wyłącznie Lwa Tołstoja, Dostojewskiego, w najgorszym wypadku - Wiktora Hugo. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby mamie wpadły w ręce książki Marininej albo Daszkowej. Zapewne spaliłaby to świństwo w

kominku, żeby uchronić przednim dziecko.
Mama kochała mnie bezgranicznie. Całe życie marzyła, że wyrosnę na piękną, mądrą kobietę. Na ołtarzu miłości złożyła wszystko. Najpierw wyuczyła córkę na harfistkę, potem wydała za mąż. Jednak wyszło dokładnie odwrotnie.
Harfy nienawidziłam, męża nie mogłam znieść i niczego nie potrafiłam. Za piękną kobietę nie mogłam ujść nawet z toną tapety na twarzy.
Szczęście w nieszczęściu na mojej drodze pojawiła się Katia.
Dzięki niej stopniowo zaczęłam się zmieniać w normalnego człowieka. Teraz moje dzieciństwo daje o sobie znać już tylko od czasu do czasu. No bo faktycznie, dlaczego nie wolno spakować butów z książkami. Musi być jakieś rozsądne wytłumaczenie.
- Od brudnych butów poniszczą się książki - znalazłam odpowiedź.
- Adidasy są czyste - upierał się przy swoim Kiriuszka. - A poza tym nie będą tam leżeć całą wieczność. Trzydziestego pierwszego się przeprowadzimy i cześć!
Chyba się przesłyszałam!
- Trzydziestego pierwszego grudnia? W sylwestra? Skąd ci to przyszło do głowy?
- Mama była w firmie przewozowej - wyjaśnił - i tam jej powiedzieli, że od pierwszego stycznia ceny na usługi wzrosną trzykrotnie. A my potrzebujemy jeszcze tragarzy! Dobrze, że znalazła się wolna ekipa. Kazali, żebyśmy byli gotowi przed pierwszą.
Ta wiadomość z lekka mnie uspokoiła.
Jeśli o 13.00 zaczniemy przeprowadzkę, to zejdzie nam gdzieś do piątej. Oba mieszkania są położone niedaleko siebie. Zdążymy nawet rozpakować naczynia i przygotować jakąś sałatkę.
Szybkim krokiem wparowałam do kuchni i zamarłam na progu. Na podłodze stała ogromna skrzynia. Półtora metra długości i ze dwa szerokości.
W środku leżała sterta talerzy, filiżanek, patelni, widelców i garnków.
- Tina! - wrzasnęłam, czując ogarniającą mnie złość. - Tina!
- Tak - wymamrotała, wsuwając głowę w szparę w drzwiach.
- Co jest grane?
Odnotowałam w myślach fakt, że znów ma całe usta w czekoladzie i kamiennym tonem zapytałam, wskazując skrzynkę:
- Co to jest?
- Jak to co? - osłupiała. - Karton z naczyniami.

- To nie karton, a trumna z naczyniami! Jak można nie wiedzieć, że nie pakuje się porcelany z garami?
- Też mi problem - prychnęła. - Nic im się nie stanie. Mamy rzut beretem. Z góry przyłoży się poduszką i po kłopocie.
Nie potrafiłam znaleźć kontrargumentów.
Do godziny trzeciej nad ranem przekładałam filiżanki, talerze i kieliszki, zawijając każdy przedmiot oddzielnie w gazetę. Na szczęście w pokoju u Sierioży i Julii znalazłam cały stos starych, pożółkłych czasopism.
Po kolacji poczekałam, aż domownicy zasną, po czym na paluszkach przekradłam się do sypialni i wyciągnęłam spod łóżka zakurzone gazety. Już dawno świerzbiły mnie ręce, żeby je po kryjomu wyrzucić. Teraz chociaż się na coś przydadzą.
Nad ranem cały tłukący się sprzęt kuchenny był porządnie zapakowany.
Z poczuciem spełnionego obowiązku położyłam się na kanapie, nawet jej nie rozkładając, ani tym bardziej nie ścieląc.
Mopsy z miejsca wszczęły bójkę o miejsce przy mojej twarzy. Nie miałam siły ich wyganiać.
Z przyjemnego snu wyrwał mnie przeraźliwy krzyk.
Usiadłam i potrząsnęłam głową.
Co się stało? Dlaczego śpię w ubraniu na nie rozłożonej kanapie? No tak, pakowałam naczynia i byłam potwornie zmęczona.
Ale co się dzieje w kuchni? Dlaczego Sierioża tak wrzeszczy?
- Kto? - chłopak wydarł się ponownie. - Pytam się, kto?
Postękując, poczłapałam do kuchni, gdzie zgromadzili się już zdziwieni domownicy, koty i psy.
- Kto? - pytał Sierioża, wskazując palcem spakowane przeze mnie pudła. - Kto to zrobił?
- Nie cieszysz się, że spakowałam naczynia? - zapytałam z lękiem.
Nie raczył odpowiedzieć. Chyba nawet nie usłyszał mojego pytania.
- Kto? - powtarzał w kółko. - Kto to zrobił?
- Ciekawi cię, kto wykonał tyle dobrej pracy? Ja.
- Lampisko! - zawył. - Ja cię chyba ukatrupię!
- Nie, no nie mogę - rozzłościłam się. - Straciłam na to pół nocy. Tak na marginesie, nikt nie raczył mi pomóc. Wszyscy w najlepsze sobie spali, a ja uwijałam się jak głupia. Owinęłam osobno każdą rzecz. Czy zdajesz sobie sprawę, ile to roboty?
- Skąd wzięłaś gazety? - Sierioża nieoczekiwanie ściszył głos.

- Leżały pod twoim łóżkiem.
- Zniszczyłaś archiwum, które kompletowałem przez kilka lat!
- Archiwum? - z mojej piersi wyrwał się jęk. - Te zakurzone, brudne kartki? To miało być archiwum?
- Zbierałem najbardziej interesujące ogłoszenia reklamowe - widać było, że chłopak jest bliski płaczu.
- Ale po co trzymałeś je pod łóżkiem? Czy to jest odpowiednie miejsce na archiwum?
- Trzymałem, gdzie mi było wygodnie - odpowiedział.
Milczałam. Czułam się podle.
Julka podeszła do kartonu i rozwinęła kilka talerzy.
- Nie trzeba od razu zabijać - mruknęła. - Lampa niczego nie podarła.
- Otóż to - nabrałam nadziei.
- Zawijałam w całe kartki. Tak było mi nawet wygodniej. Łatwiej strząsało się z nich kurz. Od razu po przeprowadzce wszystko ostrożnie poodwijam i oddam ci w nienaruszonym stanie.
- E tam - machnął ręką i wybiegł do przedpokoju.
- Nie przejmuj się - pocieszała mnie Julia. - Już dawno zapomniał o tym archiwum.
Dopiero kiedy zagotowała się woda, przypomnieliśmy sobie, że niema z czego pić, bo wszystko jest spakowane.
Kiriuszka przyniósł dziesięć kubeczków z napisem „coca-cola".
Wypiliśmy kawę, zjedliśmy kanapki i rozeszliśmy się załatwiać swoje sprawy.
Przede mną rozciągała się perspektywa otrzymania siedmiu tysięcy od Burlewskiego. Cieszyłam się jak dziecko, tym bardziej że honorarium, obiecane przez Olega Jakowlewicza Pisiemskiego za prowadzenie poszukiwań jego żony, było raczej poza moim zasięgiem.
Byłam prawie na sto procent pewna, że Ksienia Fiedina to Tatiana Mitiepasz, która w jakimś celu zmieniła imię i nazwisko. Najgorsze, że ustalenie miejsca jej aktualnego pobytu wydaje się wręcz niemożliwe. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że tę mroczną historię chociaż trochę naświetli mi była żona Burlewskiego.
Zrezygnowana postanowiłam pójść do domu zmarłej i powypytywać sąsiadów. A nuż ktoś widział Tatianę i przypadkowo wie, gdzie ją można znaleźć? Był to z pewnością dobry pomysł.
Babcie, siedzące przed klatką na ławkach, wiedzą wszystko o wszystkich.
Jednak jak pech to pech.

Tego zimnego grudniowego poranka placyk przed blokiem świecił pustką. Osiedlowe plotkary siedziały przed telewizorami, gapiąc się na kolejny serial.
Dotarłam do mieszkania Łomakinej i już chciałam zadzwonić do drzwi jej sąsiadów, kiedy moje ucho wychwyciło cichą muzykę, dochodzącą z mieszkania denatki. Zauważyłam też, że drzwi nie były już opieczętowane. Najwyraźniej ktoś był w środku.
Nacisnęłam dzwonek.
Wyjrzała kobieta w średnim wieku, ubrana w jaskrawy dres.
- Pani do kogo?
- A kim pani jest? - zaatakowałam.
- Ale o co chodzi? - była zaskoczona. - Jutro jest pogrzeb. Jestem siostrą zmarłej. Mam na imię Lena.
- Aha, siostrą - powtórzyłam i wepchnęłam się do przedpokoju.
- Tak, siostrą - powtórzyła raz jeszcze zmieszana kobieta. - A pani kim jest?
- Jestem z milicji. Prowadzę śledztwo w sprawie Tatiany Mitiepasz. Chciałabym porozmawiać ze Swietłaną Rodionowną.
- Została zabita - odparła krótko, po czym dodała: - Doigrała się Tańka. Milicja się nią interesuje! Proszę wejść.
- Została zabita? - udałam zdziwienie, ściągając kurtkę. - Na ciele nie było żadnych znaków.
Wypowiedziawszy ostatnie zdanie, natychmiast zamknęłam usta. Ależ ze mnie idiotka. Jeśli zamierzam rozmawiać z Łomakiną, to przecież nie mogłam widzieć zwłok.
Lena na całe szczęście nie zwróciła uwagi na moją gafę i spokojnie wyjaśniła:
- Nie było śladów, ponieważ wstrzyknięto jej dużą dawkę trasicoru.
- Słucham? - nie zrozumiałam.
Weszłyśmy do kuchni. Lena postawiła czajnik na gazie i odpowiedziała:
- To jest preparat z grupy beta-blokerów. Śmiertelność w wyniku przedawkowania wynosi dziewięćdziesiąt procent.
- Można j ą było uratować?
Odwróciła się w stronę okna.
- Gdyby od razu zrobić płukanie żołądka, podać węgiel aktywowany w roztworze, a potem siarczan magnezu, to może i tak. W przypadku szoku należałoby dodać poliglicynę, metazon i prednisolon, a jeśli to by nie pomogło, to dożylnie kroplówka z dobutrexu i podskórnie

atropina z efedryną.
- Jest pani lekarzem?
- Pielęgniarką na oddziale reanimacji.
- Dlaczego Swietłana od razu do pani nie zadzwoniła?
Lena wzruszyła ramionami.
- Pewnie morderca siedział obok, chociaż.
- Tak?
- Ostatnio nie byłyśmy w bliskich stosunkach. Pogniewałam się na nią.
- Za co?
- Swieta przez długi czas żyła z bogatym mężczyzną i nie pomagała ani mnie, ani bratu, ani matce. Kiedy mama zachorowała i potrzebna była większa ilość gotówki, zwróciłam się do niej z nadzieją, że nam pomoże. Ale zaczęła się dziwacznie tłumaczyć, że Fiodor ma jakieś problemy finansowe i nie mają pieniędzy. Aż śmiać mi się chciało. Spotkałyśmy się w McDonaldzie.
Nie raczyła mnie zaprosić ani do domu, ani do normalnej przyzwoitej restauracji.
Siedziała przy stoliku w błękitnym futerku z norek, brylantami w uszach, bynajmniej nie plastikowymi pierścionkami na palcach i narzekała na biedę. Dałam sobie spokój i poszłam.
Wasyl, nasz brat, strasznie się wtedy rozzłościł.
W naszej rodzinie dotychczas było zupełnie inaczej. Wszyscy sobie pomagali w miarę swoich możliwości. Najwidoczniej Świecie bogactwo uderzyło do głowy. Tylko dziwne, że dla swoich było jej żal każdego grosza, a dla obcych była zawsze bardzo szczodra. Przygarnęła tę dziewczynę, Tatianę Mitiepasz, i rozpieszczała.
- Niezupełnie obca, córka męża.
- No pewnie! Antona porzuciła. Zmienił się w skończonego pijaka. A Tatiana mi się nigdy nie podobała. Szczwana bestia! Przebiegła, że aż strach bierze.
- Widywałyście się?
- Jeden jedyny raz spotkałyśmy się na urodzinach Swietłany. Siedziała obok Fiodora taka cicha i uśmiechnięta. Potem zaczęła grać na fortepianie. Nie znam się zbytnio na muzyce, ale wydawało mi się, że nawet nieźle sobie radzi. Fiodor był już wtedy wstawiony. Pamiętam, jak powiedział: „Zamiast próżnować i całymi dniami obijać się na kanapie, powinnaś poćwiczyć i zacząć dawać koncerty. Marnujesz talent dany ci od Boga". A ona tylko siedziała i niewinnie się

uśmiechała. Potem ludzie poszli tańczyć, a ja zmyłam się do kuchni, żeby sobie zapalić. Nie zdążyłam jeszcze przypalić papierosa, kiedy jak wicher wleciała Tania. Była zła jak osa. Miała wściekłą minę. Oczy błyszczały jej ze złości. Przestraszyłam się: „Co się stało?".
Dopiero wtedy zauważyła moją obecność. W oka mgnieniu zmieniła wyraz twarzy. Przykleiła sobie słodki uśmiech i odpowiedziała:
- Nic takiego. Głowa mnie rozbolała od tego hałasu. Potrzebowałam odrobiny samotności.
Zrozumiałam jej aluzję, zgasiłam papierosa i ruszyłam w stronę wyjścia. Na progu się obejrzałam. Nie potrafiła powstrzymać złości. Gęba znów jej się wykrzywiła. I na pewno nie był to żaden ból głowy. Rozpierała ją nienawiść. Nienawiść do Fiodora, Swiety i Antona.
- To po co z nimi mieszkała?
- Pewnie nie miała się gdzie podziać. Pracować jej się nie chciało, a tu, proszę bardzo, za darmo wikt i opierunek. No i kochanek.
- Kochanek?
- A co w tym dziwnego? Kochanek.
- Kto?
Uśmiechnęła się.
- Piosenkarz. Jakżeby inaczej. Przecież tylko tacy przewijali się przez dom Burlewskich. Sasza Złoty. Słyszała pani o takim?
Też pytanie!
Wszędzie go pełno w tych jego nieskazitelnych garniturach i płaszczach z rozwianymi połami.
- Fiodor wepchnął córkę do jego chórku - nadawała dalej Lena. -Głosu podobno nie miała, ale Burlewski to wielki pan i nikt nie śmiał mu odmówić. A Tania miała głowę na karku. Błyskawicznie zakręciła się przy idolu młodzieży i wskoczyła mu do łóżka. Ich związek trwał dwa miesiące. Potem zamienił ją na inną. Jakie mu awantury urządzała!
- Swietłana miała znajomą Anię?
- Tak, Annę Krapiwinę. Można powiedzieć, że to jej najlepsza przyjaciółka. Były jak papużki nierozłączki. Tak a propos, bardzo mi się podobała. Zupełnie inny świat. Matematyk. Mądra, skromna, inteligentna.
W milczeniu sączyłam ohydną rozpuszczalną kawę. Nie znoszę kawy, a jak na złość wszędzie mi ją podają.
Kiedy Swietłana dzwoniła do mnie w nocy, kilkakrotnie wymawiała imię „Ania". Numer telefonu różnił się od naszego tylko jedną cyfrą.
Pośpiesznie pożegnałam się z Leną i pobiegłam do domu z zamiarem

zatelefonowania do tajemniczej Ani. Najprawdopodobniej mieszka obok nas.
Rzeczywiście tak było.
Kobieta podała adres jednego z sąsiednich czteropiętrowych bloków.
Na dzwonek do drzwi zareagowały najpierw koty. Po chwili usłyszałam przyjemny kontralt:
- Cicho, dzieciaki. Przyszli do nas goście.
Wcisnęłam się do wąskiego, ciągnącego się jak wąż przedpokoju i zamarłam ze zdziwienia.
Na półce pod wielkim lustrem siedziały trzy ogromne koty: szary, czarny i rudy. Na ich szyjach wisiały przepiękne, szerokie, skórzane obroże z medalionami.
- Tak się pani słuchają?
Ania się uśmiechnęła.
- Potrafią o wiele więcej. Paulina, daj łapkę.
Ruda kotka błyskawicznie wykonała polecenie.
- A ty, Poił, umyj toaletę.
Szary kot czmychnął do łazienki i po chwili dało się stamtąd słyszeć spuszczanie wody.
- A to ci heca! - zachwyciłam się i dodałam: - Do tej pory widziałam tylko jednego takiego kota. Tak a propos, też z obrożą.
- Moris! - krzyknęła podniecona Ania. - Gdzie on jest?
- U nas.
- O Boże, gdzie go znaleźliście? Obiegłam całe osiedle.
- Ale Moris mieszkał u Łomakinej.
- Zgadza się. Dostała go ode mnie w prezencie. A w ogóle, w czym mogę pani pomóc? Przejdźmy do pokoju. Nie będziemy przecież rozmawiać przy drzwiach.
Weszłyśmy do niewielkiego pomieszczenia.
Cały pokój, od podłogi aż po sam sufit, był zastawiony regałami, uginającymi się pod ciężarem ogromnej ilości książek. Było ich tak dużo, że niektóre po prostu wciśnięto.
Biurko i parapet zawalono kolejną partią książek.
Obok stał komputer.
Mebli było niewiele: kanapa i dwa fotele. Żadnego stolika czy dywanu.
- Major Eulampia Andriejewna Romanowa. Zajmuję się sprawą Tatiany Mitiepasz. Pomyślałam, że będzie pani w stanie coś o niej opowiedzieć.
- Niestety, niewiele o niej wiem - westchnęła.

- A o Łomakinej?
Uśmiechnęła się smutno.
- Ze Swietą przyjaźniłyśmy się od piątego roku życia. Najpierw chodziłyśmy do jednego przedszkola, potem siedziałyśmy w jednej ławce. Następnie nasze drogi się rozeszły. Swietka poszła na filologię, a ja na matematykę. Ale mimo że często nie widziałyśmy się miesiącami, nasze stosunki się nie zmieniły. Byłyśmy dla siebie jak rodzone siostry. Wie pani, że Swieta ma siostrę?
Kiwnęłam głową.
- I akurat tak się złożyło, że ze swoją siostrą, Leną - kontynuowała -nie mogła się dogadać.
Ich stosunki pogorszyły się jeszcze bardziej, kiedy Fiodor się wzbogacił.
- Dlaczego?
- To długa historia - westchnęła.
- Nigdzie się nie śpieszę.
- Skoro tak - odparła - postaram się pani wszystko w miarę zwięźle opowiedzieć. Mam nadzieję, że to pomoże w odnalezieniu mordercy.

Rozdział 22

Kiedy Swieta Łomagina postanowiła wyjść za mąż za Fiodora, cała rodzina była temu przeciwna. Brat, matka i starsza siostra próbowali ją odwieść od tego zamiaru.

- Co to za zawód - akordeonista? - wzdychała matka inżynier. -Grać po barach dla pijaków? Do kotleta? Ohyda!

Jednak Swieta wytrwale odpierała wszystkie ataki. Fiodor szalenie jej się podobał i dziewczyna dopięła swego. Krewni się na nią pogniewali, ale na ślub przyszli. Dali w prezencie serwis i z satysfakcją stwierdzili, że mieli rację. Mąż był biedny jak mysz kościelna. Nie było go stać ani na nowy garnitur, ani na pierścionek dla żony.

Pierwsze lata małżeństwa były naprawdę ciężkie.

Fiodor bardzo mało zarabiał. Włóczył się od knajpy do knajpy, ciągnąc za sobą akordeon. Zamiast pieniędzy przynosił czasem jedzenie.

Swieta pracowała jako nauczycielka. Wzięła dodatkowe godziny i wychowawstwo. Do domu zabierała stosy zeszytów. Jakoś wiązali koniec z końcem.

Całkowity kryzys nastąpił, kiedy na świat przyszedł Anton.

Matka stwierdziła, że nie będzie jej pomagać.

- Nie posłuchałaś mojej rady, to teraz radź sobie sama!

Lena nie pożyczyła jej pieniędzy. A do brata Swieta się nie zwróciła. Wiedziała, że nic z tego nie będzie.

Przez długie lata szczyt jej marzeń stanowiły nowe spodnie i buty. U boku Fiodora nie udawało się jej odłożyć ani grosza. Zwłaszcza że ten, jak się okazało, miał w swoim życiu dwie pasje: kobiety i znaczki. A raczej: znaczki i kobiety.

Nieustannie zmieniane kochanki nie miały dla niego większego znaczenia. Natomiast niewielkie kawałki papieru o zębatych brzegach były mu droższe niż własne życie. Ta pasja okazała się nieprzezwyciężona i w konsekwencji zgubna.

Fiodor wynosił z domu pieniądze odłożone na czarną godzinę, na

jedzenie dla dziecka, a wszystko po to, żeby wejść w posiadanie „Boliwii" albo „Kolumbii".
Pewnego razu, akurat przed Nowym Rokiem 1983, wyciągnął zaoszczędzone przez żonę sto rubli i przyniósł do domu kolejną zdobycz.
- Spójrz tylko - otworzył przed Swietą klaser. - Spójrz i nasyć się tym widokiem.
Ale dla żony znaczki były jedynie nędznymi skrawkami papieru. Co więcej, nienawidziła ich jak bezczelnych, namolnych i chciwych krewnych.
- Fiedia - bąknęła - wiesz przecież, że jesteśmy zaproszeni na sylwestra. Miałam sobie kupić sukienkę. W czym ja się teraz pokażę?
- W spodniach - odburknął, wyciągając lupę.
- Porażka - zaczęła płakać. - Powiedzą, że biedaczka, bo nawet nie ma co na siebie włożyć.
- Słuchaj - westchnął - jeśli chcesz, możemy wziąć ze sobą klaser. Pokażesz im. Te znaczki są warte majątek! Powiesimy ci go na szyi na sznurku. Będziesz najbogatsza ze wszystkich!
Swietłana spojrzała na album i pomyślała: „Co za kretyn!". I tak żyli z dnia na dzień, wciąż pożyczając od znajomych, bo nigdy nie starczało im do pierwszego.
Antona ubierali w rzeczy po innych dzieciach, a odżywiali się kaszą na wodzie.
Kolekcja tymczasem rosła w oczach.
W końcu Swieta zaczęła się zastanawiać, po co tak naprawdę jej mąż zbiera znaczki. I doszła do wniosku, że być może lokuje pieniądze na przyszłość. Oszczędza na stare lata, żeby później wszystko spieniężyć i wreszcie spokojnie żyć.
Z natury była małomówna i zamknięta w sobie, jednak pewnego razu wypowiedziała tę myśl na głos.
Po raz pierwszy zobaczyła męża nieprawdopodobnie wściekłego.
- Wybij to sobie z głowy! Nigdy! Przenigdy! - wrzeszczał. -Niczego nie sprzedam! Nawet się nie łudź!
- To po co je zbierasz? - zapytała błagalnym tonem.
Zamilkł, a po chwili wyszeptał:
- Nie jestem w stanie wyjaśnić. Słowa nie oddadzą tego, co czuję. Sienią Leonow jest alkoholikiem, Kotia Rogow - narkomanem, Wańka
Krutow - namiętnym graczem, a ja - filatelistą. Chyba nie jest aż tak

źle?
„I babiarzem” - dodała w duchu Swieta.
W 1987 roku ich życie odwróciło się o 180 stopni.
Fiodor wpadł na pomysł zorganizowania dyskoteki. Wynajął w centrum miasta salę gimnastyczną i muzyków, no i się zaczęło. Jeszcze jak się zaczęło!
Teraz w Moskwie rozrywek jest więcej niż w Paryżu, ale wówczas dyskoteka Burlewskiego była jedna na całe miasto. Po bilety każdego dnia ustawiała się długa kolejka. Piosenkarze, tancerze i muzycy tłumnie zgłaszali się do pracy,
Krótko mówiąc, w ciągu dwóch lat dorobili się wszystkiego: daczy, jeepa, volkswagena. Zrobili remont w europejskim stylu. Kupili drogie meble.
Swietka paradowała w futrach. Miała po jednym na każdy dzień tygodnia. O kaszy na wodzie zapomnieli raz na zawsze. Na wakacje wyjechali do Nicei.
Wtedy właśnie przypomnieli sobie o nich krewni. Nagle siostra, brat i matka zapragnęli się z nimi spotykać. Potrzebowali pieniędzy.
Jednak Swietka była nieugięta.
- Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałaś? - zapytała z ironią w głosie siostrę, która przyszła prosić o sporą sumę. - Że każdy na tym świecie powinien sobie radzić sam. No to sobie radź.
Tym samym zamknęła siostrze usta. Odprawiła ją z kwitkiem.
A ta, dusząc się ze złości, czytała w gazetach o kolejnych udanych inwestycjach Burlewskiego.
Swieta przestała mieć problemy finansowe, jednak od razu pojawiły się inne.
Anton zaczął pić i zupełnie wymknął się jej spod kontroli. Fiodor praktycznie nie bywał w domu, całymi dniami i nocami przesiadywał w biurze. W ogóle przestali ze sobą rozmawiać. Nie mieli o czym. Żadnych wspólnych zainteresowań.
Kiedy od święta pojawiał się w domu, Swietłana nawet nie wychodziła ze swojej sypialni. Stali się sobie zupełnie obcy.
Pewnie powinna od niego odejść, ale za bardzo podobało jej się dostatnie życie. Potem zrobiło się jeszcze gorzej.
Swietłana rzuciła pracę i przez cały dzień siedziała przed telewizorem, nudząc się jak mops.
Wtedy właśnie Ania podarowała jej Morisa.
Była przecież jej najlepszą przyjaciółką i doskonale widziała, że

niespodziewane bogactwo nie przyniosło Świecie szczęścia.
Wręcz przeciwnie. Ciągle skarżyła się na ból głowy, ogólną słabość i mdłości.
Nawet najlepsi specjaliści nie potrafili znaleźć przyczyny. Radzili, żeby przebywała więcej na świeżym powietrzu, brała witaminy i zajęła się jakimś sportem.
Ania zaś, nie będąc lekarzem, wiedziała, co tak naprawdę dolega przyjaciółce. Ma najzwyklejszą w świecie nerwicę i depresję, z którymi należy zupełnie inaczej walczyć. Trzeba obudzić w niej chęć do życia. Podsunąć jakieś zajęcie. Niech chociaż haftuje, dzierga albo hoduje kwiaty. Cokolwiek. Byleby nie miała zbyt dużo czasu na myślenie.
Sama Ania miała rzadko spotykane hobby - tresowała koty. W jej domu mieszkały trzy okazy, którymi zachwycali się wszyscy goście.
Kiedy pojawiły się małe, Ania podarowała Świecie największego i najbardziej ruchliwego - Morisa.
Czy to kot okazał się nad wyraz utalentowany, czy też Swieta posiadała dar do tresury, nie wiadomo.
Jedno jest pewne, po roku Moris wyprawiał takie sztuczki, że nawet Ania była zdumiona.
Swieta uwielbiała kota nad życie. Ciągała go po wystawach i pokazach, zgarniając przeróżne medale, ordery i dyplomy.
Jednak zainteresowanie kotem nie trwało długo.
Miłość do Morisa ustąpiła kolejnej pasji.
Zwierzak siedział w domu, a Swieta zaczęła regularnie chodzić do cerkwi na nabożeństwa i przestrzegać postu.
Całkowicie zmieniła swoją garderobę. Teraz ubierała się w długie, sięgające do ziemi suknie i ciemne chustki. Przestała się malować.
Goście Burlewskiego, głównie działacze show-biznesu, tracili mowę na widok gospodyni, która wchodziła do salonu z tacą i, stawiając ją na stole, zaczynała błogosławić kiełbasę, mówiąc: „Panie, pobłogosław ten posiłek".
Fiodor mężnie znosił dziwactwa żony.
Bez słowa sprzeciwu jadł w domu w Wielki Post kotlety z kapusty, aby w chwilę później zamówić sobie w restauracji szaszłyki.
W tym czasie w ich domu pojawiła się Tatiana.
Swieta przyjęła nieślubną córkę męża z miłosierdziem godnym prawdziwej chrześcijanki.
Wkrótce potem poprosiła Fiodora o rozwód.
- Chcę iść do klasztoru - wyjaśniła swoją decyzję.

Ten wzruszył jedynie ramionami. Jeśli chce do klasztoru, proszę bardzo. I tak od dłuższego czasu już nic ich nie łączyło.
Po rozwodzie prawie nic się nie zmieniło. Nadal razem mieszkali. Byłej żonie jakoś się nie spieszyło z wyprowadzką.
Raz nawet podpity Burlewski, chcąc jej dogryźć, zapytał z sarkazmem:
- Oblubienico Pańska, czemu nie znajdujesz schronienia za murami klasztornymi?
- Ojciec w niebie nie udzielił mi swego błogosławieństwa -wyjaśniła ze spokojem. - Twierdzi, że za mało się jeszcze w życiu nacierpiałam!
Fiodor tylko chrząknął.
- No to się bardziej postaraj.
I żyli tak do czasu, aż Burlewski nie zażądał od córki, żeby wzięła się do pracy.
Próżniaczka, pochłaniająca niezliczone ilości owocowych cukierków, powoli zaczęła działać mu na nerwy. Anton również go irytował, chociaż nie musiał na niego codziennie patrzeć, gdyż wyprowadził się z domu. Jednak, mimo iż mieszkał osobno, bardzo często przychodził po pieniądze.
Widząc jego opuchniętą twarz i rozbiegane czerwone oczy, Fiodor myślał ze smutkiem: „Dlaczego mam takie dzieci? Żadnego talentu, żadnych ambicji, ani chęci zarabiania pieniędzy!”.
Oczywiście można się było pocieszać, że wdały się w matkę. Większość mężczyzn tak właśnie robi.
Naskakują na żony:
- Ten głupek wdał się w ciebie!
Jednak w danym przypadku na nic by się to zdało, bo przecież Antoni Tania mieli różne matki, a byli tak samo leniwi.
Wniosek nasuwał się sam: geny wzięli po ojcu.
To było tak smutne, że aby się zupełnie nie załamać, Fiodor czym prędzej wyrzucił te myśli z głowy.
Była żona zaprzyjaźniła się z Tanią. Oskarżyła go o próbę kazirodztwa i wygnała z domu.
Przy tym omal nie zapomniała o chrześcijańskiej pokorze i naprawdę niewiele brakowało, a obłożyłaby go pięściami.
Mąż usiłował się tłumaczyć, jednak Swietłana nie chciała go słuchać.
Na początku producent był wściekły na żonę i córkę, ale po jakimś czasie doszedł do wniosku, że dobrze się stało.
Jak każdy osobnik płci męskiej, nie lubił żadnych zmian w życiu i dlatego tak długo mieszkał pod jednym dachem ze Swietłaną.

Ale znalazłszy się na swoim, Fiodor szybko zrozumiał, ile kosztowało go „rodzinne" życie.
Z Tatianą nigdy więcej się nie widział.
- A gdzie się podziała? - zapytałam.
Ania westchnęła.
- Nigdzie. Została u Swiety. Początkowo żyły jak dawniej. Potem Swietłana sprzedała ogromne mieszkanie Burlewskiego i kupiła to mniejsze. Specjalnie szukała, żeby było blisko mojego. Religia jej się sprzykrzyła. Przestała chodzić do cerkwi. Znów zaczęła się stroić i malować.
- A były mąż jej nie pomagał?
Ania pokręciła głową.
- Nie. Co więcej, ich stosunki definitywnie się popsuły. Niech sobie pani wyobrazi, że oskarżył Swietę o kradzież.
- Żartuje pani?
- Nie. Ale to rzeczywiście śmieszne. Sprawa miała miejsce rok temu. Twierdził, że ukradła mu dwa znaczki. Bardzo cenne. Warte niemal milion dolarów.
- A niby jak tego dokonała? - zdziwiłam się.
- No też właśnie - westchnęła. - To zupełnie niemożliwe. Po pierwsze, w tym czasie Swietka miała bzika na punkcie religii i w życiu nie wzięłaby nawet cudzej gazety. Miała mocno rozwinięte pojęcie grzechu. A poza tym zawsze uważała zbieranie znaczków za idiotyczną zabawę, bezsensowne hobby i marnowanie pieniędzy. W ogóle nie znała się na filatelistyce.
- No to jakim cudem miała to zrobić?
Ania znowu westchnęła.
- Fantastyka. Powieść kryminalna! Próbowałam przemówić Fiodorowi do rozsądku, ale nic z tego.
Wrzeszczał jak nienormalny: albo Swieta odda mu znaczki, albo go popamięta!
- A kiedy, jego zdaniem, miała miejsce kradzież?
- Twierdził, że tego dnia, w którym pakowała jego rzeczy. Klasery z całą kolekcją trzymał w sejfie, ale Swietka znała szyfr, a kluczy Fiodor przed nią nie chował. Wszystkie graty przywieziono mu do biura, ale albumy zostawił u Swiety. Zabrał je dopiero po tygodniu i nie sprawdził zawartości. A potem przez dłuższy czas nie przeglądał dokładnie swojej kolekcji. Czasami otworzył klaser, coś tam sprawdził, i tyle. Miał wystarczająco dużo nowych nabytków, więc

starych nie oglądał.
Rok temu pojechał na wystawę filatelistyczną do Hiszpanii. Chciał się pochwalić swoją kolekcją. Ku jego zaskoczeniu, zamiast zachwytów usłyszał:
„Przykro nam, sir, ale dwa egzemplarze są fałszywe. Doskonale zrobione. Niemal nie do odróżnienia, ale to podróbka".
Fiodor omal nie padł trupem na miejscu. Kiedy kupował znaczki, zawsze zabierał ze sobą rzeczoznawcę, który skrupulatnie sprawdzał każdy z nich. Dlatego był stuprocentowo pewny, że ma same oryginały.
W Hiszpanii wyjaśniono mu, że falsyfikaty zostały wykonane za pomocą komputera. Oszust musi więc mieć pierwowzór. I tu Fiodora olśniło! Zamiany mogła dokonać tylko Swieta.
Wrócił do Moskwy i zażądał od żony zwrotu znaczków.
Kobieta twierdziła, że niczego nie brała, ale Fiodor jej nie wierzył.
- Doszło do tego - opowiadała ze smutkiem Ania - że wynajął jakichś bandziorów, aby przeszukali mieszkanie Swiety. Włamali się pod jej nieobecność i je splądrowali.
Połamali meble, porozdzierali książki i listy, powysypywali na podłogę kaszę, cukier i sól, pokroili na kawałki mydło, wylali szampon i rozłożyli na części sprzęt elektroniczny.
Swieta wezwała milicję, ale złodziei nie odnaleziono.
- I co, Burlewski odczepił się w końcu od żony?
- A skąd. - machnęła ręką. - To wariat. Do końca wydzwaniał i żądał znaczków. Pewnie nawet teraz, po jej śmierci, nie da spokoju i nadal będzie szukał tego swojego skarbu. Jednak zamiast zamęczać Swiete, powinien był poszukać gdzie indziej. Znaczki musiała podmienić inna osoba.
- Ale kto?
- Może Anton. Stale są mu potrzebne pieniądze na alkohol.
- A co zrobiła Tatiana?
- Od razu się domyśliła, że nic tu po niej i uciekła do Saszy Złotego.
- Tego piosenkarza?
- Tak.
- To oni się nie rozstali?
- Rozstali, a potem znów się zeszli. W każdym razie Swieta często wspominała to imię.
- Może pani coś jeszcze dodać na temat Tatiany?
Ania przygładziła piękne, lśniące włosy i niepewnie odpowiedziała:

- Niestety, to wszystko, co wiem. Dziewczyna nie w ciemię bita. Zna swoją wartość i wykorzystuje to bez żadnych skrupułów. Ale w sumie nie jest taka zła. Lubi zwierzęta. Widziałam, jak traktowała Morisa. Sadzała go sobie na kolanach, mówiąc: „Mój ty skarbie! Kochany, złoty kotek!". Dobrze grała na fortepianie. A to, że odeszła od Swiety. Każdy wybiera sobie miej sce, gdzie mu lepiej. Pewnie się łudziła, że wyjdzie za sławnego piosenkarza. Może nawet osiągnęła swój cel? Nie mam pojęcia. Nie śledzę jej losów i nie interesuję się show-biznesem.
Po powrocie do domu natychmiast chwyciłam telefon i zadzwoniłam do Burlewskiego.
- Niech mi pan poda numer do Saszy Złotego.
- Po co ci ten idiota? - zdziwił się.
- Potrzebny.
- Proszę, proszę - chrząknął znacząco. - A to ma coś wspólnego z Antonem?
- Nie, to zupełnie inna sprawa.
- Jasne - zaczął gwizdać, sprawdzając numer w notesie. - Proszę pisać. Widzę, że wykorzystujesz znajomość ze mną do swoich celów. Tak swoją drogą, każda informacja kosztuje.
W słuchawce rozległ się perlisty śmiech. Producent był w świetnym humorze. Postanowiłam mu go nieco popsuć.
- Aha, byłabym zapomniała. Nie powiedziałam milicji, skąd wiem o Monachowie.
- Rozumiem - odpowiedział. - Pieniądze są twoje. Możesz po nie przyjechać choćby zaraz.
Ucieszyłam się i jak na skrzydłach poleciałam do niego do biura.
Tym razem nie był sam. Na kanapie siedział skulony chudy chłopak w ciemnoniebieskim garniturze.
Z początku pomyślałam, że to jakiś piosenkarz albo gitarzysta, ale Fiodor radośnie objął chłopca i zakomunikował:
- Poznajcie się, proszę. To jest Antosza, a to Eulampia Andriejewna. To ona uratowała cię z opresji. Udowodniła, że jesteś niewinny.
- Dziękuję - wymamrotał młodzieniec.
Dzisiaj wyglądał zupełnie inaczej, niż wtedy na komisariacie. Był dokładnie ogolony, uczesany i nie miał krwi na wargach. Nic dziwnego, że nie od razu go rozpoznałam.
- Za dziękuję nic się nie kupuje - zauważył Fiodor i położył na stole kopertę. - Proszę bardzo. Dokładnie przeliczone. Dotrzymuję słowa, a w zamian liczę na pani lojalność.

Schowałam honorarium do torebki i oddałam Burlewskiemu pager.
Ciekawe, raz zwraca się do mnie na „ty", raz na „pani".
- Aha - mówił dalej - bardzo mi pomogłaś. Załatwiłaś sprawę szybko, sprawnie i z pełnym profesjonalizmem. Zostaw mi swój numer telefonu. Jeśli ktoś ze znajomych będzie szukał prywatnego detektywa, to cię polecę. I pamiętaj, jeśli powołają się na mnie, to przyjmuj zlecenie bez chwili zastanowienia. Ode mnie będą tylko i wyłącznie zamożni klienci.
Poczułam się, jakbym była w siódmym niebie. Nie dość, że zarobiłam kupę forsy, to jeszcze otrzymałam masę komplementów. Swoją drogą, naprawdę nieźle mi poszło. Nadaję się na prywatnego detektywa. Dlaczego nie miałabym się tym zająć na stałe?
Trzeba będzie zapytać Kostina, jak uzyskać licencję.
- No to jak, podasz mi numer telefonu? - ponaglił Fiodor.
Szybko mu go podyktowałam.
Spojrzał na mnie jakoś dziwnie, zerknął do notatnika, po czym zapytał:
- To na pewno twój numer?
Byłam zdziwiona jego reakcją.
- Tak, oczywiście.
- To podaj jeszcze adres.
Dałam mu wszystkie namiary.
Zapisał nazwę ulicy, numer domu i wymamrotał pod nosem:
- Ale.
- Co „ale"? - zapytałam, wsuwając kopertę głęboko do torebki.
- Nie, nic - chrząknął zakłopotany - Dzielnica nie należy do prestiżowych.
- Bez przesady - byłam szczerze zaskoczona. Co za różnica, gdzie mieszka najemna siła robocza?

Rozdział 23

Do domu wróciłam wprost wniebowzięta.
Nie, dzisiaj nikomu nie opowiem o kasiurce jaką udało mi się zarobić dzięki swojemu intelektowi.
Podłożę kopertę pod choinkę. A to się wszyscy zdziwią!
Jak na skrzydłach pobiegłam do telefonu i zadzwoniłam do Pisiemskiego.
- Panie Olegu Jakowlewiczu, niech się pan nie martwi. Teraz jestem już niemal całkowicie pewna, gdzie przebywa pańska żona.
- Daj Boże, żeby to była prawda - powiedział przygnębiony „król naftowy".
- Myślę, że sylwestra spędzicie we dwoje - postanowiłam podtrzymać go na duchu.
- Sądzi pani, że.
- Na razie nie mogę zdradzić nic więcej.
- Dobrze, dobrze - odparł uradowanym głosem. - Wobec tego czekam na wieści.
Odłożyłam słuchawkę.
No, ździebko przesadziłam z tym optymizmem, ale dziś jest taki dzień, że niech i on ma dobry nastrój. Należy mu się.
Tatiana najprawdopodobniej jest u Saszy Złotego.
Za pieniądze otrzymane od Olega spróbuję ją namówić, żeby chociaż z nim porozmawiała, jeśli już nie chce do niego wracać.
Jedyne, co w tej całej historii nadal mnie męczyło, to to, w jaki sposób Tatiana zmieniła się w Ksienę? I gdzie się podziała prawdziwa Fiedina?
Radośnie nucąc pod nosem, zabrałam się do pakowania naszego dobytku. Upychałam w skrzynki po karmie dla psów wszystko, co trafiało mi pod rękę.
W końcu nie ma sensu pakowanie każdej rzeczy z osobna.
Naczynia to co innego.
Natomiast książkom i ciuchom nic nie będzie, jeśli pojadą razem.
Trzeba tylko wziąć nieco większe kartony.

Główna biblioteczka mieściła się u Kati w pokoju.
Książki były poupychane tak ciasno, że musiałam się sporo namęczyć, zanim wyciągnęłam pierwszy tom: Słownik środków leczniczych. Obok stały: Anatomia, Operacyjne leczenie raka tarczycy i Chirurgia w kilku tomach.
Odruchowo zaczęłam kartkować drugi z nich i poczułam dreszcze na plecach. Co za okropieństwo!
Czego jak czego, ale rozkrajać żywego człowieka i grzebać w jego wnętrznościach nie dałabym rady.
A Katia robi to z pasją.
Często nas przeraża swoim zachowaniem, kiedy przy jedzeniu otwiera grube czasopismo „Dziennik chirurgiczny" i mruczy:
- Wspaniałe. Świetnie przemyślane.
Pewnego razu nie wytrzymałam i zapytałam:
- Co tam może być takiego fascynującego?
- W przypadku - z zapałem podjęła się wyjaśniania Katia -rozległego uszkodzenia odbytnicy należy.
- Wystarczy, wystarczy! - pośpiesznie jej przerwałam. - Nie kończ. Już mi niedobrze!
Nie dalej jak miesiąc temu mieliśmy gości. Odwiedziło nas miłe małżeństwo, mieszkające po sąsiedzku. Kupiłam mięso wieprzowe. Delikatne i soczyste podgardle.
Zapiekłam je w folii i, kiedy wyciągnęłam z piekarnika, po całym domu rozniósł się cudowny aromat.
I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie trudności w rozkrojeniu potrawy. Przeszkadzały w tym kości.
- Kurde - powiedziała Julia, wymachując nożem. - Nie mogę dojść do mięsa. Z której strony się do tego zabrać?
- Oddaj nóż mamie - poradził Sierioża z ironicznym uśmieszkiem. -To jej praca. Zna się na tym jak nikt inny. Podgardle, co prawda, wieprzowe.
- Faktycznie - ożywiła się Katia, z zapałem chwytając tasak. - Lepiej ja to zrobię. Tak naprawdę to żadna filozofia. Tu przechodzi stos pacierzowy, tam jest żyła, a obok krtań. Zaraz podważymy i rozetniemy!
Nie wiem, jak goście, ale ja momentalnie straciłam apetyt na pyszną wieprzowinkę. Poczułam się jak kanibal.
Po spakowaniu literatury medycznej przerzuciłam się na mniejszy kaliber, a mianowicie za kryminały.

Od tej katorżniczej pracy łupało mnie w krzyżu, a ręce miałam całe w kurzu. Żeby było mi raźniej, włączyłam telewizor.
Z ekranu popłynęła idiotyczna piosenka:
„Kochasz mnie, kochasz, kochasz, lecz wkrótce porzucisz, rzucisz, rzucisz."
Słowa banalne, ale muzyka rytmiczna i nogi same zaczęły się poruszać do rytmu. Po chwili nuciłam już na całego: „Znajdę, znajdę Ksiuszę, znajdę, znajdę Taniuszę".
Szybko pakowałam książki, kołysząc się do taktu.
Nagle rześka melodia się skończyła i wypacykowana dziewoja z oszałamiająco zielonymi włosami zaświergotała:
- A teraz hit sezonu! Absolutnie nowy teledysk! Przed wami Sasza Złoty!
Na ekranie zaczął skakać chłopak w obcisłych spodniach ze złotymi nitkami. Jego chude, krótkie nóżki szybko się poruszały, a ogromne buty na dwunastocentymetrowej platformie energicznie tupały.
Zaczęłam uważnie obserwować jego ruchy.
Nieźle mu szło!
W takich pantofelkach trudno zrobić krok, a co tu dopiero mówić o podobnych wygibasach. Ale Sasza nie odczuwał najmniejszego dyskomfortu.
Zamiast koszuli miał na sobie coś w rodzaju sieci rybackiej. Gęste, kręcone włosy opadały mu na twarz cienkimi kosmykami. Na rękach miał różnokolorowe tatuaże. Wiek piosenkarza pozostawał zagadką -równie dobrze mógł mieć siedemnaście, jak i czterdzieści lat.
Miał młodzieńczą figurę. Ani śladu brzuszka czy łysiny. Był doskonale zbudowany, pięknie umięśniony. Zdradzały go jedynie zmarszczki na szyi i lekko obwisły podbródek. Musiał być po trzydziestce.
Mignęły po raz ostatni światła i teledysk się skończył.
Na ekranie znów pojawiła się prezenterka.
- A teraz, ziomale - zapiszczała - wielki czad! Jak myślicie, kto wskoczył do naszego studia? Sasza Złoty i jego zespół „Robin Bobin"! Zabawa w dechę! Sasza Złoty!
Kudłaty muzyk zaczął mówić, robiąc przy tym głupie miny.
Odwróciłam się w stronę półek.
Nieźle śpiewał. Bez wątpienia miał głos, a to jest naprawdę rzadko spotykane na dzisiejszej scenie. Oprócz głosu miał też dobry słuch.
Jako była harfistka często słyszę, jak jakaś tam Masza Mań zapamiętale wyśpiewuje przy akompaniamencie orkiestry, trafiając

„między dźwięki”.
Ale większości ludzi to nie przeszkadza. Nie znają się na muzyce i nie słyszą, że ktoś fałszuje. Są w pełni zadowoleni: bębenek gra, Masza tańczy. Czego trzeba więcej do szczęścia?
Sasza z poważną miną plótł bzdury ochrypłym głosem.
Nie lubię reklam, ale co do jednego zgadzam się z producentem gumy dożucia „Stimorol”: czasem lepiej jest sobie pożuć, niż kłapać dziobem. Złoty wyraźnie nie urodził się Cyceronem.
Jego mowę co rusz przerywało gardłowe: „y-y-y”.
Jak ja tego nie znoszę! Poza tym drażnią mnie osoby nadużywające idiotycznego młodzieżowego slangu.
Program rozzłościł mnie na dobre i już zamierzałam przełączyć na inny kanał, kiedy nagle Sasza wychrypiał:
- Ziomale, mamy tu nową piosenkarkę! Młodą, piękną i okropnie utalentowaną! Na razie ma na swoim koncie tylko jedną piosenkę, ale zapewniam was, że niedługo będziecie się zabijać o bilety na jej koncerty! Wkrótce pykniemy album! Przed wami, kumple, Tatiana Mitiepasz!
Agata Christie wyleciała mi z rąk.
Kamera przeniosła się z Saszy na twarz chudziutkiej dziewczyny o ostro zakończonym nosie.
Zobaczyłam jasne włosy z różnokolorowymi pasemkami: zielonymi, żółtymi i różowymi. Na policzkach miała buraczany róż. Zza tony tuszu nie było widać jej oczu.
A ubranie!
Miałam wrażenie, że wciągnęła na siebie gigantyczną prezerwatywę.
- Daj czadu, Tania! - zachęcił ją Złoty.
Mitiepasz chwyciła mikrofon i zaczęła śpiewać.
O, w mordę! Nie do wiary! Miała wspaniały, silny głos. Piersiowy kontralt. Nie to, co poszeptywanie Kristiny Orbakajte. Rzeczywiście rokuje nadzieje na przyszłość. Może zrobić świetną karierę. Jednak nie czas teraz na rozmyślania o jej zawodowej przyszłości. Grunt, że wiem, gdzie jest.
Fakt faktem, nie jest zbyt podobna do dziewczyny z fotografii, która leży u mnie w torebce. Ale to pewnie kwestia makijażu. Na zdjęciu nie jest umalowana i ma niewyszukaną fryzurę. A tu ma na twarzy dobrych kilka kilogramów charakteryzacji.
Depcząc porozrzucane wszędzie książki, dotarłam do telefonu.
Przez długi czas nikt nie odbierał. Kiedy zamierzałam już

zrezygnować, usłyszałam zaspany głos:
- Kto dzwoni? Co się stało?
- Dostałam pana numer od Fiodora Burlewskiego.
- Słucham - rozmówca momentalnie oprzytomniał. - Słucham uważnie.
- Jestem pełnomocnikiem pana Burlewskiego. Chciałabym omówić pewne kwestie z Saszą Złotym.
- Niech pani przyjedzie o ósmej wieczorem. Odpowiada pani ta pora?
- Raczej tak. Proszę podać adres.
- Ulica Nikołajewska 18 - odparł czystym głosem bez najmniejszego śladu chrypki. - Tylko proszę się nie spóźnić. O jedenastej mamy występ w klubie.
- Dobrze, już biegnę! - wykrzyknęłam, odłożyłam słuchawkę i pędem rzuciłam się do wyj ścia.
Po drodze otworzyłam drzwi do sypialni Walentyny i, widząc, że znów leży w łóżku, poobkładana czekoladkami, książkami i pomarańczami, powiedziałam głośno:
- Tina, idź do pokoju Kati i ułóż książki!
- Dobrze - wymamrotała, przeciągając się. - Ale trochę później.
- Nie - nalegałam, wkładając kurtkę. - Teraz!
- A gdzie jest Katia? - zainteresowała się, łamiąc kolejną czekoladkę.
- Na dyżurze. Wróci jutro.
- A dzieci?
- Sierioża z Julią poszli do kogoś w odwiedziny. Wzięli ze sobą Kiriuszkę. Mają zamiar posiedzieć tam do późna. Weź się do pracy.
Wrócę za dwie godziny i sprawdzę, jak ci poszło - uprzedziłam, wyskakując na klatkę schodową. - Jak będziesz leżeć, to będzie z tobą źle!
- Dobrze, już dobrze - powiedziała z beznadzieją w głosie, odkładając kolejne romansidło. - Przecież słyszę. Chwila. Moment.
Co za obibok!
Szkoda mi było czasu na czekanie na windę. Pobiegłam schodami.
Dom na Nikołajewskiej był pokryty ze wszystkich stron wyznaniami fanek.
„Złoty- uwielbiam cię!", „Sasza - jesteś miłością mojego życia", „Na zawsze z tobą. Zapomnieć o całym świecie".
Były i prostsze napisy: „Sasza jesteś super", „The Beatles -beznadzieja, Sasza - geniusz" i jeden jakiś dziwny „Spartakus mistrzem".

Metalowe drzwi ozdabiał wielki panoramiczny wizjer.
Zadzwoniłam.
Po sygnale w środku mignął cień, a zaraz potem dobiegło z góry:
- Kto tam?
- Do Saszy Złotego od Fiodora Burlewskiego.
Rozległ się brzdęk i drzwi stanęły otworem.
Na progu ujrzałam krótko ostrzyżonego blondyna w wieku około trzydziestu pięciu lat. Potężny tors obciskał czarny podkoszulek-bezrękawnik. Wyglądał niczym Van Damme u szczytu swojej kariery. Pewnie całe dnie spędza na siłowni. Tylko ze wzrostem się mu nie poszczęściło.
Był wyższy ode mnie zaledwie o 5-6 centymetrów, a przecież nie dociągnęłam nawet do metra sześćdziesięciu.
- Proszę wejść - zaprosił mnie do środka. -Tutaj, do studia.
Poszłam za nim do dużego pokoju, zastawionego instrumentami muzycznymi.
Fortepian, perkusja, flet, obok dwie gitary elektryczne. A przy oknie harfa.
Spojrzałam na nią jak na starą przyjaciółkę i uśmiechnęłam się do siebie: „O rany, ktoś jeszcze na tym gra!".
- O czym będziemy rozmawiali? - zainteresował się blondyn.
- Wolałabym osobiście z Sasza - odparłam. - Sprawa jest delikatnej natury.
- Słucham panią - powiedział.
- To pan? - nie potrafiłam ukryć zdziwienia.
- Na to wygląda - odpowiedział. - Przynajmniej tak mi się zawsze wydawało. Chociaż może istnieje jeszcze ktoś inny o tym samym nazwisku.
Jego oczy szczerze się śmiały.
- A gdzie pańskie włosy?
- Peruka.
- A tatuaże?
- Kalkomania.
- Ale przecież głos! - nie dawałam za wygraną. - Sasza rzęzi, jakby miał zapalenie krtani.
- O Chryste - westchnął - jak na pełnomocnika pana Burlewskiego jest pani zbyt naiwna. To chwyt sceniczny. Image. Maska, którą ściąga się po powrocie do domu. Tak na marginesie, głosem biorę wszystkie oktawy. Ukończyłem Petersburskie Konserwatorium.

- I śpiewa pan takie dziadostwo?
- Droga pani - pobłażliwie wycedził przez zęby - proszę wymienić znanych śpiewaków operowych.
Z zapałem zaczęłam wyliczać nazwiska.
- A niech mnie! Co za rozeznanie. Jestem pod wrażeniem -uśmiechnął się. - Ale wymieniła pani samych cudzoziemców. Na naszej scenie ciężko jest zaistnieć. Estrada jest najkrótszą drogą do sukcesu. Ale przecież nie przyszła tu pani, aby o tym dyskutować?
Zauważyłam, że mówi płynnie i starannie dobiera słownictwo. A co najważniejsze, nie robi błędów i nie używa idiotycznego młodzieżowego żargonu.
- Występuje z panem piosenkarka - Tatiana Mitiepasz.
Sasza zrobił posępną minę.
- No i co z tego?
- Muszę z nią porozmawiać.
Niespodziewanie warknął:
- Nie ma mowy! Żadnych rozmów z Tanią.
- Dlaczego?
- Jest zła na ojca i nie chce mieć z nim nic wspólnego.
- To dla mnie bardzo ważne!
- Nie!
- Proszę mi wierzyć, chodzi o poważną sprawę. To kwestia.
- Nawet, jeśli życia i śmierci - chrząknął - nie zmienię zdania. Powiedziałem nie, a to znaczy właśnie nie!
Westchnęłam i rzekłam:
- No dobrze. Skłamałam. Przepraszam. Nie mam nic wspólnego z Burlewskim i nie pracuję dla niego.
- Ach tak - Sasza uniósł brwi. - Więc kim pani jest?
- Detektywem, którego wynajął mąż Ksieni Fiedinej, to znaczy, tak naprawdę nie Ksieni Fiedinej, tylko Tatiany Mitiepasz. Tania uciekła od męża.
Sasza cmoknął językiem i wyciągnął rękę w stronę telefonu.
Przestraszyłam się i prędko dodałam:
- Oleg Jakowlewicz nie ma zamiaru zmuszać Tani-Ksieni, żeby do niego wróciła. Chce się po prostu upewnić, że wszystko z nią w porządku. Niech dziewczyna się z nim spotka i porozmawia. Dogadają się jakoś i rozwiodą bez zbędnych kłótni. A potem niech sobie hula do woli.
Sasza wykonał krótki telefon.

- Wracaj natychmiast do domu!
Następnie spojrzał na stół i burknął pod nosem:
- Proszę tu posiedzieć, a ja pójdę zrobić kawę.
- Niech pan nie robi sobie kłopotu - spróbowałam się sprzeciwić.
- To żaden kłopot, a rozmowa będzie długa - uciął i wyszedł.
Pochodziłam przez chwilę po pokoju i wreszcie podeszłam do harfy.
Dawno temu, w poprzednim życiu nienawidziłam tego instrumentu. Nie mogłam na niego patrzeć. Jednak mama uważała, że lepszego zawodu dla kobiety, niż bycie harfistką, po prostu nie ma i przykuła mnie do harfy. Pan Bóg nie obdarzył mnie talentem. Grałam mechanicznie. Odtwórcze. Nie potrafiłam włożyć w swoją grę duszy ani zjednoczyć się z instrumentem. Gra nie sprawiała mi przyjemności. Nie czułam natchnienia.
Trzeba przyznać, że pod względem technicznym potrafiłam doskonale wykonać każdy utwór. Jednak technika to nie wszystko.
Najlepsi wykonawcy potwierdzą, że po wyjściu na scenę ogarnia ich osobliwy stan. Wpadają w coś w rodzaju transu. Nie czują rąk. Muzyka płynie sama z siebie. Ja czegoś takiego nigdy nie czułam. Po kilku latach koncertowania stwierdziłam, że harfa jest wstrętna i przestałam występować. Przez długie lata nie zbliżałam się do znienawidzonego instrumentu. Jednak w końcu okoliczności zmusiły mnie do wyciągnięcia go z pokrowca.
Zagrałam u Kiriuszki w szkole.
Od tamtej pory nie chowam już w swojej duszy nienawiści do harfy. Żal mi jedynie tak głupio zmarnowanej młodości.
Przysunęłam ławeczkę i położyłam dłonie na struny. Spod palców wydobyły się czyste dźwięki. Po raz pierwszy grałam dla własnej przyjemności.
Nagle za plecami usłyszałam skrzypnięcie.
Opuściłam ręce.
Sasza wtoczył do pokoju stolik na kółkach.
- Saint-Saens - powiedział. - Cudownie pani gra. Może warto byłoby zająć się muzyką?
- Nie w tym życiu - powiedziałam przygnębiona.
W tym samym momencie rozległ się stuk drzwi wejściowych i wesoły, wiosenny głos powiedział:
- Po co taki pośpiech? Pędziłam jak głupia.
Do pokoju szybkim krokiem weszła dziewczyna.
Zamarłam na jej widok.

Jasnoblond włosy, podłużna twarz, lekko wypukłe oczy, ostro zakończony nos. Trochę podobna do tej ze zdjęcia, ale tylko trochę. Na fotografii, wprawdzie niezbyt udanej, widać było szlacheckie pochodzenie, a nawet pewnego rodzaju arystokratyzm.
A tu przede mną stała zwykła wiejska dziewczyna.
- Czy pani Tatiana Mitiepasz?
- Tak.
- W takim razie chodźmy do pani męża.
- Do kogo? - zrobiła zdziwioną minę. - Nigdy nie byłam zamężna.
- Zgadza się - potwierdziłam. - Tatiana Mitiepasz nie brała ślubu. Na ślubnym kobiercu stanęła Ksienia Fiedina.
Zmieszana dziewczyna zerknęła na Saszę.
Ten wzruszył ramionami i rzekł:
- No cóż, nie ma rady. Widzisz, co się narobiło. Przyznaj się. Potem będziemy się martwić, co dalej zrobić z tym fantem.
Piosenkarka opadła na kanapę, rozstawiła szeroko nogi i cicho powiedziała:
- Nie jestem Tatianą Mitiepasz.
- W takim razie, kim pani jest?
- Jestem Ksienia Fiedina!
- O żesz ty! - wyrwało mi się.
- Tak. Dobrze powiedziane - westchnął Złoty. - O żesz ty!

Rozdział 24

Sasza przyniósł dobry koniak, prawdziwy „Camus".
Żeby doprowadzić nerwy do ładu, chlapnęliśmy sobie po kieliszku.
Ksienia wyciągnęła papierosy i po pokoju rozszedł się szary dym.
- Gdzie jest Tatiana Mitiepasz? - zapytałam cicho.
- Nie mam pojęcia - odpowiedziała równie cicho. - Nigdy więcej jej nie spotkałam.
- Słuchaj - przerwał jej Sasza - opowiedz wszystko po kolei. Od początku. Chyba że ja mam zacząć od końca.
Życie gwiazdy wydaje się boskie. Tłumy wielbicieli, naręcza kwiatów, milion oklaskujących fanów, nieprawdopodobne honoraria, limuzyny i kolacje z szampanem. Jednak to wszystko nie przychodzi z dnia na dzień. Zanim artysta zaistnieje na scenie, musi najpierw tułać się po miastach i wsiach, dając koncerty nie zawsze życzliwie nastawionej publiczności.
Mało kto zna tę drugą stronę estrady: pokój w podrzędnym motelu, karaluchy na parapecie, ubikacja na korytarzu, na kolację puree „Knorr" z paczki, chroniczny brak pieniędzy, niestroniący od alkoholu muzycy, z których każdy uważa się za Johna Lennona, zimne charakteryzatornie, wyboiste drogi, lotniska, pociągi i nieustanne uczucie zmęczenia, przechodzące w stan odrętwienia.
Ale nikogo nie obchodzi to, w jakim jesteś stanie. Ani fizycznym, ani psychicznym.
Podjąłeś się, to śpiewaj, a jak ci nie odpowiada, to droga wolna.
Przy całym swoim blasku i przepychu świat show-biznesu jest okrutny. Żeby przeżyć, trzeba się rozpychać łokciami, gryźć, drapać i mieć końskie zdrowie. Na dodatek na sam szczyt docierają tylko nieliczni.
Pozostała masa daje koncerty w prowincjonalnych miasteczkach, rozpaczliwie marząc o karierze. Czasem można się szybko wybić, ale to kosztuje. Nie ma nic za darmo.
Najszybsza droga do zrobienia kariery prowadzi przez łóżko. Ale o wpływowego producenta, który skusi się na wdzięki młodej panny, wcale nie tak łatwo. Zbyt wiele dziewcząt o tym śni.

Sasza Złoty doświadczył wszystkich uroków życia początkującego piosenkarza. Dopiero w wieku trzydziestu lat zdołał zdobyć jakąś tam sławę.
Pieczę nad nim sprawował Rodion Ogonów, jeden z lepszych producentów, który dzięki wkładom finansowym zdobył pewną pozycję na rynku.
Sasza okazał się świetnym materiałem na gwiazdę: nie pił, nie zażywał narkotyków, za to pracował jak wściekły, nie kaprysił, dawał z siebie wszystko, nie był zbyt wyniosły i miał muzyczne wykształcenie.
Ostatni fakt o tyle rzadki, że nikogo z podobnym wyczynem prócz Magomajewa* i Gradskiego** nie da się chyba wymienić.
W końcu praca przyniosła widoczne efekty - Złotego zaczęto pokazywać w telewizji.
I wtedy właśnie zwrócił się do niego o pomoc Burlewski.
Proszę sobie wyobrazić, że wczesnym rankiem dzwoni do was prezydent i prosi o niewielką przysługę.
Tak właśnie Sasza odebrał telefon Fiodora.
Wszechmocny, wszechwładny Burlewski zaproponował pewną wymianę.
Sasza weźmie do swojego chórku jego córkę, a ten w zamian zatroszczy się, żeby gazeta „Moskiewski Komsomołce" umieściła płytę Złotego w trójce najlepiej się sprzedających w tym miesiącu.
Oprócz tego wylansuje nową piosenkę Saszy w audycji „Tabor Muzyczny".
Za takie perspektywy Złoty był gotów myć dziewczynie nogi.
Tatiana przyszła następnego dnia. Była totalnym beztalenciem, ale Saszy to nie przeszkadzało.
Postawił ją w dużej odległości od mikrofonu i przytłumił dźwięk. Mogła sobie fałszować do woli, byleby otwierała usta w odpowiednim momencie.Po trzech koncertach bogatej córeczce znudziło się stanie na scenie. Natomiast wpadł jej w oko Złoty. Sasza w mig zawrócił jej w głowie.Szczerze mówiąc, miał w tym swój ukryty cel. Sądził, że kochający ojczulek pomoże adoratorowi córki. Jednak się pomylił i niebawem się

** Muslim Magomajew (1942-2008) - azerski śpiewak operowy (baryton) i popularny w latach 60 i 70. (przyp.tłum.)*
*** Aleksander Gradski (ur.1949) - rosyjski wokalista, gitarzysta i kompozytor. (przyp.tłum.)*

O tym przekonał.
Tania była nieślubną córką i Burlewski, mimo że załatwiał jej coraz to nową pracę, tak naprawdę za nią nie przepadał i nie zamierzał pomagać jej fagasom.
Wcześniej Tatiana pracowała w innych zespołach, ale ze wszystkich odeszła z wielkim hukiem.
Kiedy Sasza zorientował się w sytuacji, przestał się z nią zadawać i wkrótce zupełnie się jej pozbył, oddając ją do grupy „Blask" i Tatiana przez parę miesięcy urządzała mu awantury. Przyjeżdżała do niego do domu. Waliła pięściami w drzwi. Wrzeszczała, przeklinała. A potem nagle się uspokoiła i zniknęła mu z oczu.
Mijały miesiące.
Złoty osiągnął sukces. Był sławny. Jego albumy zajmowały najwyższe miejsca we wszystkich rankingach. I to bez żadnej protekcji. Nie musiał się płaszczyć przed Burlewskim. Znał swoją wartość.
Pewnego dnia przyjechał do domu około trzeciej nad ranem i, wysiadając z jeepa, zauważył obok klatki chudą kobiecą postać. Nie było w tym nic dziwnego. Fanki często na niego czyhały. Wyciągnął ze schowka swoją nową płytę.
Dziewczyna tak długo na niego czekała, że zasługiwała na nagrodę.
- Z autografem? - uśmiechnął się, spoglądając na jej bladą, wyczerpaną twarz.
- Nie, dziękuję - odparła. - Nie potrzebuję płyty.
- Nie? - zdumiał się Sasza. -To czego w takim razie chcesz? Plakat? Buziaka?
- Nie - zaprzeczyła. - Nazywam się Tatiana Mitiepasz i marzę o śpiewaniu w pana zespole. Tak na marginesie, jestem córką znanego producenta - pana Burlewskiego.
Sasza chrząknął.
Ta biednie ubrana dziewczyna ani trochę nie przypominała Tani. Jedyne, co je łączyło, to jasna cera i błękitne oczy.
- A to ciekawe - mruknął. - A co, tata nie załatwi ci roboty? Niech wykona odpowiedni telefon. Pociągnie za sznurki.
- Jestem jego córką z pierwszego małżeństwa - tłumaczyła spokojnie pseudo-Mitiepasz. - Macocha nastawia ojca przeciwko mnie.
- Aha - uśmiechnął się kpiąco.
Sytuacja wydawała mu się nawet zabawna. Dziewczyna wyraźnie nie wiedziała o jego romansie z Tanią i była bardzo pewna siebie.
- Umiesz śpiewać? - zapytał. -Znasz się na nutach?

Dziewczyna się roześmiała.
- Pewnie, że umiem.
Złoty okręcał na palcu breloczek z kluczami.
- A dlaczego akurat ja, a nie Lonia Ragozin albo Karina?
- Są beznadziejni, a pan jest genialny - odpowiedziała z pełną powagą.
Czy znajdzie się na świecie chociażby jeden artysta wątpiący w swój geniusz? Z pewnością nie. Sasza nie stanowił wyjątku. Uważał się za szalenie utalentowanego.
Dziewczyna z miejsca mu się spodobała.
Obrzucił ją uważnym spojrzeniem i doszedł do wniosku, że jest całkiem całkiem: niezła figura, długie nogi i dosyć ładna twarz.
Tej nocy piosenkarz nie miał zaplanowanej żadnej randki, powiedział więc:
- No to wejdź, Tatiano Mitiepasz! Zobaczymy, co potrafisz!
W domu zasiadł do fortepianu i zapytał:
- Co mi zaprezentujesz?
Dziewczyna szybko odpowiedziała:
- Raz jeszcze mnie pokochaj.
Złoty z trudem zachował powagę i zagrał swój szlagier.
Dziewczyna otworzyła usta i.
Sasza omal nie spadł ze stołka. Jak ona śpiewała! Miała cudowny, mocny, czysty głos.
Kiedy skończyła, zapytał:
- A co powiesz na Sen we dwoje? Dasz radę?
- Znam cały repertuar - odpowiedziała.
Śpiewali niemal do rana.
Sasza szybko się zorientował, że wpadł mu w ręce istny skarb. Brylant, a raczej nieoszlifowany diament.
Gdzieś około siódmej dowiedział się, że Tania nie zna się na nutach i nie umie grać na fortepianie. Nie mógł się powstrzymać i zapytał:
- Dlaczego tata nie zapisał cię do szkoły muzycznej?
- Mieszkałam z mamą. W innym mieście - pośpieszyła z odpowiedzią.
- Nie miałyśmy pieniędzy, dlatego nie poszłam się uczyć.
Saszy sprzykrzyły się już te wygłupy i dość ostro zareagował:
- No dobra, skończ już strugać z siebie wariatkę. Doskonale znam prawdziwą Tanie Mitiepasz. Byliśmy razem przez jakiś czas. Gadaj mi tu, ale szybko, kim jesteś?
Dziewczyna zbladła.
Oczy zaczęły jej biegać w różne strony.

- No mów! - zażądał. - Dlaczego podałaś się za Tanię? Przecież to czysta głupota! Wszyscy w branży ją doskonale znają.
Dziewczyna zaczęła szlochać. Zrobiło jej się słabo i zemdlała.
Przestraszony chłopak pobiegł do kuchni, przyniósł wodę i zaczął ją cucić, ochlapując i klepiąc po policzkach.
Wreszcie odzyskała przytomność, otworzyła oczy i spojrzała mu prosto w twarz tymi swoimi ogromnymi, dziecięcymi oczami.
- Teraz mnie pan wyrzuci - wyszeptała.
Złoty poczuł lekkie ukłucie w sercu i nagle dotarło do niego, że właśnie wydarzyło się coś niesamowitego. On, trzykrotny rozwodnik, po prostu się zakochał! Od pierwszego wejrzenia!
Tak, jak to opisują w babskich książkach: „Spojrzał na nią i zrozumiał, że nie będzie w stanie się z nią rozstać. Z kobietą-marzeniem. Zrobi wszystko, żeby być obok niej i obsypywać kwiatami".
Niegdyś umierał ze śmiechu, czytając takie teksty, a teraz, nie wiedzieć dlaczego, sam czuł się podobnie. Był pewien, że nie przeżyje rozstania. Zrobi wszystko, żeby została. Jednym słowem, wpadł po uszy!
- Nie gadaj głupot - warknął.
Był sam na siebie zły za nadmierną wrażliwość.
- Nikt nie zamierza cię stąd wyrzucać. Gadaj szybko, skąd się tu wzięłaś, śpiewaczko!
Najbardziej obawiał się, że zaraz chwyci dziewczynę w ramiona i zacznie całować. Przez to zdenerwował się jeszcze bardziej i krzyknął:
- No gadaj, migiem!
Oszustka cicho zapłakała. Duże, niczym grochy, łzy spływały jej po policzkach. W pośpiechu zaczęła opowiadać.
Usiadła na podłodze, Sasza ulokował się obok niej. I tak sobie rozmawiali, oparłszy się plecami o kanapę, nie odczuwając dochodzącego spod szpary w drzwiach zimna.
Ksiusza Fiedina, bo tak naprawdę się nazywała, przyjechała z ubogiej wioski - Sielichowa.
Dostała się na uczelnię, ale nie miała za co żyć i omal nie umarła z głodu. Najęła się u bogatej koleżanki z roku, Wiki Popowej, i usługiwała jej całymi dniami. Skutek był tragiczny: zawaliła sesję i została wydalona z uczelni. Nie miała gdzie się podziać, więc Wika zakwaterowała ją u siebie. Tym samym dziewczyna definitywnie przekształciła się w robola. Nie miała nawet pieniędzy na pociąg.
Zrozpaczona szlochała po nocach, leżąc w korytarzu na łóżku

polowym.
Do domu nie chciała wracać, bo niby co miałaby robić w zapyziałej wiosce pośród samych pijaków.
W Moskwie mieszkał jej rodzony brat, ale już raz została wyproszona z jego domu. Była zbyt dumna, żeby ponownie prosić o pomoc. Jednak usługiwanie wyniosłej Wice stało się w końcu nie do zniesienia.
W dniu, w którym Popowa pojechała odwiedzić rodziców, Ksiusza sprzątnęła mieszkanie i, zabrawszy ze sobą pozostawioną przez gospodynię listę zakupów, udała się do sklepu.
Wychodząc z mieszkania, zauważyła palącą przy oknie dziewczynę.
Ksiusza skoczyła na targ i zaliczyła po drodze kilka sklepów. Krótko mówiąc, na zakupach spędziła blisko trzy godziny. Wróciła do domu z reklamówkami wypełnionymi po brzegi.
Na klatce nadal stała ta sama dziewczyna i paliła przy otwartym oknie.
- Czekasz na kogoś? - zapytała Ksiusza, wyjmując klucze z torebki.
- Na Lonię - rzuciła nieznajoma, kiwając głową w stronę drzwi sąsiedniego mieszkania.
- Wczoraj wyjechał z żoną na wczasy - prostodusznie powiadomiła ją Ksiusza.
Lonia był jedyną osobą w całym bloku, z którą utrzymywała kontakt.
- On jest żonaty? - zapytała dziewczyna, wciskając niedopałek w szparę w parapecie.
Ksiuszy zrobiło się jej żal, ale odpowiedziała zgodnie z prawdą:
- No. Żona ma na imię Nastia.
- Jasne - burknęła dziewczyna.
Ksiusza wniosła torby do mieszkania i zaczęła rozpakowywać zakupy. Kiedy się z nimi uporała, stwierdziła, że musi jeszcze wyrzucić śmieci. Wzięła wiadro i wyszła na klatkę schodową.
Dziewczyna nadal tam stała.
- Idź do domu - powiedziała Fiedina, wytrząsając śmieci do zsypu. -Naprawdę cię nie oszukuję. Wyjechał z żoną.
- Zrozumiałam - odpowiedziała - ale nie mam dokąd pójść. Myślałam, że przenocuję u Loni. Nie wiedziałam, że jest żonaty. Na dyskotece był sam. I dał mi swój adres. Nie rozumiem tylko, po co.
Ksiusza wyjaśniła:
- Nastia stale się z nim kłóci. O byle drobiazg. Ciągle wyprowadza się do matki.

- Jasne - westchnęła ponownie.
Ksiusza popatrzyła na nieznajomą.
„Chyba ma jeszcze gorzej niż ja" pomyślała.
- Naprawdę nie masz się gdzie podziać? - zapytała.
- Naprawdę.
- No dobra, wchodź - zaprosiła ją do środka.
Dziewczyna rzuciła się do mieszkania i, oglądając meble, zauważyła:
- Powodzi ci się. Też bym tak chciała.
- To nie moje - machnęła ręką Ksiusza i zaprowadziła gościa do kuchni.
Wkrótce wiedziały o sobie wszystko. Takie zrozumienie i bliskość może powstać jedynie między młodymi dziewczynami.
Tania, bo tak właśnie miała na imię, wyjawiła o sobie całą prawdę.
Jest córką bogatego i wpływowego producenta - Fiodora Burlewskiego. Jej matka umarła, a ojciec ożenił się po raz drugi. Macocha, jak to zwykle bywa, nienawidzi pasierbicy, zwłaszcza że ma własne dziecko. Życie Tani to koszmar. Ojciec stale w rozjazdach, a złośliwa baba morzy ją głodem, bije i wygraża, że ją zabije. Często musi szukać schronienia u znajomych. Nie ma pieniędzy, więc jada same ochłapy.
- Idź na uczelnię - poradziła jej dobra, naiwna Ksiusza. - Poproś o przydzielenie akademika. Nie będziesz od nikogo zależna. Dziewczyny u nas dopiero co mówiły, że na pedagogiczną biorą wszystkich. Nawet w listopadzie. Potrzebne jest tylko świadectwo i dowód osobisty.
- Macocha nie chce mi oddać dokumentów - Tania rozłożyła bezradnie ręce. - Dręczenie mnie sprawia jej dziką satysfakcję.
- No to niezbyt wesoło - szepnęła Ksiusza.
Posiedziały jeszcze trochę. Wypiły nawet whisky z zapasów Wiki. I wtedy Ksiusza podzieliła się z Tanią swoim najskrytszym marzeniem: ponad wszystko na świecie pragnie śpiewać. Bóg obdarzył ją wyjątkowym głosem. Alisa i Karina przy niej wysiadają. Grzech zaprzepaścić taki talent. Chciałaby zostać piosenkarką, ale nie wie, jak ma się dostać na scenę.
W tym momencie Tania niespodziewanie jej przerwała:
- Pomogę ci. Słuchaj, jesteśmy do siebie bardzo podobne. Zamieńmy się dowodami.
- Po co? - wystraszyła się Ksiusza.
- Po to - odparła - żebym ja mogła dostać się na studia na twoje nazwisko, a ty - rozpocząć karierę. Jutro pojedziesz do piosenkarza,

Baszy Złotego, i poprosisz, żeby cię przesłuchał.
- A on się niby zgodzi - westchnęła ze smutkiem Ksiusza. - Przecież to geniusz, a ja.
Tania prychnęła.
- Też mi wielki geniusz! Leci na młode dziewczyny. Będziesz miała mój dowód osobisty. Tatiana Mitiepasz jest znana w środowisku muzycznym. Sasza wie, czyją jestem córką, ale osobiście się jeszcze nie poznaliśmy. Nie zaryzykuje odprawienia z kwitkiem krewnej Burlewskiego. To twoja wielka szansa! Pisz adres i bierz dowód.
Wyłożyła na stół bordową książeczkę.
Ksiusza, zapomniawszy, że Tania jeszcze do niedawna twierdziła, że nie może odzyskać od matki dokumentów, otworzyła dowód i zerknęła na zdjęcie.
Nie były do siebie zbyt podobne, ale również jakość zdjęcia pozostawiała wiele do życzenia.
- Taka okazja zdarza się tylko raz w życiu - uśmiechnęła się Tania. -Nie zmarnuj jej!
Nieprzywykłej do spożywania alkoholu Ksiuszy pomysł przestał się wydawać niemożliwy do zrealizowania. Jutro pójdzie do Złotego. Tak, jutro, jutro.
Oparła głowę na stole i zapadła w mocny, głęboki sen.
Obudziła się około szóstej rano. Okropnie bolały ją ramiona i plecy. W ustach czuła trampek. Jakoś zdołała się wyprostować i początkowo pomyślała, że to wszystko jej się przyśniło. Jednak na brzegu stołu leżał dowód osobisty Tatiany Mitiepasz.
Jęcząc straszliwie i trzymając się za bezlitośnie rwącą głowę, Ksiusza dopełzła do komody, w której Wika trzymała pieniądze, biżuterię i dokumenty. Z miejsca odkryła brak dolarów. Doskonale wiedziała, ile ich było. Zniknęły również jej własne świadectwa i dowód osobisty. Poczuła mrowienie na plecach. Była śmiertelnie przerażona.
Nadęta, krzykliwa, bezczelna Wika za nic w świecie nie uwierzy „służącej". Oskarży ją o kradzież, zadzwoni do rodziców, a ci powiadomią milicję i wsadzą ją do więzienia. Ksiusza poczuła, że popada w obłęd.
Modląc się w duchu, żeby Wika nie wróciła pierwszym porannym pociągiem, ubrała się i wybiegła z domu. Nogi działały szybciej niż umysł. Do mózgu jeszcze nie do końca docierało, co się tak naprawdę wydarzyło. Ze zdenerwowania trzęsły się jej ręce.
„Tylko nie do więzienia - myślała, uciekając jak najdalej od domu

Wiki. - Panie, błagam, spraw, żeby mnie nie znaleźli".
Dwa dni koczowała na dworcach kolejowych. Nie miała ani grosza. Nawet nie mogła się załatwić jak człowiek, tylko latała po bramach i podwórzach. Niestety, wszystkie toalety w pobliżu były płatne.
Okropnie chciało się jej jeść. Jeszcze bardziej marzyła o kąpieli.
Pewna życzliwa kobieta dała jej dwadzieścia rubli za to, że pomogła jej donieść do taksówki ciężkie toboły.
Dziewczyna od razu rzuciła się do toalety. Obmyła się pod kranem i podjęła decyzję.
Raz kozie śmierć. Pójdzie do Saszy Złotego.
Miała co prawda pewne wątpliwości: nowa znajoma okazała się zwyczajną złodziejką, świsnęła pieniądze i tyle ją widziano. Ale przecież już i tak nie ma nic do stracenia. A nuż w tej kwestii Tania nie minęła się z prawdą i rzeczywiście jest córką wszechmocnego producenta.
Zdobyła się na odwagę i udała pod wskazany adres. Jakaż była jej radość, kiedy dotarła na miejsce i stwierdziła, że Tania podała prawdziwy adres piosenkarza. Świadczyły o tym wymowne gryzmoły na ścianach.
Tak się właśnie poznali.
Wybuchł romans.
Sasza był oczarowany dziewczyną i w rzeczywistości było mu wszystko jedno, czy jest to Ksiusza, Tania czy caryca etiopska. Dotąd nie spotkał takiej dziewczyny. Nie była w najmniejszym stopniu rozpieszczona. Byle błahostka wzbudzała w niej zachwyt. Sasza doznawał ojcowskich uczuć, kupując jej płaszcz, buty i bieliznę. Na dodatek okazało się, że dziewczyna wszystko potrafi: ugotować, wyprać, posprzątać, uszyć, robić na drutach, wyprasować. Uwijała się przy tym jak mrówka.
Złoty czuł się niczym prawdziwy pani władca, kiedy wchodził po północy do lśniącego czystością mieszkania, po którym roznosił się zapach kotletów. Nie zdążył przekręcić klucza w zamku, kiedy Ksiusza pojawiała się w progu z kapciami w rękach. Na kuchni zawsze czekała na niego gorąca kolacja.
Koniec z kanapkami i suchym prowiantem.
W podobny sposób o Saszę troszczyła się dotychczas jedynie nie żyjąca już mama.
Byłe żony: aktorka, baletnica i dziennikarka - nie zawracały sobie głowy domem. Całkowicie poświęcały się robieniu kariery.

Jednak złote ręce nie były głównym darem Ksiuszy.
Jej prawdziwy; talent stanowił rzadko spotykany, silny głos, pracowitość i zawziętość. Dziewczyna gotowa była ćwiczyć całymi dniami, ucząc się rozpoznawać nuty i zgłębiając tajniki sztuki muzycznej.
Sasza zakochał się w niej jak Pigmalion w swoim posągu.
Dopiero teraz, po upływie dwóch lat od ich pierwszego spotkania, zdecydował się pokazać ją szerokiej publiczności.
Nagrali teledysk, opłacili telewizję.
I właśnie teraz pojawiłam się ja i wyskoczyłam ze sprawą męża Ksiuszy Fiedinej.
- Ale dlaczego postanowiła pani występować jako Tatiana Mitiepasz? - wyrwało mi się. - Przecież to głupota!
Do Burlewskiego w mig dotrze wieść o sukcesie „córki". Jak to sprostuj ecie?
- Ba! - wykrzyknął Sasza. - W tym właśnie sęk! Środowisko muzyczne wie, że Burlewski ma córkę - Tanie Mitiepasz. Nazwisko rzadkie, rzucające się w uszy. Dziennikarze zaczną nas wypytywać, a my będziemy się wykręcać, nie mówiąc ani „tak", ani „nie". W prasie podniesie się wrzawa! Brukowce tylko na to czekają. Zaczną nas obsmarowywać. Nie zostawią na nas suchej nitki. Będą nam wdzięczni, bo w dzisiejszych czasach trudno o podobną sensację, a przecież gazety trzeba czymś co tydzień wypełnić. Uwielbiają to. Proszę tylko pomyśleć, „Ekspres" przez cały miesiąc rozpisywał się o palącym temacie: czy to prawda, że Karina kupiła w Tajlandii krokodyla i trzyma go teraz na daczy? Miesiąc! O fałszywej córce Burlewskiego głośno będzie we wszystkich wydaniach przez cały rok!
- Ale po co wam taki skandal? - byłam zdumiona.
- Przecież to świetna reklama - wyjaśnił. - Im częściej czyjeś imię pojawia się w kolorowych czasopismach, tym lepiej.
- Nawet jeśli jest to związane z aferą?
- Oczywiście!
- A jeśli Fiodor do was zadzwoni i zażąda wyjaśnień?
- Tatiana Mitiepasz nie jest nazwą zarejestrowaną jako znak handlowy - chrząknął. - Powiemy, że to pseudonim, i Burlewski nie będzie się miał do czego przyczepić. Mamy przecież demokrację. Za Alisę Son, Ałłę Pugaczową i Ludmiłę Zykiną nie wolno się podawać. Ich nazwiska chronione są prawem autorskim. A za Tańkę Mitiepasz -ile dusza zapragnie! W ten oto sposób będziemy mieli nadzwyczajny,

odlotowy skandal! Prawda, rybko?
Mówiąc to, objął Ksiuszę.
- A nie wiecie, gdzie się mogła podziać prawdziwa Tatiana? -zapytałam z beznadzieją w głosie.
- Nie - westchnęła Ksiusza. - Nie zwierzała mi się. Niewiele o sobie opowiedziała. To ja, głupia, naiwna, wypaplałam wszystko o Sielichowie, mamie i braciach. Nie, naprawdę nie mam pojęcia, co zamierzała.
- Bardzo proszę - rozpoczęłam - skontaktujcie się ze mną, gdybyście sobie coś przypomnieli. Obojętnie co. Albo przypadkiem spotkali panią Mitiepasz.
- Dobrze - odpowiedział Sasza, wsuwając kartkę z numerem telefonu pod filiżankę. - A pani niech nie rozpowiada o Ksiuszy. Ile mamy pani zapłacić za milczenie? Tysiąc?
Na moich ustach pojawił się mimowolny uśmiech. Ostatnimi czasy wszystkim dookoła zależy na moim milczeniu. I jeszcze chcą za to płacić. Najpierw Burlewski, teraz Złoty.
- Mało? - dopytywał się Sasza. - Dwa? Trzy?
- Nie mam w zwyczaju brać pieniędzy za nic - odparłam. - Lepiej postarajcie się dowiedzieć, gdzie jest Tania.
- Dobrze - odpowiedział. - Na pewno się postaramy.
Wyszłam na dwór i zaczęłam wpatrywać się w miarowo padające śnieżynki.
Przechodnie ogarnięci przedświątecznym podnieceniem dźwigali choinki, pudełka, worki i wypełnione po brzegi reklamówy. Tak, naszych obywateli nie tak łatwo zgładzić. Nie dostają wypłaty, ceny skaczą do góry, a oni i tak zorganizują święta. Jedni będą mieć na stole awokado nadziewane rakami, inni - kurczaka z ziemniakami, a kogoś stać będzie jedynie na sałatkę ze śledziem, ale równo o północy wystrzelą korki i otyły prezydent z trudem powie:
- Drodzy Rosj anie...
Myśli popłynęły w zupełnie innym kierunku.
Jelcyn ostatnio staje się coraz bardziej podobny do Leonida Iljicza Breżniewa, świeć Panie nad jego duszą.
Jeszcze kilka miesięcy i „drodzy Rosjanie", były naród radziecki, przypomną sobie słowa „kraje socjalistyczne", które sekretarz generalny wymawiał jak „sraje uliczne".
Obok metra kłębił się tłum.
Rozepchnąwszy rodaków, przecisnęłam się do wagonu i usiadłam w

kącie. Pociąg z trzaskiem pomknął przez ciemny tunel, co jakiś czas niebezpiecznie podrygując.
Ospali ludzie czytali gazety i podniszczone książki. Tuż przede mną kobieta w skupieniu studiowała czerwony bestseller.
Mimo woli zerknęłam jej przez ramię i natknęłam się wzrokiem na zdanie: „Prawda czai się gdzieś za rogiem. Trzeba tylko bacznie się rozejrzeć".
Świetna rada! A gdzie się rozglądać w poszukiwaniu Tatiany Mitiepasz?

Rozdział 25

Wracając do domu, przypomniałam sobie słowa Sierioży o parówkach i pierogach, które mu już zbrzydły, i postanowiłam kupić wątróbkę. Przyrządzę ją w śmietanie i podam ze smażonymi ziemniakami.

Niestety, muszę się chyba pogodzić z faktem, że nie uda mi się odnaleźć Tatiany Mitiepasz.

Moskwa jest ogromna. Dziewczyna przepadła jak kamień w wodę.

Szkoda oczywiście, że nie otrzymam od Pisiemskiego obiecanych dziesięciu tysięcy, ale i tak zarobiłam już całkiem przyzwoitą sumę. Trzeba się cieszyć z tego, co się ma.

Tłumiąc w sobie chciwość, wyszłam z windy, otwarłam zamek i.

Drzwi stawiały opór. Sprzeciwiały się ze wszystkich sił. Napierałam na nie tak długo, aż wreszcie utworzyła się szczelina, przez którą byłam wstanie się przecisnąć. Na szczęście nie jestem zbyt gruba.

Wsunęłam głowę do środka i omal nie krzyknęłam z przerażenia.

Na podłodze leżała Tina. Jej nogi opierały się o drzwi wejściowe. To dlatego nie mogłam ich do końca otworzyć.

- Tina! - zawołałam, upuszczając torby z zakupami.

Jedna z reklamówek pękła i na podłogę wypadł kawałek wątróbki.

Ale nie w głowie miałam teraz zajmowanie się jedzeniem.

- O Boże, co się stało? - lamentowałam, przeciskając się przez szparę.

- Tina, źle się czujesz?

Cisza.

Trzeba natychmiast zadzwonić do Katii.

Tina miała podobno chorą tarczycę i mógł nastąpić atak czy szok -nie pamiętam, jak się to nazywa.

A przecież całymi dniami wcinała czekoladę.

Uklękłam obok niej i poczułam, jak po moich plecach przebiegają ogromne niczym pięść ciarki.

Leżąca była ubrana w różową elastyczną bluzkę, która groźnie napinała się na imponującym biuście. Z lewej strony klatki piersiowej zauważyłam niewielki otwór i kilka kropli krwi.

Usiłując powstrzymać okrzyk przerażenia, chwyciłam słuchawkę i

zaczęłam na oślep wciskać guziki.
Dodzwoniłam się na pogotowie i do majora Kostina.
Następnie zaczęłam dmuchać Tinie w twarz.
Mopsy skuliły się u moich nóg. Rachel cicho poszczekiwała, siedząc na progu salonu.
- Cicho! - ryknęłam, czując, jak moje ciało spowija ołowiana fala zmęczenia.
Wygląda na to, że sprawy mają się tragicznie. Kula najprawdopodobniej trafiła w samo serce i cała krew pozostała wewnątrz. Tina już pewnie nie żyje. Ale kto do niej strzelał? I dlaczego? Przecież ona nie ma w stolicy żadnych znajomych, a co tu dopiero mówić o wrogach!
Nie zdążyłam jej jednak opłakać, kiedy nagle bezwładne ciało głośno westchnęło i usiadło.
- Co? Jak? - zaczęła mamrotać, kręcąc głową. - Oj, jak boli!
- Gdzie? - zapytałam głupio. - Gdzie boli?
- Tu - wyszeptała, przykładając rękę do lewej piersi. - Aj, pali!
To mówiąc, usiłowała wstać z podłogi.
- Siedź! - przestraszyłam się. - Zaraz przyjedzie lekarz.
- W głowie mi się kręci - bełkotała, cały czas próbując się podnieść. Złapała za futrynę i zaczęła wstawać. - Pójdę się położyć.
- Nie, nie chodź - gadałam bez ładu i składu. Nie wiedziałam, czy mam jej powiedzieć o kuli.
- W łóżku od razu poczuję się lepiej - przekonywała mnie.
W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi i do przedpokoju weszły dwie osoby: mężczyzna i kobieta.
- Co tu mamy? - zapytał rzeczowo lekarz, obrzucając pomieszczenie obojętnym wzrokiem.
- Ranę postrzałową lewej piersi - wypaliłam, wskazując Tinę.
- U kogo? U niej? - zdumiał się. - I stoi?
- Pewnie jest w szoku.
Doktor pociągnął nosem i upewniwszy się, że nie czuć ode mnie alkoholu, rozkazał stanowczym tonem:.
- Proszę pokazać, gdzie panią boli?
- O tu. W tym miejscu. Oj, jak piecze!
Pracownicy pogotowia dojrzeli wreszcie ranę i od razu zmienili ton. Kobieta pobiegła po nosze. Zachowując wszelkie środki ostrożności, przetransportowano Walentynę do karetki. Lekarz pozwolił mi z nimi pojechać. Ruszyliśmy na sygnale w stronę szpitala. Lekarka założyła

Tinie kroplówkę.
Wykorzystałam odpowiedni moment i szepnęłam:
- Wyjdzie z tego?
- Prawdę mówiąc - odpowiedziała mi również szeptem - nie rozumiem, dlaczego do tej pory żyje i jak to się stało, że miała siłę stać. Pierwszy raz w życiu się z czymś takim spotykam.
Pędziliśmy przez skrzyżowania, nie zważając na czerwone światła. Na dotarcie do szpitala wystarczyło nam niespełna dziesięć minut.
Dzieciństwo w większości spędziłam w łóżku. Może za bardzo się ze mną cackano, a może z natury byłam wątłego zdrowia. Jakakolwiek byłaby tego przyczyna, łapałam przeróżne choróbska. Odra, koklusz, ospa wietrzna, świnka. Ale nigdy nie leżałam w szpitalu. Dlatego nie wiedziałam, czego się spodziewać. Byłam pozytywnie zaskoczona zgraną współpracą lekarzy.
Zewsząd pozbiegali się ludzie w białych i niebieskich kitlach. Każdy zajmował się swoją działką. Jeden rozbierał Tinę, drugi robił zastrzyk, a najmłodszy, ale, najwyraźniej główny lekarz, zapytał rzeczowo:
- Co tu mamy?
- Rana postrzałowa - pośpieszyła z odpowiedzią pielęgniarka. -Ciśnienie 60 na 90, tętno 75, temperatura w normie, przytomna, stan stabilny.
- Przytomna - powtórzył lekarz i polecił: - Szybciej, krew i na operacyjną.
Już po chwili łóżko pędziło korytarzem w głąb budynku.
Pędziłam za oddalającą się Tiną dopóty, dopóki cała świta nie wbiegła przez oszklone drzwi z napisem „Blok operacyjny".
- Dalej wstęp wzbroniony - oświadczyła surowo dziewczyna w ogromnym czepku. - Proszę tu poczekać. Niech sobie pani usiądzie.
- Gdzie? - zapytałam, omiatając spojrzeniem absolutnie pusty korytarz.
- No, nie wiem - rozzłościła się. - Gdzie pani chce.
Czas okropnie mi się dłużył.
Z sali operacyjnej nie dochodził żaden dźwięk. Na zegarze, wiszącym tuż nad wejściem, obojętnie przesuwały się wskazówki. Minuta po minucie.
Wreszcie usłyszałam jakieś poruszenie, a potem głosy. Z nadzieją spojrzałam na szczelnie zamknięte drzwi. Jednak to nie spoza nich dochodziły dźwięki. Odwróciłam się.
W moją stronę zbliżali się Wołodia Kostin i Sława Samonienko.

- Co się stało? - głośniej niż należało zapytał major.
- Przyjechaliśmy do was, a tam korytarz cały w czerwonych plamach, drzwi były otwarte, a psy wypaćkane po uszy we krwi. Chyba mi nie powiesz, że mopsy zeżarły Tinę?
Sława zarżał.
Zdenerwowała mnie ta milicyjna impertynencja, dlatego może zbyt gniewnie odpowiedziałam:
- Nie było żadnej krwi, tylko maleńka dziurka z lewej strony.
- No nie wiem - westchnął Wołodia.
- Cały przedpokój jest wysmagany, jakby ranną ciągnięto po podłodze. Gdzie leżała?
- Najpierw nogami opierała się o drzwi.
- Co to znaczy - najpierw? - zdziwił się Sława. - Przesuwałaś ją, czyś ty na głowę upadła? Osoby z taką raną nie należy ruszać! To dlatego na podłodze było tyle krwi!
- Oj, Lampa, Lampa. Cała ty. Chciałaś jak najlepiej, a wyszło jak zwykle - dorzucił swoje Kostin.
Zaczęłam się bezsensownie bronić:
- Krew jest pewnie z wątroby!
- Z czego? - Wołodia zrobił groźną minę.
- Weszłam, zobaczyłam Tinę na podłodze i ze strachu upuściłam wątrobę!
- Czyją? - Sława zrobił wielkie oczy.
Spojrzałam na niego, zaskoczona pytaniem.
- Krowią, czyli wołową, a raczej cielęcą.
- Dobrze chociaż, że nie swoją - westchnął Wołodia.
- Czekaj, bo nie nadążam - przerwał mi Samonienko. - Skąd się tam wzięła wątroba?
- Ze sklepu. Kupiłam na kolację. Weszłam do domu, przestraszyłam się i upuściłam reklamówkę. Widocznie się rozerwała. A psy nie takie głupie. Zwietrzyły okazję.
- Aha. Mogłaś tak mówić od razu. A my tu już podejrzewaliśmy niewiadomo co.
Tak. Hm. Ciekawe, co można było sobie pomyśleć w takiej sytuacji? Naprawdę stwierdzili, że odpadła mi własna wątroba? Co za głupki!
- No dobra - machnął ręką Wołodia - jedno mamy z głowy. Rozumiem, że zaczęłaś przenosić bidulkę.
- Nie, nie. Sama wstała.
- Jak to - wstała?

- Zwyczajnie, na nogi. A dokładniej najpierw usiadła na tyłek, a potem się podniosła.
- Z kulą w piersi? - zakrzyknęli jednocześnie obaj mężczyźni.
Wzruszyłam ramionami.
- Oparła się o futrynę, skarżąc się na pieczenie z lewej strony. Krwi praktycznie nie było. W chwilę później przyjechała karetka.
Zapanowało milczenie. Potem Sława mruknął:
- O kurde, ale babka! Może to terminator? Ty byś, Wowka, wstał?
- Nie pleć bzdur! - zbeształ go Kostin.
W tej samej chwili szklane drzwi się otworzyły i wyszedł z nich tyczkowaty chłopak z emaliowaną rynienką.
- Pani jest od Walentyny Mamontowej? - zapytał.
- Tak - potwierdziłam. - Co z nią?
- Jestem zdumiony. Po raz pierwszy zetknąłem się z czymś takim -uśmiechnął się. - Wiele już w swoim życiu widziałem, ale czegoś podobnego - nigdy! Chce pani na pamiątkę?
Mówiąc to, podsunął mi pod nos rynienkę.
W jednej chwili zaczęłam potwornie się drzeć i odskoczyłam od niego jak oparzona.
- Co to jest? - zapytał kamiennym głosem Sława. - A pan co, panie doktorze, zwariował, żeby pokazywać nam tu jakiś amputowany organ?
- Na miejscu Mamontowej zachowałbym go na całe życie! -wyrecytował z przejęciem chirurg.
- A co tam macie, do licha ciężkiego? - oburzył się Kostin.
- Wkładkę silikonową - wyjaśnił doktor. - Swoją drogą, ma szkodliwe działanie na kobiecy organizm. Jednak w tym przypadku uratowała Mamontowej życie.
- Niech się pan wyraża jaśniej! - odezwał się ponownie Sława.
- Już mówię - rozpoczął mentorskim tonem doktor. - Niektóre kobiety są niezadowolone z rozmiaru swoich piersi. Wstydzą się, że nie mają odpowiednich krągłości. Żeby powiększyć biust, decydują się na bolesny i nie do końca bezpieczny dla organizmu zabieg wstawienia protez z silikonu. W dotyku nie różnią się niczym od naturalnych. Już prawie wszystkie babki z Hollywood z tym biegają. A nasze nie chcą być gorsze. Rozmiar może być dowolny. Nieograniczone możliwości. Kwestia wyobraźni. Mamontowa, na przykład, dała sobie wstawić dosłownie melony!
- Więc to tak - mruknął Wołodia - kula.

- Utknęła we wkładce - dokończył wesoło doktor. - Wyjęliśmy silikon i założyliśmy szwy. Pacjentka ma krwiaka, jest lekko potłuczona, ale żyje. Żeby nie chęć poprawienia natury, trafiłaby do kostnicy. To co, weźmie pani na pamiątkę?
- Nie, dziękuję - szepnęłam. - A druga pierś zostanie taka duża?
- Niech mnie pani posłucha - rozzłościł się chirurg. - My tu ratujemy ludziom życie, a nie zajmujemy się cyckami! Kiedy wróci do pełni sił, uda się na chirurgię plastyczną i.
- A może mówić? - przerwał mu Sława.
- Jutro z samego rana - oświadczył doktor. - Odwiedziny od godziny dziewiątej.
- Ale my jesteśmy z milicji - próbował oponować Samonienko.
- Możecie być nawet z biura prezydenta - chrząknął. - Ja tu rządzę. Powiedziałem jutro - znaczy jutro.
- Dobrze, niech się pan tak od razu nie gorączkuje. Nie wolno zapytać? - westchnął Sława.
- Jestem spokojny jak niemowlę - chirurg poczerwieniał ze złości.
Pociągnęłam Samonienkę za rękaw.
- Chodźmy stąd.
Noc mieliśmy bezsenną. Najpierw omawialiśmy zaistniałą sytuację, a później pakowaliśmy rzeczy. Rano, zanim zegar wybił dziesiątą,
byłam już w szpitalu, trzymając w rękach gigantyczną torbę wypełnioną sokami, owocami i wodą mineralną.
Walentynę zastałam w pozycji półleżącej. Była blada, a pod oczami miała ogromne sińce.
Na mój widok zaczęła płakać.
- Uspokój się - powiedziałam ciepło, szybko rozwijając czekoladkę.
- Lepiej zjedz sobie cukierka. Zobacz, ile ci tego wszystkiego przyniosłam! Katia przyjedzie wieczorem. Julia i Sierioża też wpadną. A przed południem zjawi się major. Pamiętasz chociaż, jak do tego doszło?
Pokiwała głową i, ciamkając i mlaszcząc, zaczęła opowiadać.
Kiedy wczoraj zatrzasnęły się za mną drzwi, poleżała jeszcze trochę w łóżku, ale potem stwierdziła, że trzeba wreszcie wstać.
Niby zamierzała zabrać się do pakowania, ale na moje oko chciała po prostu uzupełnić zapasy słodyczy. Niewielka miska stojąca przy łóżku nie jest przecież bez dna.
Najpierw chwilę pokręciła się po kuchni, następnie poszła do łazienki i wtedy właśnie rozległ się dzwonek do drzwi.

Zdając sobie sprawę, że nie powinno się od razu otwierać, zerknęła przez wizjer.
Na klatce stał młody chłopak z wielgaśnym kartonem, uśmiechając się od ucha do ucha.
Tina była jednak ostrożna, dlatego zamiast od razu otworzyć, zapytała przez drzwi:
- Pan do kogo?
- Do Eulampii Andriejewny Romanowej - odpowiedział chłopak i dodał: - Ale ta paczka jest ciężka!
Wyglądał przyzwoicie. Nie wzbudzał żadnych podejrzeń. Skrzynka była dokładnie oklejona i cała pokryta pieczęciami i kolorowymi nalepkami.
Nie wahając się ani chwili dłużej, Tina otworzyła i powiedziała:
- Proszę dać mi przesyłkę.
- Nie tak szybko - uśmiechnął się doręczyciel. - Pani Romanowa?
Nie chcąc wdawać się w szczegóły, potwierdziła:
- Tak.
- Niech ktoś przyniesie dowód osobisty, a pani w tym czasie podpisze. O tu, w tym miejscu - polecił, podając pokwitowanie.
- Proszę bardzo - odpowiedziała i nagryzmoliła na kartce: „E. Romanowa".
- A po dowód zaraz skoczę. Niech pan zaczeka. Jestem sama w domu.
- Już nie trzeba - uśmiechnął się.
Niespodziewanie jego wzrok stał się dziwnie chłodny.
Tina poczuła się nieswojo, ale mimo wszystko zapytała:
- Dlaczego?
- Już nie trzeba - powtórzył, po czym wsunął rękę pod kurtkę i wystrzelił.
Kula wyleciała bezgłośnie.
Przestępca musiał posłużyć się tłumikiem.
Dziewczyna poczuła silny wstrząs i pieczenie w lewej piersi. Przez chwilę stała oszołomiona.
Pamięta jeszcze, jak pomyślała, że trzeba uciekać, bo bandyta może wystrzelić ponownie, jednak nie zdążyła zrobić ani kroku. Nogi się pod nią ugięły. Runęła na ziemię jak kłoda i straciła przytomność.
- Nie pamiętasz, o której to mogło być?
Zaprzeczyła:
- Nie.
- Chociaż w przybliżeniu. O której wstałaś?

Spuściła wzrok.
- Po „Wiadomościach”.
- Jakich?
- Wieczornych. Tych o szóstej na pierwszym programie.
A to leń! Znowu się obijała cały dzień.
Wygląda na to, że niedoszły zabójca zdążył opuścić mieszkanie tuż przed moim powrotem. Być może nawet się mijaliśmy. Jakiś jasnowłosy dryblas o mało co by mnie przewrócił, wybiegając z klatki.
- Po co wstawiłaś sobie silikon?
Zaczerwieniła się.
- A czy to ważne?
- A diabli z tobą! Jak nie chcesz, to nie mów. I tak wiem swoje. Chciałaś się upiększyć. Ciekawe tylko, skąd wzięłaś na to kasę? Taki zabieg to droga przyjemność.
- Lampa - wyszeptała - niemów nic Katii, proszę cię. Moja najbliższa przyjaciółka z Kijowa pracuje w Klinice Chirurgii Plastycznej. Jest żoną głównego lekarza. Zrobiła mi prezent na dwudzieste piąte urodziny!
- Ale po co?
Pociągnęła nosem.
- Nie chcę zostać starą panną. Mam idiotyczną figurę: gruby tyłek i zero biustu.
- Gdybyś się tak nie opychała słodyczami, to tyłek by ci opadł!
- Lampa.
- Słucham.
- Skocz do pielęgniarek i poproś o jeszcze jedną poduszkę.
- Dobrze- zgodziłam się i powlokłam w stronę dyżurki.
Za szklaną przegrodą, obok stolika zawalonego historiami chorób, siedziała pucołowata dziewczyna i w pośpiechu wypełniała karty pacjentów.
- Przepraszam, gdzie. - rozpoczęłam.
- Proszę poczekać - przerwała mi gniewnie. - Muszę dokończyć wypisywanie zaświadczeń. Niech mi pani nie przeszkadza.
Usiadłam przy stoliku i odruchowo zerknęłam jej przez ramię.
Dużymi, kobylastymi literami wypełniała standardowy formularz.
„Niniejszym zaświadcza się, rżę A. N. Jelizarowa przebywała w szpitalu nr 1754 na leczeniu”.
Poczułam dreszcze.
Widziałam już dokument wypisany takim samym charakterem pisma

i nawet z takim samym błędem ortograficznym.
-Tak. - powiedziałam - tak.
- Co? - podniosła oczy znad kartki.
- „Że" pisze się przez samo „ż", a nie „rz"- zauważyłam.
- Jakie to teraz wszystko wykształcone - rozzłościła się i ryknęła: -Czego tu pani nade mną stoi, jak kat nad dobrą duszą? Leki uśmierzające ból wydawane są tylko na zalecenie lekarza.
- Nie przyszłam po zastrzyk przeciwbólowy.
- Basen przynosi salowa - wściekała się dziewczyna, skrobiąc długopisem po papierze - a jeżeli chodzi o pomiar ciśnienia, to musi pani zaczekać, aż skończę. Dadzą nędzną czekoladę i myślą sobie, że będę im przez cały dzień usługiwać.
Poczekałam, aż się wygada i cicho powiedziałam:
- Nie potrzebami ani zastrzyku, ani basenu, ani ciśnienia.
- No to o co chodzi? - była szczerze zdziwiona.
- Chciałabym o coś zapytać.
- O co?
- Po co wysłała pani zaświadczenie o zgonie Ksieni Fiedinej do jej krewnych?
- Pisanie podobnych dokumentów nie należy do moich obowiązków służbowych - ucięła.
- Jednak tym razem zrobiła pani wyjątek i napisała.
- Kim pani w ogóle jest?
- Major Romanowa z wydziału kryminalnego.
Dziewczyna upodobniła się kolorem do swojego fartucha i cicho wymamrotała:
- Bardzo mi miło. Mam na imię Zoja.
- Tak więc, pani Zoju - rozpoczęłam delikatnie - nie ma sensu się wypierać. Słyszała pani ortograficznej ekspertyzie pisma?
- O czym? - szepnęła z lękiem.
Westchnęłam.
A niektórzy uważają czytanie powieści kryminalnych za stratę czasu. Niemal cała moja wiedza pochodzi właśnie stamtąd.
- Wezmą próbkę pani charakteru pisma i porównają z zaświadczeniem.
- Naprawdę go nie napisałam - szła w zaparte.
- Może pani mówić, co jej się żywnie podoba - uśmiechnęłam się kpiąco - ale dla sądu opinia rzeczoznawcy stanowi dowód. Spojrzą i powiedzą: „Pani. No właśnie, jak się pani nazywa?

- Szarowa - wydukała zdrętwiałymi ze strachu wargami.
- Czyli powiedzą: „Pani Szarowa, niech pani nie kłamie".
- Wniosą przeciwko mnie oskarżenie?
- Oczywiście - potwierdziłam. - Podrabianie zaświadczeń podlega karze sądowej. Najpierw wsadzą do tymczasowego aresztu, założą sprawę i przeprowadzą śledztwo. Posiedzi sobie pani w celi z półtora roku. A zapewniam, że nie jest tam przyjemnie. Okropny zaduch, przez całą noc zapalone światło, a w toalecie bez przerwy leci woda.
- Dlaczego?
- Nie wiem, dlaczego, ale w więzieniu nie ma spłuczek.
- O matko! - aż cała się zatrzęsła. - Co ja mam biedna począć? Aresztuje mnie pani?
- Nie, jeśli powie pani, po co napisała to zaświadczenie.
- Chciałam pomóc przyjaciółce.
- Jakiej?
- Nadii Fieoktistowej.
- Co to za jedna?
- Koleżanka z grupy. Miała romans z Wadimem.
- A kto to jest Wadim?
- Mój brat.
- Niech pani opowie wszystko po kolei - rozkazałam.
- Nadia mieszka z Wadimem w naszym bloku. Ciągle przyłażą do niego różni goście. O każdej porze dnia i nocy. Nadia pracuje w jednostce sanitarnej w Ministerstwie Przemysłu Leśnego. Pracy jak na lekarstwo. Czasem tylko ktoś zajrzy, żeby sobie zmierzyć ciśnienie. A Wadim pracuje jako kierowca. W dzień odsypia, a w nocy baluje. Nie są szkodliwi, tylko trochę hałaśliwi. Pewnego razu Nadia poprosiła Zoję, żeby napisała zaświadczenie o śmierci Ksieni Fiedinej.
- Nie mogę - pokręciła głową Szarowa. - Takie rzeczy podpisuje oddziałowa.
- Ale przecież formularze są u ciebie - nie ustępowała Nadia. - To dla ciebie pestka. No bądź człowiekiem, pomóż!
- Odpowiednie pieczątki ma tylko kierownictwo - wykręcała się. -Do tego potrzebna jest specjalna, a ja mam zwykłą.
- Do diabła z nią. Proszę - naciskała Nadia.
- Zaświadczenie bez podpisu kierownika i okrągłej pieczęci jest nieważne. Nigdzie go nie przyjmą: ani w kostnicy, ani w domu pogrzebowym.
- Kiedy wcale nie to jest nam potrzebne. Wyślemy na wieś. Dla

miejscowych żuli wystarczy.
- Nie - ucięła Zoja.
- Ale ty jesteś! A wkrótce mam zostać twoją szwagierką. Będziemy prawie jak siostry - spróbowała z innej strony.
- Po co ci to zaświadczenie?
Nadia zaczęła wyjaśniać.
Znajoma wyszła za mąż za chłopaka ze wsi i z głupoty zamieszkała z nim z dala od miasta. Ma tam dosłownie jak w raju. Największą frajdę sprawia jej bieganie po śniegu mroźną grudniową nocą. W samych kapciach. Teść chleje gorzałę, teściowa - wińsko. Choć trunki różne, rezultat ten sam: oboje nie wiedzą o bożym świecie. Poza tym w chałupie jest jeszcze dwóch braci alkoholików i dziecko-imbecyl, które bez przerwy się drze. Musi wstawać o piątej, żeby wydoić krowę i przygotować prosiakom paszę w ogromnej beczce. Dziewczyna, przyzwyczajona do miejskiego życia, wytrzymała dwa tygodnie i uciekła. Młody mąż gnębi ją nieustannymi telefonami z żądaniem powrotu. Jedynym rozsądnym wyjściem z tej sytuacji byłoby wysłanie do niego powiadomienia o jej śmierci.
Zoja do końca się wahała.
Ostatecznie na jej decyzję wpłynęło ostatnie zdanie, wypowiedziane przez przyszłą szwagierkę:
- Jeśli to dla mnie załatwisz, możesz zabrać sobie moją niebieską garsonkę ze spodniami. I tak jest na mnie za ciasna.
Szarowa drgnęła.
Spodnie z marynarką w kolorze berlińskiego lazuru leżały na niej jak ulał. Bardzo chciała je mieć.
Krótko mówiąc, następnego dnia sporządziła odpowiedni dokument
I wręczyła go Nadii.
W zamian otrzymała upragniony kostium.
- Proszę o adres - odezwałam się po chwili. - Pani przyjaciółki -Fieoktistowej.
- Przecież mówiłam, że mieszka obok nas!
- W takim razie proszę o pani adres - byłam nieugięta. Co za idiotka z tej Zoi!
- Wołgogradska siedem - pociągnęła nosem. - Z tym, że tam jej pani nie znajdzie.
- Przecież dopiero co pani twierdziła, że mieszkacie obok siebie.
- Nadia jest teraz w pracy, na Rozanowej.
- Znakomicie - westchnęłam, po czym dodałam: - Poproszę jeszcze o

poduszkę.
- Po co?
O Boże! Po to, żeby cię nią zadusić!
- Potrzebna mi.
- Proszę bardzo - Zoja rzuciła się w stronę szafy. - Tylko proszę ją dobrze ukryć, bo ochrona zabierze.
Wsunęłam płaską poduszkę pod pachę i poszłam do Tiny.
- Ciebie to po śmierć posłać - zganiła mnie.
- Coś ty tam tak długo robiła?
Położyłam jej poduszkę pod głowę i wyszłam na korytarz, gdzie natychmiast natknęłam się na sanitariuszy, pchających przed sobą przeraźliwie skrzypiące łóżko z nieruchomym zagipsowanym ciałem.
Musiałam wejść do innej sali, żeby przepuścić „wycieczkę".
Łóżko nie zdążyło się jeszcze na dobre oddalić, kiedy z tyłu rozległ się donośny głos Kostina:
- Przepraszam panią, gdzie leży Mamontowa?
- Na siódemce - odpowiedział piskliwy dyszkant.
Zwolniłam przy wyjściu. Nie, nie mam czasu na zbędne gadanie. Niech Wołodia sobie w spokoju porozmawia z Tiną.

Rozdział 26

Jednostka sanitarna mieściła się w pięknym jasnoróżowym budynku w stylu moskiewskiego baroku. Wyglądał jak prawdziwa chatka z pierników. Okna były obramowane różnokolorowym ornamentem, drzwi pokryte malowidłami, a do środka prowadziły mikroskopijnej wielkości schodki.

Całe to zwiewne wrażenie burzyli ochroniarze, którzy kategorycznie odmówili wpuszczenia mnie do środka.

- Proszę zadzwonić domofonem - polecił gbur w czarnym kombinezonie - 2-68.

Wybrałam kod.

Po chwili usłyszałam ospały głos:

- Halo.

- Pani Nadia Reoktistowa?

-Tak.

- Przysłała mnie Zoja Szarowa.

- Proszę wejść na pierwsze piętro. Pokój numer 25.

- Ochrona nie chce mnie przepuścić.

Nadia wydała z siebie ciężkie westchnienie, po czym odparła:

- No to niech pani zaczeka. Zaraz zejdę.

Aby zejść z pierwszego piętra, potrzebowała aż czterdziestu minut. Do tego czasu byłam już zupełnie wykończona i wściekła. Strasznie się niecierpliwiłam.

W końcu obok stróżówki pojawiła się wysoka blondynka w krótkim białym szlafroku, odsłaniającym kolana.

- Ej - kiwnęła na mnie. - Tutaj.

Ochroniarze zrobili mi przejście.

Weszłyśmy na górę.

Nadia zatrzymała się przy drzwiach na samym końcu korytarza i wyciągnęła klucze.

Po chwili stałyśmy w niewielkim pokoju z kozetką pośrodku.

Kobieta grzecznie zapytała:

- Ogólny czy odcinek szyjno-piersiowy?

- Słucham?
- Masaż całego ciała, czy tylko górnych partii?
- Nie przyszłam na masaż.
- Nie? - Nadia uniosła ze zdziwieniem pięknie zarysowane brwi. -wobec tego po co?
Po chwili wahania oświadczyłam:
- Nazywam się Raisa Konstantinowna Fiedina. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest moja córka - Ksiusza?
- Kto? - zdumiała się. - Nie znam takiej.
- Ja kto, nie zna pani? - zaczęłam jęczeć. - Przecież kazała pani Zoi wysłać powiadomienie o jej śmierci. Ale po co? Wiem na pewno, że córka żyje. Gdzie ona jest? Proszę mi powiedzieć! Błagam panią, na litość boską!
Zmieszana Nadia zaczęła skubać rękaw szlafroka i bąknęła:
- Ale ja naprawdę nie wiem.
- Przecież się widywałyście.
- Nie.
- A powiadomienie.
Reoktistowa wciąż skubała rękaw. Jej ładna, ale jakaś głupkowata twarz wyrażała niepokój.
Postanowiłam zagrać va banque:
- Skoro tak, pojadę na milicję. Opowiem o pani i Zoi. Niech się tym zajmą władze.
- Nie ma takiej potrzeby! - krzyknęła Reoktistowa.
- Jest. I to duża - oznajmiłam, odwracając się na pięcie. - Miałam nadzieję, że załatwię to z panią po dobroci.
- Nie znam Ksieni. Słowo honoru. Nie widziałam jej na oczy!
- Wystarczy już tych kłamstw! Na komisariacie wyśpiewa pani całą prawdę!
Nadia złożyła ręce w błagalnym geście.
- To było tylko tak, dla kawału.
- Świetny dowcip - pochwaliłam z ironią w głosie. - Nie ma to jak przysłać matce zaświadczenie o śmierci córki. Gratuluję pomysłu.
- Andriej powiedział, że tam jest tylko mąż - rozkleiła się.
- Jaki Andriej?
- Sprzedawca - szlochała coraz mocniej.
Oderwała kawałek bandaża i zaczęła głośno wycierać w niego nos.
- Sprzedawca?
- No - kiwnęła głową, podchodząc do umywalki.

Podczas gdy dziewczyna się myła, ja usiadłam i przyjrzałam się biurku.
Na talerzyku piętrzyła się góra herbatników. Obok stał kubek z gorącą kawą i leżała powieść w miękkiej okładce o intrygującej nazwie Miłość w słońcu. Jak widać, Nadia świetnie sobie organizuje czas w pracy. Delektuje się kawą i rozkoszuje lekturą.
Zakręciła wodę, ostatni raz wydmuchała nos i wytarła się ręcznikiem. Bez makijażu jej twarz wyglądała młodziej i bardziej niewinnie.
- Przepraszam - mamrotała - ale Andriej tak prosił i zapewniał, że w domu nie ma nikogo poza mężem-alkoholikiem. Tylko dlatego się zgodziłam.
- A mogłaby się pani wyrażać jaśniej? - poprosiłam. - Kim jest Andriej?
- Najlepszy przyjaciel mojego męża Wadima.
- Pani jest mężatką?
- Za tydzień bierzemy ślub. Andriej przyszedł z prośbą. Nie mogłam mu odmówić. Podobno jego dziewczyna mieszkała wcześniej z chłopakiem pod Moskwą. Tam byli sami nałogowi alkoholicy, więc uciekła.
- Dlaczego Andriej poprosił panią, a nie Wadima?
- Dla Wadima Zoja niczego nie zrobi, a dla mnie jak najbardziej.
- Zdaje sobie pani sprawę, co najlepszego narobiła? Trzeba było odmówić Andriejowi, a nie podejmować się czegoś podobnego.
-Tak. - powiedziała z ociąganiem -wie pani, gdzie on pracuje? W salonie „Yves Saint Laurent".
- No i?
- Czasami mają przeterminowane kosmetyki. Na przykład termin przydatności szminki wynosi pół roku, a pudru i tuszu - rok. Po jego upływie kosmetyki są wycofywane ze sprzedaży. Porządne firmy dbają O jakość. No i Andriej mi je przynosi. Mimo wszystko są bardzo dobre. Teraz pani rozumie?
No tak. Takiemu znajomemu nie można odmówić.
Nadia ze swoimi zarobkami nie mogłaby sobie pozwolić na kupno firmowych kremów. Smarowałaby się chińskimi albo tureckimi podróbami. W imię takiej sprawy niejedno się wypisze!
- Proszę mi podać adres Andrieja.
- Nie znam - odparła.
- No to przynajmniej - gdzie pracuje?
- W sklepie „Yves Saint Laurent" na Krasnozwiezdnej.

Zerknęłam na zegarek. Druga. Chłopak powinien tam jeszcze być.
- Ale on pani nic nie powie - ośmieliła się powiedzieć. - Nic a nic. Nie jest taki głupi. Wszystko zwali na mnie.
- Nie okłamie funkcjonariusza milicji.
- Oczywiście, ma pani rację - szybko mnie poparła - ale skąd go wziąć, tego funkcjonariusza? Myśli pani, że tak łatwo namówić gliniarza? Bez łapówki ani rusz. Nie kiwną ani.
- Sama jestem majorem z wydziału kryminalnego.
- Pani? - Nadia cofnęła się zmieszana i bąknęła: - A mówiła pani, że jest matką Ksieni.
Do diabła! Na śmierć zapomniałam, że podałam się za niepocieszoną rodzicielkę.
- I co w tym dziwnego? - stwierdziłam, odwracając się w stronę drzwi.
- Milicjantki też czasami rodzą dzieci. Jestem jednocześnie matką i przedstawicielem prawa.
Nadia jęknęła i przysiadła na kozetce.
Zostawiłam ją i udałam się pod wskazany adres.
Trochę się pomyliła.
Na Krasnozwiezdnej mieścił się nie sklep, tylko salon znanej francuskiej firmy. W holu w miękkich fotelach rozsiadły się elegancko ubrane damy.
Piły kawę. Od razu widać, że to jedne z bogatszych klientek.
Ci, którzy przypuszczają, że nadziane kobiety wymyślnie się ubierają, noszą szpilki na złotych obcasach i od stóp do głów obwieszają się brylantami, są w błędzie.
Futra z soboli, wlokące się po asfalcie, sztabki złota na palcach, miniówki haftowane drogocennymi kamieniami, noszą panie ze środowiska show-biznesu. Ewentualnie żony przedsiębiorców, którzy w ostatnim czasie się wzbogacili.
Zamożne kobiety, posiadaczki kart kredytowych i telefonów komórkowych z taryfami dla VIP-ów z reguły boją się obnosić ze swoim bogactwem. Wybierają stonowane kolory, żeby nie wyróżniać się z tłumu. Noszą spódnice do kolan i nie mają w swojej garderobie obcisłych sweterków.
Wolą delikatny makijaż w beżowych odcieniach, perfumy najwyższej jakości, ale nie za ostre, i nienaganny manikiur. Żadnych przeraźliwie długich tipsów.
Prawdziwą biżuterię założą dopiero wieczorem, na bankiet.
Za nic w świecie nie pójdą na zakupy, obwieszone jak noworoczna

choinka.
Noszą zwyczajne buty, a futra, w których na co dzień chodzą, mają zazwyczaj kożuszek po wewnętrznej stronie.
Ale jakkolwiek starałyby się ukryć swoje bogactwo, łatwo je rozpoznać.
Zadbana cera, nienaganna figura - rezultat zajęć z aerobiku, równa opalenizna. A co najważniejsze, pewność siebie typowa dla osób, które nie muszą się martwić, ile pieniędzy zostało im w portfelu.
Właśnie do takich należały kobiety obecne w salonie „Yves Saint Laurent".
Przy ścianie za biurkiem czuwała młoda dziewczyna.
Najwyraźniej chciała się wyróżniać na tle otoczenia, gdyż miała na głowie supermodną fryzurę ze sterczącymi w różne strony kosmykami, skropiła się „Maroussią" i wymalowała się jak Indianin na wojennej ścieżce.
Podeszłam do niej i zapytałam:
- Gdzie znajdę Andriej a?
Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem. Wyraz jej twarzy zdradzał wszystko. Uznała mnie za mało ważną klientkę. Jednak profesjonalizm wziął górę. Czerwone usta rozciągnęły się w udawanym uśmiechu.
- Andriej wróci o szóstej. Pojechał z zamówieniem. Może pani na niego zaczekać, wypić kawę, poczytać sobie czasopisma.
Podeszłam do kontuaru i z trudem powstrzymałam okrzyk oburzenia. Ceny zwalały z nóg!
Filiżanka kawy - 75 rubli, maciupeńka kanapka z tłustą kiełbachą dochodziła do setki, a niewielkie salaterki z kapustą i marchewką były jeszcze droższe - 162 ruble.
W innych lokalach taka surówka jest przeważnie najtańsza.
Rozejrzałam się po sali.
Rozmawiające szeptem panie jadły głównie kapustę. Tak, to zrozumiałe, dbają o figurę. Wiadomo już, dlaczego cena sałatki jest tak wywindowana.
Stwierdziłam, że posiedzę sobie na kanapie i po prostu coś poczytam. Złapałam „Cosmopolitan" i wyciągnęłam wygodnie nogi. Mój wzrok padł na buty z zamierzchłych czasów.
Z westchnieniem schowałam giry pod kanapę i pogrążyłam się w lekturze czasopisma, którego nie kupuję ze względu na chorą cenę.
Mój mózg nie zdążył jeszcze strawić artykułu o intrygującym tytule

Seks - zawsze i wszędzie, kiedy nad uchem usłyszałam czuły głos:
- Pani wybaczy.
Podniosłam wzrok.
Obok kanapy stała śliczna dwudziestoletnia dziewczyna.
- Pani jest u nas po raz pierwszy?
Skinęłam głową.
- Co robimy? Włosy? Makijaż? Manikiur? Czy może full service?
Uśmiechnęłam się.
- Szczerze mówiąc, przyszłam do Andrieja.
- Będzie dopiero o szóstej - powiedziała. - Mamy sporo czasu. Zdążymy zrobić panią na bóstwo. Moim zdaniem, nie zawadziłoby zająć się włosami.
Trafiła w mój czuły punkt. Pan Bóg obdarzył mnie niesforną czupryną. Próbowałam już chyba wszystkiego. Na próżno. Kudły wciąż sterczą w różne strony. Trwała się nie trzyma. Farba szybko się zmywa. Wszystkie próby przefarbowania mojego naturalnego mysiego koloru na rudy, kasztanowy czy blond kończą się fiaskiem.
Szeroko rozreklamowane „Polikolor", „LOreal" i „Schwarzkopf' nie potrafiły sprostać wymaganiom mojej głowy. Z początku wszystko wygląda cudownie. Jednak wystarczy, że umyję włosy. W lustrze zawsze odbija się coś w stylu szaro-buro-malinowej szmaty. Dałam już sobie z tym spokój i zaprzestałam dalszych prób.
Odrastające włosy związuję po prostu frotką.
- Poza tym będzie pani pasował nasz nowy makijaż - namawiała. -Opracowany specjalnie z myślą o silnych rosyjskich mrozach.
Pokręciłam głową.
- Obawiam się, że nie stać mnie na pani usługi.
Dziewczyna miło się uśmiechnęła.
- Mamy świąteczne promocje. Jeśli zgodzi się pani na kompleksowy zakres usług: fryzura plus makijaż, dam 50 procent zniżki. Zostanie śmieszna kwota.
- Czyli?
- Raptem sto dolarów - odparła. - Jak za darmo.
Westchnęłam. Za tę sumę musimy przeżyć cały tydzień. Ale przecież mam co nieco w portmonetce. Niespodziewanie dla mnie samej zachciało mi się usiąść w fotelu i powierzyć swoją głowę fryzjerce.
W końcu lada dzień nadejdzie Nowy Rok i powinnam wyglądać pięknie i młodo. A w moim przypadku to nie jest wcale takie proste. Mam już dobrze po trzydziestce.

Pod wieczór dookoła oczu pojawiają się sińce, a idiotyczna kitka, nie ma się co oszukiwać, też nie dodaje mi urody. Biegam całymi dniami z wywieszonym językiem w nadziei, że zarobię trochę grosza. Ale po co są pieniądze? Po to, żeby je odpowiednio wydać na swoje przyjemności.
Dziewczyna, widząc moje wahanie, dodała pośpiesznie:
- Myślę, że możemy zrobić dla pani wyjątek i dać specjalną taryfę. Całość wyniesie 90 dolarów.
- Dobrze - poddałam się. - Zgoda.
- To rozumiem. Świetna decyzja - pochwaliła kusicielka i zaprowadziła mnie do niewielkiego gabinetu, gdzie siedział znudzony młody chłopak.
- Kostek, masz klientkę.
Konstantin posadził mnie w fotelu i zaczął trajkotać:
- Proszę pozwolić mi zrobić z pani cukiereczek. Widziałbym panią w awangardowym stylu. W czymś podobnym do Glamour. Słyszała pani o Glamour?
- Nie.
- Och! - wywrócił oczami. - To wschodząca gwiazda paryskich wybiegów. Modelka piękna jak malowanie! Tak przy okazji, jest pani do niej uderzająco podobna. Tak, zdecydowanie, typ Glamour będzie najlepszy. To co? Zaryzykujemy?
Nabrałam ochoty na zmianę w paryską modelkę.
- Zaczynajmy!
W ruch poszły nożyce i grzebień. Potem Kostek wymieszał w miseczce jakieś mazidło.
- Dlaczego tu nie ma lustra? - zapytałam.
- To nasz specjalny chwyt - wyjaśnił. - Klient nie widzi całego procesu. Dopiero rezultat końcowy. Jak tylko skończymy, będzie pani mogła się przeglądać do woli. Proszę się nie obawiać, spod moich palców zawsze wychodzi coś ekstrawaganckiego. Przecudownego!
Po tych zapewnieniach nieco się rozluźniłam. W gabinecie rozbrzmiewała przyjemna muzyka. Kostek bez przerwy nadawał o modzie, szamponach i kremach.
W głowie miałam mętlik. Pomieszały mi się wszystkie informacje na temat ostatnich osiągnięć w dziedzinie kosmetologii i plotki, dotyczące intymnego życia gwiazd filmowych.
Następnie zabrzęczała suszarka.
- Ach, ach, ach - mamrotał Kostek, poruszając się płynnym,

tanecznym krokiem. - Ślicznie! Powalająco! Przecudownie! Pięknie aż do przesady. Teraz jeszcze delikatny makijaż.
Na twarzy poczułam łaskotanie pędzla. Trochę cieni, różu i pomadki. Wreszcie Konstantin zdjął różowy szlafrok i ogłosił:
- Gotowe. Chodźmy.
Przeszliśmy do drugiego gabinetu.
Mistrz zaprowadził mnie do ogromnego lustra i z dumą w głosie powiedział:
- Jak dla mnie, bomba! A pani się podoba?
Spojrzałam i zastygłam w bezruchu niczym nieszczęsna żona Lota. Z głośników popłynęła melodia.
Pozbawiony głosu Zeczkin zapamiętale fałszował: Bo nie wolno, bo nie wolno, bo nie wolno taką piękną być.
Słowa stosowne do sytuacji. Istotnie nie wolno taką być! Przez kilka chwil bezskutecznie usiłowałam doj ść do siebie.
Konstantin włożył tytaniczny wprost wysiłek, żeby zrobić ze mnie tajemniczą Glamour. Przed sobą miałam wynik jego pracy.
Z przerażeniem patrzyłam w lustro.
Gęba, nie, lepiej zacznijmy od włosów. Zostały skrócone i ufarbowane: na nieprawdopodobny zestaw kolorów. Przy nasadzie pozostały czarne, środkowa część była jasna, a końcówki mieniły się jaskrawym różem. Taki wściekły flaming albo postrzelona wrona, która postanowiła zmienić się w egzotyczną czaplę. Podobieństwa do szalonego ptaszyska dodawał też kształt fryzury. Krótkie kłaki stały dęba. Nie, chyba jednak przedwcześnie porównałam się do ptaka. Podobna byłam raczej do jeżozwierza, którego ktoś niechcący wysmarował musem wiśniowym.
- Nieźle, prawda? - ponowił pytanie Kostek, opacznie odbierając moje milczenie.
- Rewelacja! - wypaliłam i zaczęłam wpatrywać się w to, co jeszcze do niedawna było moj ą twarzą.
Cera przestała być blada. Czoło, policzki, a nawet szyja pokryły się mongolską żółcią. Na obecność sławetnych przodków ze Wschodu wskazywały również oczy. Z natury mam szaroniebieskie, a teraz spoza wulgarnie pomalowanych brwi, rzęs i powiek tęczówka wydawała się niemal całkowicie czarna. Na policzkach miałam ciemnobrązowe rumieńce. Usta zostały uwydatnione, podbródek zmalał, a nos z niewiadomych przyczyn się wydłużył.
Nie stałam się dzięki temu ani młodsza, ani piękniejsza. Byłam po

prostu inna.
- Mąż pani nie pozna - Kostek był zachwycony swoim dziełem. -Chwyci w ramiona i zaniesie do łóżka. Nowe wcielenie żony - istne cudo! Piękna, seksowna.
Bez słowa podałam mu 90 dolarów i opadłam na kanapę.
- Zapraszam ponownie - trajkotał. - Cieszę się, że mogłem panią poznać. Już nie mogę się doczekać kolejnej wizyty. Tylko niech się pani wcześniej umówi, bo mam sporo pracy. Dzisiaj miała pani po prostu ogromne szczęście. Jedna ze stałych klientek się rozchorowała. A przepraszam, jak się pani nazywa?
- Franciszka Katalońska - chlapnęłam.
- Ach, co za imię! - westchnął.
Wyraźnie nie słyszał nigdy o francuskiej księżnej, którą złośliwi za nadmierne upodobanie do pudru, różów i wymyślnych ozdóbek nazwali Wypacykowaną Klaczą.
Miałam nie lada dylemat.
Rzucić się co tchu do toalety i zmyć z siebie to świństwo, czy mieć przynajmniej jakąś satysfakcję i zjawić się w takim stanie w domu, żeby zszokować dzieciaki?
- Przepraszam najmocniej - usłyszałam tuż nad uchem.
Z niepokojem podniosłam oczy.
Nawet jeśli mi zaproponują całkowicie bezpłatny manikiur, w życiu się nie zgodzę! Nie ma mowy!
Może ta Glamour, która posłużyła jako wzór dla mojego obecnego wyglądu, ma na palcach tatuaże? Nie, nie, tu się trzeba mieć na baczności!
- Przepraszam bardzo - powtórzył tenor.
- Witam. Jestem Andriej. Pani podobno do mnie?
Obok kanapy stał przystojny chłopak w pięknym welurowym swetrze i dżinsach. Miło się uśmiechał.
Aż się we mnie zagotowało. Włóczy się w godzinach pracy nie wiadomo gdzie! Z zamówieniem pojechał! Bo uwierzę! O tej porze? Pewnie jeszcze do innego miasta? Gdyby siedział z tyłkiem na swoim miejscu, nie przyszłoby mi do głowy wydawanie zawrotnej sumy na zmianę image'u!
- Major Romanowa z wydziału kryminalnego! - ryknęłam, potrząsając czarno-biało-różową grzywą.
Kilka kobiet oderwało się od jedzenia dla królików i spojrzało z zainteresowaniem w naszą stronę.

- Nie tak głośno - zaczął błagać Andriej. - Co się stało?
- Gdzie będziemy rozmawiać? - warknęłam, nie spuszczając z tonu.
- Proszę za mną - wybąkał, wskazując niewielkie drzwi w samym rogu sali.
Poderwałam się na nogi i ruszyłam we wskazanym kierunku. Wściekłość dodawała mi energii.
Pomieszczenie, w którym się znalazłam, najprawdopodobniej pełniło funkcję magazynu, gdyż całe zastawione było przeróżnymi słoiczkami, buteleczkami i flakonikami.
- Słucham panią - odezwał się grzecznie Andriej, nadal się uśmiechając.
Klapnęłam na koślawy taboret i poleciłam:
- Siadaj.
Chłopak stęknął, ale posłuchał.
- A teraz - rozpoczęłam opryskliwie - gadaj natychmiast, gdzie jest Ksienia Fiedina! Nie zamierzam się z tobą cackać! Jak nie powiesz, wzywam patrol i zabieram cię na komisariat. A tam już z tobą przeprowadzą męską rozmowę.
- Ale co ja takiego zrobiłem? - osłupiał.
- Nic! Dawaj adres.
- A kto to jest ta Ksienia? - zapytał zdumiony. - Pierwszy raz słyszę.
- Łżesz jak pies!
- Niech skonam, jeśli kłamię!
- Zaraz skonasz - obiecałam. - Ksienia Fiedina. Prosiłeś narzeczoną Wadima, niejaką Fieoktistową, o wypisanie zaświadczenia o jej zgonie.
- Ach, ta - powiedział przeciągle.
- Pamięć ci wróciła?
- Takiej numerantki nie sposób zapomnieć.
- Dlaczego nie przyznałeś się od razu?
- Nie skojarzyłem nazwiska.
- A teraz już skojarzyłeś?
- No..
- No dalej, gadaj!
- Ale co?
- Wszystko.
- Kiedy naprawdę nie ma o czym.
- Słuchaj, mądralo - wściekłam się - jeśli będziesz robić z siebie i ze mnie durnia, to cię wsadzę do paki. Wezwę radiowóz i powiadomię

twojego kierownika o aresztowaniu. Jak myślisz, będzie chciał trzymać w firmie pracownika, który wszedł w konflikt z prawem?
- Niech mi pani wierzy, nic o niej nie wiem!
- Chcesz mi wcisnąć kit, że spotkałeś na ulicy dziewczynę, która poprosiła cię o załatwienie zaświadczenia, a ty się zgodziłeś?
- Niezupełnie.
- To jak było?
- Mogę zapalić? - zapytał drżącymi wargami.
- Na razie możesz - zlitowałam się nad nim. - Pal.
Wyciągnął paczkę „Parlamentu" i upuścił na podłogę szminkę.
- Malujesz się? - zapytałam drwiąco. - W więzieniu takich kochają. I dosłownie, i w przenośni.
- Została spisana na straty - wyjaśnił. - Wziąłem dla sąsiadki. Pożeracz damskich serc rozdający na prawo i lewo przeterminowane kosmetyki! Wywoływał we mnie same negatywne uczucia.
Syknęłam:
- Masz pięć minut na przedstawienie swojej wersji wydarzeń.

Rozdział 27

Po śmierci rodziców Andriej mieszkał sam w nie najlepszych warunkach. Miał dwupokojowe mieszkanie w ruderze położonej na końcu świata. Jednak najważniejsze, że własne. Nie miał zamiaru się żenić. Zmieniał dziewczyny jak rękawiczki. Dzisiaj Świeta, jutro Lena, pojutrze Natalia.

Wyszukiwał je z reguły na dyskotece, gdzie pojawiał się z godną pozazdroszczenia regularnością - trzy razy w tygodniu.

Miał zaledwie dwadzieścia lat. Odpowiedni wiek do podrygiwania w ciemnościach przy przeraźliwym łomocie.

Ksiusza stanowiła wyjątek w jego miłosnych podbojach. Poderwał ją na przystanku autobusowym.

Pewnego dnia jechał późnym wieczorem swoim żiguli, kupionym po śmierci rodziców, i zobaczył ładną dziewczynę. Wyglądała na zmarzniętą, dlatego zwolnił i zawołał:

- Dokąd jedziesz?

- A ty? - uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Kiedy wsiadła, stwierdził, że jest starsza, niż się mogło wydawać na pierwszy rzut oka, ale to go nie zniechęciło. Lubił dojrzałe partnerki. Nie zadzierały nosa i łatwiej się z nimi dogadywał.

Rankiem, po przyjemnie spędzonym wieczorze i nocy, dziewczyna rozpoczęła rozmowę:

- Mieszkasz sam?

- Sam - potwierdził.

- Weź mnie do siebie na tydzień.

- Jesteś bezdomna? - zrobił zdziwioną minę.

- No prawie - odpowiedziała z uśmiechem.

- Pewnie śpisz pod mostem, co? - rzucił złośliwą uwagę.

- Nie, oczywiście, że nie.

- No to o co biega?

- Mąż mnie wnerwia - odparła z westchnieniem.

- E tam, nie opowiadaj. Jest aż taki zły?

Przygnębiona westchnęła i zaczęła opowiadać zastraszające szczegóły

ze swojego życia.
Za mąż wyszła z wielkiej miłości. Chłopaka znała całe trzy tygodnie. Dopiero po ślubie wydało się, że nie mieszka w Moskwie, tylko na wsi - w Sielichowie. Zabrał ją tam ze sobą. Pochopnej decyzji Ksiusza pożałowała dosłownie na drugi dzień.
Zrozumiała bowiem, że jej wszyscy nowi krewni są nałogowymi alkoholikami, a ona jest tu po to, żeby harować: zajmować się gospodarstwem, ogrodem i bydłem.
Nie minął nawet miesiąc, kiedy płomienna miłość wygasła. Ksiusza coraz częściej zastanawiała się, jak by stamtąd uciec. Nie od razu jej się to udało.
Mądry mąż, załatwiwszy sobie w końcu bezpłatną „służącą", schował jej dowód osobisty.
Nie mogła go znaleźć trzy dni. Obszukała wszystkie kąty. Aż wreszcie odkryła go w chlewie za belką nad drzwiami.
Poczekała, aż kochana rodzinka się spije i wzięła nogi za pas.
Znalazłszy się ponownie w Moskwie, sądziła, że wszystkie nieszczęścia się skończyły. Jednak grubo się myliła.
Najpierw opuszczony mąż bez przerwy do niej wydzwaniał, a potem przyjechał i załatwił sprawę po męsku: zbił ją, aż kości trzeszczały.
Od tamtej pory Ksiusza boi się zostawać sama w domu. Nie wie już, co ma począć.
- Eee - westchnął Andriej - nie jest tak źle. Znajdzie sobie inną i się od ciebie odczepi.
- A gdzie on taką drugą idiotkę znajdzie? - zamachała nerwowo rękami.
- Chodź wyślemy do niego telegram, że umarłaś - zaproponował.
- Nie uwierzy - westchnęła ze smutkiem - ale gdyby tak świadectwo zgonu.
- Ale skąd je wytrzasnąć? - uśmiechnął się pobłażliwie.
I tu przyszedł mu do głowy genialny pomysł.
- Słuchaj, siostra mojego przyjaciela pracuje w szpitalu. Niech skrobnie powiadomienie o nagłej śmierci. Dla tych twoich ochlajtusów wystarczy. Byleby widniała pieczątka. Nabiorą się, wsiowe naiwniaki.
- Wspaniała myśl! - Ksiusza nie posiadała się z radości. - A ona się zgodzi?
Andriej się roześmiał.
- Mam na nią sposób. Prawdę powiedziawszy, jest okropna i niezbyt

za mną przepada, ale jej serdeczna przyjaciółka Nadia, przyszła żona Wadima, ma u mnie dług wdzięczności. A tamta dla Nadii jest gotowa na wszystko. Tak że bez obaw. Zaświadczenie masz jak w banku.
Ksienia bardzo spodobała się Andriejowi i za wszelką cenę pragnął ją przy sobie utrzymać.
Nadia nie zawiodła.
Ksiusza otrzymała stosowny dokument i wysłała do rodziny.
Cały kolejny tydzień mieszkała z Andriejem, a potem, pięknego poniedziałku po powrocie z pracy chłopak nie zastał kochanki w domu.
Zniknęła.
Przepadła jak kamień w wodę, zabrawszy ze sobą trzysta dolarów odłożonych przez niego na wczasy.
- Dokąd się mogła udać? - zapytałam.
Wzruszył ramionami.
- Nie mam pojęcia.
- Znasz jej miejsce pracy?
- Nie. Z tego, co wiem, to się jeszcze uczyła.
- Gdzie? Na jakiej uczelni?
- A cholera ją wie. Chyba na ekonomicznej, a może pedagogicznej.
- To co, kompletnie ni co niej nie wiesz?
- Nie - przyznał się.
- Sypiałeś z nią przez cały miesiąc - nie kryłam oburzenia - i niczego się nie dowiedziałeś? Na przykład, na temat jej przyjaciół?
- Łóżko to nie miejsce zwierzeń - uciął. - Nie opowiadała mi o sobie, tylko o mężu-pijaku.
Westchnęłam. Pokolenie pepsi jest wyjątkowo pozbawione ciekawości świata.
Do domu pojechałam w makabrycznym nastroju.
Trzeba ze smutkiem przyznać, że poszukiwania Tatiany Mitiepasz ostatecznie znalazły się w ślepym zaułku.
Dziesięć tysięcy dolarów pomachało mi rączką na pożegnanie.
Nie zdążyłam przekroczyć progu mieszkania, kiedy Sierioża zaczął krzyczeć:
- Lampisko, gdzie się szwendałaś?
- Załatwiałam ważne sprawy! - krzyknęłam w odpowiedzi, zdejmując buty, do których czułam już wstręt.
- Jakie sprawy? O tej porze? - oburzyła się Julia, wchodząc do przedpokoju. - Widziałaś, która jest godzina? Jeśli.

Nie dokończyła jednak zdania. Zamarła z otwartymi ustami, a po chwili wydukała z trudem:
- Ja cię kręcę. Lampa, co ci się stało?
- Podoba ci się? - zapytałam.
- Sierioża! - wrzasnęła. -Sierioża, chodź tu! Szybko!
- Co się dzieje? - mruknął z niezadowoleniem. - Pali się? Zalewamy sąsiadów?
Julia wskazała palcem w moją stronę:
- Spójrz tylko!
- A co ja - nadawał - Lampiska nie widziałem, czy co? Też mi nowość!
Wreszcie jego wzrok padł na mnie i chłopak pisnął: - O Boże! Co to?
- No - zauważyła z zadowoleniem Julia - w końcu się przekonałeś!
- Coś ty ze sobą zrobiła? - wydarł się Sierioża. - Okropieństwo!
- A moim zdaniem całkiem nieźle - nie zgodziłam się z jego opinią, rzucając szybkie spojrzenie w stronę lustra. - I kosztowało majątek. Całych dziewięćdziesiąt dolarów!
Sierioża, Julia i Kiriuszka, który zjawił się, słysząc hałasy, milczeli w osłupieniu.
Z dumnie podniesioną głową oddaliłam się do sypialni. Najwyższy czas odpocząć od znojów dnia powszedniego.
Rano Katia, zerknąwszy na mój różnobarwny pióropusz na głowie, zapytała z przejęciem:
- Lampeczko kochana, może zajrzysz do mojego fryzjera? Zawodowiec. Wspaniale farbuje i strzyże.
- No, nie oszukujmy się, nie ma już czego strzyc - uśmiechnęłam się kpiąco, macając sterczącego koguta.
- No to przynajmniej się przefarbujesz - nie dawała za wygraną. -Chociaż ten ekstremalny wariant nawet ci pasuje.
Nie miałam już siły dłużej udawać zachwytu.
Powiedziałam więc z ponurą miną:
- Daruj sobie. Dobrze wiem, że wyglądam jak wściekły jeżozwierz. Dzwoń do tego swojego mistrza.
Katia chwyciła słuchawkę. Pogruchała parę chwil, po czym powiedziała z zadowoleniem:
- Zbieraj się w try miga i zasuwaj na Zaułek Razuwajewa. Wejście jest między piekarnią a kasą oszczędności. Uważaj, żebyś nie zabłądziła.
- Spartaczyli mi włosy, a nie mózg - zaznaczyłam, nakładając kurtkę.
- No nie wiem - mamrotała pod nosem - gdzie trzeba mieć głowę żeby się tak „upiększyć".

Na widok maleńkiego zakładu fryzjerskiego z dwoma fotelami zrzedła mi mina. Prawdziwy mistrz na pewno nie podjąłby pracy w podobnym miejscu. Obdrapane ściany, ściemniałe lustra, woda, która leci ciurkiem z zepsutego kranu.
Stojący przy oknie wysoki, szczupły chłopak golił na łyso wielkiego bysi oraz grubą jak słup szyją.
- Pani do kogo? -zapytał nieuprzejmym tonem golibroda.
- Do Maksima, od Katii Romanowej.
- Słucham - fryzjer nadal szalał z maszynką.
Byłam już zupełnie załamana. Że też jestem na tyle głupia, żeby przyjść do takiej nory. Dlaczego uwierzyłam, że Katia ma świetnego specjalistę? Wystarczy przecież przypomnieć sobie bałagan na jej głowie! A na dodatek okazuje się, że to męski fryzjer.
Ogoliwszy chłopaka na zero, Maksim wyjął stare, dziurawe prześcieradło, całe w niedopranych plamach, owinął je dookoła mojej szyi i zapytał obojętnym tonem:
- Co robimy?
- Nie wiem - wydukałam. - Według pańskiego uznania.
Poczochrał sterczące pióra i z ciężkim westchnieniem złapał nożyce.
- Tylko nie na łyso - jęknęłam.
- Bez obaw - chrząknął znacząco. - Gorzej już nie będzie.
Zmrużyłam oczy i wsłuchałam się w miarowe ciachanie.
- Jeśli można wiedzieć - odezwał się po chwili - gdzie panią zrobili na takie bóstwo?
- W salonie „Yves SaintLaurent", wariant na zimę - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.
- I wszystko jasne - rzekł, naciągając mi na głowę gumowy czepek. -"Yves Saint Laurent" nie pogadasz.
Po dwóch godzinach ośmieliłam się wreszcie spojrzeć w lustro. Nie wierzyłam własnym oczom.
Choć nie byłam przyzwyczajona do aż tak krótkiej fryzury, to jednak muszę przyznać, że było mi w niej do twarzy. Włosy nabrały jednakowego jasnobrązowego odcienia, a grzywka z lekka mieniła się rudością.
- Znakomicie! - nie mogłam powstrzymać zachwytu.
- Niezbyt - stwierdził poważnie mistrz - ale, niestety, to wszystko, co mogłem zrobić. Jeśli będzie pani przychodzić regularnie, to powrócimy do naturalnego koloru, a na razie musi pani tak przeżyć.
- Pan ma po prostu talent! - wyraziłam swoje uznanie. - Dlaczego

pracuje pan w takiej dziurze? Powinien pan pójść.
- Do salonu „Yves SaintLaurent" - dokończył z ironią w głosie. - Co to, tonie! Nie mogę się opędzić od klientów. A swoją drogą, nie miejsce zdobi człowieka, tylko człowiek miejsce. Należy się czterysta rubli.
Ciesząc się, że nie zażyczył sobie nie wiadomo jakich pieniędzy, tak niezdarnie otworzyłam torebkę, że wypadła mi z rąk, a cała jej zawartość rozsypała się po podłodze.
Maksim schylił się i zaczął zbierać rzeczy: klucze, grzebień, lusterko, notes. Jako ostatnia w jego rękach znalazła się fotografia Ksieni.
Z zaciekawieniem obejrzał zdjęcie i zadał pytanie:
- To pani znajoma? No i co u niej? Udało jej się szczęśliwie wyjść za mąż?
- Zna pan Ksienię? - zdziwiłam się.
- No w sumie - chrząknął zmieszany - można tak powiedzieć.
- Skąd?
Roześmiał się.
- Nie odpowiedziała mi pani na pytanie. Jestem niezmiernie ciekaw, czy Oleg Jakowlewicz się z nią w końcu ożenił? Samemu głupio mi go spytać.
- Pisiemski?
Kiwnął głową.
- A co, też go pan zna?
- Strzyże się u mnie - wyjaśnił. - Fajny facet. Bardzo chciałem mu pomóc, dlatego wplątałem się w ten cały przekręt!
- Jaki przekręt?
Ponownie się roześmiał.
- A, taka tam bzdura.
Jednak nie dałam się tak łatwo zbyć. Zwietrzyłam zwierzynę i podążyłam jej śladem.
- Niech pan mnie posłucha. Oleg Jakowlewicz rzeczywiście ożenił się z Ksiuszą. Przeżyli razem cały rok, a potem dziewczyna zaginęła i mąż wynajął mnie, żebym ją odnalazła.
- Pani jest z milicji? - zrobił zdziwioną minę. - Nie wygląda pani.
- Nie, pracuję jako prywatny detektyw. Bardzo proszę, niech mi pan opowie wszystko, co panu wiadomo.
- Skoro tak się mają sprawy - wymamrotał - to powiem. Akurat na dniach Pisiemski tu zaglądał. Był zły jak pies. A ja, głupi, pomyślałem, że ma kłopoty w interesach, a tu takie buty.
Przeszliśmy do małego pokoiku i Maksim włączył czajnik.

- Tylko, jeśli to możliwe - powiedział, otwierając puszkę z kawą -niech pani nie ujawnia nikomu, że byłem wplątany w tę historię. Szczególnie, że nic złego nie zrobiłem.
- Nikomu nie powiem - obiecałam solennie.
W tamtej chwili złożyłabym dowolną obietnicę, byleby dowiedzieć się czegokolwiek o Fiedinej.
Chłopak nasypał do niewielkiej filiżanki pięć łyżeczek cukru, dokładnie wymieszał i rozpoczął swoje opowiadanie, od czasu do czasu popijając przesłodzoną kawę.
Ma stałą klientkę - Lube Toropową, która przychodzi do niego już od ponad dziesięciu lat. Kobieta jest naprawdę w porządku. Nie grymasi. Nie jest szczególnie wybredna i płaci bez targowania się. Przez długie lata wytworzyło się pomiędzy nimi coś w rodzaju przyjacielskiej więzi. Maks dowiedział się o niej wiele ciekawych rzeczy.
Tak to już jest, że fryzjerzy zmuszeni są do wysłuchiwania zwierzeń swoich klientów. A Maksim miał do tego wprost idealne warunki.
Pracował sam. Nikt nie miał więc możliwości podsłuchiwania i ludziom w jego salonie szybko rozwiązywały się języki.
Lubie również.
Najpierw skarżyła się, że ma męża alkoholika. A któregoś dnia oznajmiła, że się z nim rozstała.
- Nie martw się - pocieszał ją. - Jeszcze znajdziesz swoje szczęście. Ile ty masz lat.
- Yhm - mówiła ze smutkiem - zwłaszcza że niczego się nie dorobiłam. Mam jednopokojową ruderę. Komu się na co przydam?
- Nie przejmuj się. Będzie dobrze - paplał swoje Maksim.
Po jakimś czasie zrozumiał wreszcie, że Luba ma dwie bolączki: stan rodzinny i sytuację materialną.
Siadając w fotelu, Toropowa bez przerwy opowiadała o swoich przyjaciółkach, które znalazły dozgonnych towarzyszy życia. Temat rozmowy zawsze sprowadzała na te osoby, które cieszyły się powodzeniem i posiadały ogromny majątek.
Maksim, nauczony wieloletnim doświadczeniem, nie koncentrował się w szczególny sposób na wszystkim, o czym trajkotały klientki. Z rzadka wtrącał tylko krótkie „tak” albo „no, no”.
Lubie jednak wcale nie zależało na jego opinii.
Grunt, że mogła się wygadać i wyrzucić z siebie złość i negatywne emocje. Najwyraźniej zazdrościła tym, którym się w życiu powiodło, ponieważ opowiadając o nich, zawsze czyniła kąśliwe uwagi:

- Taka brzydka, a mąż jej się trafił przystojny i w dodatku przy kasie. Dlaczego ja mam takiego straszliwego pecha?
- Wszystko będzie dobrze - zapewniał bezmyślnie Maksim. - I na ciebie przyjdzie kolej. Jeszcze będziesz szczęśliwa.
Z półtora roku temu Luba z przebiegłą miną siadła w fotelu i powiedziała cicho:
- Wiesz co, Maksimku, chciałabym prosić cię o przysługę.
- Mów - polecił, sądząc, że zaraz usłyszy prośbę, żeby uczesał ją na krechę.
Przyszła jednak w zupełnie innej sprawie.
Jej przyjaciółka, Ksiusza, wspaniała, mądra dziewczyna, ma jeszcze większego pecha w życiu niż ona. Zamiast porządnych facetów zawsze trafiają jej się sami kretyni, palanty i moczymordy. Chciała już machnąć ręką na sprawy sercowe, ale raptem zakochała się w zadziwiająco dobrym człowieku. Nie jest szczególnie przystojny, ale nie należy do najbrzydszych. Taki przeciętny. Nie pije. Stanu wolnego. A przede wszystkim jest bogaty. Problem w tym, że dziewczyna nie wie, jak ma zapoznać się z obiektem westchnień.
- A co ja mam do tego? - Maksim był szczerze zdziwiony.
Luba rozpłynęła się w uśmiechu.
- Możesz jej pomóc!
- W jaki sposób?
Okazało się, że wielka miłość kobiety, Oleg Jakowlewicz Pisiemski, strzyże się u Maksima.
- Zadzwonisz do mnie i powiadomisz, kiedy ten pan zaplanuje wizytę u ciebie - szczebiotała. - Ksiusza przyjedzie tu wcześniej i posiedzi na zapleczu. Wyjście awaryjne masz z drugiej strony, tak?
- Tak - potwierdził, nie rozumiejąc, do czego dąży.
- Zanim zaczniesz suszyć mu włosy - rozpoczęła - powiesz Ksiuszy, żeby wyszła na podwórze.
- Po co? - nie kapował Maksim.
- Co do reszty, już moja w tym głowa - zbyła go. - Ty masz jedynie dać znać, kiedy będziesz kończyć. A my już coś wymyślimy, żeby niby przypadkiem na siebie wpadli.
Maksim nie dostrzegł w prośbie nic nielegalnego. Co w tym złego, że dziewczyna chce się poznać z Pisiemskim? Nie jest żonaty. A nuż to przeznaczenie?
Po tygodniu zaplanowany podstęp wprowadzono w czyn.
Oleg Jakowlewicz najspokojniej w świecie siedział w fotelu, nawet nie

podejrzewając, że w pomieszczeniu służbowym przyczaiła się Ksiusza. Kiedy przyszła pora suszenia i układania, Maks bąknął:
- Przepraszam na chwilę. Zapomniałem szczotki.
Zajrzał na zaplecze i powiedział:
- Już. Za dziesięć minut kończę.
Ksiusza skinęła głową i chyłkiem przedostała się na podwórze.
Pożegnawszy się z Pisiemskim, Maksim stanął przyoknie i zapalił. Dalsze wydarzenia odgrywały się na jego oczach.
Fryzjer zobaczył, jak samochód Fiodora rusza z miejsca i w tym samym momencie zza rogu wprost pod koła wyskakuje Ksiusza. Macha rękami i pada na ziemię.
Oleg wyskakuje na jezdnię i pochyla się nad „poszkodowaną".
Po pięciu minutach, kiedy blady Pisiemski zapakował dziewczynę do auta i odjechał, Maksim tylko pokiwał głową z zażenowaniem. Doprawdy, kobieca przebiegłość nie ma granic. Ale wykombinowały!
Od tego dnia Luba nie pojawiała się już u fryzjera.
Maksim nawet nie miał jak się dowiedzieć, czy cała sprawa zakończyła się pomyślnie.
Pisiemski nadal regularnie przychodził, ale nigdy się nie zwierzał. Ograniczał się do rozmów o pogodzie albo kursie dolara.
A zapytać go, czy się ożenił, jakoś się krępował. Jednak ciekawość często bierze górę, dlatego chłopak, zobaczywszy dziś zdjęcie, nie mógł się powstrzymać od zadania pytania.
- Zna pan adres Toropowej?
- Gdzieś go miałem - wymamrotał i zajrzał do sfatygowanego notesu.
Parę minut przekładał rozsypujące się kartki, aż wreszcie oświadczył:
- Ulica Podlipowa dziewięć.
Naciągnęłam czapkę na lekko wilgotne włosy i poszłam do metra.
Zimny, przejmujący wiatr przenikał pod kurtkę. Pod nogami rozpościerała się gruba warstwa lodu. Przydałyby się łyżwy! Chociaż tak naprawdę przemieszczanie się po tak śliskiej nawierzchni nie stanowiło dla mnie większego problemu.
Pomysłowy Kiriuszka przykleił pod moje podeszwy po kawałku papieru ściernego. Nie ma się co oszukiwać, nie jest to zbyt wygodne w metrze czy sklepie, ale przynajmniej gołoledź mi niestraszna.
Zresztą i tak mam teraz to wszystko w nosie. Mam na głowie inne sprawy.
Skoro Luba Toropowa odegrała z pomocą naiwnego Maksima takie przedstawienie, to musi doskonale znać Tatianę Mitiepasz.

Ciekawe, kim jest z zawodu?
Może reżyserem? Albo pisarką?
Sprytnie wymyśliła podstęp z rzuceniem się pod koła samochodu nieszczęsnego Olega Jakowlewicza.
Przerażony mężczyzna stanął na wysokości zadania i odwiózł dziewczynę do szpitala.
Sam mi jeszcze opowiadał, gdzie i w jaki sposób poznał Ksiuszę. Podał nawet imię fryzjera - Maksim. Dlaczego nie poszłam od razu tym tropem?
Ale kto mógł podejrzewać, że nieszczęśliwy wypadek jest mistrzowskim spektaklem dwóch przebiegłych bab?
Wymyślając sobie za brak rozumu od najgorszych, dotarłam do ulicy Podlipowej i zadzwoniłam do mieszkania.
Nikt mi jednak nie otworzył.
Spoza pięknie obitych drzwi nie dochodził żaden dźwięk. Kompletna cisza. Postałam pięć minut, po czym przysiadłam na parapecie.
Widocznie Luba jest w pracy.
Nie chciało mi się jechać do domu, więc wyjęłam z kieszeni książkę i z przyjemnością pogrążyłam się w lekturze nowej powieści Daszkowej.
Jednak zanim akcja na dobre się rozkręciła, otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania i na klatkę wyszła z kubłem na śmieci zgrabna czarnowłosa kobieta.
- Czeka pani na kogoś? - przyjrzała mi się podejrzliwie, otwierając zsyp.
- Tak, na Lube Toropową - odpowiedziałam grzecznie.
- Odleciała.
- Dokąd?
Sąsiadka wzruszyła ramionami.
- Chyba do Stambułu.
- Na długo?
- Dokładnie nie powiem, ale pewnie na jakieś trzy dni.
- A to pech - mruknęłam.
- A pani to właściwie kim jest? - zapytała.
- Znajomą. Jej krewni z zagranicy przysłali list.
- Aaa, na pewno mama z Ameryki - ucieszyła się.
- Niech pani zadzwoni na lotnisko Szeremietiewo. Zaraz podam numer.
- Po co na lotnisko? - zdziwiłam się.
- Luba pracuje jako stewardesa. Zapyta pani, kiedy wraca. Chyba że

zostawi pani ten list u mnie.
- Lepiej zadzwonię - odparłam.
Uczynna kobieta przyniosła mi numer telefonu, zapisany dużym, starannym charakterem pisma.
Spojrzałam na kartkę: Lubow Olegowna Pisiemska.
- Przepraszam bardzo - zapytałam doszczętnie ogłupiała - ale z tego, co wiem, ma inne nazwisko.
- Tak, tak, zgadza się. Toropowa - uśmiechnęła się. - Po mężu. Rozwiodła się, ale nazwisko zachowała. Znam ją już od wielu lat, dlatego napisało mi się tak z przyzwyczajenia.
- Jej ojciec nazywa się Oleg Jakowlewicz Pisiemski? - zapytałam cicho, czując, jak lasuje mi się mózg.
- Nigdy go nie widziałam - odparła rozmowna kobieta. - Sama się tu wprowadziła. Mamę znam. Ojca - nie.
Podeszłam do windy jak robot i zjechałam w dół, po czym pokuśtykałam w stronę metra.
Oprzytomniałam dopiero przy stacji Biblioteka imienia Lenina.
Kupiłam naleśniki z mięsem i kawę.
Stopniowo zaczęłam kojarzyć fakty i układać w jedną całość powstałą łamigłówkę.
Po co, pytam się, córka Olega Jakowlewicza Pisiemskiego miałaby podsuwać ojcu w charakterze żony swoją przyjaciółkę?
O ile mnie pamięć nie myli, „król nafty" mówił, że ani córka, ani żona nigdy nie przyszły do więzienia i ani razu nic mu nie przysłały. Wtedy przestał je traktować jak rodzinę. Nie utrzymywali ze sobą żadnego kontaktu.
To po co ten cały kabaret?

Rozdział 28

Nic nie wymyśliwszy, słaniając się ze zmęczenia dotarłam do domu. Zrobiłam obiad i skrajnie wyczerpana runęłam na łóżko.
W mieszkaniu panowała przenikliwa cisza.
Psy spały na kanapie u Katii, a koty ulokowały się w pokoju u Kiriuszki.
Miałam w głowie totalną pustkę. Zupełnie, jakby była garnkiem, z którego ktoś w niedzielę wieczorem wyjadł całą zupę. Zero myśli.
Gdzie też może się ukrywać ta dziewczyna?
Przeanalizowałam wszystkie możliwe warianty i zdesperowana postanowiłam zadzwonić do Saszy Złotego. Może zdołał coś sobie przypomnieć?
Jednak najpierw należało znaleźć numer, który miałam zapisany na skrawku papieru.
Przerzuciłam zawartość torebki. Wyparował bez śladu. Holender! Pewnie wyleciał, kiedy spadła mi torebka u fryzjera. Nie ma rady, będę musiała jeszcze raz zwrócić się z prośbą do Burlewskiego.
W biurze nikt nie podnosił słuchawki. Zadzwoniłam na komórkę. Odebrał natychmiast.
- Halo - usłyszałam.
- Przepraszam - bąknęłam - mam mały problem. Zgubiłam numer do Złotego. Czy mógłby mi pan go powtórzyć.
- A kto dzwoni? - zapytał gniewnie producent.
- Nie rozpoznał mnie pan po głosie? Eulampia Romanowa.
Zapadło milczenie.
Po chwili Fiodor niepewnie zapytał:
- Kto?
- Eulampia Romanowa, prywatny detektyw.
A to ciekawe! Chyba nie zamierza udawać, że mnie nie zna?
- Czy z panią jest wszystko w porządku? - padło niespodziewane pytanie.
- Naturalnie - odpowiedziałam zaskoczona. - A co się miało wydarzyć?

- Nie, nic - odpowiedział pośpiesznie. - Teraz panuje okropna grypa, a pani ma taki zachrypnięty głos. Zmartwiłem się, że złapała pani jakiegoś wirusa.
Proszę, proszę, jaki troskliwy!
- Czuję się świetnie! Jestem rześka i świeża jak majowa róża -zapewniłam go. - Poda mi pan ten numer?
- Jasne - odparł dziwnie podnieconym głosem.
Tym razem dla pewności od razu zapisałam go do notesu.
Jednak dzisiejszy dzień zdecydowanie był pasmem niepowodzeń i porażek.
U Złotego nikt nie odbierał.
Poirytowana chciałam już rzucić słuchawkę, kiedy nagle zapikała i mrugnęła zieloną diodą.
- Słuchaj, Eulampia - ponownie usłyszałam głos producenta - o ile dobrze zrozumiałem, szukasz Tatiany Mitiepasz?
- Tak.
- Z tego, co wiem, przyjdzie dzisiaj o dwunastej w nocy na Poworową 12.
- A numer mieszkania? -podskoczyłam podekscytowana.
- Moment - pohamował mnie - pod tym adresem znajduje się opuszczony piętrowy dom. Wygląda jak barak. Wejdziesz na górę i udasz się na koniec korytarza do ostatnich drzwi.
- A co ona tam będzie robić?
- Narozrabiała i teraz się ukrywa - chrząknął. - Tylko nie pojawiaj się przed północą. Zrozumiałaś?
- Zrozumiałam.
- Porozmawiaj z Tanią. Jeśli ją przekonasz, żeby do mnie wróciła, otrzymasz trzy tysiące dolarów. Jasne?
- Jak słońce!
- No to świetnie. Aha, byłbym zapomniał. Nikomu nie mów, dokąd idziesz, zgoda?
- Tak w ogóle, to w swoje sprawy nigdy nie wtajemniczam dzieci!
- Bardzo mądrze - pochwalił. - Czyli jesteśmy umówieni: jeśli spełnisz moją prośbę i przyprowadzisz do mnie Tatianę, dam ci pięć tysięcy!
- Przed chwilą mówił pan o trzech.
Roześmiał się.
- Zmieniłem zdanie. Przywieź ją do mnie, a honorarium będzie twoje. Ale tylko pod jednym warunkiem - nikomu ani mru-mru. Nie chcę, żeby ludzie plotkowali na temat moich osobistych spraw.

- Proszę podać mi swój adres - powiedziałam i zaraz dodałam: -Może pan być spokojny, przyprowadzę ją, choćbym miała nieść w zębach!
Prychnął i się rozłączył.
Zaaferowana pobiegłam do łazienki.
Zapowiadało się, że kiepsko rozpoczęty dzień skończy się wielkim triumfem.
Tatiana została odnaleziona, więc Pisiemski wręczy mi dziesięć tysięcy, a kolejne pięć otrzymam od Fiodora.
Miałam przed sobą wspaniałe perspektywy. Od nadmiaru emocji spociły mi się dłonie.
Zegarek wskazywał ósmą. Zaraz powinni zacząć się schodzić domownicy.
Rzeczywiście, już po chwili usłyszałam zgrzyt klucza w zamku i z wywieszonym językiem wparował do domu Kiriuszka.
- Chryste Panie! - jęknęłam. - Co się stało?
- Nic - odpowiedział.
- Dlaczego masz taką brudną kurtkę?
- W którym miejscu? - zdziwił się i zaczął oglądać się ze wszystkich stron.
- Aaa, tu!
- Przepraszam, grałem w piłkę. Stałem na bramce.
- W piłkę? Zimą? Ściągaj natychmiast - poleciłam i zaniosłam to, co jeszcze rano było jasnozielone, a teraz przypominało zgniły ogórek, do łazienki.
Wieczór mij ał j ak zwykle.
Kolacja, zabawa z psami.
Kiedy czysta i już prawie sucha kurtka zawisła na wieszaku, nachyliłam się, żeby zatrzasnąć drzwiczki pralki i zobaczyłam, że coś pod nią leży, tuż przy samej ścianie.
Odsunęłam pralkę.
Na podłodze ujrzałam błękitną obrożę Morisa. Tę samą, której szukaliśmy.
- Skąd ją wzięłaś? - zapytała Katia, kiedy weszłam ze znaleziskiem do kuchni.
- Była w łazience. Pewnie, kiedy pierwszego dnia myliśmy Morisa, spadła za pralkę - odparłam.
- Szkoda, że od razu nie znaleźliśmy i musieliśmy kupić drugą.
- Nie szkodzi - stwierdziła Katia. - Będą dwie.
Rzuciłam błękitną skórę na parapet i ostentacyjnie ziewnęłam.

- Idę spać.
- Ja też. Oczy mi się kleją.
Mieszkanie stopniowo pogrążało się w ciszy.
Około jedenastej podkradłam się na paluszkach do drzwi i wyjrzałam do przedpokoju.
Wyczerpani całodzienną pracą domownicy słodko spali. Tylko Mula i Adana mój widok zaczęły głośno skomleć.
- Cicho tam! - mruknęłam. - Znalazły się strażnicze mopsy!
Psy zamilkły. Z rzadka tylko powarkiwały niezadowolone.
Na ulicy nie było żywej duszy. Ludzie pochowali się w ciepłych mieszkaniach. Ułożyli się w wygodnych łóżeczkach i smacznie spali albo oglądali telewizję.
Miałam wrażenie, jakby na całym świecie nie było nikogo poza mną
- Eulampią - stojącą na podwórku, gdzie wieje jak cholera!
„Nie jest tak źle - przekonywałam samą siebie. - Dla takiej kasy warto! Inni za marne sto rubli cały dzień sprzedają na mrozie parówki".
Jednak mimo wszystko czułam się nieswojo, idąc sama ciemną ulicą. Dobrze chociaż, że w metrze było sporo ludzi.
Bezpiecznie dotarłam do stacji Awtozawodska.
Skory do rozmowy milicjant wytłumaczył mi szczegółowo, jak dojść na ulicę Poworową.
- W prawo, potem druga w lewo i cały czas prosto. Zapamiętała pani?
Podziękowałam, po czym wyszłam na grudniową ulicę. Im bardziej oddalałam się od budynku metra, tym mniej osób spotykałam po drodze. Końcowy odcinek pokonałam w zupełnej samotności.
Dom, którego szukałam, stał w głębi podwórza. We wszystkich oknach panowała ciemność. Drzwi wejściowe wisiały na jednym zawiasie. Trzymały się na słowo honoru. Przy większych podmuchach wiatru groźnie skrzypiały.
Odważnie weszłam do klatki. Serce waliło mi jak oszalałe. Pewnie są tu szczury! Od dzieciństwa panicznie boję się ciemności, gryzoni, bandytów i gwałcicieli.
Obecności tych ostatnich się nie obawiam. Z łatwością znajdą jakiś ładniejszy obiekt ode mnie. Ukraść mi nie ma czego, więc głównymi wrogami pozostają jedynie myszy i szczury.
„Myśl o pieniądzach! O wspaniałych, kochanych dolarach!" -przykazałam sobie w duchu i ruszyłam schodami na górę.
Moim oczom ukazał się długi, mroczny korytarz. Było ciemno jak w grobie.

„Nie chodź tam” - podszeptywał jakiś wewnętrzny głos.
„Nie słuchaj go - sprzeciwił się głos rozsądku.
- W drogę! Pamiętaj o dolarach!”.
Na drżących nogach dotarłam do ostatnich drzwi i otworzyłam je jednym szarpnięciem.
Przed sobą ujrzałam wąską klitkę. Prosto w okno świeciła uliczna latarnia. W nikłych promieniach światła zauważyłam łóżko, przykryte jakimiś szmatami, stół z gazetami i szafę monstrualnych rozmiarów.
Przy oknie stała jakaś postać. Światło padało jej na plecy, powodując, że twarz stawała się niemożliwa do rozpoznania.
Osoba miała na sobie ciemne ubranie. Wyglądała niczym Zorro.
- Pani Taniu - rozpoczęłam najbardziej pieszczotliwie, jak potrafiłam.
- Proszę się nie bać. Chcę z panią jedynie porozmawiać.
Dziewczyna powoli wyciągnęła rękę. Światło latarni prześliznęło się po błyszczącej stali. I w tym momencie rozległ się cichy trzask. A raczej nie zupełnie trzask, tylko jakby odgłos wyciąganego z wanny korka.
Moje ciało zadziałało automatycznie.
Błyskawicznie wyskoczyłam na korytarz i pobiegłam w kierunku wyjścia.
Dookoła panowały nieprzeniknione ciemności.
Z tyłu, ciężko dysząc, biegła Tania.
Już nie strzelała.
Czekała, aż wybiegnę na dwór i oświetli mnie latarnia. Wtedy będę łatwym celem.
Ze strachu straciłam głowę i pędziłam na oślep.
Dotarłam do drzwi.
Naraz zapaliło się oślepiające światło i tuż nad moim uchem rozległ się donośny głos:
- Na ziemię! Cholera jasna!
Runęłam jak długa na zaplutą podłogę i szybko machając łokciami i kolanami, podczołgałam się do przodu.
Ostre światło nadal raziło mnie w oczy.
Paradoksalnie widziałam teraz gorzej, niż wcześniej w ciemnościach. Przedtem przynajmniej rozróżniałam jakieś zarysy, a teraz byłam całkowicie ślepa. Oślepiające niczym flesz światło zalewało wszystko dookoła.
Tuż obok, z przeraźliwym krzykiem i przekleństwami na ustach, przegalopowało kilka osób.

Ktoś nadepnął mi na rękę. Zaskomlałam niczym pies.
- Stój, gnojku! - usłyszałam w oddali.
Zaraz potem rozległ się łomot i dziki wrzask. Wtem wszystko ucichło.
- W porządku, chłopaki. Koniec akcji - usłyszałam głęboki bas. - Ma złamane nogi!
- Jesteś pewny? - odkrzyknął ktoś nad moim uchem.
- Tak! - wydzierał się pierwszy. - Kości wylazły na zewnątrz!
- Dobrze mu tak - stwierdził złośliwie drugi, po czym złapał mnie za kołnierz i jednym ruchem postawił na nogi.
- Możesz iść?
Potaknęłam.
- No to w drogę.
Światło zgasło. Zapanowała całkowita ciemność.
W pewnym momencie pośliznęłam się i wyłożyłam jak długa na schodach.
- Patrz, gdzie leziesz - skarcił mnie gniewnie mój przewodnik, ponownie ciągnąc mnie w górę.
- Nie mam ze sobą noktowizora - odparowałam. - Co mnie łapiesz za kark jak kota?
- Patrzcie ją, jeszcze się stawia! - prychnął.
W chwilę później wypadliśmy na podwórze. Na niewielkim placu stało kilka samochodów.
W zaspie zobaczyłam Tatianę. Leżała, jęcząc z bólu.
Obok niej, lekko kołysząc się na piętach, stał milicjant, a trochę dalej dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach. Jeden z nich odwrócił się w moją stronę.
Rozpoznałam w nim majora Kostina.
- Dzień dobry, moja piękności - uśmiechnął się. - Coś kiepsko wyglądasz. Kurtka cała w błocie. Gęba upaprana w sadzy. Przez komin się przeciskałaś czy co?
Milczałam. Nie miałam pojęcia, co się tu dzieje.
- No chodź -polecił.
Nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Z trudem udało mi się do niego dokuśtykać.
- Wiesz, kto to jest? - zapytał, wskazując jęczącą dziewczynę.
Wpatrzyłam się uważniej w leżącą na plecach postać. Spod czarnych porwanych dżinsów wyciekała kałuża krwi. Ciemna kurtka zadarła się do góry. Twarz była osłonięta kominiarką. W wyciętych otworach gorączkowo błyszczały oczy.

- No - ponaglił mnie - jak myślisz, kto to jest?
- Tatiana Mitiepasz vel Ksienia Fiedina - odpowiedziałam, po czym dodałam: -Wezwijcie karetkę. Przecież ona cierpi.
- Zaraz tu będą - burknął Kostin. - Mitiepasz, powiadasz? No to patrz.
Nachylił się i błyskawicznym ruchem zdarł kominiarkę.
Rozległ się nieludzki wrzask. Drgnęłam i spojrzałam na odsłoniętą twarz.
Chyba już na dobre sfiksowałam.
Na brudnym, zakrwawionym śniegu, wydając z siebie bezustanne jęki, leżał Fiodor Burlewski.

Rozdział 29

Tej nocy nie dane mi było się wyspać.
Najpierw Kostin wymęczył mnie pytaniami. Wycisnął ze mnie ostatnie soki. Musiałam mu po kolei opowiedzieć wszystko, przez co przeszłam. Nie zdążyłam jeszcze na dobre zamknąć ust, kiedy zawołał Sławę Samonienkę i jakichś dwóch facetów w wygniecionych spodniach i zażądał:
- A teraz jeszcze raz wszystko od samego początku.
- Nie ma mowy! - rozzłościłam się. - Dopiero co opowiadałam.
- Słuchaj, Lampa - syknął Kostin - mów od nowa, bo areszt się już za tobą stęsknił. A sama wiesz, że tam nie jest zbyt przyjemnie. Krzesło.
- Wiem, wiem - westchnęłam - przykręcone do podłogi, a w muszli klozetowej bez przerwy leje się woda.
- Dlaczego? - zbaraniał.
- Bo nie ma spłuczki - wyjaśniłam.
Samonienko zaczął rżeć jak koń. Kiedy się wreszcie uspokoił, zapytał:
- Wołodia, ty chyba nie wiesz, jak u nas wyglądają kibelki. Za to Lampa jest doskonale uświadomiona. A tak przy okazji, jak tam mopsy? Będę miał szczeniaka?
- Nie pętam się po celach - burknął major. - Do ubikacji też nie zaglądam. Od tego mam ludzi. Koniec zbędnej gadki. Nawijaj jeszcze raz, wszystko od początku.
Zaczęłam powoli przedstawiać fakty.
Do domu wypuszczono mnie około czwartej nad ranem.
Zdążyłam po cichutku przemknąć do pokoju, kiedy wszystkie drzwi otworzyły się z trzaskiem i domownicy z potarganymi włosami rzucili się na mnie, żądając wyjaśnień.
Byłam zmuszona po raz trzeci wyznać swoje grzeszki.
Zlitowali się nade mną dopiero o siódmej rano.
Położyłam się na nierozłożonej kanapie, przygarnęłam do zmarzniętych nóg Adę i Mulę, po czym czując, jak rozgrzewają mi się stopy, zaczęłam zapadać w delikatne objęcia Morfeusza.

- Ej, Lampa! - rozległo się niemal natychmiast nad moim uchem.
O Boże, dopiero co zdążyłam zamknąć oczy!
- Co znowu? - jęknęłam, bezskutecznie usiłując rozkleić powieki.
- Dajcie mi odpocząć.
- Dość już gnicia w łóżku, gołąbeczko - warknął męski głos. - Już pora kolacji.
- Jak to? - zdumiałam się i odruchowo usiadłam. - A która godzina?
- Dwudziesta trzydzieści - chrząknął znacząco Wołodia. - Przespałaś cały dzień i jeszcze się nie wyspałaś?
- O rany - wymamrotałam i dopiero teraz spostrzegłam, że siedzę na kanapie w pogniecionej koszulce, z burzą włosów na głowie i rozmazanym tuszem pod oczami.
- Odwróć się szybko!
- Dlaczego? - zdębiał.
- Jestem nieuczesana. Wyglądam tragicznie.
- Tak? A według mnie wyglądasz jak zawsze,
Nie było rady, musiałam się wygramolić spod kołdry. Powłócząc nogami, udałam się do kuchni, w której zgromadziła się już cała rodzina. Patrzyli na mnie wyczekująco.
- Wołodia - rozpoczęła oficjalnie Katia - teraz, kiedy Lampa już wstała, może wyjaśnisz nam, co jest grane?
- Hmm - uśmiechnął się i przysunął do siebie talerz z pierogami -dlaczego właściwie ja? Macie Lampę. To przecież detektyw o wysokich kwalifikacjach. Rzekłbym nawet - postrach bandytów. Niech więc sama zda wam ze wszystkiego relację.
- Ale ona nic nie wie! - stwierdziła z irytacją Julia. - A my umieramy z ciekawości!
- Bez przesady. Naprawdę? - zgrywał się Wołodia, nakładając na pierogi pół puszki śmietany. - Ale jak to? Niczego się nie dowiedziałaś?
W milczeniu dłubałam widelcem po talerzu.
- Kto strzelał do Walentyny? - Julia wierciła Wołodii dziurę w brzuchu.
- No właśnie, kto? - powtórzył pytanie i wymownie na mnie spojrzał. - Wiesz?
Udałam, że w żaden sposób nie mogę przeżuć zlepionych kawałków ciasta.
- Wszystko jasne - stwierdził z zadowoleniem. - A gdzie jest prawdziwa Tatiana Mitiepasz i kto załatwił Zajcewą?

- Monachow - ucieszyłam się, że znam odpowiedź.
- Hmm. - uśmiechnął się zagadkowo - to kto w takim razie uśmiercił Swietłane Rodionowną Łomakiną, hę?
W powietrzu zawisło milczenie.
- Świetnie - podsumował major i zaczął starannie smarować chleb masłem „Wiola".
- Lampeczko kochana, ostatnie pytanie i daję ci spokój. Dlaczego Fiodor Burlewski postanowił się ciebie pozbyć?
Chcąc nie chcąc, musiałam przyznać:
- Nie wiem.
- Znakomicie. Tak właśnie myślałem.
- A ty wiesz? - naskoczyłam na niego.
- A i owszem - odpowiedział z całkowitym spokojem.
- Opowiesz nam? - zgodnym chórem krzyknęli Julia i Kiriuszka.
- Opowiem - nad podziw łatwo zgodził się major - ale pod jednym warunkiem. Lampa napisze teraz zobowiązanie następującej treści: Ja, Eulampia Romanowa, nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem nie będę bawić się w detektywa.
Sierioża błyskawicznym ruchem wsunął mi do ręki długopis:
- Pisz, Lampisko! Szybciorem!
Nie miałam wyjścia. Musiałam znieść to poniżenie.
- Doskonale - uśmiechnął się Kostin i schował „zobowiązanie" do portfela. - A teraz, niech wam będzie, opowiem całą historię. Tylko proszę mi nie przerywać.
W małej wiosce Sielichowo urodziła się mądra i zdolna dziewczynka - Ksiusza Fiedina.
Trudno pojąć, skąd w rodzinie alkoholików wzięło się takie dziecko.
Ksiusza wyrosła, pojechała do Moskwy, dostała się na Akademię Ekonomiczną, a potem, zmuszona brakiem pieniędzy, stała się służącą bogatej Wiki Popowej.
Genetyka to niezwykła nauka. Specjaliści zapewne będą w stanie wyjaśnić kolejny ewenement, a mianowicie, dlaczego w rodzinie profesjonalnych, pracowitych muzyków urodziła się leniwa i nie obdarzona żadnym szczególnym talentem Tania Mitiepasz.
Chociaż nie. Jeden talent posiadała bez dwóch zdań.
Było to niepohamowane zamiłowanie do krętactw i kłamstw.
Dwie zupełnie różne dziewczynki wychowywały się w odmiennych warunkach i różnych środowiskach. Jednak los uznał widocznie za zabawne, żeby je ze sobą zetknąć. Ale nim do tego doszło, każda z

nich musiała przebyć ciężką drogę.
Ksiusza miała za sobą trudne dzieciństwo w ubogiej, wielodzietnej rodzinie i „służbę" u Popowej. Musiała borykać się z wieloma przeciwnościami losu. Ciągle brakowało jej pieniędzy na życie, nie miała porządnych ciuchów, a czasem nawet jedzenia.
Przy tym wszystkim jednak wyróżniała się rzadko spotykanym silnym charakterem. Była otwarta i wesoła. Wszystkie trudności przyjmowała ze stoickim spokojem. Jedyną głupotą, jaką w życiu popełniła, była „przyjaźń" z Wiką.
Tania miała zupełnie odmienne dzieciństwo i młodość. Wychowywała ją kochająca matka i babcia. Żyły w dobrobycie. Poświęcały jej aż zanadto dużo czasu i uwagi. Jednak to nic nie dało.
W wieku ośmiu lat kochane dziecko zaczęło podkradać pieniądze. Początkowo podbierała drobne z portmonetki mamy, potem podwędzała monety koleżankom z klasy, aż w końcu zaczęła przywłaszczać sobie wypłaty nauczycieli.
Nie chciała się ani uczyć, ani pracować.
Kiedy zrozumiała, że matka i babka nie dadzą jej spokoju i nie przestaną jej zadręczać ciągłymi żądaniami podjęcia nauki i zdobycia jakiegokolwiek zawodu, zwyczajnie dała dyla do ojca - słynnego Fiodora Burlewskiego.
Początkowo życie u bogatego ojczulka szalenie jej się podoba. Jednak po pewnym czasie zachwyt topnieje, jak śnieg wiosną.
Tata rozpoczyna tę samą śpiewkę, co matka i babka:
- Musisz się uczyć, córeczko!
Żeby się od niej odczepił, oświadcza, że zamierza zostać piosenkarką.
Fiodor natychmiast załatwia jej pracę w grupie wokalnej, potem w drugiej, trzeciej. Ale bez rezultatu. Dziewczyna nie ma ochoty się męczyć. Woli leżeć do góry brzuchem i zbijać bąki. W głowie ma tylko oglądanie telewizji.
Kieszonkowe, które otrzymuje od nadzianego ojca, wystarcza jej na wszystkie zachcianki, a ogromna lodówka jest zawsze pełna. Przez kilka lat Fiodor toleruje w domu darmozjada, jednak w pewnym momencie nie wytrzymuje i kategorycznie oświadcza:
- Dosyć tego! Miarka się przebrała! Więcej nie dostaniesz ode mnie ani grosza! Nie chcesz śpiewać - to idź się uczyć!
Lecz Tania nie przejęła się krzykami ojca.
Łaski bez. Poradzi sobie sama.
W końcu w domu jest tyle cennych staroci: statuetki, tabakierki,

naczynia. Co nieco udaje jej się wynieść i bez większego trudu upłynnić.
Potem Burlewski zauważa zniknięcie przedmiotów i urządza awanturę.
Do Tani dociera, że cierpliwość taty się wyczerpała i decyduje się na ryzykowny numer.
Skarży się macosze, Swietłanie Łomakinej, że Fiodor czyni jej nieprzyzwoite propozycje. Ta jest przerażona tym, co słyszy. Nie przychodzi jej do głowy, że pasierbica może zmyślać. Bezgranicznie jej wierzy. Sprzyjają temu wszystkie okoliczności. Po pierwsze, jej stosunki z mężem już dawno się popsuły. Po drugie, wie o jego nieustannych romansach. A po trzecie, Tania jest mistrzynią kłamstwa.
Swietłana wyrzuca Fiodora, a Tatiana pozostaje z nią w domu.
Jednak wkrótce zdaje sobie sprawę, że to już nie to samo życie. Swietłana ma niewiele pieniędzy. Zmuszone są sprzedać mieszkanie i przeprowadzić się do skromniejszego. A plik banknotów, który został po zamianie mieszkań, powoli topnieje.
Do Tani dociera, że należy szukać nowego źródła utrzymania. To koryto jest już puste. Jednak nie jest tym faktem jakoś szczególnie załamana. Zwłaszcza że wpada na świetny pomysł.
Zamienia dwa znaczki ze światowej kolekcji ojca.
- Poczekaj, chwileczkę - nie wytrzymałam. - Ale jak jej się tego udało dokonać?
- Ta dziewczyna - spokojnie objaśniał Wołodia - to urodzona oszustka.
Pewnego razu na dyskotece poznaje niejakiego Aleksieja Razina i opowiada mu o pasji ojca. Temu, tak a propos, również namiętnemu filateliście, przychodzi do głowy pomysł z zamianą znaczków. Wykorzystując fakt, że Burlewski przesiaduje w pracy od świtu do nocy, a Swietłana nie wyściubia nosa ze swojego pokoju, Tania przyprowadza Razina do domu i pokazuje mu klaser.
Fiodor trzyma kolekcję w sejfie, ale klucza nigdzie nie ukrywa. Spokojnie zostawia go w biurku razem z szyfrem. Niezbyt to mądre z jego strony, ale taka jest prawda.
Razin wykonuje falsyfikaty, oddaje dziewczynie i, zacierając ręce, czeka na oryginały. Ale Tania nie ma najmniejszego zamiaru dzielić się z kimkolwiek zyskiem ze sprzedaży znaczków. Po kilku dniach oświadcza mu, że nie potrafi zdobyć się na kradzież, i Aleksiej zostaje

z niczym.
- Czyżby filatelista fanatyk okazał się aż tak lekkomyślny, żeby pozostawiać klucz na widoku? - zdziwiłam się.
Wołodia rozłożył ręce.
- Nieprawdopodobne, ale możliwe.
Najwyraźniej nie spodziewał się, że ma w domu parszywą złodziejkę, a rabusiów z zewnątrz się nie obawiał. W mieszkaniu miał zainstalowany nowoczesny alarm. Poza tym Tania postępuje niezwykle rozsądnie. Nie bierze najdroższych egzemplarzy, którymi Fiodor wiecznie się zachwyca i nieustannie je ogląda, lecz te z tak zwanej niższej półki. Też niewątpliwie cenne i rzadkie, ale nie unikatowe.
Na dodatek same falsyfikaty zostały wykonane z ogromną precyzją, więc oszustwo byli w stanie odkryć jedynie specjaliści.
Wracając do opowiadania, fałszywe znaczki czekają na swoją godzinę, która wreszcie nadchodzi.
Podczas gdy Swietłana pakuje rzeczy męża, Tania zajmuje się klaserem. Skradzione znaczki chowa, jak jej się wtedy wydaje, w pewnym miejscu. Wykazuje się przy tym wielkim sprytem i pomysłowością. Jednak ta właśnie pomysłowość obraca się w końcu przeciwko niej.
Rzecz w tym, że Swietłana pewnego razu niespodziewanie wraca do domu i zastaje pasierbicę w swojej sypialni nad otwartą skrytką z pieniędzmi.
Łomakina już dawno zauważyła, że systematycznie giną jej dolary, i kiedy przyłapuje dziewczynę na gorącym uczynku, bez chwili wahania każe jej się wynosić. Nie odstępuje jej na krok, kiedy ta zbiera swoje rzeczy.
Dlatego też Tatiana nie ma możliwości wyciągnięcia znaczków z kryjówki. Cenne skrawki papieru pozostają w mieszkaniu Łomakinej.
Tatianie pozostaje jedynie mieć nadzieję, że kiedyś uda jej się po nie wrócić.
Dziewczyna ląduje na ulicy.
Tego samego wieczoru poznaje jakiegoś chłopaka i jedzie z nim do jego mieszkania. Przez kilka miesięcy włóczy się od kochanka do kochanka. Potem na poważnie zaczyna zajmować się prostytucją.
Posuwa się też do kolejnych kradzieży. Nie przebiera w środkach. Dosypuje klientom do wódki środki nasenne i okrada smacznie śpiących facetów. Początkowo udaje jej się uniknąć kary.

Jednak w styczniu 1997 roku zalicza wpadkę i trafia na ławę oskarżonych. Do maja przebywa w tymczasowym areszcie. Po pięciu miesiącach jest śmiertelnie wystraszona. Zdaje sobie sprawę, że w wiezieniu dłużej nie wytrzyma.
Jedyną szansę widzi w wywołaniu u sędziego współczucia. Osiąga swój cel i w maju wychodzi na wolność. Ale nie ma dokąd pójść.
Ponownie zmuszona jest zająć się najstarszym zawodem świata i tułać się po obcych mieszkaniach.
We wrześniu 1997 roku spotyka Ksienię Fiediną. Wtedy też w jej głowie rodzi się kolejny plan zamiany. Tym razem dwóch osób.
Dziewczyny są do siebie nieco podobne. Obie są szczupłe, mają niebieskie oczy i jasnoblond włosy.
Tania ma już po dziurki w nosie obsługiwania sprośnych facetów, a po za tym boi się „koleżanek" po fachu, alfonsów i milicji.
Łatwowierna Ksiusza radzi jej, żeby udała się na uczelnię pedagogiczną, która mieści się na ulicy Sokolskiej. Przyjmują na nią wszystkich bez wyjątku i łatwo dostać akademik.
Tatiana ma bogatą wyobraźnię. Z miejsca zwietrzyła swoją szansę.
Przedstawia Ksiuszy kuszącą propozycję wielkiej kariery na estradzie. Nieustannie dolewa dziewczynie koniaku, sama nie pijąc ani kropli.
Kiedy zamroczona alkoholem Ksiusza zasypia, zabiera jej dowód osobisty, świadectwo, 500 dolarów, co nieco z biżuterii i w pośpiechu ulatnia się z mieszkania.
Po przebudzeniu Fiedina jest spanikowana. Zamiast pójść po rozum do głowy i pojechać na Sokolską, śmiertelnie przerażona koczuje na dworcu. Potem nabiera odwagi i jedzie do Złotego.
Tatiana podała Ksiuszy prawdziwy adres Saszy, gdyż nie przypuszczała, że ta może zaryzykować i skorzystać ze wsparcia. Była przekonana, że nie wystarczy jej odwagi.
Jednak zrozpaczona Ksiusza zdobywa się na ten krok, dzięki czemu nieoczekiwanie zmienia swój los.
- Przynajmniej komuś się w tej całej historii poszczęściło -westchnęłam.
- Każdemu będzie dane według jego zasług - Kostin zacytował Biblię. - Ksiusza wyszła na prostą. Daj Boże, żeby się jej udało zaistnieć na scenie i żeby miała wiele szczęścia w życiu osobistym. Biedna dziewczyna tyle już przeszła.
Tani początkowo też dopisuje szczęście. Dostaje się na uczelnię i dają jej akademik. Mieszka w jednym pokoju z Niną Sorokiną. Jednak nie

zmienia swojego podejścia do nauki. Nienawidzi siedzenia nad książkami.
Już w listopadzie zatrudnia się w „Laurze". Do pracy namawia również Ninę.
Po kilku wizytach w restauracjach i na bankietach zaczyna zdawać sobie sprawę, że świat jest mały i przypadkiem może trafić na kogoś ze starych znajomych.
Postanawia zmienić swój wygląd: ścina włosy na krótko, farbuje się na brunetkę, kupuje okulary zerówki z lekko przyciemnionymi szkłami i zaczyna się mocno malować. Teraz nie poznałaby jej nawet rodzona matka. Gdyby żyła, oczywiście. Do tego czasu biedna Ewa popełniła już samobójstwo.
Jedno jest pewne: zmiana jest kolosalna, co potwierdza fakt, iż nie rozpoznaje jej własny ojciec. Tania świetnie się bawi, towarzysząc mu przez cały tydzień na różnych prezentacjach i spotkaniach.
Fiodorowi nawet do głowy nie przyszło, kim tak naprawdę może być „dziewczyna do wynajęcia".
W grudniu Nina wychodzi za mąż i Tatiana zostaje sama. W styczniu próbuje szantażować przyjaciółkę, jednak ta odpiera atak. Grozi, że wszystkim o niej opowie. A wie bardzo dużo, gdyż panna Mitiepasz po pijaku wypaplała całą prawdę o sobie i Tania zdaje sobie sprawę, że upija się nawet od łyżeczki alkoholu i że robi się potem strasznie gadatliwa, więc odpuszcza sobie dalsze szantażowanie.
Kolejne tygodnie upływają jej na pracy. Monotonia dnia powszedniego. Aż pewnego razu do „Laury" przychodzi niezwykła klientka - Luba Toropowa.
Najpierw wynajmuje Tanie dla towarzystwa przy obiedzie, a potem przedstawia inną propozycję.
Tania miałaby poznać się z niejakim Olegiem Jakowlewiczem Pisiemskim i zostać jego żoną.
- Po co? - dziwi się dziewczyna.
- Jest mi to po prostu potrzebne - Toropowa tajemniczo się uśmiecha i proponuje: - Gdy tylko w twoim dowodzie pojawi się wpis o zawartym małżeństwie, otrzymasz dwadzieścia tysięcy dolarów.
Dla takiej sumy Mitiepasz gotowa jest na golasa przejść w niedzielne południe po najbardziej uczęszczanej ulicy w Moskwie. Po Twerskiej.
Luba przyprowadza dziewczynę do fryzjera, Maksima.
Wszystko idzie jak z płatka.
Nie mijają nawet dwa miesiące, a Oleg Jakowlewicz jej się oświadcza.

Wygląda na to, że Tania się marnuje.
Byłaby z niej wyśmienita aktorka. Rolę nierozpieszczonej, skromnej dziewczynki z prowincji odgrywa genialnie.
- Jednak mimo wszystko popełnia parę błędów - westchnęłam. -Podaje złe imię ojca macochy i adres w Sielichowie.
Zamiast Raisy Konstantinownej powinna podać Raisę Pietrowną, a zamiast ulicy Matrosowej - Kosmonautów.
- Ale ona nie znała dokładnego adresu - wyjaśnił Wołodia - więc siłą rzeczy była zmuszona coś wymyślić. Obawiała się, że krewni z Sielichowa zaczną szukać Ksiuszy i dlatego.
- ...wysłała do nich idiotyczne zawiadomienie o jej śmierci -podchwyciłam.
- Pamiętnego wieczoru Ksiusza poskarżyła się Tani, że u niej w domu strasznie chleją i oszustka stwierdziła pewnie, że wystarczy zwykły świstek, żeby uwierzyli. I miała rację. Ani brat, ani jego żona niczego nie podejrzewali. „Pochowali" dziewczynę.
- Czapki z głów, miss Marple - zażartował Wołodia.
Jednak mnie ten dowcip jakoś nie bardzo się spodobał. Błyskotliwa dama była już staruszką, a ja jestem jeszcze całkiem młoda. Takie porównanie jest co najmniej nie na miejscu.
Tatiana zaczyna prowadzić rodzinne życie. Niespodziewanie dla niej samej bardzo jej to odpowiada. Oleg Jakowlewicz jest bogaty i ma gest. Bez mrugnięcia okiem spełnia każdą zachciankę żony. Nie żałuje jej pieniędzy. Co więcej, zachęca ją do ich wydawania. Sprawia mu ogromną przyjemność rola Świętego Mikołaja. Początkowo Tatiana usiłuje zrobić na Pisiemskim dobre wrażenie i mówi mu, że studiuje. Jednak Oleg Jakowlewicz nie przywiązuje wcale wagi do wykształcenia żony i mimochodem rzuca:
- Chcesz się uczyć - ucz się, nie chcesz - nie musisz.
Po jakimś czasie Tania przestaje udawać studentkę i zostaje w domu.
Jak do tej pory wszyscy krewni i znajomi próbowali zmusić ją do nauki albo pracy. Oleg jest pierwszą osobą, którą cieszy widok leniuchującej kobiety. Sam donosi jej jeszcze słodycze. Kieruje nim obawa przed ponownym przeżywaniem tego samego. Raz się już w życiu sparzył. Miał mądrą i nadaktywną żonę z wyższym wykształceniem. Obie strony są więc zadowolone z obecnego stanu rzeczy.
Przez trzy miesiące cieszą się swoim niczym niezmąconym szczęściem. Potem następuje przełom.

Po niespodziewanym telefonie Tania jedzie na spotkanie z Lubą Toropową. Ta bez zbędnych ceregieli wykłada na stół fiolkę z tabletkami o tajemniczej nazwie tyroksyna i wydaje polecenie:
- Będziesz to dosypywać Pisiemskiemu do jedzenia trzy razy dziennie.
- Po co? - pyta z lękiem Tania.
Toropowa uśmiecha się przebiegle.
- Nie musisz wiedzieć.
- No ale dlaczego? - Tania domaga się odpowiedzi.
Po chwili milczenia Luba odpowiada:
- Choruje na niedoczynność tarczycy. Tyroksyna jest hormonem. W małych dawkach działa jak lek. W większych wywołuje stenokardię, arytmię i.
Milknie. Nie musi kończyć.
Tania doskonale rozumie jej zamiary. Jest przerażona.
- Zabić?. Czy pani zwariowała? Nigdy w życiu! Dlaczego pragnie pani jego śmierci?
Luba niespiesznie zapala papierosa, po czym łaskawie odpowiada:
- To mój ojciec. Ta stara kutwa nie chce mnie wpuścić do swojego domu. Skąpiec! Gdybym miała więcej pieniędzy, mogłabym wyjść za mąż, a tak jestem nikomu niepotrzebna nędzarka.
Tania milczy wystraszona.
- Nie bój się - uspokajają Luba. - Nie sposób tego wykryć. Żaden biegły się nie zorientuje. Chory nieodpowiednio dawkował lek. Samo życie. A być może nie dojdą nawet do tyroksyny. Zostaniesz bogatą wdową. Dostanie ci się w spadku połowa jego majątku. Druga połowa trafi w moje ręce. Będziemy zabezpieczone na całe życie.
- Nie, nie podejmę się tego - przeciwstawia się Mitiepasz.
- Skoro tak stawiasz sprawę - wzdycha Luba - to w porządku. Tylko pamiętaj, żebyś się nie zdziwiła, że powiem mu, jakie z ciebie ziółko. Znowu wylądujesz w „Laurze" albo gorzej - pod mostem.
Tatiana usilnie zastanawia się, jak ma postąpić. Jednak po raz pierwszy umysł odmawia jej posłuszeństwa.
- No dobra, szkoda mojego cennego czasu - pastwi się nad nią Luba.
- Pakuj walizkę! Jutro z wielkim hukiem wylatujesz na bruk!
- Proszę dać mi ten lek - szepcze Tania.
- To rozumiem. Mądra dziewczynka - chwali Toropowa i wręcza jej fiolkę. - Pamiętaj: trzy razy na dzień podczas jedzenia. No to żegnam. Będziemy w kontakcie.
Przez całą noc Tania przewraca się z boku na bok. Nie może zmrużyć

oka. Jest bezczelną krętaczką, złodziejką i prostytutką. To nie podlega żadnej kwestii. Ale nie jest morderczynią. Niewiele osób jest w stanie przekroczyć cienką granicę oddzielającą życie od śmierci. Poza tym Pisiemski bardzo jej się podoba. A rola żony i beztroskie
życie u jego boku w pełni jej odpowiadają. Nad ranem podejmuje decyzję.
Tyroksyna ląduje w śmietniku.
Luba dzwoni po trzech miesiącach i wyznacza kolejne spotkanie.
- Co słychać? - pyta.
- Oj, kiepsko - wzdycha Tania. - Olega serce boli. Ma arytmię. Lekarz stwierdził stenokardię.
- Och, jak mi przykro - kpi Luba z drwiącym uśmieszkiem na twarzy.
Po chwili wyjmuje kolejną porcję tabletek.
Fiolka ponownie trafia do najbliższego śmietnika. Mijają kolejne trzy miesiące. Następuje ponowne spotkanie. Potem jeszcze jedno i jeszcze. Ale jesienią beztroskie życie Tani dobiega końca.
Pewnego dnia około godziny ósmej wieczorem dzwoni do niej Luba i domaga się spotkania:
- Przyjeżdżaj natychmiast do kawiarni „Rosa" na Kołosowej.
- Nie mogę - mówi szeptem Tania, zerkając trwożliwie na drzwi. -Oleg jest w domu.
- Wymyśl jakąś bajkę - ucina krótko Luba. - Do północy masz się tu zjawić. Jeśli nie, jutro o wszystkim doniosę.
Tania nie ma pojęcia, co takiego mogło się wydarzyć, że Luba niezwłocznie chce się z nią zobaczyć.
Dolewa mężowi do kefiru środki nasenne i co tchu biegnie na ulicę Kołosową.
Luba z miejsca naskakuje na nią z gębą.
- Ty ścierwo! Ty dziwko! Chciałaś mnie wykiwać!
- O co chodzi? - pyta z lękiem Tania.
Toropowa syczy, wymachując rękami:
- Gadaj, łajzo, jak się czuje Pisiemski?
- Marnie - rozpoczyna starą śpiewkę Tania.
- Ty wywłoko! - Luba nie przebiera w słowach. - Oszustko przebrzydła! Wcale mu nie dajesz tabletek. Sądziłaś, że się o tym nie dowiem?
- Ale jak? W jaki sposób? - szepcze Mitiepasz.
- Mam cię! - krzyczy z triumfem. - Mam przyjaciółkę w klinice, do której chodzi ojciec. Zajrzała do jego karty i doniosła mi, że nie ma ani

śladu stenokardii. Jest zdrowy jak ryba! Życie ci nie miłe? Możemy to załatwić.
Przestraszona Tania próbuje się wykręcać:
- Pewnie lek nie podziałał.
- Tak myślisz? - uśmiecha się głupkowato Luba. - Wobec tego masz.
Na stole pojawia się ampułka.
- To zadziała na pewno - oświadcza i rozkazuje: - Żebyś mu to jutro wlała do kawy. Z samego rana!
Na wpół żywa Tatiana wraca do domu. W następnym tygodniu żyje w ciągłym strachu.
Bez przerwy patrzy, czy ktoś do niej nie dzwonił, pierwsza podnosi słuchawkę i ukradkiem wyłącza komórkę męża, żeby Toropowa nie mogła się z nim skontaktować.
Nie wyściubia nosa z domu.
Każdego wieczoru zagląda mężowi prosto w oczy: już wie czy jeszcze nie?
Po trzech dniach jest na krawędzi załamania nerwowego.
Toropowa dręczy ją nieustannymi telefonami, za każdym razem grożąc, że powiadomi o wszystkim Pisiemskiego.
Jednym słowem, Tania jest zaszczuta. Czuje się jak mysz, która wpadła w pułapkę i czeka na śmierć. Nie ma żadnych przyjaciół. Oprócz Pisiemskiego istnieje tylko jedna osoba, do której mogłaby się zwrócić o pomoc. W końcu, widząc, że nie ma innej rady, decyduje się to uczynić.
Doskonale zdaje sobie sprawę, że nadszedł kres jej rodzinnego życia.
Umawia się z jedynym przyjacielem, jakiego ma.
Prosi go, żeby czekał na nią przy drzwiach wyjściowych z teatru. Podczas antraktu opuszcza budynek, wkładając uprzednio dostarczoną kurtkę i buty.
Na rogu Twerskiej i Kamergierskiego czeka na nią taksówka. Tym sposobem znika bez śladu z życia Pisiemskiego.
Ot, i cała historia. Mam nadzieję, że wszystko jasne?
- Nie! - krzyknęliśmy wszyscy.
Zadałam szybko pytanie:
- Kto jest tym wiernym przyjacielem?
Wołodia chrząknął.
- Naprawdę się nie domyślacie? Komu na tym świecie nie jest obojętna ta podła dziewczyna? Kto mógł wybaczyć jej wszystkie grzechy? Nawet to, że jej własna matka się przez nią powiesiła?

Odpowiedź nasuwa się sama. Nikt inny, jak tylko babcia, Olga Wasiliewna Mitiepasz.
- Zaraz, zaraz - mruknęłam. - Przecież u niej byłam. Nagadała mi o wnuczce okropnych rzeczy. Że jest podła i że nie ma wstępu do jej domu.
- Okłamała cię - westchnął Kostin. - Tatiana przez cały ten czas siedziała w sąsiednim pokoju. Oddzielała cię od niej jedynie cienka ścianka. Tania wyznała babci całą prawdę. Opowiedziała o swoich kłopotach. Starsza pani była przerażona nie na żarty. Jednak szybko się pozbierała i podjęła decyzję. Uratuje skórę marnotrawnej wnuczce. Uprosiła krewną z Petersburga, żeby przyjęła do siebie Tanię. Pech chciał, że krewna się rozchorowała i wyjazd chwilowo musiał zostać odłożony. Tania ma szczery zamiar rozpocząć nowe życie.
- W takim razie po co Olga Wasiliewna opowiedziała mi o Tani i jeszcze na dodatek wyznała, że jest córką Burlewskiego? - dziwiłam się.
- Przedstawiłaś się jako pracownik milicji. Babcia postanowiła cię zmylić. Chciała, żebyś myślała, że nienawidzi Tatiany i nigdy nie przyjmie jej z powrotem. No a to, że Tatiana jest córką Burlewskiego -to ogólnie znany fakt. Z pewnością sądziła, że o tym wiesz.
- A po co to całe przedstawienie z odejściem z teatru w samej sukience? - zapytała Julia.
Wołodia uśmiechnął się.
- Zarówno Tania, jak i Olga Wasiliewna to egzaltowane, artystyczne natury. Ich zdaniem należało odejść z klasą.
- Co za idiotyzm! - wtrącił Sierioża.
- Fakt - zgodził się Kostin. - W tym wypadku nie ma mowy o ruszaniu głową. Jak w meksykańskim serialu. Na dodatek babcia uniosła się honorem i zażądała, żeby Tania zwróciła mężowi biżuterię i drogie futro. Ma bardzo mocno rozwinięte poczucie dumy i przyzwoitości.
- Jak się domyśliłeś, że Tania jest u babci? - byłam coraz bardziej podekscytowana.
- Bardzo łatwo, Watsonie. Przecież nie mogła pójść w siną dal bez wierzchniej odzieży i w szpilkach, gdy na dworze panował dwudziestostopniowy mróz. Musiała mieć wspólnika z samochodem. A samochód musiał stać z drugiej strony, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Róg Kamergierskiego i Twerskiej pasuje idealnie. A tam obok poczty znajduje się posterunek drogówki. Przesłuchano

funkcjonariusza, który miał tego dnia dyżur. Przypomniał sobie, że około godziny dziesiątej wieczorem podszedł do taksówkarza i zapytał, dlaczego stoi z włączonym licznikiem. Kierowca odparł, że czeka na klientkę. Po chwili pojawiły się dwie kobiety. Milicjant nie ukarał taksówkarza mandatem, gdyż w tym miejscu jest zakaz postoju, ale wolno się zatrzymywać. Dalej to już kwestia techniki. Popytaliśmy w firmach taksówkarskich, znaleźliśmy kierowcę i po sprawie! Teraz, mam nadzieję, nie ma już więcej pytań?
- Są! I to jeszcze ile! -krzyknęła Katia. - Cały grad pytań! Kto strzelał do Tiny? Dlaczego Burlewski postanowił sprzątnąć Lampę.
- To już zupełnie inna historia - przerwał jej Wołodia.
- Opowiedz! - odezwał się Sierioża.
- Co to, to nie! - odmówił Kostin. - Nie tak szybko. Najpierw w spokoju zjem pierogi i napiję się herbaty!

Rozdział 30

W zupełnym milczeniu czekaliśmy, aż major się naje. Nawet psy siedziały spokojnie, a koty - na czele z Morisem - intensywnie się w niego wpatrywały. Cisza aż dzwoniła w uszach.

Wreszcie major zmiótł z talerza wszystkie pierogi i zapytał:

- Nie ma więcej?

- Nie - odparła krótko Julia. - Jesteś gotowy umrzeć na skręt kiszek, byleby zyskać na czasie?

Wołodia się roześmiał i wyciągnął fajkę.

Z rosnącym zniecierpliwieniem obserwowaliśmy, jak niespiesznie nabija ją tytoniem, zapala.

- No weź - nie wytrzymała Katia. - No mów!

- Zacznijmy od tego - rozpoczął z ociąganiem Wołodia - że. Zobacz, Lampa, do czego może doprowadzić człowieka nieposkromiona pasja!

Fiodor zaczął zbierać znaczki, mając dziesięć lat. Najpierw, jak wszystkie dzieci, kupował notesy z wizerunkami zwierząt, potem przerzucił się na niepozorne kawałeczki papieru o zębatych brzegach. Wydawał na nie prawie wszystko, co zarabiał.

Pod koniec lat osiemdziesiątych nie miał zbyt wiele pieniędzy, a mimo to regularnie zapełniał klaser. Nikogo i niczego nie lubił tak bardzo jak te znaczki.

Zwykły śmiertelnik nie jest w stanie ogarnąć rozumem podobnej namiętności. Dla znaczków był gotowy na wszystko. Nawet, jak się później okazało, na morderstwo.

Zniknięcie dwóch unikatów odkrywa przez czysty przypadek. Zabiera kolekcję na wystawę do Hiszpanii, gdzie doznaje niebywałego upokorzenia, kiedy rzeczoznawca przy świadkach oznajmia, że to falsyfikaty. Wściekły wraca do Moskwy.

Jest przekonany, że zamiany dokonała jego była żona - Swietłana. Dręczy Łomakinę telefonami. Żąda zwrotu znaczków.

Jednak kiedy Swieta zaklina się, że to nie ona, Fiodor wynajmuje dwóch kryminalistów i każe im przeszukać mieszkanie i upozorować kradzież. Złodzieje wykonują zlecenie, ale znaczków nie znajdują.

Burlewski jest zrozpaczony.

Czyżby wstrętne babsko zdążyło opchnąć łup?
Jednak świat jest mały. A krąg filatelistów jeszcze mniejszy. Większość z nich lubi się pochwalić nowymi nabytkami. Fiodor wypytuje wśród swoich i nabiera stuprocentowej pewności, że jeszcze nikt nie kupił jego skarbów. Wniosek?
Nadal ma je Łomakina.
Znów zaczyna do niej wydzwaniać. Proponuje pieniądze, prosi, grozi. Wreszcie nadchodzi pamiętny dzień, a raczej noc.
Fiodor wybiera numer byłej żony i bez żadnych wstępów informuje:
- Czekaj, cholero! Zaraz osobiście się u ciebie zjawię i wszystko przeszukam!
Swietłana wpada w panikę. Dzwoni do najbliższej przyjaciółki -Ani. Jednak ręce drżą jej tak bardzo, że omyłkowo naciska inną cyfrę.
W ten sposób bez przerwy łączy się z Eulampią.
Rozjuszony niczym dziki zwierz, Fiodor wyważa drzwi i wdziera się do mieszkania. W kieszeni ma strzykawkę napełnioną lekarstwem.
W jego rozszalałym umyśle rodzi się genialny plan: ma zamiar wstrzyknąć byłej żonie środek o silnym działaniu i, kiedy zrobi się jej niedobrze, postawi ją przed wyborem: albo powie, gdzie są znaczki, i Fiodor wezwie lekarza, albo.
Ma jednak straszliwego pecha.
Dawkę wylicza na podstawie wskazówek z Informatora Toksykologia, ale z braku doświadczenia wstrzykuje Swietłanie zbyt dużą ilość preparatu. Ta momentalnie wpada w stan agonii.
Jednak nawet wówczas uporczywie twierdzi, że niczego nie brała, czym doprowadza Fiodora do białej gorączki.
Być może miał zamiar wezwać do umierającej lekarza, ale nagle rozlega się dzwonek u drzwi. Wystraszony chowa się w przedpokoju do szafy. Słyszy, jak jakaś kobieta wchodzi do mieszkania i wzywa pogotowie. Zaznaczam: słyszy, ale jej nie widzi.
W czasie, gdy nieznajoma próbuje pomóc leżącej kobiecie, Fiodor wydostaje się z ukrycia i ucieka.
Rano zaczyna się bać.
Po pierwsze, dowiaduje się, że Swietłana zmarła, a po drugie, zdaje sobie sprawę, że konając, mogła powiedzieć nieznajomej, kto jest mordercą!
- Nie - westchnęłam - nie powiedziała. W kółko tylko mamrotała: „Podróba, podróba" i „Przyszedł mnie zabić".
- Po zastanowieniu - kontynuował wątek Wołodia - Fiodor dochodzi

do wniosku, że była żona zdążyła zadzwonić do którejś z koleżanek. Pytanie: której? Ponownie jedzie do mieszkania Łomakinej, zrywa pieczęć, wchodzi do środka i sprawdza w pamięci telefonu ostatnio wybierany numer. Dzwoni pod niego, udając pracownika centrali telefonicznej. Trafia na Lampę, która zachowuje resztki zdrowego rozsądku i podaje mu fałszywy adres. A dokładniej mówiąc, podaje prawdziwą nazwę ulicy i numer mieszkania, przekręca tylko numer bloku. Co za głupota z jej strony! Skoro nie chciała wyjawiać swoich danych, to powinna nic nie mówić. Ale nasza Lampeczka sądzi zapewne, że wykazała się niezwykłym sprytem. Fiodor jedzie pod wskazany adres z pistoletem w kieszeni. Do końca nie wie, co zrobi: czy zaproponuje pieniądze, czy zastrzeli babę. I tu następuje coś nieprawdopodobnego.

Burlewski dzwoni do drzwi, a kiedy nikt mu nie otwiera, napiera na nie barkiem. O dziwo, drzwi ustępują bez najmniejszego oporu. Zajcewa już od dawna ma zepsuty zamek. W pokoju czeka go niebywała niespodzianka.

Na kanapie w najlepsze chrapie jego syn - Anton, a obok śpi zalana w trupa Zajcewa. Fiodor błyskawicznie łączy ze sobą fakty. Wszystko idealnie pasuje. Przed śmiercią Swietłana musiała zatelefonować do syna i jego współlokatorki. Logiczne posunięcie.

Zajcewa mieszka tuż obok i zdążyłaby przybiec na pomoc.

Burlewski wpada w szał. Chwyta nóż i wbija go w ciało kobiety.

Następnie wsuwa narzędzie zbrodni Antenowi w dłoń i ucieka.

Sprawa załatwiona. Jedyny świadek nie żyje.

Bez najmniejszych skrupułów wrabia w zabójstwo staczającego się na dno chłopaka.

Dalszy rozwój wypadków jest nad wyraz zaskakujący.

Najpierw na komisariacie śledczy opowiada Fiodorowi o środku nasennym, którego ślady znaleziono we krwi syna.

Milicjant łamie tajemnicę służbową, jednak czyni to ze szlachetnych pobudek. Żal mu producenta i chce go w ten sposób pocieszyć.

- Niech się pan nie przejmuje. Wszystko wskazuje na to, że Antona ktoś zamierzał wrobić.

Burlewskiemu z trudem udaje się zachować niezmieniony wyraz twarzy. Jedzie do pracy i zaczyna główkować, co z tym fantem zrobić.

I w tym momencie los zsyła mu Lampę.

Zobaczywszy głupkowatą, ale uczynną kobietę, która na dodatek marzy, żeby zarobić nieco grosza, natychmiast obmyśla plan.

Wynajmuje Lampę w charakterze detektywa i zleca jej zajęcie się sprawą syna. Tym sposobem upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Stwarza pozory troskliwego ojca i ma nadzieję za pośrednictwem naszej miss Marple naprowadzić milicję na ślad Monachowa.
- A co to za jeden? - przerwał majorowi Sierioża.
- Stary znajomy Fiodora. Niegdyś grywali razem po restauracjach, ale w pewnym momencie Andriej poszedł w tango i w rezultacie został narkomanem. Po kolejnej odsiadce zwraca się do Burlewskiego w nadziei, że ten pożyczy mu pieniądze. Fiodor udaje się do Monachowa, częstuje go działką heroiny i, kiedy Andriej zasypia, z zimną krwią go zabija. Następnie pozostawia napisaną drukowanymi literami notatkę z rzekomym przyznaniem się do zabójstwa Zajcewej, po czym wraca do biura, niesłychanie zadowolony ze swej przebiegłości. Potem daje Lampie adres „sprawcy".
Ta pędzi do Monachowa, odkrywa zwłoki i wzywa milicję.
Burlewski triumfuje. Wszystko idzie zgodnie z planem. Głupia baba dostaje pieniądze i milczy. Milicja zaś ma w końcu mordercę. Fiodor pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami.
- Ale po co chciał ukatrupić Lampkę? - znów wtrącił się Sierioża.
- Każdego dosięgnie miecz sprawiedliwości - westchnął Wołodia. -Niestety, ma tu miejsce cały splot głupstw i idiotycznych zbiegów okoliczności. Żeby mieć stały kontakt z Lampą, Burlewski dał jej pager, który ta zwraca mu po „udanej" akcji z Monachowem.
Wtedy mężczyzna prosi o jej numer telefonu i otrzymawszy go, omal nie mdleje z wrażenia. Okazuje się, że przed śmiercią Łomakina dzwoniła nie do Zajcewej, tylko do Eulampii!
- Faktycznie. Jakoś dziwnie się wystraszył - wyszeptałam - i zaczął coś gadać bez ładu i składu. Dopytywał się, czy to aby na pewno jest mój numer.
- No właśnie - uśmiechnął się posępnie Wołodia. - Fiodor nie ma innego wyjścia. Musi pozbyć się Lampy. Wynajmuje płatnego zabójcę. Chłopak zjawia się jako doręczyciel paczek i strzela do Walentyny. Pomyłka wychodzi na jaw już nazajutrz.
- No tak. Fiodor bardzo się interesował moim zdrowiem -zachichotałam. - A potem się zreflektował i sprowadził rozmowę na temat epidemii grypy.
- Otóż to - potwierdził major. - Przeżył okropne chwile, kiedy usłyszał głos Eulampii. Po raz pierwszy zdecydował się zlecić zabójstwo - a tu taka klęska! Jeszcze nigdy nie przytrafiały mu się podobne wpadki.

Nocą wzywa Lampę do opuszczonego domu. Planuje pozbawić ją życia, a następnie podpalić budynek i wyjechać za granicę.
I tam przeczekać całe zamieszanie.
- A skąd wiedziałeś, że Lampisko pojechało „na akcję”? - zapytał Sierioża.
- Od dawna mieliśmy ją na oku.
- Nic nie zauważyłam - mruknęłam.
- Tylko tego brakowało - chrząknął. - Obserwowali cię zawodowcy, a nie jakieś gamonie, które dla kasy gotowe są na wszystko!
Bez słowa przełknęłam oskarżenie.
- Już od dawna miałem pewne podejrzenia, że Lampa bawi się w detektywa - wyjaśnił Wołodia. - A „ogon” zaczął ją śledzić po tym, jak mi nakłamała, że adres Monachowa podali jej w Centralnym Biurze Adresowym. To było niemożliwe, gdyż nie był zameldowany w Moskwie. No a niewinne, drobne kłamstewko.
- Rodzi wielkie podejrzenia - wesoło dokończyła Katia.
- Tak a propos, to ty mnie w to wplątałaś! - oburzyłam się.
- A gdzie są znaczki? - zapytała Julia. - Tatiana je ma?
- Nie - zaprzeczył major. - Nie miała okazji wyjąć ich ze skrytki.
- Są u Łomakinej w domu -jęknęłam.
- Były. A teraz są u was.
- U nas? - krzyknęliśmy chórem. - U nas? Gdzie?
Wołodia bez słowa pokazał palcem Morisa.
- Kot zjadł znaczki, tak? - zgadywał Kiriuszka.
Nie czekając na odpowiedź, rzuciłam się w stronę parapetu, gdzie leżała szeroka obroża z medalionem.
- Jestem pod wrażeniem - pochwalił mnie Kostin. - Jak na to wpadłaś?
- To do kogo teraz trafią? - zainteresowała się Katia.
Wołodia wzruszył ramionami.
- Albo zostanie zasądzona konfiskata na rzecz państwa, albo będą czekały na Fiodora.

Epilog

Niestety, w naszym państwie o wszystkim decydują pieniądze.
Burlewski został zwolniony z aresztu pod warunkiem nie opuszczania kraju. Obecnie leży w Instytucie im. Sklifosowskiego z ciężarkami na nogach.
Wynajął najlepszych adwokatów i przedstawił zaświadczenie, że jest chory na raka i znajduje się na progu śmierci.
A osobom w stanie krytycznym, nawet jeśli są mordercami, sąd daje taryfę ulgową. Tym samym Fiodor chce się wykpić. Pewnie dostanie najmniejszy możliwy wyrok.
I mimo że Kostin przysiągł zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby prokurator zażądał najwyższego wymiaru kary, nie sądzę, by mu się to udało.
Dobra sytuacja finansowa producenta pozwoli mu na uniknięcie sprawiedliwości.
Ksiusza jest szczęśliwa. Mieszka z Saszą.
Tatiana Mitiepasz wróciła do Olega Jakowlewicza.
Odbyli długą i bardzo nieprzyjemną rozmowę, ale Pisiemski chyba rzeczywiście kocha tę wstrętną dziewczynę, bo wszystko jej wybaczył.
Nawiasem mówiąc, Tania bardzo się zmieniła.
Okropna historia, która się jej przytrafiła przez jej własną głupotę i chciwość, wpłynęła na nią korzystnie.
Do „króla nafty" przeprowadziła się również Olga Wasiliewna.
Wszyscy chcą jak najszybciej zapomnieć o tym, co się stało. Jednak na razie nie będzie to możliwe, gdyż czeka ich jeszcze rozprawa przeciwko Lubie Toropowej, na której Tatiana będzie głównym świadkiem.
Z Ameryki przyjechała była żona Pisiemskiego, ale ten nie zgodził się z nią spotkać.
Zwróciłam pieniądze otrzymane od Burlewskiego. Przekazałam kopertę Antonowi, który do tej pory nie może pogodzić się z tym, jak postąpił z nim jego własny ojciec.
Ale wszystko ma swoje dobre strony.
Anton nie pije już od tygodnia. Po raz pierwszy w życiu.

Mimo wszystko udało mi się zarobić.
Oleg Jakowlewicz dosłownie siłą wcisnął mi pieniądze.
- Odnalazła pani Ksiuszę, to znaczy Tanie - stwierdził - więc należy się pani honorarium.
- Ale to nie moja zasługa - nie zgodziłam się z nim. - To wszystko dzięki Wołodii.
Pisiemski jednak nie chciał mnie słuchać.
31 grudnia przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania.
Samochód z tragarzami, jak można się było tego spodziewać, przybył nie o pierwszej, ale dopiero o piątej po południu.
Do godziny dziesiątej dźwigaliśmy pakunki i walizki.
O wpół do jedenastej usiedliśmy i bezmyślnie zagapiliśmy się na sterty jednakowych kartonów z napisem „Pedegree Pal". Byliśmy przygnębieni. Jak w tym całym bałaganie znaleźć naczynia?
- Trzeba było wszystko poopisywać - rychło w czas stwierdziła Katia.
- No - zgodziła się Tina, która dopiero co opuściła szpital. - Fakt.
- Wszyscy jesteście mądrzy po szkodzie - oburzył się Sierioża. - Jak będziemy świętować Nowy Rok?
- Poradzimy sobie - podtrzymała nas na duchu Katia. - Idź podłącz telewizor. Posłuchamy koncertu i będziemy się w tym czasie rozpakowywać, a na kolację ugotujemy pierogi.
- Fajnie - mruknął chłopak i zaniósł telewizor do dużego pokoju.
Zaczęliśmy rozrywać kartony. Znaleźliśmy czajnik, szczyptę
herbaty i kubki. Od razu poprawił się nam humor.
Psy i koty, oszalałe od przeprowadzki, latały po pokojach jak głupie.
- Ej! - dobiegł z salonu głos Sierioży. - Chodźcie tu, prędko! Ale kawał!
Pobiegliśmy i stanęliśmy w progu jak wryci.
Z ekranu spoglądał na nas Jelcyn.
- Podjąłem decyzję - mamrotał skrzekliwym głosem - o odejściu z funkcji prezydenta.
Sierioża się roześmiał.
- Nie widzę w tym nic śmiesznego - Julka kopnęła go w kostkę.
- Ale jaja! - chłopak miał ubaw po pachy. - Pokazują dla kawału sobowtóra Borysa Nikołajewicza!
- I jaki podobny! - nie mogła się nadziwić Katia.
- Kropka w kropkę - bąknęłam pod nosem.
- Chyba zaraz umrę ze śmiechu - trzymał się za brzuch Sierioża. -Ale ubaw!
Gdy tak na niego patrzyliśmy, nam również zrobiło się wesoło.

Chłopak ma rację, komu przyszłoby do głowy wyrządzać swojemu narodowi takie świństwo w przeddzień Nowego Roku?
Nagle obraz się zmienił. Na ekranie pojawiła się wykrzywiona twarz prezenterki - Marianny Maksimowskiej.
- To też sobowtór? - zapytał z typową dla siebie prostotą Kiriuszka.
Puknęliśmy na niego i z przerażeniem słuchaliśmy wiadomości.
- No, no - mamrotał Sierioża - ten Nowy Rok zapadnie nam w pamięci na całe życie. Nie mamy stołu, siedzimy na walizkach, przy pierogach z mięsem, a na dodatek prezydent zbzikował.
Nie zdążył zamknąć ust, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.
- Kogo niesie o takiej porze? - zdziwiła się Julia.
Do przedpokoju wparowała pani architekt, Eugenia Nikołajewna.
Bez słowa padła na kolana i wyciągnęła przed siebie ręce w błagalnym geście.
- Bardzo mi przykro, wybaczcie.
- Co się stało? - przestraszona Katia rzuciła się, żeby ją podnieść z podłogi.
Ale ta tylko kręciła głową i powtarzała w kółko to samo:
- Wybaczcie, wybaczcie.
Rozpoczęliśmy gorączkowe poszukiwania waleriany. Pod rękę, jak na złość, wpadały jednak same psie miski, książki, żelazka i pościel.
W końcu Katia znalazła buteleczkę, która zawieruszyła się w adidasach Kiriuszy, i wlała w Eugenię końską dawkę.
Ta chlipnęła ze dwa razy, po czym wreszcie zamilkła.
- Co się takiego stało? - zapytała Julia.
- Pomyłka, Pomyłka - pisnęła w odpowiedzi.
- Mów po ludzku - zażądała Katia.
- Pomyliłam ulice - szlochała kobieta. - Metro nie będzie przechodzić koło waszego starego mieszkania.
- Jasny gwint! - wyrwało mi się.
- A gdzie? - zapytał cicho Sierioża. - Gdzie będzie przechodzić?
- Tutaj - wybełkotała, kuląc się ze strachu.
- Chcesz powiedzieć, że szyny zostaną poprowadzone pod oknami naszego nowego mieszkania? - osłupiała Katia.
- Tak - potwierdziła Eugenia Nikołajewna i zalała się łzami.
Zapanowała złowroga cisza. Staliśmy z otwartymi ustami. Nawet zwierzęta się uspokoiły. Wyczuwały przerażenie swoich właścicieli.
Po chwili pani architekt głośno się wysmarkała i zaczęła paplać:
- To nic. Głupstwo. Wszystko da się jeszcze naprawić. Moja znajoma z

biura nieruchomości ma cudowną propozycję. Znalazła sześciopokojowe apartamenty obok metra. To mieszkanie się sprzeda, dołoży się raptem dziesięć tysięcy dolarów i po sprawie. Cudowna propozycja. Zaczniemy działać już drugiego stycznia. Możecie się nie rozpakowywać.
- Nawet jeśli po raz kolejny zdecydowalibyśmy się na podobną głupotę - zaznaczyła z naciskiem Julia - to skąd wytrzaśniemy taką zawrotną sumę?
I tu nadeszła moja wielka chwila. Zręcznym ruchem wyciągnęłam pękatą kopertę.
Zielone banknoty pofrunęły na blat.
- Proszę, całe dziesięć tysięcy!
- A widzisz! - wykrzyknęła Katia. - Mówiłam, że ci się uda!
- Lampisko - rozpoczął surowym tonem Sierioża - wstrętne Lampisko, gadaj natychmiast, skąd je wzięłaś?
- Zarobiłam - odpowiedziałam z dumą. - Tylko i wyłącznie dzięki swojej nieprzeciętnej inteligencji i zadziwiającej bystrości umysłu.

KONIEC

SERIA Z KOBRĄ

Daria Doncowa <

POKER Z REKINEM

Drugi tom z cyklu powieści kryminalnych Darii Doncowej, którego bohaterką jest detektyw a mator Eulampia Romanowa.

Pewnego dnia Eulampia odbiera zagadkowy telefon od jakiejś kobiety, która wzywa pomocy. Bez namysłu rusza do mieszkania nieznajomej, ale pod wskazanym adresem znajduje już zwłoki kobiety. W popłochu opuszcza miejsce zbrodni, obawiając się, że może zostać oskarżona o morderstwo. Głównym podejrzanym zostaje syn znanego reżysera filmowego. Ten wynajmuje Eulampię jako detektywa i prosi o pomoc dla syna. Jednak wcześniej Eulampia podjęła się rozwikłania sprawy nagłego zniknięcia młodej żony pewnego biznesmena. Rusza tropem wcześniejszych kontaktów zaginionej i odkrywa nieznane fakty z jej życia. Wkrótce okazuje się, że obydwa wątki jej prywatnego śledztwa mają sporo zbieżnych punktów i kryją w sobie wiele tajemnic.

Daria Doncowa urodziła się w 1952 r. w Moskwie. Studiowała dziennikarstwo na Uniwersytecie Łomonosowa. Pracowała jako tłumaczka i lektorka języka francuskiego i niemieckiego, a także jako dziennikarka. Od 1998 r. pisze „humorystyczne kryminały". Wydała kilkadziesiąt powieści, które w Rosji cieszą się ogromną popularnością, o czym świadczą ich wielomilionowe nakłady. Doncowa trzykrotnie uzyskała w Rosji tytuł Autorki Roku, a w latach 2002 i 2003 jej dwa utwory zdobyły główną nagrodę w plebiscycie na Bestseller Roku. Na podstawie jej powieści powstało kilka słuchowisk i seriali telewizyjnych.

Iesiojot